

Słońce nareszcie zaszło, a za szeroko otwartymi, dużymi oknami rozciągał się przyjemny półmrok. W sypialni, gdzie Elene Marie Larpent przygotowywała się do ceremonii ślubnej, było ciepło i przytulnie. Płonące na toalecie świece potęgowały jeszcze upał mijającego powoli dnia i wysyłały cienkie strużki szarego dymu prosto w zawieszony wysoko sufit. Twarz Elene była zarumieniona, a u nasady złotych włosów migotały kropelki potu. Jednak niepokój malujący się w jej jasnych, szarych oczach nie miał nic wspólnego z panującą temperaturą.

- Nie mogę tego zrobić, Devoto - wykrzyknęła z rozpaczą, napotykać w lustrze spojrzenie służącej. - Po prostu nie mogę.

Devota ze spokojem nadal szczotkowała gęste, proste włosy swojej pani.

- Nie denerwuj się tak, *chere*. Niedługo będzie po wszystkim. I zobaczysz, nie będzie wcale tak źle.

- Nie pojmuję, dlaczego ojciec jest tak stanowczy w tej sprawie.

- Wszystko ustalono już dawno temu.

- To prawda, ale ja nie miałam z tym nic wspólnego.

Służąca przyjrzała się badawczo delikatnej, bladej twarzy młodej kobiety, którą zdobiły malujące się wysoko na kościach policzkowych rumieńce. Obrzuciła spojrze-

niem zdecydowany wyraz delikatnie wykrojonych ust i lekko zadarty nos.

- Chyba się nie boisz, *chere*? - spytała w końcu.

- Owszem! Wydawać wielkie przyjęcie w tak niebezpiecznych czasach to czyste szaleństwo. Dlaczego nie możemy wziąć cichego ślubu, tylko w obecności taty, twojej i dwójki świadków? Nie ma najmniejszej potrzeby afiszować się bogactwem, gdy wokół aż roi się od rebeliantów.

- Twój ojciec zrozumiał chyba, że nic już nie będzie takie samo jak kiedyś i po raz ostatni pragnie udowodnić sobie i innym, że mimo wszystko nic się nie zmieniło.

- I znalazł w Durancie godnego sojusznika. - W tonie, jakim Elene wypowiedziała imię mężczyzny, którego miała poślubić, nie było ani śladu uczucia i szacunku.

- Pasują do siebie jak ulał.

Cichy głos Devoty koił i uspokajał. Ukryta w jej słowach krytyka zarówno jej pana, jak i narzeczonego Elene, nie była niczym niezwykłym. Mulatka była bowiem w istocie ciotką dziewczyny, młodszą przyrodną siostrą jej zmarłej matki. Faktu tego nigdy nie ukrywano, gdyż tego typu koligacje były na wyspie zjawiskiem powszechnym. Głos tej wysokiej kobiety o gładkiej złoto-brązowej skórze, delikatnych rysach i czarnych, mocno kręconych włosach ukrytych pod chustką zawiązaną w kształt turbanu zdradzał wykształcenie, które odebrała u boku matki Elene. Od dnia narodzin dziewczynki wiernie jej towarzyszyła, zastępując zmarłą przy porodzie panią Larpent.

- Nie chodzi mi wcale o niebezpieczeństwo wiążące się z naszą sytuacją, lecz z twoim przyszłym mężem - powiedziała. - Wiesz chyba, czego oczekuje się od ciebie w tę noc i nie wątpisz w doświadczenie Duranta Gambiera w tej materii. Nie boisz się przecież tego, co może zrobić?

- Nie, nie boję się samego aktu, no może troszkę, ale Devoto... jeśli nie okaże się dżentelmenem?

- On jest dżentelmenem...

- To nic nie znaczy!

- Będzie cię szanował jako swoją żonę i matkę dzieci, które na pewno będziecie mieć.

- Tak, ale czy okaże się łagodny i delikatny? Czy choć przez chwilę zastanowi się nad tym, czy nie sprawia mi bólu? Czy będzie cierpliwy? A może zmusi mnie do wypełniania swoich poleceń?

- Krótko mówiąc, boisz się, czy cię nie wykorzysta? Tego chcesz się dowiedzieć?

- Chyba tak - odparła cicho Elene.

- A gdybyś mogła być tego absolutnie pewna? Gdybyś sprawiła, że Durant oszaleje z miłości do ciebie i stanie się niewolnikiem swojego pożądanego?

Elene podniosła wzrok. W jej oczach odbił się gorzki uśmiech, rozświetlając srebrzyste tęczęwki.

- Jakoś nie wydaje mi się to możliwe.

- Poczekaj chwilę. - Służąca zacisnęła z determinacją wargi i wyszła z pokoju.

Elene patrzyła za nią, marszcząc brwi. O co jej mogło chodzić? Czasami trudno się było tego domyślić, bo potrafiła zachowywać się bardzo dziwnie. A już zupełnie niepodobne do niej było przerwanie tak ważnej czynności, jak przygotowania przedślubne. Nie miały zbyt wiele czasu do stracenia, jeśli panna młoda miała się ukazać o wyznaczonej porze.

Ogarnięta nagłym niepokojem Elene wstała i podeszła do okna. Ganek na tyłach domu był pusty. Nad przygotowanym na wieczorne przyjęcie miejscem unosiła się przytłaczająca cisza. Owady i nocne ptaki, wypełniające zazwyczaj powietrze cichym brzęczeniem, także zamilkły. Słychać było jedynie zgrzyt kół powozów po wysypanym muszelkami podjeździe i radosne, podniesione

głosy witające przybywających gości. Na tarasie pod gan-kiem, gdzie miała się odbyć ceremonia, wynajęte na tę okazję trio złożone z czarnych muzyków stroiło instrumenty. W oddali na wzgórzach niczym dźwięk basu rozlegało się głucho bicie w bębny. Elene zadrżała.

Z kuchni dobiegał zapach pieczonego mięsa zmieszany z wonią kwiatów, owoców i słonego morza, tak typową dla Santo Domingo. Elene odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić. Pamiętała te zapachy jeszcze z dzieciństwa i w czasie pobytu we Francji chyba tego brakowało jej najbardziej.

Ojciec zaaranżował małżeństwo właśnie w czasie jej nieobecności. Podejrzewała zresztą, że rozmawiał o nim z ojcem pana młodego, monsieur Gambierem, kiedy ona miała niecały rok, a Durant sześć lat. Posiadłości obu rodzin graniczyły ze sobą i połączenie ich dzięki małżeństwu dzieci wydawało się bardzo rozsądnym posunięciem. Obaj panowie zaczęli snuć swoje plany dwadzieścia trzy lata temu. Sytuacja na wyspie - jeszcze przed buntem niewolników - wyglądała wtedy zupełnie inaczej niż teraz.

Elene uczyła się w szkole z internatem we Francji, kiedy na Santo Domingo niewolnicy zbuntowali się przeciwko swoim panom. Jej ojca też nie było wówczas na wyspie. Udał się w podróż do Francji, by uchronić córkę przed niebezpieczeństwem szalejącej tam krwawej rewolucji. Przez pewien czas odnosili straszliwe wrażenie, że wszystko co znali, jest niszczone, że nigdzie nie mogą czuć się bezpieczni.

Mimo wielkiej liczby niewolników biorących udział w pierwszych atakach na właścicieli plantacji, pomimo okrutnych zbrodni i ogromnej liczby zabitych, nikt nie podejrzewał, że powstanie przetrwa. Ojciec zabrał Elene ze szkoły pod Paryżem i umieścił u dalekich krewnych, szacownych kupców z Hawru, którzy nie angażowali się

w konflikty i walki targające ich ojczyznę. Wyjechał potem do Nowego Orleanu, by dołączyć do grupy uciekinierów i tam czekać na możliwość powrotu na wyspę. Elene bardzo chciała towarzyszyć ojcu i razem z nim wrócić do domu, lecz sytuacja nadal była zbyt niebezpieczna. Podjęła słuszną decyzję, pozostając we Francji. Tam przetrwała pełne niebezpieczeństw lata ciągłych walk i zmiennych wyroków losu.

Początkowo Murzyni i Mulaci połączyli swe siły w walce z białymi, gwałcąc, kalecząc, mordując i łupiąc majątki. Rząd francuski, sam w bardzo trudnej sytuacji, nie mógł wysłać wystarczającej liczby oddziałów do stłumienia powstania. Odniosło więc spory sukces, który jednak nie trwał długo. Mulaci pogardzali Murzynami, traktując ich jak zwierzęta, a Murzyni nienawidzili wywyższających się i hardych Mulatów. Kiedy więc jedna z grup zyskiwała większe poparcie, druga - rzecz jasna - natychmiast ją atakowała. Gdy republikańska Francja mogła wreszcie wysłać armię, by przywrócić swe rządy na wyspie, Mulaci połączyli siły z żołnierzami z Europy i opowiedzieli się przeciwko Murzynom. Ci - wykonując niezwykle zwrot - przystąpili do grupy francuskich plantatorów-rojalistów, swych dawnych panów, by walczyć ze wspólnym wrogiem. Jakiś czas potem prowadzona przez Hiszpanów i Brytyjczyków wojna w Europie ogarnęła swym zasięgiem także i Karaiby, a Murzyni pod przywództwem Toussainta L'Ouverture'a i Jean Jacques'a Dessalines'a, przyłączyli się do wrogów Francji.

Podczas prowadzonych walk Brytyjczycy musieli zmagać się również ze sprzyjającym chorobom klimatem oraz utrudnionymi dostawami sprzętu i zapasów. Mając przed sobą znacznie ważniejsze bitwy w Europie, w końcu postanowili się wycofać. Toussaint L'Ouverture ogłosił się dożywotnim gubernatorem i wystąpił przeciwko swym dawnym sojusznikom - Hiszpanom. Wypędził ich

z kraju i uznał suwerenność Francji, lecz w istocie niepodzielnie panował nad wyspą.

Po przejęciu władzy przez Toussainta zapanował względny spokój. Gubernator próbował ożywić handel cukrem i bawełną. Aby osiągnąć zamierzony cel, zwrócił się do przebywających na wygnaniu plantatorów z prośbą o powrót na wyspę i zmusił byłych niewolników do pracy na polach. Po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat Santo Domingo mogła się cieszyć zdobytą z tak wielkim trudem stabilizacją.

Wszystko to miało miejsce przed ponad półtora rokiem, w 1801 roku. Ojciec Elene czekał przez kilka miesięcy, by upewnić się, że konflikt został rzeczywiście zażegnany i dopiero wtedy posłał po córkę. Otrzymała polecenie, by przywieźć ze sobą całą wyprawę potrzebną do ślubu.

Elene wypełniła wolę ojca, choć oznaczało to dalsze opóźnienie powrotu do domu. Kiedy wreszcie przybyła na Santo Domingo, jej śladem podążała dwudziestotysięczna armia Napoleona, pod dowództwem jego szwagra, generała Leclerca. Napoleon, umocniwszy swoją pozycję konsula, doszedł do wniosku, że Francja bardzo potrzebuje towarów z tego rajskiego zakątka i nie mógł daleko tolerować kontroli gubernatora Toussainta nad dostawami. Walki rozgorzały po raz kolejny.

Po paru miesiącach ostrych starć, Toussaint przyjął warunki pokojowe, po czym został zdradzony, aresztowany i wysłany do Francji. Zbuntowani Murzyni wycofali się w góry, skąd przeprowadzali krwawe ataki na stojące samotnie budynki plantatorów. Generał Leclerc przywrócił zniesione przez Toussainta niewolnictwo oraz wiele zakazów dotyczących Mulatów. Nad wyspą znów ciężką chmurą zaczął unosić się niepokój, a przytłumiony warkot bębnow dobiegający z baz buntowników w górach - bębnow wudu przenoszących wieści po-

między rozproszonymi oddziałami armii murzyńskiej - towarzyszył życiu mieszkańców niemal bez przerwy. Podróżowanie nocą bez uzbrojonej eskorty było bardzo niebezpieczne. Szeregi żołnierzy Napoleona, podobnie jak wcześniej Brytyjczyków i Hiszpanów, powoli rzedły, nie tyle w efekcie ataków buntowników, ile głównie z powodu groźnych chorób tropikalnych, takich jak żółta gorączka, cholera, malaria i tyfus. Ostatnią ofiarą był sam generał Leclerc.

Z powodu niebezpiecznej sytuacji na wyspie ślub Elene na jakiś czas odłożono. Zarówno jej ojciec, jak i narzeczony brali udział w wielu potyczkach. Armię francuską, choć liczniejszą od jakichkolwiek sił wysłanych do tej pory przeciwko Murzynom, buntownicy przewyższali liczbą niemal dwudziestokrotnie. Gdyby Murzyni dowodzeni teraz przez Dessalines'a potrafili zjednoczyć swoje siły, mogli bez trudu odnieść zwycięstwo. Sytuacja białych mieszkańców wyspy stałaby się wówczas bardzo niebezpieczna, gdyż Dessalines zasłynął jako człowiek brutalny i mściwy, ziejący nienawiścią do ludzi o białej skórze.

Elene cieszyła się z tego opóźnienia, nawet gdyby potem miano ją uznać za starą pannę. Pragnęła gorąco zadowolić ojca, ale do ślubu jej się nie spieszyło. Chciała mieć dość czasu, by poznać ojca na nowo, by na nowo odkryć dom i tereny wielkiej posiadłości, które - jak myślała - utracili już na zawsze. Pragnęła też przyzwyczaić się do warunków życia na wyspie. Przede wszystkim jednak potrzebowała czasu, by poznać mężczyznę, którego miała poślubić.

Okres oczekiwania przyniósł wiele, nie zawsze miłych niespodzianek. Jej ojciec zmienił się nie do poznania, stał się zgorzkniały i mściwy. Był tak stanowczy w postępowaniu z niewolnikami, tak bardzo obawiał się ich zdrady, że jedno ich spojrzenie prosto w oczy wystarczy-

ło, by natychmiast uciekał się do pomocy bata. Nawet w stosunku do Elene nie zachowywał się jak kochający ojciec. Wybuchał gwałtownym gniewem, jeśli odważyła się wygłosić nieco inną opinię czy też nie godziła się od razu na jego sugestie dotyczące kierowania domem czy jej własnych zajęć. Wyglądało to tak, jakby nie potrafił się pogodzić z najmniejszym sprzeciwem.

Co do Duranta, Elene musiała przyznać, że miał w sobie dużo uroku i kiedy zachowywał się nieco swobodniej, można go było polubić. Bez wątpienia ze swoją mroczną, nieco diaboliczną urodą był bardzo przystojny. Jednak także i on, podobnie jak jej ojciec, odczuwał potrzebę nieustannego udowadniania swej męskiej siły i władzy. Nabrał przykrego nawyku oświadczenia jej, kiedy zjawi się z wizytą, zamiast pytać, kiedy taka wizyta będzie dla niej dogodna i instruował, kogo może odwiedzać i gdzie wybierać się na przejażdżki. Bez chwili wahania informował ją o swoich upodobaniach dotyczących jej sukien i kapeluszy, uczesania, a nawet muzyki, jaką powinna grać wieczorami. Postanowił już, kiedy i ile będą mieć dzieci, wybrał też dla nich imiona. Nie krył wcale swoich oczekiwań co do ich przyszłego wspólnego domu: miał być prowadzony bardzo sprawnie i szczyć się doskonałą kuchnią, uwzględniającą oczywiście jego upodobania. Bardzo nie lubił, gdy w jego obecności Elene sprawiała wrażenie skrępowanej. Zapewniał ją, że nie musi się obawiać złego traktowania, że będzie się z nią obchodził jak z najcenniejszym bibelotem.

Obietnica taka byłaby na pewno dla Elene źródłem wielkiej pociechy, gdyby Durant nie czuł się zobowiązany do jej złożenia. Podobnie jak ona doskonale zdawał sobie sprawę, że nie cieszy się najlepszą reputacją jako właściciel koni i dużej liczby niewolników, których traktował niezwykle surowo. Po kątach szeptano nawet, że

na twarzy jego kochanki Serephine często pojawiały się świeże ślady uderzeń.

Aresztowanie Toussainta i jego uwięzienie we Francji przyspieszyło ustalenie daty ślubu. Elene była jednak przekonana, że z typową dla siebie arogancją jej ojciec i narzeczony postanowili, iż ceremonia stanie się okazją do wydania wielkiego przyjęcia dla całej okolicy. Obaj pragnęli pokazać światu, że nie boją się zwracać na siebie uwagi, a względy bezpieczeństwa nie zmuszą ich do zmiany trybu życia.

Podchodząc do toaletki, Elene spojrzała na swoje odbicie w lustrze i poczuła falę pogardy do samej siebie. Jak mogła tak szybko wyrazić zgodę na ten ślub! Musiał przecież istnieć jakiś sposób na wytłumaczenie ojcu, dlaczego podchodzi do niego z tak wielką niechęcią. Na pewno mogła zrobić coś, by powstrzymać bieg wydarzeń. Jej kuzyni we Francji często łajali ją za niezależność, za zdecydowanie, z jakim sprzeciwiała się narzucanym jej ograniczeniom.

Kiedy jednak próbowała porozmawiać z ojcem, wpadł w tak wielki gniew, że po chwili zaczęła się obawiać, iż każe ją wychłostać tak jak niewolników. Mogła oczywiście uciec, ale na wyspie niewiele było miejsc, gdzie dałoby się ukryć, a nie miała żadnych środków na jej opuszczenie. Poza tym kobieta, nie tylko zresztą biała, podróżująca samotnie w tych niespokojnych czasach, sama prosiła się o kłopoty.

Nie były to jednak jedyne przyczyny jej postępowania. Prawdą było bowiem także i to, że pragnęła zadowolić ojca i obudzić w nim ciepłego i kochającego opiekuna, którego znała jako małą dziewczynka. Tak straszliwie tęskniła za nim we Francji, tak gorąco pragnęła być znów z nim. Teraz mogła tylko spełnić jego polecenie i w ten sposób odzyskać jego miłość i aprobatę.

Jej zamyślenie przerwał powrót Devoty, która wcho-

dząc do pokoju, starannie zamknęła za sobą drzwi. Elene się odwróciła.

- Gdzie byłaś? Musimy się pospieszyć. Nie chcę się spóźnić, bo wiesz, jaki jest papa.

- Nic się nie martw. To jest ważniejsze, o wiele ważniejsze, *chere*.

- Co takiego?

- Sekret, który cię ochroni.

Kobieta sięgnęła do kieszeni fartucha i wyjęła małą, ciemnoniebieską buteleczkę. Zgrabnym ruchem wyjęła korek i w powietrzu uniósł się zapach gardenii, róż, jaśminu, uroczynu czerwonego i drzewa sandałowego zmieszany z nieznaną Elene inną, subtelną wonią.

- Perfumy? - Z zachwytem wdychała zapach, lecz potrząsnęła głową. - Są śliczne, lecz wątpię, czy Durant potrafi je docenić. Słyszałam, że jego kochanka codziennie kąpie się w perfumowanej wodzie.

- Ale na pewno nie w takiej.

- Skąd ta pewność?

- Nikt nie ma takich perfum.

Zapach w istocie był niezwykły. Łącząc woń kwiatów i drzew, był delikatny, a jednocześnie bardzo egzotyczny; intensywny, lecz świeży, niósł ze sobą nutę niepokojącej tajemnicy. Unosił się w powietrzu, omamiał umysł, nie dawał o sobie zapomnieć.

Elene wyciągnęła rękę.

- Parę kropli na pewno nie zaszkodzi.

- Chwileczkę, *chere*. Rozsuń szlafrok.

- Co takiego?

- To olejek, bardzo delikatny. Powinnaś go rozmasować na ramionach i rękach. Twoja skóra stanie się gładka jak atlas i będzie pięknie pachniała.

Elene wiedziała, że Devota próbuje jej pomóc. Niegrzecznie byłoby otwarcie okazywać rezerwę i brak wiary w jej możliwości. Poza tym, nie mogła zaprzeczyć, że

potrzebuje wszelkiej pomocy, by poprawić sobie nastrój i pewnym krokiem podejść do ołtarza, gdzie razem z Durantem wymienia słowa małżeńskiej przysięgi.

Wzruszając lekko ramionami, zsunęła z nich szlafrok, po czym wyciągnęła dłoń, by Devota mogła nalać na nią parę kropli pachnącego olejku. Zgodnie z instrukcjami służącej, ostrożnie potarła obie dłonie, po czym przesuwała nimi po ramionach i szyi. Potem delikatnie potarła nadgarstki i łokcie. Devota nie była jednak w pełni zadowolona. Wylała jeszcze parę kropli i nalegała, by Elene wtarła je w białe krągłości piersi i w brzuch, aż do miejsca, gdzie zaczynały się uda.

Kiedy Elene wcierała olejek, Devota zaczęła cicho śpiewać. Jej monotony głos przypominał modlitwę, a może błogosławieństwo. Wywoływał wspomnienie szeptów, które Elene słyszała przed laty. Z ust do ust przekazywano wiadomość, że Devota związała się z kultem wudu, oddaje cześć starym bogom sprowadzonym z Afryki i w czasie pogańskich rytuałów spełnia rolę kapłanki. Kobiety takie rzekomo miały szczególną moc i potrafiły sprowadzać śmierć za pomocą przekleństwa lub naszpikowanej igłami lalki. Mówiono, że potrafią też ożywiać zmarłych, przygotowywać napary zmieniające miłość w nienawiść i odwrotnie. Wielu białych i czarnych mieszkańców wyspy dawało wiarę tym pogłoskom.

To były jednak tylko opowieści, bardzo dziwne opowieści. W blasku świec Devota wyglądała przecież tak normalnie świeżo w wykrochmalonym fartuchu i chustce. W jej ciemnobrązowych oczach malowała się miłość i wielka troska. Te przekazywane szeptem historie nie mogły mieć nic wspólnego z prawdą. Głupotą byłoby myśleć inaczej.

Na moment zapach olejku przypawił Elene o lekki zawrót głowy, by już po chwili otoczyć ją zniewalającą aurą.

- Dobrze, dobrze - szepnęła służąca. - Teraz, kiedy mąż przytuli cię w akcie miłości, zapach perfum wzmocniony przez woń twego ciała przejdzie na jego skórę. Gdy to się stanie, nie będzie już dla niego uciezki. Oszałeje na twoim punkcie i będzie chciał cię zadowolić pod każdym względem. Nie będzie mógł się tobą nasycić. Nie spojrzysz na żadną inną kobietę.

- I bardzo dobrze - odparła Elene z lekkim rozbawieniem. - Co się jednak stanie, gdy weźmie kąpiel? Albo ja?

Devota zmarszczyła brwi.

- Nie żartuj z tego, *chere*. Oczywiście w kąpieli zapach zniknie. Musisz potem znowu użyć perfum, a osiągniesz taki sam efekt.

- Przypuśćmy, że dotknę jakiegoś innego mężczyzny. Czy on też stanie się moim niewolnikiem?

- Nie wolno ci do tego dopuścić, chyba że taka będzie twoja wola.

Słowa Devoty płynęły jakby nie z tego świata. Elene pomyślała, że może przyłączyć się do tej dziwnej gry. Przechyliła figlarnie głowę.

- A co ze mną? Czy na mnie zapach nie ma żadnego wpływu?

- Dla ciebie to tylko perfumy. Lepiej jest, gdy kobieta, która pragnie zatrzymać przy sobie mężczyznę, nie zakocha się w nim zbyt mocno.

- Ależ to czyste wyrachowanie! - Elene zmarszczyła brwi.

- Bo tak jest. Kiedy mówię o kontroli, chodzi mi o panowanie nad życiem małżeńskim, a nie o idealne szczęście. Jeśli zależy ci właśnie na nim, musisz szukać miłości bez żadnej pomocy, jedynie kochającym sercem.

- Nie jestem tak do końca przekonana, czy Durantowi zależy właśnie na kochającym sercu - rzekła Elene. - Raczej na odpowiedniej żonie i ziemi papy.

- Zaufaj mi, *chere*. Teraz musimy się pospieszyć z ubieraniem, inaczej twój ojciec bardzo się rozgniewa.

Kobieca moda, zgodnie z paryskimi trendami, od ponad dziesięciu lat dyktowała noszenie prostych sukien, wzorowanych na greckich chitonach i rzymskich tunikach. Suknię ślubną Elene uszyto zgodnie z jej nakazami z cieniutkiego kremowego jedwabiu. Miała bufiaste rękawy i szeroką spódnicę, opadającą luźno tuż pod biustem. Głęboki dekolc i dół sukni ozdobił bogaty złoty haft z motywem gałązek i liści. Zaplecione w warkocz włosy dziewczyny, przybrane złotą wstążką, były wysoko upięte. Jediną ozdobę stroju stanowił wspaniały naszyjnik z kameą należąca niegdyś do jej matki i złote kolczyki w kształcie liści, które razem z kaszmirowym szalem i wachlarzem z kości słoniowej przesłano jej w *corbeille de noce*, prezencie od pana młodego.

Elene nigdy się nie malowała, lecz tego wieczoru wyglądała tak blado, że zgodziła się nałożyć odrobinę karminu na wargi. Przesunęła też pudrowaną na czerwono bibułką po kościach policzkowych. Mimo że była bardzo jasną blondynką, miała naturalnie ciemne brwi i rzęsy, więc pociągnęła je tylko delikatnie olejkiem, by mocniej załśniły.

Kiedy Elene wreszcie była gotowa, Devota nie szczędziła jej komplementów. Dziewczyna podziękowała, lecz nie czuła wdzięczności. Nie zależało jej na wyglądzie ani na pochlebnych opiniach, nawet jeśli wygłosiłby je sam Durant. Czuła się bardziej jak ofiara niż panna młoda i komplementy oraz zachwyty wyrażane zazwyczaj przy takiej okazji nie mogły tego zmienić. Jeśli naprawdę musi przejść przez to wszystko, pragnęła, by cała ceremonia zakończyła się jak najszybciej.

Nagle rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

- Już czas, panienko - zawołał lokaj.

Devota odparła, że są gotowe. Przejęta, zaczęła szukać wachlarza na wypadek, gdyby Elene zrobiło się gorąco

oraz bukietu z żółtych róż i liści paproci. Wsuwając oba przedmioty w dłoń dziewczyny, mocno ją przytuliła, po czym ruszyła w stronę otwartych drzwi.

Dźwięki muzyki anonsującej nadejście panny młodej uniosły się wysoko w górę, docierając do miejsca, gdzie stała Elene. Odetchnęła głęboko i zrobiła krok naprzód.

- Pamiętaj - powiedziała cicho Devota. - Mąż pokocha cię nad życie i nic nie będzie mógł na to poradzić.

- Tak - szepnęła Elene i wyszła na balkon.

Rezydencja rodziny Larpentów zbudowana była z ociosanego wapienia, ściągniętego z gór. Kiedy ojciec Elene przebywał na wygnaniu, nie została spalona, lecz nie oparła się buntownikom. Większość wspianałych mebli zniknęła z pokoi, a podłogę ganku zniszczono, przesuwając po niej ciężkie przedmioty. Poręcz, wyrzeźbiona z tego samego piaskowca, nosiła ślady maczet i bagnetów, brakowało też kilku słupków w kształcie urn, najwyraźniej wybitych przez nieuwagę lub zabranych w jakimś innym celu. Postument z drewna ananasowca zdobiący niegdyś biegnące na taras schody też zniknął. Na jego miejscu stała teraz ogromna porcelanowa donica wypełniona opadającymi różowymi pelargoniami. Te same kwiaty ozdabiały schody. Elene zatrzymała się u ich szczytu. W dole widziała przybyłych na uroczystość gości siedzących na pomalowanych na złoto krzesłach ustawionych w półkole przed ołtarzem. Wśród nich, w pierwszym rzędzie, siedział jej ojciec. Ołtarz udekorowano białymi i złotymi draperiami oraz liśćmi paproci. Stał przed nim ksiądz w zdobionym ornacie, wraz z innymi czekając na jej przybycie.

Delikatny szum rozmów umilkł, zastąpiony cichym szelestem sukien, gdy zebrani dostrzegli jej obecność i odwrócili się na swoich miejscach. Stojąc w centrum uwagi, Elene poczuła, że nie zniesie dłużej warkotu bębnow dobiegającego od strony wzgórz.

Muzyka zabrzmiała ze zdwojoną siłą. Goście na jej cześć powstali z miejsc. Z cienia balkonu wyłonił się Durant i podszedł do schodów. Czekał tam, elegancki i przystojny w złotym atłasowym fraku i białych spodniach do kolan. Na jego ustach błąkał się uśmiech zadowolenia.

Elene patrzyła na niego, na gęste, dość długie czarne włosy i głęboko osadzone czarne oczy. Przebiegła spojrzeniem po kwadratowej twarzy, w której wyróżniał się rzymski nos i pełne usta. Durant, choć średniego wzrostu, był potężnie zbudowany, a otaczająca go aura wielkiej pewności siebie niektórych przerażała, innych zaś doprowadzała do wściekłości. Jako mężczyzna wytworny uznawał tylko to, co najlepsze, obojętnie, czy chodziło o wino, czy też kobiety. Elene pomyślała, że zapewne niełatwo go zadowolić, choć na pewno wiele kobiet będzie zazdrościć jej takiego męża.

Durant oparł stopę na najniższym stopniu schodów. Z ręką wspartą na kamiennej balustradzie czekał na Elene, gotowy poprowadzić ją do ołtarza. Dziewczyna powoli schodziła w dół, próbując zachować równowagę, wbrew napiętym mięśniom, które utrudniały każdy jej krok.

Nagle rozległ się krzyk kobiety.

Pełen przerażenia, dobiegał z ostatniego rzędu krzesel. Po sekundzie powietrze rozdarły dzikie wrzaski i wojenne okrzyki, rodem z najgorszych koszmarów. Zbuntowani Murzyni zaatakowali.

Zaskoczeni goście rozglądali się wokół bezradnie, krzycząc ze strachu. Kobiety krzyczały najgłośniej. Mężczyźni zaczęli dobywać broń z pochw przypiętych do pasów eleganckich strojów. Inni popędzili do domu po pistolety i muszkiety. Na trawniku zaroilo się od czarnych postaci, które wymachując złowieszczą bronią, szczyrzyły białe zęby.

W mgnieniu oka na tarasie rozgorzała walka. Ranni padali na ziemię, przeklinając i jęcząc, wszędzie unosiły się okrzyki rozpacz i przerażający odgłos broni tnącej ciało aż do kości. Po kamieniach płynęły jasne strumyczki krwi.

Ośłupiała Elene patrzyła, jak Durant walczy z chudym Murzynem w przepasce na biodrach. Wyrwał mu z zakrwawionej dłoni maczetę, po czym, tnąc niemal na oślep, zniknął w kłębiącym się tłumie. Elene szybko poszukała wzrokiem ojca. Zdażyła jeszcze zobaczyć, jak pada z wbitą w szyję siekierą, która wcześniej rozplatała mu głowę.

Krzyknęła z wściekłości i przerażenia. Z trudem zaczęła schodzić po schodach, nie spuszczać wzroku z ciała ojca. Stojący parę stopni niżej napastnik z dziobatą twarzą odwrócił się i ruszył na górę. W ręce trzymał nóż, a w jego oczach malował się wyraz morderczej furii.

Elene rzuciła w niego ślubnym bukietem i wachlarzem, po czym unosząc suknię, szybko wbiegła po schodach. Za sobą słyszała głucho dudnienie bosych stóp napastnika. Podziałało to na nią jak ostroga. Zbliżając się do szczytu schodów, chwyciła ciężką donicę z kwiatami. Odwróciła się i gwałtownym ruchem cisnęła nią w przesładowcę. Donica rozbiła się, wybuchając chmurą ziemi i połamanych pelargonii. Murzyn zawył i runął w dół schodów. Elene nie czekała ani chwili i popędziła dalej.

Nagle zobaczyła nad sobą ciemną twarz. Serce zabiło jej mocniej, lecz zaraz ją rozpoznała. Devota. Służąca mocno pociągnęła ją za ramię.

- Tędy! Szybko!

Ruszyły biegiem wzdłuż ganku. Wpadły do domu i zatrzymały się gwałtownie przed pełnymi majestatu głównymi schodami. Na prawo wiły się wąskie schody przeznaczone dla służby. Szybko skręciły w ich stronę i bez tchu biegły w dół, aż stanęły przed drzwiami prowadzą-

cymi do spiżarni połączonej z dużą jadalnią. Devota przekreśliła gałkę i otworzyła drzwi. Przez chwilę nasłuchiwała, po czym skinęła głową.

Raz jeszcze ruszyły biegiem przez spiżarnię i jadalnię, wypadając przez duże oszklone drzwi do małego ogrodu. Zbiegły po kilku stopniach tarasu i pędząc przez trawnik, dotarły do wysokiego żywopłotu z krzaków dzikiej róży. Kryjąc się w jego cieniu, ruszyły w stronę pola trzciny cukrowej, przemykając przez otwarte przestrzenie niczym ścigane zwierzęta. Cały czas, z trudem łapiąc oddech, oglądały się za siebie. Nareszcie dopadły pierwszego rzędu wysokich trzciny, w nich szukając schronienia.

Jednak nawet wtedy nie mogły się zatrzymać. Biegły zielonymi tunelami, a nad nimi wznosił się zielony baldachim. Rękami osłaniały twarze, by ochronić się przed szerokimi, ostrymi liśćmi, schylając się lub przeskakując łodygi tak ciężkie od soku, że zagradzały przejście. Czasami zwalniały, by złapać oddech, ale po chwili znów szybko ruszały do przodu. Za sobą zostawiały krzyki i wrzaski, odgłosy wystrzałów i dźwięk rozbijanego szkła. Kiedy dźwięki na dobre ucichły, obie kobiety odczuły jednocześnie ulgę i rozpacz.

Pola wydawały się ciągnąć bez końca. Jedno przechodziło w drugie, przecinane tylko rowami nawadniającymi. Od czasu do czasu pojawiały się mniejsze pola roślin pozostawionych na nasiona, zarośnięte chwastami i dzikimi krzewami kawy oraz pola nie uprawiane od czasu pierwszego powstania, do których powoli zgłaszał swe prawo las. Po chwili dotarły do niego. Zwolniły tempo, po części z powodu zmęczenia, a po części z obawy, by nie wpaść na jakąś czujkę Murzynów lub inną bandę szukającą się dopiero do ataku. Kiedy otaczające je drzewa zaczęły gęstnieć, zatrzymały się w końcu. Zalesiony teren miał nie więcej niż półtorej mili szerokości. Z jednej

jego strony rozciągały się pola trzciny, które przed chwilą przemierzyły, z drugiej główna droga prowadząca do Port-au-Prince.

Devota i Elene weszły głębiej w las. Kiedy nie mogły już zrobić ani kroku, zatrzymały się pod wielkim drzewem i opadły na ziemię. Siedziały, opierając się plecami o pień. Z zamkniętymi oczami oddychały głęboko, by złagodzić ból w boku i piersiach. Upłynęło parę długich chwil, zanim któraś z nich mogła przemówić.

W końcu Elene otworzyła oczy. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegła, była ciemność, która zapadła jakby niepostrzeżenie, a drugą czerwona łuna wznosząca się nad posiadłością ojca. W powietrzu wyczuła zapach dymu.

- Dom, pała dom - powiedziała bezbarwnym tonem.
- Tak - odparła Devota, nie otwierając oczu.
- Spójrz tam. Czy to pała się jakieś inne zabudowania?

Devota spojrzała przez rozciągający się nad nimi baldachim liści.

- Gdzie?
- Elene wskazała palcem.
- Tam. Widzisz tę łunę?
- Powstanie musiało znów ogarnąć całą wyspę. Co mogło je wywołać?

Elene potrząsnęła głową i znów zamknęła oczy.

- Czy to ma jakieś znaczenie? Najważniejsze pozostaje teraz pytanie, co pocniemy.

Jej ojciec nie żył. Widziała, jak umiera. Powinna odczuwać straszliwy ból, ale poza pierwszym ukłuciem przerażenia, teraz ogarnęło ją tylko odrętwienie. Wzdrygnęła się na wspomnienie straszliwych scen, które rozegrały się przed jej oczami. Wciąż wydawało się jej, jakby należały do zupełnie innego świata. W ogarniającym ją letargu nie była w stanie pomyśleć, jak najlepiej zatroszczyć się o własne bezpieczeństwo. Była

przekonana, że coś takiego jak bezpieczeństwo w ogóle nie istnieje.

- Może uda nam się przedostać do francuskich żołnierzy w Port-au-Prince - rzuciła niepewnym głosem Devota.

Elene poczuła nagłe ukłucie uczucia, którego nie знаła od czasu, gdy dowiedziała się o planowanym ślubie. Ogarnęło ją tylko na ułamek sekundy, lecz z przerażeniem rozpoznała w nim lęk przed swoją przyszłością.

- Może - odparła powoli.
- Będziemy musiały być bardzo ostrożne.
- Tak - zgodziła się Elene. - Na drodze będzie zbyt niebezpiecznie. Szkoda, że nie wiemy, co naprawdę dzieje się w okolicy.
- Mogę się tym zająć - odparła Devota.
- Co masz na myśli?
- Gdybym mogła się skontaktować z niewolnikami z naszej plantacji, może powiedzieliby mi, co knuje Desalines albo przynajmniej poznałabym przyczynę tych ataków.
- To zbyt ryzykowne - odparła zdecydowanym tonem Elene. Wiedziała, że ich niewolnicy musieli brać udział w powstaniu. Uczestniczyli w nim ludzie, którymi opiekowała się w chorobie, mężczyźni i kobiety, którzy troszczyli się o ich dom, pracowali w ogrodach i w polu. Wciąż słyszała w uszach ich śpiew. Nie chciała o tym myśleć.
- Dla kogoś z moim kolorem skóry nie jest to wcale niebezpieczne.

Elene bardzo rzadko dopuszczała do siebie myśl, że Devota nie jest biała, podobnie jak rzadko zastanawiała się nad ich pokrewieństwem. Devota była po prostu sobą, trwała niewzruszenie przy jej boku, zawsze czuła i mądra. Czy możliwe, że wiedziała o wszystkim i mogła

ostrzec jej ojca i przybyłych na uroczystość gości? Nie, na pewno nie. W pewnych sprawach należy kierować się zaufaniem.

- Co będzie, jeśli rozpoznają cię jako moją służącą? To wystarczy, byś naraziła się na wielkie niebezpieczeństwo.

- Zaryzykuję. Musimy się czegoś dowiedzieć i to szybko. Jeśli mamy do czynienia z powszechnym powstaniem, będziemy się musiały gdzieś bezpiecznie ukryć i to jeszcze przed nadejściem dnia.

Wstała, obciągając fartuch i poprawiła chustkę na głowie. Elene obserwowała ją w ciemnościach. Mogła kazać Devocie zostać, jak pani niewolnicy, ale ich stosunki nie opierały się przecież na takich zasadach. Poza tym Elene nie mogła być w żadnym wypadku pewna, że Devota wypełni jej polecenie, zwłaszcza w zaistniałych okolicznościach; nie chciała też, by została tylko z tego powodu.

- Jeśli rzeczywiście musisz iść, to pójdę z tobą, przynajmniej przez część drogi.

- A co to da, *chere*? Nie, lepiej będzie, jeśli zostaniesz tutaj. To nie potrwa długo.

- Mogłabym czuwać... - zaczęła, po czym gwałtownie urwała. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała Devota, była tylko ciemność. Służąca zniknęła.

Elene powtarzała sobie w duchu, że Devota potrafi doskonale poruszać się w ciemności. Jako wyznawczyni kultu wudu, a może nawet jego kapłanka, musiała często opuszczać nocą dom, by brać udział w zgromadzeniach na wzgórzach. Nic jej nie będzie.

Czas płynął powoli. Nagle Elene usłyszała nad sobą lekki szelest. Pocięła się, że to tylko jakieś buszujące nocą zwierzęta, spadająca gałązka, a może jedynie podmuch nocnej bryzy sunący przez gęste liście. Nie poczuła więc niepokoju. W pewnej chwili usłyszała też pijane głosy, najwyraźniej coś świętujące. Dobiały jednak z oddali, może z głównej drogi rozciągającej się przy

lesie, w którym znalazła schronienie. Nie zbliżyły się do niej, a po chwili zupełnie ucichły.

Noc była bezchmurna. Nad rozciągającymi się polami trzciny cukrowej blask księżyca rozświetlał horyzont. Sam księżyc wysunął się spośród wierzchołków drzew i wypłynął na niebo. Sączący się przez gęstwinę liści jego blask sprawiał, że gałęzie stawały się jeszcze ciemniejsze, a ściółka leśna miejscami lśniła srebrem. Nad miejscem ukrycia Elene pojawił się nagle promień światła wielkości męskiej dłoni. Zatrzymał się na kremowym jedwabiu jej sukni i odbił w złotym hafcie. Nagły blask oślepił Elene.

To mógł być sygnał, który doprowadzi do niej buntowników.

Zerwała się na równe nogi i rzuciła między drzewa. Nawet tam materiał lśnił jak drogowskaz. Światło odbijało się też od złotego łańcuszka, na którym wisiała kamea jej matki, znacząc każdy jej ruch. Szybkim ruchem zerwała naszyjnik i wsunęła do kieszeni halki. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zdjąć sukni, ale halki nie różniły się od niej kolorem. Pożałowała nagle, że nie przyszło jej do głowy, by uciekając chwycić jakiś płaszcz, koc, cokolwiek, co mogłoby zakryć jej jasny strój.

A może by tak pobrudzić suknię? Po warstwą liści na pewno jest wilgotna ziemia, ale czy to wystarczy? Poza tym jej jasna skóra odbijała światło równie mocno jak suknia. Ją też powinna pokryć błotem.

Uklękła i zaczęła rozcierać liście, drapiąc ziemię zwinętą dłonią. W nozdrza uderzył ją zapach żywej gleby, a szelest liści grzmiał w jej uszach niczym odgłosy najgorszej burzy. Kiedy zdołała zebrać pełną garść ziemi, przesunęła ją po ramieniu. Wilgoć zmieszała się z zapachem olejku, który wtarła, ubierając się przed ceremonią. Grudki ziemi opadły, pozostawiając po sobie zaledwie smugę. Będzie musiała zebrać więcej.

— II —

Krótki, ostry okrzyk sprawił, że gwałtownie podniosła głowę. W odległości około pięciu metrów od niej stało dwóch Murzynów. Mieli na sobie tylko wytarte bryczesy, a pomalowane w pomarańczowo-białe pasy torsy i twarze sprawiały, że wyglądali dziko i okrutnie. Jeden z nich trzymał w lewej ręce srebrny dzbanek, a w prawej maczetę. Drugi nie miał żadnych trofeów, jedynie siekiere o krótkim trzonku.

Elene wstała powoli i zrobiła krok do tyłu. Bezwiednie stanęła w pełnym blasku księżyca. Czuła, jak rozświetla ją całą, odbija się od włosów, skóry, sukni. Stała z wysoko podniesioną głową, za wszelką cenę próbując nie okazać przerażenia, które ogarniało każdą cząstkę jej ciała.

Na widok tego zjawiska mężczyźni ze świstem wciągnęli powietrze. Ten z dzbankiem z ręce mruczał coś pod nosem, jakby modlitwę. Drugi rzucił mu szybkie spojrzenie i splunął pod nogi.

- Bierz ją - rzucił.

Elene stała nieruchomo, dopóki nie znaleźli się tuż przy niej. Kiedy tylko jej dotknęli, poczuła w sobie furię, nad którą nie potrafiła zapanować. Rzuciła się na napastników, drapiąc, kopiąc i wrzeszcząc co sił w płucach.

Niestety, na niewiele się to zdało. Po początkowym zaskoczeniu, jej gwałtowność tylko rozbawiła obu mężczyzn. Napastnik z maczetą ze śmiechem odrywał od twarzy jej paznokcie i wykrcząc nadgarstki, zmusił ją, by uklęknęła. Nazywali ją kocicą, suką. Usłyszała też znacznie gorsze epitety, gdy okręcali sobie wokół dłoni uwolnione od szpilek złote pasma włosów. Ciągnęli ją za nie we wszystkie strony, po czym jednym pchnięciem cisnęli na ziemię.

Elene nie poddawała się. Wiła się jak wąż na leśnej ściółce i ciężko oddychając, walczyła z bólem, który jej zadawali, mocno ściskając nadgarstki i kostki. Przez chwilę zastanowiła się, dlaczego nie użyli przeciwko niej maczety ani siekiery, dlaczego jej nie zabili, ale odpowiedź przebiegła jej przez myśl, zanim zdążyła zadać sobie w duchu to pytanie. Usłyszała trzask rozdieranego materiału sukni. Dekolt powoli stawał się coraz szerszy. Oszołomiona rozpaczą nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. To nie może być prawda.

Nagle mężczyzna klęczący u jej stóp zeszywniał, a potem wydał z siebie głuchy okrzyk. Drugi, tuż przy jej głowie, przeklinając podniósł wzrok, po czym gwałtownie odepchnął ją od siebie, tak że przetoczyła się po sze-

leszczących liściach. Szybkim ruchem podniosła się na kolana. W blasku wpadającego przez gęstwinę księżycy dostrzegła trzeciego mężczyznę. Wysoki, szczupły, o potężnych ramionach stał przed wymachującym maczetą Murzynem ze szpadą w dłoni. Wyraz jego bladej w świetle księżycy twarzy zdradzał, że doskonale wie, jak się nią posługiwać. Tuż obok rozciągnięty na ziemi leżał nieruchomo drugi Murzyn, a przy nim siekiera o krótkim trzonku.

Napastnik i nowo przybyły mężczyzna poruszali się powoli w koło, a ich ruchy zdradzały wielkie napięcie. W ciszy nocy rozlegał się ciężki oddech potężnego Murzyna. Pod jego stopami szeleściły liście. Biały mężczyzna poruszał się bardzo cicho, nie odrywając wzroku od przeciwnika. Nagle Murzyn zaatakował go maczetą, która z ostrym świstem przecięła powietrze. Metal zazgrzytał o metal. Cios odpowiadał na cios zbyt szybko, by w mroku śledzić losy pojedynku. Mężczyzna ze szpadą nagle ostro rzucił się do przodu, po czym gwałtownie cofnął. Załśniła ostra klinga. Napastnik krzyknął i zachwiał się na nogach. Upuścił maczetę i osunął się na ziemię tuż za nią.

Na granicy małej polany poruszył się jakiś cień. Przestraszona Elene odwróciła się w tę stronę. W blasku księżycy stanęła Devota. Muskając z aprobatą ramię mężczyzny ze szpadą i ignorując zupełnie ciała napastników, podeszła prosto do Elene. Ukłękła przed nią i objęła za ramiona.

- Nic ci nie jest? - wykrzyknęła z troską w głosie. - Powiedz coś do mnie, *chere*, powiedz, że nic ci nie zrobili.

- Wszystko w porządku, daj mi tylko wstać. - Przyjęcie pozycji stojącej było dla Elene równoznaczne z odzyskaniem godności, a nawet nietykalności.

- Oczywiście, już ci pomagam. Masz we włosach peł-

no jakichś śmieci, no i rękaw sukni zupełnie podarty. *Sacre*, co za zwierzęta! Aż boję się pomyśleć, co bym tu zastała, gdybym wróciła chwilę później.

- Ja też! - Elene odsunęła się od służącej, gdy ta wygładzała jej suknię i wyjmowała z włosów gałązki i liście. - Proszę cię, Devoto. Kocham cię nad życie i dziękuję Bogu i wszystkim świętym, że się tu w porę zjawiłaś, ale daj mi porozmawiać z tym dżentelmenem.

Jej wybawca wytarł klingę szpady garścią liści i wsunął broń do wiszącej u pasa pochwy. Czekał z ręką opartą na rękojeści. Wyraz jego twarzy i szeroko rozstawione nogi wskazywały, że jest człowiekiem nie grzeszącym cierpliwością.

- Ależ oczywiście. *Chere*, to pan Ryan Bayard z Nowego Orleanu. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności spotkał się na drodze.

Elene dygnęła w ciemności, odpowiadając na ukłon, który mężczyzna złożył w jej kierunku.

- To wielkie szczęście, monsieur. Trudno mi znaleźć słowa, by wyrazić wdzięczność za pańską... pańską interwencję.

- Cieszę się ogromnie, że mogłem służyć pomocą - odpowiedział głębokim, nieco szorstkim głosem. - Teraz, kiedy mamy już z głowy ceremonie, możemy ruszać? Nie palę się do samotnej walki z całą armią Dessalines'a.

- Proszę mi wybaczyć, że pana zatrzymałam... - zaczęła zakłopotana Elene.

- To nic, jeśli tylko nie będzie pani zatrzymywać mnie dłużej. - Podeszedł do niej i ujął pod ramię. - Czy może pani iść?

- Oczywiście, że tak - odparła, próbując uwolnić się z jego mocnego uścisku.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby odczuwała pani skutki tego wydarzenia. Mogę panią nieść, jeśli tylko sobie pani tego zażyczy.

- Nie życzę sobie! Nieść mnie dokąd?
- Daleko stąd.
- *Chere* - powiedziała Devota.

Elene szarpnęła ramieniem, bezskutecznie próbując się uwolnić.

- Nie znam pana i choć ocalił mnie pan przed... przed nieszczęściem i być może obchodzi pana mój dalszy los, nie daje to panu prawa do podejmowania za mnie decyzji, a już na pewno nie do przeprowadzania swojej woli siłą.

- *Chere?* - W głosie Devoty słychać było lekką naganę.

- Proszę mi wybaczyć, mademoiselle - powiedział niezwykle uprzejmym tonem Ryan Bayard, puszczając ramię Elene. - Odniosłem wrażenie, że pragnie się pani udać ze mną.

- Nie mam pojęcia, co skłoniło pana do wyciągnięcia takich wniosków.

- *Chere*, nie! - zaprotestowała z niepokojem Devota.

- Ja też nie. Życzę pani dobrej nocy.

Elene się opanowała.

- Ja również pana żegnam.

- On ma konia i powóz, *chere* - wykrzyknęła Devota.

- I zna miejsce, gdzie możemy się ukryć!

Elene odwróciła się i spojrzała na służącą. Kryjówka. Przez chwilę chciała zaprzeczyć, jakoby w ogóle jej potrzebowała, jednak wspomnienie wydarzeń ostatniej nocy powróciło do niej ze zdwojoną siłą. Nie musiała wcale patrzeć na twarz Devoty, by przekonać się, że jej służąca pragnie udać się z tym mężczyzną. To ich jedyna nadzieja na bezpieczne przetrwanie. Odwróciła się w stronę swojego wybawcy. Powoli odchodził w mrok, widać było tylko jego szerokie plecy. Podjęła zbyt pochopną decyzję. Rzadko popełniała taki błąd.

Zrobiła krok naprzód.

- Monsieur! - zawołała.

Zatrzymał się i odwrócił.

- Proszę poczekać. Ja... - Ostatnie słowo wypowiedziała z trudem, po czym poczuła nagły ucisk w gardle i nie mogła dokończyć.

Zrobił krok w jej stronę, potem drugi. Ryan Bayard, widząc tę pełną godności jasną postać w podartej sukni i słysząc zduszoną prośbę w jej głosie, nagle poczuł się zawstydzony, że myślał tylko o swoich kłopotach.

- Jestem przekonany - odezwał się w końcu cicho - że jest pani bardziej wstrząśnięta, niż sądzi. Taka noc potrafi załamać najsilniejszych. Proszę mi wybaczyć moje zachowanie. Będę zaszczycony, mogąc służyć pani pomocą, jeśli tylko pani mi na to pozwoli.

Elene odchrząknęła.

- Jeszcze raz.

- Słucham?

- Jeszcze raz przyjdzie mi pan z pomocą. - Szybkim ruchem wskazała leżące na ziemi ciała. - Obie przyjmujemy pańską propozycję z wdzięcznością. Jest pan... niezwykle uprzejmy.

W ciągu paru minionych lat Ryan Bayard słyszał wiele określeń pod swoim adresem, nikt jednak nie nazwał go uprzejmym. Nie był pewny, czy mu się to podoba.

- Ruszamy?

Do głównej, wysypanej muszlami drogi nie było aż tak daleko, jak myślała Elene. Powóz z zaprzężonym lśniącym gniadoszem ukryty był na jej skraju. Otwarty faeton przeznaczony do szybkiej jazdy nie był niestety zbyt wygodny, gdyż wyposażono go tylko w twardą ławeczkę dla powożącego, obok którego mógł usiąść jedynie bardzo szczupły pasażer. Cała trójka zmieściła się tam z trudem; Elene siedziała ściśnięta w środku, mocno przytulona do Devoty i Bayarda. Za każdym razem, gdy koło wpadało w dziurę lub brali ostrzejszy zakręt, była przekonana, że wszyscy wylecą z niego jak z katapulty. Wiedziała, że

przed katastrofą może uchronić ich tylko silne ramię mężczyzny, które ścisnęła z całych sił.

Zdziwiona pomyślała, że przez całe dwadzieścia trzy lata swojego życia nie znalazła się tak blisko mężczyzny nie należącego do rodziny. Nawet Durant musiał trzymać się z daleka z powodu stałej obecności ojca lub Devoty. Ciało mężczyzny, który zabił dla niej dwóch ludzi, emanowało siłą, a twarde mięśnie wskazywały, że z pewnością nie wiódł próżniaczego trybu życia i nie stronił od ciężkiej pracy. Maniery i sposób wysławiania się zdradzały jednak dżentelmena, podobnie jak jego biegłość w posługiwaniu się szpadą. Był dla niej zagadką, a próba jej rozwiązywania pozwalała jej uciec myślami od wydarzeń, o których pragnęła zapomnieć.

Czy Ryan Bayard był godny zaufania? To dopiero pytanie. Zatrzymał swój powóz nocą, widząc Devotę, gdy ludzie o jej kolorze skóry masakrowali białych. A przecież miał absolutne prawo, by podejrzewać pułapkę. To wskazywało albo na wielką wiarę we własne możliwości, albo na wielką troskę w stosunku do innych i chęć niesienia im pomocy. Przybył na pomoc Elene, ryzykując własnym życiem, bez chwili wahania, nie wiedząc kim jest i na pewno bez nadziei na nagrodę. Trudno było odgadnąć motywy jego postępowania, a już na pewno nic nie wskazywało na to, by pragnął wykorzystać zaistniałą sytuację.

Było w nim jednak coś, co nie dawało Elene spokoju. Bardzo chciała myśleć, że już kiedyś słyszała jego nazwisko i to nie tylko w rycerskiej opowieści o dzielnym Bayardzie, który zasłynął we Francji dzięki męstwu w walce. Chciała spojrzeć na jego twarz, by poszukać w niej podobieństwa do kogoś, kogo być może znała lub by spróbować odgadnąć jego zamiary.

Rozciągając się przed nimi drogę oświetlał blask księżyca. Faeton minął jedną czy dwie rezydencje z płonącymi na balkonach latarniami, jakby właściciele przyglą-

dali się łunom na niebie i czarnym chmurom dymu. Tutaj nie było jeszcze śladów zniszczeń ani też śladów bytności armii Dessalines'a.

- Czy musimy daleko jechać? - spytała Elene.

- Trzy, cztery mile. Niebawem zjedziemy z głównej drogi.

Podejrzewała, że pragnie ją uspokoić, gdyż zauważył spojrzenie, jakim obrzuciła dwie grupki Murzynów, które minęli i które szybko zniknęły w lesie. Wyglądało na to, że powstanie na razie miało ograniczony zasięg, choć nie biorący w nim udziału Murzyni przemieszczali się wbrew wprowadzonym dla nich zakazom.

- Tak tu cicho i spokojnie. Czy nie powinniśmy się zatrzymać i powiedzieć ludziom o ataku?

- Każdy, kto widzi te łuny, powinien się zorientować w sytuacji.

Nie mylił się. Po dziesięciu latach okropieństw, które można bez wahania określić mianem wojny domowej, mieszkańcy wyspy byli przyzwyczajeni do takich widowisków.

- Mój ślub. Czy dlatego wybrali właśnie nas?

Ryan wzruszył ramionami, koncentrując się na powożeniu.

- Z tego, co powiedziała mi pani służąca, ślub mógł zwrócić na was uwagę, ale to była tylko wymówka. Szukali dobrego miejsca, by zacząć.

- Ma pan na myśli...

- Wygląda na to, że zaatakowano tylko kilka plantacji leżących najbliżej was. Z domu, w którym składałem wizytę, jechałem spokojnie, a znajduje się on może dwie mile od miejsca, gdzie mnie zatrzymaliście. Nie widziałem żadnych śladów wskazujących na obecność w okolicy dużej grupy walczących. Założę się, że nie wydano jeszcze rozkazu wzywającego wszystkich pod broń. Najdzie dopiero rankiem, może wieczorem.

- Ostatnio było tu tak spokojnie - powiedziała jakby do siebie Elene. - Co mogło wywołać zamieszki?

Ryan odwrócił się do niej.

- Nie słyszała pani? Wczoraj dotarły wieści, że gubernator Toussaint zmarł w więzieniu w Joux.

Toussaint nie żyje. Jego rządy miały w sobie coś z prawdziwego patriarchy i mimo że został pokonany, w czasie krótkiego panowania osiągnął wiele dla swoich ludzi. Szanowano go, nawet kochano. Nic dziwnego, że po podstępny aresztowaniu jego śmierć w więzieniu we Francji raz jeszcze wywołała zamieszki na Santo Domingo.

Powstanie ogarnie coraz większy obszar, co do tego nie mogło być wątpliwości. Co ona ze sobą pocnie? Nie ma domu, żadnej rodziny poza Devotą, nawet nie wie, czy jej narzeczony żyje. Jedynymi cennymi rzeczami, jakie posiada, są kolczyki i naszyjnik z kameą ukryty w kieszeni halki.

- Gdzie są żołnierze Leclerca? - spytała. - Kiedy ruszą?

- Należy spytać, czy w ogóle ruszą - odparł Ryan. - Ich szeregi mocno przerzedziła dyzenteria i żółta gorączka. Będą mieli szczęście, jeśli uda im się zebrać choć jeden oddział z prawdziwego zdarzenia.

- Ale muszą coś zrobić, by zatrzymać Dessalines'a! - wykrzyknęła Elene.

- Możliwe, ale nie stanie się to szybko. Najlepsze, co pani i inni biali mogą zrobić w tej sytuacji, to jak najszybciej opuścić wyspę.

Mógł mieć rację. Jeśli sprawy zajdą tak daleko, jak miało to miejsce w czasie pierwszego powstania przed dwunastu laty, jedynym rozsądnym i bezpiecznym wyjściem będzie szybki wyjazd do czasu, aż sytuacja się uspokoi lub francuska armia odzyska panowanie nad wyspą.

- Ale jak możemy to zrobić? Co z naszą ziemią, zbiorami?

- Na niewiele się zdadzą, jeśli będziecie martwi - rzekł Bayard.

Zanim Elene zdążyła odpowiedzieć, powóz skręcił w kierunku ciemnego domu. Ryan nie zatrzymał się przed frontowymi drzwiami, lecz podjechał do znajdującej się na tyłach części gospodarskiej. Przez łukową bramę wjechał do stodoły. Tam wyprzągł gniasosa, wprowadził go do boksu, po czym ukrył w rogu faeton. Dopiero wtedy zajął się towarzyszącymi mu kobietami.

Elene, czekając, by przypomnieć sobie o ich obecności, miała dość czasu, żeby złapać oddech i rozejrzeć się dookoła. Dom, do którego przyjechali, stał na szczęście daleko od głównej drogi, na wzgórzu nad morzem. W ciszy nocy słyszała doskonale szum fal i czuła w powietrzu zapach soli. W porównaniu z domem stajnie i stodoły wydawały się bardzo obszerne, a w rogu stał wóz zbyt duży, by można go było używać do czegokolwiek poza transportem ładunku ze statków.

- Po co tu przyjechaliśmy? - spytała cicho, idąc szybkim krokiem u boku Ryana.

- Dom należy do mojego współnika. Zatrzymamy się u niego na kilka dni.

Elene obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Od czasu powrotu z Francji przed ponad rokiem zdobyła wystarczającą ilość informacji o życiu na wyspie. Wiedziała, że dom należy do kupca Mulata o nazwisku Favier, którego jednak nie miała okazji poznać. Mulaci nie obracali się w tych samych kręgach towarzyskich, jeśli coś takiego w ogóle istniało na Santo Domingo. Poza tym Favier cieszył się reputacją samotnika. Uważano powszechnie, że oprócz prowadzenia legalnej działalności, zajmuje się również handlem przemycanymi towarami.

Nagle Elene przypomniała sobie, gdzie słyszała nazwisko Bayard. Używał go dobrze znany korsarz, przez wielu uważany nawet za pirata.

Drzwi na tyłach domu stanęły otworem, zanim zdążyli do nich dojść. Stanął w nich jednak nie służący, lecz sam właściciel. W ręce trzymał świecę. Szybko wciągnął ich do środka i zatrzasnął drzwi.

Faviera uważano co prawda za Mulata, lecz w jego żyłach płynęła tylko jedna czwarta murzyńskiej krwi, a skóra miała barwę starego pergaminu. Był niski, lecz dobrze zbudowany, a kręcone włosy były mocno wypo-madowane. Widać było wyraźnie, że jest przerażony, gdyż trzymana w ręce świeca drżała, a nad górną wargą lśniły kropelki potu.

- Czy ktoś widział, jak tu skręcaliście? - spytał ze wzrokiem utkwionym w twarzy Bayarda.

- Nie. Nie masz chyba nic przeciwko moim gościom. To panna Larpent i jej służąca Devota - Ryan odwrócił się do Elene. - Panno Larpent, pozwoli pani, że przedstawię pana Faviera.

- Miło mi. - Elene dygnęła.

- Panienko. - Favier ukłonił się niezgrabnie i obrzucił szybkim spojrzeniem jej podartą suknię i rozsypane w nieładzie włosy. Z jego ust nie padły żadne słowa powitania, odwrócił się tylko szybko do Bayarda. - Czekam na ciebie od paru godzin. Gdzie się podziewałeś?

- Na drodze było bardzo niespokojnie. Raz czy dwa zboczyłem, a potem musiałem zabrać pannę Larpent.

- Musiałeś? Wiesz, na jakie niebezpieczeństwo mnie narażasz?

- Ciebie?

- Długo udawało mi się trzymać z daleka od konfliktów panujących na wyspie i utrzymywać poprawne stosunki z Dessalines'em. Jeśli jednak odkryje, że ukrywam białych, nie wspominając już o tej pannie Larpent, to zrówna mój dom z ziemią. Mnie też nie oszczędzi.

- Będziesz więc musiał zadbać o to, by Dessalines o niczym się nie dowiedział - rzekł cicho Ryan.

Elene obserwowała go przez cały czas. Ciemne włosy lśniły w blasku świecy, a spalona przez słońce twarz była ciemniejsza od skóry Mulata. Miał nieregularne rysy, delikatnie wykrojone usta, a złamany kiedyś nos nadał jego twarzy nieco drapieżny wyraz. Czarne, gęste brwi i rzęsy osłaniały niezwykle błękitne oczy. Nie można go było nazwać uderzająco przystojnym, lecz miał w sobie coś, co natychmiast przykuwało uwagę. Stojąc przed właścicielem domu emanował siłą, którą od razu w nim wyczuła. Nic dziwnego, że Favier był zdenerwowany. Bayard wyglądał na człowieka, któremu lepiej się nie sprzeciwiać. Strach przed Dessalines'em okazał się jednak silniejszy, gdyż Favier oblizał wargi, po czym wybuchnął:

- Nie możecie tu zostać!

- A dokąd twoim zdaniem powinniśmy pójść? - Ryan powiedział to lekkim tonem, choć jego oczy lśniły zimno jak stal.

- Do miasta. Do armii francuskiej.

- Czy mam tam również przenieść swoje interesy?

Favier jęknął, jakby słowa Bayarda sprawiły mu fizyczny ból. Wyjął chustkę i wytarł spocone czoło.

- Nic nie rozumiesz.

- Raczej tak. W czasie każdej wyprawy podejmuję dla ciebie wielkie ryzyko, a ty nie chcesz teraz przyjść mi z pomocą.

- Żołnierze francuscy zapewnią ci ochronę.

- Pod warunkiem, że razem z panną Larpent zdołamy do nich dotrzeć - powiedział Ryan. - Ale przecież możesz nas tutaj ukryć. A potem przekazać wiadomość na mój statek, żeby mogli mnie zabrać z wyspy. Francuzi na pewno by tego nie zrobili. Dziwne, ale jakoś za mną nie przepadają.

Jego statek. Ryan Bayard był więc w istocie korsarzem, a Favier jako jego wspólnik sprzedawał przywożone na

wyspę towary. Elene wiele słyszała o tych kupcach-awanturnikach, którzy wyposażeni w listy kaperskie łupili statki walczących ze sobą krajów, sprzedając zdobycz temu, kto zaoferuje najwyższą cenę. Można by pomyśleć, że korsarze, w których żyłach płynęła francuska krew, dawali się we znaki tylko brytyjskim statkom, lecz Bayard rzekomo przymykał oko na kolor flagi na maszcie, jeśli miał nadzieję zgarnąć pokaźny łup.

Patrzyła na niego, na jego ciemnoniebieską kurtkę i staroświecką białą kamizelkę, na zawiązany pod szyją fular, przekrzywiony nieco w czasie starcia z Murzynami, na dopasowane irchowe bryczesy i wypolerowane buty. Nawet ze szpadą u boku, nieco cięższą niż broń noszona zazwyczaj przez mężczyzn do takiego stroju, wyglądał nie tyle na korsarza-postrach mórza, ile na eleganckiego plantatora. Z wyjątkiem ogorzałej od słońca i wiatru skóry. Żaden ze znanych jej dżentelmenów nie pozwoliłby na to, by słońce aż tak mocno go spaliło. W tej materii panowie nie różnili się niczym od dam. Ciemna barwa skóry, nazywana *cafe au lait*, mogła bowiem stać się pożywką dla plotek o domieszce afrykańskiej krwi. Nie podejrzewała jednak o to Ryana. Kolor jego skóry był kolejnym dowodem uprawianej przez niego profesji.

Spojrząwszy na Elene, Ryan dostrzegł pełen krytyki wyraz malujący się na jej twarzy. Nietrudno było odgadnąć jego przyczynę. Poczul nagły gniew. Mogła przynajmniej przez pewien czas powstrzymać się od wydawania sądów, zważywszy na kłopoty, w jakie go wpędziła. Pod jego badawczym spojrzeniem poruszyła się lekko i odwróciła wzrok. Nagle dobiegł go zapach jej perfum. Wyczuł go zresztą już wcześniej, gdy siedziała wtulona w niego na wąskiej ławeczce faetonu. Przypominał woń tropikalnego ogrodu w blasku księżyca. Dziwne, ale nagle poczuł absurdalną chęć zbliżenia się do niej, by móc

swobodniej wdychać ulotny zapach. Stało się to w chwili, gdy Elene tak wyraźnie okazywała swoją dezaprobatę, a to bynajmniej nie poprawiło mu nastroju.

- No to jak? - spytał, odwracając się do Faviera. - Opuścisz sobie ze strachu wszystkie zyski czy zachowasz się jak mężczyzna? Decyduj się. Znam paru chętnych, którzy bez wahania uznają, że perspektywa sporego zarobku warta jest odrobiny ryzyka.

Przez twarz Faviera przebiegł skurcz.

- Dobrze, dobrze - odparł, gwałtownie machając rękami. - Ale nie będę niepotrzebnie nadstawiał karku. Mogę wam zapewnić świetną kryjówkę, jednak nie liczcie na więcej. No, ruszajcie, zanim służący przyjdzie weszyć, skąd wziął się ten hałas.

Dom nie był tak duży i elegancki, jak siedziba Larpentów. Miał sześć pokoi, trzy na górze i trzy na dole, otoczone ze wszystkich czterech stron przez ganek, który chronił ściany przed palącym słońcem i zacinającym deszczem. Stały dopływ świeżego powietrza zapewniały okna, wysokie od podłogi do sufitu. Wnętrza urządzone bardzo wygodnie, czasem nawet z odrobiną luksusu. W znajdującej się po lewej stronie jadalni na podłodze leżał bogaty dywan, na którym stał stół i krzesła z drewna różanego. Na stole stała misa na owoce z miśnieńskiej porcelany i dwa pasujące do niej świeczniki, a na szafce srebrna zastawa. Stały tam też karafki z winem i brandy.

Favier postawił świecę na stole i zaczął odsuwać krzesła. Elene spojrzała na Devotę, która bezradnie wzruszyła ramionami.

Ryan nie okazał się równie powściągliwy.

- Jeśli zamierzasz zaproponować nam kolację, to doceniam twoją troskę, ale nie jestem głodny. Potrzebne nam są tylko dwa pokoje, najlepiej gdzieś na tyłach domu. Nie masz żadnych pomieszczeń dla służby ani pokoi na strychu, z których moglibyśmy skorzystać?

Favier rzucił mu pełne wrogości spojrzenie.

- Mogę wam zaoferować tylko to. Inne pokoje nie są bezpieczne. Przychodzi do mnie sprzątać starsza kobieta i wszędzie węszy. Gdybym kazał jej trzymać się z daleka, jeszcze bardziej próbowałaby się dowiedzieć, co ukrywam.

- To zamknij ją gdzieś na parę dni albo dokądkolwiek wyślij.

- Nie mogę - rzucił krótko Favier. - To moja matka.

- Na pewno cię nie zdradzi.

- Nie znasz jej. - Favier wzruszył ramionami i dalej odsuwał krzesła.

Kiedy skończył, uniósł jeden róg stołu i wysunął spod niego dywan. Oczom wszystkich ukazała się ukryta w podłodze kłapa.

- Zaczynam już rozumieć - powiedział Ryan.

- Mam nadzieję, że będziesz zadowolony - odparł Favier z cieniem złośliwości w głosie. Sapiąc z wysiłku, uniósł kłapę. Początkowo w dole widać było tylko czarną dziurę. Devota sięgnęła po świecę i wsunęła ją pod stół. Jama pod podłogą okazała się zbyt mała, by można ją nazwać piwnicą. Wykuta w piaskowcu, na którym stał dom, od czasu do czasu służyła zapewne jako schowek na kontrabandę, gdyż unosił się z niej delikatny zapach wina, przypraw i herbaty. Nie można się jednak było oprzeć wrażeniu, że przypomina duży grób.

Ryan, który wcześniej przykląkł na jedno kolano, by zajrzeć do środka, wstał.

- Musisz mieć jakieś inne miejsce.

- Nie, jeśli nie chcesz, by cię odkryto i doprowadzono do Dessalines'a.

- Nie twierdzi pan chyba - zaczęła szyderczo Elene - że pańska matka nic nie wie o tej piwnicy.

- Wie, ale nie korzystaliśmy z niej już od dłuższego czasu. Na pewno nie pomyśli, że ktoś ukrywa się tam właśnie teraz.

- Pokaż nam jakieś inne miejsce - zażądał ostrym głosem Ryan.

- Nie mogę, naprawdę. Nie macie wyboru!

- Nie widzę powodu, dla którego razem z Devotą nie miałybyśmy udać się do oddziałów w Port-au-Prince - powiedziała Elene niemal do siebie.

- Ach tak - odparł Ryan, odwracając się do niej. - To właśnie czyniłyście przed godziną, gdy was znalazłem.

Elene rzuciła mu lodowate spojrzenie, które w półmroku nie wywarło jednak spodziewanego wrażenia.

Favier powiódł wzrokiem po ich twarzach i otarł pot z czoła.

- Każda chwila kłótni tutaj na górze naraża nas na coraz większe niebezpieczeństwo. To przecież tylko parę dni, najwyżej cztery. Tyle potrwa przesłanie wiadomości na twój statek.

- Nie ma pan pewności, że sytuacja jest aż tak poważna - zauważyła Elene. - Domyślamy się tylko, że Dessalines wyda rozkaz zmasowanego ataku. Może poczekamy jakiś czas i zobaczymy, co się wydarzy.

- Tak. A jeśli Dessalines każe tropić białych, każdy niewolnik w moim domu będzie wiedział, gdzie was szukać. Wie pani, co Dessalines robi z białymi kobietami? Wie pani?

Devota postawiła świecę na stole i podeszła do Elene.

- Wie doskonale, ty głupcze. Wystarczy na nią spojrzeć.

Favier uśmiechnął się posępnie.

- Widzę, że nie była torturowana. Jeszcze nie.

Starsza z kobiet odwróciła się od niego.

- Może zdołasz tu wytrzymać przez dwa, trzy dni, *chere* - zwróciła się do Elene. - A jeśli sytuacja nie rozwinię się tak jak myślimy, udamy się razem do Port-au-prince.

- I co potem? - rzucił Ryan. - Marynarze mówili, że

traktat z Amiens został zerwany. Lada dzień Francja wypowie wojnę Wielkiej Brytanii. Nie wątpię, że tym razem Wielka Brytania wspomocze Dessalines'a w jego walce z Francuzami i wprowadzi blokadę wyspy. Santo Domingo stanie się piekłem, z którego nie będzie ucieczki. Paroma uderzeniami w bębny Dessalines może zebrać sto tysięcy ludzi. A z dwudziestotysięcznej armii przysłanej tu przez Napoleona ponad jedna czwarta żołnierzy umarła z powodu różnych chorób, a spora ich część w ogóle nie nadaje się do walki. Stosunek walczących wynosi mniej więcej stu do jednego. Co zrobicie, jeśli Francuzi poniosą druzgocącą klęskę albo się poddadzą?

Elene spojrzała na niego ostro.

- Nie wiem, monsieur, ale cóż mi pozostało? Nie mam rodziny, przyjaciół, pieniędzy. Na mnie nie czeka żaden statek!

- Może pani popłynąć ze mną.

Ryan nie miał pojęcia, co skłoniło go do złożenia takiej propozycji. Najwyraźniej uczynił to zupełnie bezwiednie. Przyszła mu nagle na myśl, a on ubrał ją w słowa. Co za idiota z niego! To mu tylko przysporzy więcej kłopotów, ale chyba zdoła sobie z nimi poradzić. Teraz czekał na jej odpowiedź.

- Z panem? - spytała bezbarwnym głosem.

- Do Nowego Orleanu.

- Ale ja...

- Na miłość boską! - wykrzyknął Favier. - Może to omówicie tam na dole. Przez trzy dni będziecie się mogli zastanawiać, co ze sobą począć. Czy ukryjecie się w końcu, zanim nas wszystkich złapią i poszatkują?

Ryan zaklął cicho, po czym zniknął pod stołem. Zeskoczył w dół i odwrócił się, by pomóc Elene. Przyklęła i zawahała się, patrząc jak Bayard niemal zupełnie pogrzążył się w ciemnościach.

- No już - jęknął z rozpaczą Favier.

Nie miała innego wyjścia. Mogła iść w ślady Ryana i zacząć przeklinać, lecz zaciskając mocno usta usiadła na brzegu jamy w podłodze. Gdy Ryan wyciągnął ręce, oparła mu dłonie na ramionach i poczuła w talii jego mocno zaciskające się palce. Zeskoczyła w dół. Ich ciała dotknęły się, a twarze dzieliło tylko kilka centymetrów. Ryan postawił dziewczynę na ziemi i razem odwrócili się do światła.

Favier, dysząc z wysiłku, przechylił się przez stół i sięgnął po klapę.

- Chwileczkę! - zawołała Elene. - Devoto, teraz ty.

- Będzie wam za ciasno - zaprotestował Favier.

- Tak, ale...

Devota potrząsnęła głową w turbanie z chustki.

- Nie martw się, *chere*, nic mi się nie stanie. Z moim kolorem skóry nie muszę się ukrywać. A tu, na górze, będę mogła zadbać o twoje potrzeby - mówiąc to, rzuciła Favierowi wyzywające spojrzenie, jakby spodziewała się, że ten spróbuje zaprzeczyć lub też podejrzewała, że ze chce zagłodzić Ryana i Elene na śmierć.

- Ludzie wiedzą, że jesteś z domu Larpentów. Będą się chcieli dowiedzieć, co tutaj robisz - powiedziała Elene. Bała się o Devotę.

- Coś wymyślę, nie bój się - odparła spokojnie Devota. Favier powoli zamykał klapę.

- Nic jej nie będzie - powiedział z fałszywą serdecznością w głosie.

Ryan wyciągnął rękę, próbując podtrzymać zamykającą się klapę.

- Zostaw nam przynajmniej świecę.

Favier z jękiem spełnił jego życzenie.

- Zapalajcie ją tylko w nagłych wypadkach. Jej blask może się przebić przez szczeliny w podłodze.

- Masz nas za idiotów? - odparł ostrym tonem kor-

sarz, po czym szybko schylił głowę, unikając spotkania z opadającą z hukiem klapą.

Usłyszeli jeszcze okrzyk Devoty.

- Zaraz przyniosę wam coś do jedzenia i parę potrzebnych drobiazków.

Po ostrej reakcji Faviera na górze zapadła cisza.

Płomyk świecy migotał w ciemności. Elene i Ryan spojrzeli na nią jednocześnie, próbując ocenić, na jak długo im wystarczy. Otaczające ich ściany w mroku zdawały się zacieśniać coraz bardziej. Obdarzona przez naturę średnim wzrostem Elene mogła swobodnie stać, lecz głową dotykała klapy. Wysoki Ryan musiał się schylać. Ich kryjówka miała trzy metry długości, lecz niewiele ponad półtora metra szerokości. Klapę wbudowano w drewnianą podłogę domu, a nie w kamień, więc szczelina szerokości poprzecznej belki zapewniała dopływ powietrza. Niestety, dzięki niej do środka dostawały się również pająki, gdyż belki i znajdująca się nad ich głowami podłoga pełne były pajęczyn.

W kryjówce nie było nic poza kilkoma jutowymi workami leżącymi w kącie. Ryan postawił świecę na ziemi i podszedł, by je wytrześć. Następnie rozłożył je starannie przy jednej ze ścian, i usiadł na zaimprovizowanym posłaniu.

- Usiądź - powiedział kipiącym od ironii tonem. - Możemy chyba zadbać o to, by było nam nieco wygodniej.

- Na to wygląda. - Zesztywniała, przesunęła się w stronę mężczyzny.

Dopóki nie usiadła, nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo jest zmęczona. Siły opuściły ją zupełnie i musiała walczyć z ogarniającym ją drżeniem. Oparła głowę o kamienną ścianę i zamknęła oczy. Od razu w jej wyobraźni pojawiły się obrazy, których nie miała najmniejszej ochoty oglądać. Szybko podniosła po-

wieki. Tuż przed nią stała świeca, a jej złoty blask wypełnił ją jednocześnie poczuciem bezpieczeństwa i niepokoju.

Zwilżyła wargi.

- Czy nie powinniśmy jej zgasić?

- Gdy wróci twoja służąca.

Poczuła wielką ulgę. Próbując o niczym nie myśleć, patrzyła w płomyk świecy. Widziała migające ciepłe kolory, czerń knota, biel wosku i szarą strużkę dymu. Cienie rzucane przez płomień błądziły po ścianach, a strumień ciepłego powietrza poruszał delikatnie zawieszonymi w górze pajęczynami.

Ryan z niepokojem spojrział na siedzącą nieruchomo dziewczynę. W ciągu paru minionych godzin wiele przeszła. Większości informacji dostarczyła mu Devota, błagając go na drodze o pomoc. Ze zdumieniem odkrył, że na pewno nie ma do czynienia z jakąś histeryczką. Nie zdziwiłby się jednak, gdyby była w stanie głębokiego szoku. Ten dureń Favier mógł przynajmniej zaproponować im coś do picia. On sam z chęcią napiłby się odrobiny brandy.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Oferując schronienie, nie miałem na myśli czegoś takiego.

Usta Elene wykrzywiły się w gorzkim uśmiechu.

- Mogło mi się przytrafić coś znacznie gorszego - odparła.

- Niektórzy ludzie bardzo boją się zamkniętych przestrzeni. Jeśli do nich należysz, to zmuszę tego szczura Faviera, żeby znalazł nam jakieś inne miejsce.

- Nie bardzo mi się tu podoba, ale chyba wytrzymam - odpowiedziała po dłuższej chwili. - Przekonamy się.

Mówiąc to, zyskała jeszcze w jego oczach. Jest odważna, pomyślał. Nagle przypomniał sobie, z jaką furją walczyła z krępującymi ją Murzynami.

- Wcale nie blefowałem, mówiąc o Nowym Orleanie -

ciągnął dalej. - Mam tam znajomych, którzy pomogą ci zacząć nowe życie.

W głębi duszy był przekonany, że wielu jego przyjaciół z radością zatroszczy się o dalszy los kobiety, która wygląda tak jak ona. Była naprawdę piękna. Dziwne, od dawna powinna już być mężatką.

Elene nie odpowiedziała, lecz zastanowiła się nad jego propozycją. Jej ojciec mieszkał przecież przez jakiś w Nowym Orleanie jako uchodźca. I gdy tylko nie martwił się o możliwość powrotu na Santo Domingo, nawet mu się tam podobało. Powinien był tam zostać. Gdyby to zrobił, może nadal by żył. A tak...

Kłapa nad ich głowami otworzyła się. Ryan wstał i wziął podane przez Devotę przedmioty: cienkie kołdry, bochenek chleba, pieczonego kurczaka, kilka placków z owocami, butelkę brandy i wina, dzbanek z wodą i szklanki. Kiedy podał je wszystkie Elene, służąca wręczyła mu porcelanowy nocnik z pokrywą malowaną w różę.

- Czy potrzebujecie jeszcze czegoś? - spytała cicho.

Ryan spojrzął na Elene, która potrząsnęła przecząco głową.

- Favier kazał wam powiedzieć, żebyście ciszej rozmawiali. Wydaje mu się, że was słyszy.

- Dobrze - odparł posępnym tonem Ryan.

- Będę mogła znów przyjść i coś przynieść dopiero jutro wieczorem. Nie myślcie, że o was zapomniałam - szepnęła.

- Ależ skąd.

- To śpijcie dobrze.

W odpowiedzi parsknął tylko i kłapa znów opadła.

Ryan ustawił nocnik w dalszym kącie piwnicy, po czym na kolanach zaczął układać przyniesione przez Devotę zapasy.

- Zjesz coś? - spytał.

- Nie, dziękuję.

Elene odwróciła się i zaczęła rozkładać kołdry na jutowych workach. W piwnicy nie było dość miejsca na więcej niż jedno pośłanie, a przecież oboje musieli się prześpać. Nie mogli siedzieć przez trzy dni nie zmrużywszy oka. Nie było innego wyjścia, muszą położyć się obok siebie. Razem. Tutaj, w tej ciemnej piwnicy. Elene usiadła na piętach, patrząc na rozłożone kołdry.

Tuż za nią rozległ się brzęk szkła i odgłos nalewanego płynu.

- Proszę - powiedział ostro Ryan. - Wypij to.

Odwróciła się w jego stronę. Klęczał tuż obok niej. W jego błękitnych oczach odbijał się płomyk świecy. Poczowała się nagle przytłoczona emanującą z niego siłą. Z trudem przełknęła ślinę i sięgnęła po wyciągniętą w jej stronę szklankę brandy. Gdy dotknęła jej brzegu chłodnymi wargami, poczuła ostry zapach alkoholu. Po chwili ogarnęło ją kojące uczucie ciepła. Zadrżała. Wypiła kolejny łyk, trzymając szklankę w obu dłoniach.

Ryan skinął głową z aprobatą i uniósł swoją szklankę.

- Za Nowy Orlean.

Nie powiedziała wcale, że z nim pojedzie. Nie mogła jednak odmówić spełnienia toastu za jego miasto.

- Za Nowy Orlean - powtórzyła i wypiła kolejny łyk brandy.

Ryan zmienił pozycję i usiadł na przygotowanym przez nią pośłaniu. Nie położył się jednak, tylko oparł plecami o ścianę. Zakręcił alkoholem w szklance, patrząc spod gęstych rzęs na bursztynowy płyn.

Spojrzała na niego kątem oka, po czym odwróciła wzrok. Sytuacja, w jakiej się znaleźli, z każdą chwilą stawała się coraz bardziej żenująca. Żadne z nich nie ponosiło jednak za to najmniejszej winy. Nie było więc powodu, by zachowywać się głupio i niepoważnie. Odetchnęła głęboko i usadowiła się obok Ryana.

- Lepiej będzie - powiedział obojętnym tonem - jeśli zaczniemy oszczędzać świecę. Favier na pewno nie da nam drugiej.

- Raczej tak - odparła.

Wyciągnął rękę i końcami palców zgasił płomyk. Natychmiast zapadła ciemność.

Byli w niej sami.

-III -

Wciemnościach brandy działała jeszcze skuteczniej. Elene poczuła ogarniający ją spokój i przyjemne ciepło powoli rozluźniające mięśnie. Nie była bynajmniej wstawiona, lecz wiedziała, jak łatwo może się poddać działaniu alkoholu.

Za swój stan nie obwiniała wcale Ryana Bayarda. Podał jej co prawda brandy, ale nie zmuszał do picia, a ona nie podejrzewała go o żadne nieczne zamiary w tym względzie. W rzeczywistości była mu wdzięczna. Prawdopodobnie nie zdawał sobie z tego sprawy, ale była już na skraju wytrzymałości. Nerwy w każdej chwili mogły jej odmówić posłuszeństwa.

A może właśnie doskonale o tym wiedział? Mężczyzna taki jak on na pewno nie narzekał na brak kontaktów z kobietami i to znajdującymi się pod działaniem najróżniejszych emocji. Co więcej, będąc korsarzem, musiał często spotykać się z podenerwowanymi ludźmi obu płci, którzy na pewno nie byli zachwyceni faktem, że pozbawia ich najcenniejszych rzeczy. Oczywiście losy Ryana Bayarda niewiele ją obchodziły. Trzy dni, które muszą razem spędzić, szybko miną. Było raczej mało prawdopodobne, by później mieli jeszcze okazję się spotkać.

Nie znajdowała w sobie ani krzty zrozumienia dla jego stylu życia. Miała tylko nadzieję, że nie dała tego zbyt wyraźnie po sobie poznać i nie obraziła mężczyzny, który ocalał jej życie i cześć. Żadną miarą nie mogła jednak myśleć

inaczej. Każdy człowiek powinien przecież czuć się związany ze swoim krajem i być lojalny w stosunku do ojczyzny swoich przodków, nawet jeśli się tam nie urodził. W żyłach Ryana Bayarda płynęła francuska krew, tak przynajmniej sądziła po brzmieniu jego nazwiska. Mówił też po francusku, jakby posługiwał się tym językiem od kołyski. Dlaczego więc atakował francuskie statki handlowe, kiedy wedle wszelkich reguł powinien ścigać wrogów Francji?

Oczywiście w tych niespokojnych czasach trudno było się zorientować, który odłam francuskiego rządu należy popierać. Jej ojciec był zagorzałym rojalistą, który widział w konsulu Napoleonie Bonaparte tylko korsykańskiego parweniusza marzącego o chwili sławy. Ona sama po pobycie we Francji odnalazła w sobie cień sympatii dla idei *liberte, egalite et fraternite*, choć krwawe wydarzenia rewolucji wstrząsnęły nią równie mocno jak ostatnie chwile grozy na Santo Domingo. Nie mogła jednak nigdy zapomnieć, że jest Francuzką. Bez względu na to, kto stanie u steru władzy, jej stanowisko w tej sprawie na pewno nie ulegnie zmianie.

- Czy można zaufać twojej służącej? - spytał cicho Ryan.

- Oczywiście!

- W tych sprawach nie ma żadnego „oczywiście”. Fakt, że znasz ją przez całe życie, nie oznacza wcale, że nie będzie w stanie poderżnąć ci gardła.

- Gdyby chciała to zrobić, wystarczyłoby, żeby została mnie dziś w nocy samą - odparła, drząc - Wątpię, czy bez niej udałoby mi się uciec z plantacji i ukryć w lesie. Poza tym ona nie jest zwykłą niewolnicą.

- Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że jest twoją krewną, to możesz być pewna, że nie stanowi to żadnej gwarancji lojalności. Wierzę ci jednak na słowo, że jest ci tak oddana, jak wskazuje na to jej imię¹.

¹ Devoted (ang.) - wierny, oddany (przyp. tłum.).

- W naszej sytuacji - odparła cierpko, choć bardzo cicho Elene - nie masz innego wyjścia.

- Wręcz przeciwnie. Jeśli ktoś zostanie ostrzeżony, może sporo zdziałać, by wyeliminować niebezpieczeństwo.

Obojętny ton jego głosu wskazywał wyraźnie na ukryte zamiary.

- Jak możesz myśleć o skrzywdzeniu Devoty, kiedy przed chwilą przyniosła nam zapasy i postarała się, by zapewnić nam minimum wygody?

- Ilu z tych, którzy przyłączyli się dziś wieczorem do ataku na twój dom, troszczyło się wcześniej o twoją wygodę?

Odwróciła głowę.

- Wolałabym... wolałabym o tym nie myśleć.

Mruknął pod nosem jakieś przekleństwo.

- Nie chciałem ci o tym przypominać.

W ciemności znów poczuł zapach jej perfum. Uderzył mu do głowy, zmieszany z wonią alkoholu, i zapanował nad nim bez granic. Ryan nie mógł się uwolnić od natarczywej wizji, w której rozchyła stanik podartej sukni Elene i chowa twarz w ciepłym zagłębieniu pomiędzy piersiami dziewczyny, szukając źródła oszałamiającej woni. Nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś takiego. Musiał odstawić szklanekę i zacisnąć ręce w pięści, by odzyskać panowanie nad sobą. Po długiej chwili odetchnął z wyraźną ulgą. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiało jednak napięcie.

- Robi się ciepło. Czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli zdejmę kurtkę?

- Ależ skąd - odparła z lekkim rozbawieniem.

- Powiedziałem coś śmiesznego? - spytał ostro.

- Nie. Ale twoje pytanie... zabrzmiało tak grzecznie i oficjalnie, gdy tymczasem ja od godziny siedzę tutaj z tobą w podartej sukni. A na dodatek jesteśmy skazani na siebie przez trzy, a może więcej dni... które spędzimy

tak blisko siebie. To rzadko się zdarza nawet mężowi i żonie. - Rozbawienie znikło z jej głosu. - Właśnie przyszło mi do głowy, że to miała być moja noc poślubna, a jestem tu z tobą, zupełnie obcym mężczyzną...

- Rozumiem - przerwał. - Nie musisz nic więcej mówić.

Elene nie była wcale pewna, czy ją do końca zrozumiał. To dziwne, ale cieszyła się, że znalazła się tu z Ryaniem Bayardem i nie musi spędzać nocy w małżeńskiej sypialni. Jakże się bała tej chwili, gdy Durant weźmie we władanie jej ciało. Czuła się tak, jakby odroczone straszliwy wyrok, za co na pewno będzie kiedyś musiała zapłacić bardzo wysoką cenę.

- Czy twój narzeczony został zabity?

Słyszając szelest, pojęła, że Ryan zdejmuje kurtkę. Doszła do wniosku, że zwinął ją i położył na pościeli, by mogła służyć za poduszkę. Kolejny szmer powiedział jej, że zdjął fular i rozpiął kołnierzyk koszuli.

- Nie wiem, co się stało z Durantem - odparła zduszonym głosem. - W czasie walki straciłam go z oczu.

- Mógł ujść z życiem.

- Tak.

- Na pewno walczył bardzo dzielnie.

Podzielała jego opinię. Durant mógł szukać w życiu jedynie przyjemności i wyciskać z plantacji trzciny wszystkie możliwe środki na zaspokojenie swoich zachcianek, ale na pewno nie brakowało mu odwagi.

Zamknęła oczy.

- Z pewnością - powiedziała cicho.

Ryan sięgnął po szklankę. Kiedy się znów wyprostował, przesunął rękawem koszuli po jej ramieniu. Materiał był rozgrzany od ciepła jego ciała, a tuż pod nim zadrgały napięte mięśnie. Nagły dreszcz przebiegł od ramienia aż do koniuszków jej palców i szybko się odsunęła, rzucając ukradkowe spojrzenie na jego ciemną postać.

Chwilę później nie mogła pojąć swego zachowania. Siedziała przecież już bliżej niego w powozie. Dlaczego odsunęła się właśnie teraz?

Mężczyźni, których znała najlepiej, Durant, ojciec i ich przyjaciele, z godną dżentelmenów pogardą odnosili się do siły mięśni. Wyjątek stanowiła ręka, w której trzymali szpadę. Tężyzna fizyczna była dobra dla niewolników i członków niższych klas, którzy musieli ciężko pracować na życie. Dżentelmen nie miał z niej żadnego pożytku. Zbyt mocno wyrobione mięśnie sprawiały, że ubranie mało elegancko marszczyło się na ramionach. Elene nie dostrzegła co prawda żadnych uchybień w stroju Ryana, lecz czuła się przytłoczona jego siłą. Podobnych mu budową mężczyzn oglądała w kuźni ojca i wśród marynarzy w Hawrze. Nie można było mieć żadnych wątpliwości, że na swoim statku Ryan nie stronił od ciężkiej pracy.

Myśl o statku przypomniawszy jej o właścicielu domu i miejscu, w którym się znaleźli.

- Gdzie tak naprawdę jesteśmy? Czy był tu kiedyś tunel?

- Tylko jego początek - odparł Ryan. - Miał chyba prowadzić przez skały aż do plaży, lecz Favier przestraszył się, gdy na wyspie znów pojawili się Francuzi, i przerwał prace.

- A sam Favier? O ile wiem, Dessalines nie ma lepszej opinii o Mulatach niż o białych. Dlaczego więc oszczędził go w czasie masakry?

- Chyba z powodu bardzo wysokich łapówek. Mam tylko nadzieję, że Favierowi nie przyjdzie do głowy, by przypochlebić się jeszcze bardziej i wydać Dessalines'owi dwójkę białych.

- Masz na myśli nas? Czy mógłby to zrobić? - spytała przerażonym głosem.

- Jeśli ktoś wywrze na niego odpowiedni nacisk...

Może go powstrzymać tylko strach, że dopadnę go szybciej niż Dessalines dopadnie mnie.

- Liczysz więc na jego strach? To on jest naszą gwarancją?

- Czasami strach jest lepszą gwarancją niż szlachetne zamiary.

- Urocze - odparła jadowitym tonem.

Ryan roześmiał się i pociągnął łyk brandy. Dobrze było usłyszeć jej ciętą uwagę. Bał się już, że znowu przeraził Elene. Może powinien zatrzymać swoje obawy co do lojalności Faviera dla siebie, ale chciał, by wiedziała, co im grozi, gdyby musieli szybko uciekać.

- Wygląda na to, że dobrze go znasz - ciągnęła. - Jest chyba od dawna twoim współnikiem.

- Wystarczająco długo.

- Słyszałam krążące o nim plotki. Dotyczące jego poczynań. I szczerze mówiąc, twoich też.

- Jestem zaszczycony.

- Zupełnie bez powodu. Te opowieści wcale nie były pochlebne.

Na krótką chwilę zapadła cisza.

- Domyślam się, że nie przepadasz za handlarzami takimi jak ja.

- Raczej nie. Uważasz się za korsarza, prawda? Powiedz mi, pod jaką banderą pływasz?

- Mój statek, jak zresztą większość innych, jest zarejestrowany w Kartagenie. Mam listy kaperskie wystawione przez Francję i Wielką Brytanię, gdyż oba te kraje znajdują się w stanie wojny.

- Zbiłeś fortunę, atakując hiszpańskie i francuskie statki, bo masz brytyjski list kaperski. Brytyjczyków atakowałeś dzięki listom francuskim, a mieszkasz w kolonii hiszpańskiej. Pogardzasz Favierem, bo kieruje się w życiu wyłącznie własnymi interesami, lecz sam nie jesteś od niego lepszy!

- Skąd wiesz, że atakowałem hiszpańskie statki? - spytał cicho.

- Przecież wszyscy o tym wiedzą. Hiszpanie są bogaci, a ich wielkie statki tak bezbronne, że stanowią idealny łup dla każdego pirata.

- Korsarza. A to różnica - poprawił ją.

- Nie przekonuj mnie tylko, że zawracasz sobie głowę wojnami, traktatami i listami kaperskimi, kiedy widzisz przed sobą smakowity kasek.

- Nie przyszło ci do głowy, że okradanie mojego dobrego króla Karola mogłoby okazać się bardzo niebezpieczne, skoro żyję w rządonym przez niego kraju? Nie mówiąc już o tym, że byłoby czystą głupotą.

- Teraz już rozumiem. Decyzję o pozostawieniu hiszpańskich statków w spokoju podjąłeś ze strachu. Bo raczej nie podyktowała jej lojalność, prawda?

Po tym wszystkim, co dla niej zrobił, rzucała mu w twarz takie słowa. Poczul ogarniający go gniew. Miał wielką ochotę chwycić ją z całych sił i...

Tak. Pragnął tego zdecydowanie zbyt mocno. Gniew powoli zelżał.

- Nie masz o tym wszystkim pojęcia - rzucił krótko.

- Wiem, że jesteś Francuzem, który okrada swoich rodaków.

- Nie jestem Francuzem.

- Ale mówisz...

- Ach tak, mówię po francusku i mam w żyłach francuską krew, choć z domieszką irlandzkiej po zwolenniku Aleksandra O'Reilly, który przybył do Nowego Orleanu i wpadł w oko mojej babce. Od strony prawnej jestem jednak Hiszpanem, gdyż Ludwik XV, król Francji, któremu mój pradziadek złożył przysięgę wierności, oddał mój kraj swojemu kuzynowi, królowi Hiszpanii, niczym kapryśną i dość kosztowną kochankę. Jeden z moich wujów został jednak rozstrzelany na Place d'Armes w Nowym Orleanie

za udział w buncie przeciw panowaniu Hiszpanii i plany założenia republiki w Nowym Świecie. Salcedo, nieudolny gubernator hiszpański w Nowym Orleanie, razem z intendentem Moralesem, w październiku odebrali Stanom Zjednoczonym prawo do składania towarów w mieście, zrywając tym samym warunki traktatu z 1793 roku. Ponieważ Amerykanie nie mogą przechowywać swoich towarów w porcie przed ich przeładowaniem, handel upada, co stanowi zagrożenie dla wszystkich kupców w mieście. Nie wspominając już o wściekłości Amerykanów, którzy mogą w końcu zdecydować się na atak. Dlaczego więc miałbym kochać Hiszpanów? I kim tak naprawdę jestem?

- Jesteś Francuzem, doskonale o tym wiesz, gdyż król Karol dwa lata temu oddał Luizjanę Napoleonowi.

- To prawda, ale zwleka z podpisaniem oficjalnego traktatu, a Napoleon ma inne rzeczy na głowie i specjalnie nie naciska. Ponieważ Francja nie wzięła nas pod swoje skrzydła, hiszpańscy alkadowie nadal dbają o bezpieczeństwo w kolonii, za co czasem każą sobie słono płacić, a hiszpański gubernator nadal przewodniczy bardzo nudnym obradom zgromadzenia publicznego. Jestem więc Hiszpanem, przynajmniej oficjalnie.

- To nie ma najmniejszego znaczenia - odparła zapalczywie. - Możesz chyba znaleźć trochę zrozumienia dla mężczyzn i kobiet pochodzących z twego rodzinnego kraju.

- Ależ znalazłem! Jestem obywatelem Luizjany i nie atakuję statków należących do moich przyjaciół.

- Nie o to mi chodziło.

- Myślisz, że powinienem atakować wrogów Francji? Robię to, jak najbardziej, jeśli tylko statki wyładowane są dobrymi towarami i złotem.

- Stale wypaczasz moje słowa - odparła rozgniewana. - Czy naprawdę nie masz dla Francji żadnych ciepłych uczuć?

- A dla której Francji miałbym je mieć? Tej, która bawiła się i uprawiała hazard w Wersalu, rzucając od czasu do czasu Luizjanie jakiś ochłap, by koloniści wysłani tam na poszukiwanie skarbów dla króla nie pomarli z głodu? A może tej, która wypełniła krwią rynsztoki Paryża, a teraz prowadzi wspaniałą, pełną chwały kampanię wojskową, która użyłni pola Europy prochami najlepszej francuskiej młodzieży? Nie, proszę, oszczędź mi kazań na temat lojalności. Mam tylko nadzieję, że Napoleonowi zabraknie funduszy i będzie miał już dość wysyłania ludzi do Nowego Świata na pewną śmierć, tak jak to było na Santo Domingo. Liczę, że w końcu sprzeda Luizjanę Stanom Zjednoczonym i powstanie tu republika.

- Oszalałeś chyba! On nigdy czegoś takiego nie zrobi.

- Myślisz, że jest zbyt inteligentny, by oddać najlepszą część jednego z najżyźniejszych kontynentów za tytuł cesarza Francji? To nie widział Luizjany. A poza tym jemu zależy tylko na koronie.

Elene rzuciła Ryanowi piorunujące spojrzenie. Żałowała jedynie, że nie mógł tego zobaczyć.

- Napoleon nie jest aż tak głupi. Francuzi nigdy nie pozwolą, by został cesarzem.

- Nie? Nawet dla chwały narodu? Odnoszę wrażenie, że zmęczyły ich już rządy bladych, wiecznie spierających się prawników. Mają przecież słabość do monarchów skłonnych do wielkich gestów.

- A cóż ty możesz o tym wiedzieć - rzuciła z pogardą. - Pływasz tylko między Nowym Orleanem i Kartageną, nie opuszczając nigdy tego stawu o nazwie Karaiby!

- Karaiby to najbardziej zdradliwy staw, jaki wyszedł spod ręki mściwego Boga, moja panno. Ja jednak zahaczam też czasem o Hawr i Marsylię. Dotknąłem kamieni pałacu w Luwrze, klęczałem w katedrze Notre Dame, przeszedłem przez Pont Neuf na lewy brzeg Sekwany i przemierzałem kręte uliczki Montmartre'u. Znam też

salony żon generałów Napoleona. A ty na jakiej podstawie wyciągasz swoje dumnie brzmiące wnioski, moja mała prowincjuszko?

- Nie szukam ich u ulicznic! - odparła zapalczywie.

- Na pewno nie - zaśmiał się cicho.

- Daruj sobie ten protekcyjnalny ton! Byłam we Francji w czasach terroru i tuż po nich. Wróciłam dopiero dwa lata temu.

- Co takiego? I twój ojciec na to pozwolił?

- Myślał głównie o swoich dobrach na Santo Domingo. To znaczy... - Nie chciała tego powiedzieć, a już na pewno nie z takim rozgoryczeniem w głosie. Jakoś samo się jej wyrwało. Jak mogła okazać taki brak lojalności, kiedy ojciec został zabity na jej oczach! Powstrzymując łzy, dodała: - Nie o to mi chodziło. Nie chciałam tak tego powiedzieć.

- Na pewno? - rzucił posepnie. Słyszając rozpacz w jej głosie, chciał ją mocno przytulić, złagodzić jej ból. Nie wiedział, dlaczego wciąż tak bardzo pragnie to zrobić. Wypił ostatni łyk alkoholu i postawił szklankę na kamiennej podłodze. - Wypij brandy do końca. I przestań myśleć o rzeczach, na które nie masz żadnego wpływu.

- Łatwo ci powiedzieć! - rzuciła ostro. - Nie patrzyłeś, jak zabijają ci ojca.

- Ojca nie, ale wielu bliskich przyjaciół. Nie jesteś osamotniona w swoim smutku. Tylko ci się tak wydaje.

- Dziękuję za tę odrobinę filozofii. Bardzo mi pomogła!

Lepiej było, by się na niego złościła, niż pogrążała w smutku.

- Przynajmniej żyjesz i możesz o tym opowiedzieć.

- Jesteś najbardziej nieczułym, pozbawionym zasad draniem, jakiego miałam nieszczęście poznać! - burknęła wściekła Elene. - Nie mogę się już doczekać, kiedy stąd wyjdziemy, żebym mogła jak najdalej od ciebie uciec!

- Rozumiem więc, że nie wybierzesz się ze mną do Nowego Orleanu?

- Nawet przez myśl mi to nie przeszło.

- Pozostaje więc drobna kwestia dwóch mężczyzn, których zabiłem w twojej obronie. Na pewno zamierzasz ich gorzko opłakać, ale potem wynagrodzisz mnie sownie za wyrwanie cię z ich szponów.

Poczuła ogarniające ją przerażenie.

- O czym ty mówisz?

- Chyba nie zapomniałaś aż tak szybko. Ci dwaj w lesie?

- Oczywiście, że nie zapomniałam!

- Nie żałujesz, mam nadzieję, że ocaliłem cię przed bliższym z nimi kontaktem?

- Nie, ale...

- A co z wyrazami wdzięczności? Nie czujesz, że jesteś mi coś winna? Myślałem, że osoba z twoimi zasadami należycie oceni moje zasługi i odpowiednio je wynagrodzi.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o co ci chodzi. Wiesz chyba, że nie mam nic poza ubraniem.

- Zawsze pozostaje jeszcze twoje słodkie i kuszące ciało.

- Co... co takiego... Chyba nie oczekujesz, że...

- Widzę, że odebrało ci mowę. Czy przez to dajesz mi do zrozumienia, że nie obdarzysz mnie tym, co chciałaś ofiarować w tę noc swemu narzeczonemu? A może raczej tym, do czego miał nabyć prawo. Czemu ze mną ma być inaczej? To przecież nic wielkiego.

Aż sapnęła z wściekłości.

- Dla ciebie na pewno nie! Nic dziwnego, że dla takiego libertyna jak ty straciło to swój urok już dawno temu!

- Ależ wręcz przeciwnie, zapewniam cię. Nadal odnajduję w tym wielką przyjemność, podobnie jak damy, którym wyświadczam ten zaszczyt. Odnoszę jednak wrażenie, że zbyt wiele niepotrzebnego zamieszania wiąże

się z tym pierwszym razem i równie dobrze można by to zmienić. Rozumiem bowiem, że noc poślubna byłaby tą pierwszą. Wyprowadź mnie z błędu, jeśli się mylę.

- Nie zrobię tego! - odparła podniesionym głosem. - Powiem ci tylko, że twoja arogancja i tupet przekraczają wszelkie granice. Nic ci nie jestem winna, rozumiesz? Nic! Sprawisz mi wielką przyjemność, jeśli nie odzwiesz się do mnie już ani słowem.

Słyszając nienawiść w jej głosie, Ryan pomyślał, że być może posunął się ciut za daleko. Do podobnego wniosku doszedł najwyraźniej także ich gospodarz, gdyż usłyszeli nad sobą odgłos tupania.

- Cicho tam! - syknął głos z góry.

Zamilkli.

Elene nie mogła tego pojąć. Tak mocno zaangażowała się w kłótnię z Bayardem, że zapomniała o grożącym im niebezpieczeństwie. Nie miała dla siebie żadnego wytłumaczenia, poza tym, że Bayard był niezwykle denerwującym człowiekiem. Wciąż trzymała w ręce szklanekę. Pociągnęła spory łyk brandy i natychmiast musiała bardzo głęboko odetchnąć. Ależ to mocne. Nie miała w tej dziedzinie żadnego doświadczenia, gdyż damy nie pijały tak mocnego alkoholu. Poczuła, że kręci się jej w głowie. Dziwne. Przypomniała sobie jednak, że od wczesnego ranka nie miała nic w ustach, a i wtedy zjadła tylko bułeczkę i wypita filiżankę kawy. W południe czuła tylko ucisk w żołądku, nie mogła nic przełknąć. Wieczorem Devota oferowała jej kawałek mięsa i bułkę, ale odmówiła. Po ślubie czekała ją wielka uczta. Niewolnicy, którzy zaatakowali dom, na pewno pochłonęli wszystko, co z taką pieczołowitością przygotowywano od paru dni.

Zdecydowanie nie powinna pić już więcej. Bała się jednak, że wyleje resztkę alkoholu. Wychyliła więc wszystko do dna, po czym uklękła, by odstawić szklanekę pośród innych przyniesionych przez Devotę zapasów.

- Co robisz? - spytał Ryan.

Jego głos rozległ się tak blisko, że Elene odskoczyła przestraszona. W ciemności straciła równowagę. Opadła na łokieć i zanim zdążyła zacisnąć usta, wyrwał się z nich stłumiony okrzyk bólu.

Ciepłe, mocne dłonie zacisnęły się na jej ramionach, podniosły ją i oparły o silne udo.

- Nic ci nie jest?

- Nic - odparła, nie mogąc nagle złapać tchu. Rozgniewało ją to. - Kiedy mnie puścisz, poczuję się jeszcze lepiej.

- Na pewno.

Jego uścisk zelżał. Odsunęła się, odstawiła szklanekę i usiadła jak najdalej od niego, opierając się plecami o ścianę. Ohydny, natarczywy mężczyzna. Dobrze by mu zrobiło, gdyby rzuciła mu się w ramiona, omotała go, a on stałby się na zawsze jej niewolnikiem. Oszalałaby z pożądania, bo ona oczywiście nie pozwoliłaby mu się już dotknąć. Ciekawe, czy by mu się to spodobało, jemu, wielkiemu bywalcowi salonów?

Przycisnęła dłoń do ust, by powstrzymać wybuch śmiechu. Wielkie nieba, musi być bardziej wstawiona, niż myślała. Jeśli opowieści Devoty o niezwykłej mocy perfum były prawdziwe i gdyby udało się jej uwieść Ryana, to poznała go na tyle, iż wiedziała, że stać się obiektem pożądania takiego mężczyzny na pewno nie było zabawą.

- Płaczesz? - spytał Ryan. Drżenie w jego głosie można było równie dobrze odczytać jak oznakę zniecierpliwienia.

Natychmiast poczuła się urażona.

- Nie, nie płaczę.

- To co się z tobą dzieje?

- Nic. Absolutnie nic! A co się niby ma dziać? Wi-działam tylko ludzi mordowanych w straszliwy sposób, większość z nich to moi przyjaciele i sąsiedzi, nie wspo-

minając już o tym, że byłam zmuszona zostawić ojca nie pogrzebanego i nie opłakanego. Sama cudem uniknęłam śmierci, potem mnie napadnięto, a teraz siedzę zamknięta niczym w grobie z bardzo dziwnym mężczyzną. Mogę jeszcze dodać, że dom, w którym się znajduję, należy do podejrzanego typu, który może mnie wydać w ręce szaleńca znajdującego szczególną przyjemność w torturowaniu kobiet. Moje szczęście nie zna granic! W życiu nie czułam się lepiej, masz na to moje słowo!

- W porządku, to było głupie pytanie.
- Przynajmniej w tym jednym się zgadzamy.
- Najlepiej będzie, jeśli się położysz i trochę prześpisz - powiedział cicho Ryan.

- Dziękuję za troskę, ale nie.
- Proszę, a ja już myślałam, że jesteś bardzo rozsądną i praktyczną młodą damą, której obce są omdlenia i wybuchy emocji. Powinienem był wiedzieć, że twój pozorny spokój jest tylko wynikiem szoku.

Elene odwróciła gwałtownie głowę i spojrzała na jego ciemną postać.

- Na pewno żałujesz, że zaczynam powoli dochodzić do siebie.

- Zgadza się - odparł z westchnieniem.

Przez jej myśl przebiegło straszliwe podejrzenie. Nachmurzyła się.

- Przekomarzasz się ze mną!
- Doprawdy?
- Pozostaje tylko pytanie dlaczego.
- Do głosu doszła moja frywolna natura.
- Nie sądzę - odparła powoli. - Doszedłeś raczej do wniosku, że to mi dobrze zrobi.

Ryan pomyślał, że w swoich poczynaniach z przebiegłą panną Larpent musi być bardzo ostrożny. Okazała się niezwykle domyślna.

- To oszczerstwo - odparł oschłym tonem.

- Doprawdy?

Milczenie wydało się Ryanowi najlepszą odpowiedzią. Minuty mijały powoli. Z góry nie dobiegał ich żaden dźwięk, jakby wszyscy domownicy poszli spać. Jednak przez fundamenty domu słyszeli cichy szum morza, a od czasu do czasu szelest palmowych liści poruszanych wieczorną bryzą.

Elene przechyliła głowę, nadsłuchując odgłosów z zewnątrz.

- Gdzie jest ten twój statek, na który Favier ma przesłać wiadomość?

- Gdzieś niedaleko brzegu.

- Gdzieś...? Chcesz powiedzieć, że nawet nie wiesz gdzie? Powinnaś była wiedzieć.

- No cóż, rzucenie kotwicy przy Cap Francaise nie wydawało się rozsądnym posunięciem.

- Zejście tutaj na ląd też nie należało do najmądrzejszych, lecz jakoś się tu znalazłeś.

- Musiałem dostarczyć towar.

- Wyrwany jakiemuś nieszczęsnemu kupcowi z Francji. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Tak się składa, że kupcowi z Anglii.

- Przewidziałeś bowiem wznowienie wojny pomiędzy Francją i Wielką Brytanią.

- Zgadza się.

- Przypuszczam, że przypłynąłeś do jakiejś pobliskiej dobrze osłoniętej zatoczki i przywiozłeś wszystko do Faviera.

- Tak jest. Do tej zatoczki przy domu.

- A potem twój statek wypłynął w morze i czeka, aż doprowadzisz swoje interesy do końca.

- Świetny byłby z ciebie korsarz!

- Skończ z tymi docinkami! - syknęła. - Próbuję tylko ustalić, jak Favier przekaze wiadomość na statek.

- Wystarczy sygnał świetlny wysłany z brzegu.

Rozdział

— IV —

- Tak myślałam. Ale tylko wtedy, jeśli twoja załoga zbliży się na tyle, by go dostrzec.

- Dokładnie.

- Stąd te trzy dni. Wtedy zaczną wypatrywać sygnału.

- Moje gratulacje.

- Lepiej byłoby, gdybyś sam mi wszystko wyjaśnił.

- Ale za to z jaką przyjemnością doszłaś do tego sama.

- Z wielką przyjemnością zobaczyłabym też ciebie na stryczku jako pirata - powiedziała ze słodyczą w głosie. - Ale chyba jakoś przeżyję, nie oglądając tego widoku.

- Co za ulga. Wy, mieszkańcy wyspy, jesteście straszliwie żądni krwi - odparł z udaną powagą. - Musi tu być coś w powietrzu.

- Wstrętny typ. - Jej słowom brakło jednak pasji.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Jeśli pozwolę ci mieć ostatnie słowo, pójdziesz wreszcie spać?

- Skąd mam wiedzieć, że jestem bezpieczna?

Napięcie między nimi stało się niemal namacalne.

- Bezpieczna? Przy moim boku? - odparł cichym głosem. - Nie możesz mieć takiej pewności, ale musisz podjąć ryzyko. Zgodzisz się ze mną, prawda?

Elene nie poznawała siebie. Ryan Bayard straszliwie ją zdenerwował, więc postanowiła go z premedytacją obrazić. Co się stało z jej manierami? Zachowywał się niezwykle prowokująco, to prawda, ale powinna była pamiętać, co dla niej zrobił tego wieczoru.

Problem polegał na tym, że przy jego boku rzeczywiście mogła czuć się bezpieczna. Wiedziała o tym doskonale. Uświadomiła sobie, że najmniejszy cień podejrzania z jej strony urazi go do głębi. Przecież sama wcześniej uznała go za dżentelmena, a nie za zwykłego korsarza.

Niemniej nie zamierzała go przeproszać. On też ją obraził i na dodatek przybierał tak straszliwie protekcyjny ton. Szkoda tylko, że wcześniej nie zorientowała się, do czego może doprowadzić ostra wymiana poglądów. Trzy dni spędzone w całkowitym milczeniu wydawały się nie do zniesienia.

Siedzący obok niej Ryan poruszył się. Spojrzała na niego, nie odwracając głowy. Pomyślała, że chce jej coś powiedzieć i czekała niecierpliwie. Kiedy kolejne sekundy upływały w ciszy, znów odwróciła wzrok. Westchnęła cicho.

Ryan nie pamiętał już, kiedy jakaś kobieta wywarła na nim tak ogromne wrażenie, jak ta siedząca u jego boku. Z jednej strony chciał ją udusić za oskarżenia, jakie rzuciła pod jego adresem, a z drugiej marzył o tym, by wziąć ją w ramiona. Od samego początku zdawał sobie sprawę, z jakim trudem przyjdzie mu znieść trzy dni beczynno-

ści spędzone w tej dziurze, lecz teraz powoli zaczął dochodzić do wniosku, że obecność Elene Larpent bardzo mu pomoże. Jej inteligencja, ostry język i zaskakująca odwaga fascynowały go. Na dodatek zapach perfum powoli doprowadzał go do szaleństwa. Nie był bynajmniej duszący, wcale nie. Jeśli pragnął gorąco odetchnąć świeżym morskim powietrzem, to tylko dlatego, że unosząca się wokół niego woń zbyt mocno go upajała. Nigdy nie uważał siebie za człowieka ulegającego nagłym kaprysom, lecz teraz czuł, że bez trudu mógłby się zadurzyć w tym zapachu i w kobiecie, która nim emanowała. Oczywiście to czysty nonsens. Może dziś wieczór jeden z tych Murzynów uderzył go mocno w głowę, a on tego wcześniej nie poczuł.

Przeciwną się zdecydowanie zbyt ostentacyjnie.

- Mam zamiar trochę się przespać - powiedział do siedzącej obok niego sztywno postaci. - Możesz pójść w moje ślady lub zważywszy na mocno ograniczą przestrzeń, jaką dysponujemy, pozwolic mi, bym skorzystał z twojego łona jako poduszki.

- Oczywiście że nie! - A już miała wyrzuty sumienia z powodu ostrych słów, jakimi go obrzuciła!

- Na którą propozycję raczyłaś odpowiedzieć? Nie zamierzasz spać czy też nie posłużysz mi za poduszkę? Mamy bardzo mało miejsca, więc musisz się na coś zdecydować.

Na myśl o jego głowie spoczywającej na jej udach, poczuła dziwny ucisk w dole brzucha. Wiedziała doskonale, że Ryan na pewno chętnie skorzystałby z jej przyzwolenia, mogło mu to nawet sprawić przyjemność. Nie zamierzała jednak na to pozwolić.

Zsunęła się z posłania, zostawiając mu dość miejsca, by mógł się w miarę wygodnie wyciągnąć. Jednak i tak jego głowa znalazła się bardzo blisko prowizorycznej spiżarni, gdyż usłyszała brzęk butelek i szklanek. Mosz-

cząc się na posłaniu, przeklinał cicho ciasnotę. Potem zapadła cisza.

Nie musiała wcale kłaść się obok niego. Mogła przecież spędzić resztę nocy, siedząc na twardej kamiennej podłodze. Duma to godna podziwu cecha, lecz nagle poczuła się straszliwie zmęczona. Tym szybciej doszła do wniosku, że jej towarzysz nie powinien uzurpować sobie wyłącznego prawa do kołder, które Devota przyniosła przecież dla niej. Może jeśli zachowa się bardzo naturalnie, chęć podzielenia się wygodnym posłaniem nie okaże się aż tak śmiała.

Próbując nie zdradzić skrywanej niechęci, usiadła na skraju posłania. Zdjęła podarte aksamitne pantofelki, wysypała z nich piasek i ustawiła starannie jeden obok drugiego. Starając się nie dotknąć leżącego mężczyzny, osunęła się na kołdry i położyła tyłem do niego.

- Proszę, to dla ciebie.

Ryan uniósł jej głowę i delikatnie wsunął małe zawiniątko. Jego kurtka.

- Jest twoja, zatrzymaj ją - zaprotestowała.

- Na miłość boską, przestań się wreszcie kłócić - powiedział prowokująco - albo przestanę odpowiadać za siebie.

- A ty?

- Nigdy nie korzystam z poduszek.

Odetchnęła głęboko.

- A ta twoja groźba...

- Nie korzystam z poduszek - powtórzył, tłumiąc śmiech. - Za to uwielbiam miękkie łona.

- Jakież to żałosne - rzuciła, ostrym szarpnięciem wsuwając zawiniątko pod głowę. Uświadomiła sobie, że bardziej rozgniewał ją nieoczekiwany dreszcz, który poczuła na myśl o tym, że pragnął złożyć głowę na jej udach.

- W pełni się z tobą zgadzam.

Wyczuła lodowaty ton jego głosu. Usłyszała, że się poru-

szął, jakby szukając wygodniejszej pozycji na mimo wszystko bardzo twardym pościeli. Postanowiła pójść w jego ślady. Po chwili oboje znieruchomieli. Elene zamknęła oczy, lecz zaraz znów uniosła powieki. Doszła przecież przed chwilą do wniosku, że wydarzenia tego wieczoru za nic nie mogły tłumaczyć braku dobrych manier.

- Dziękuję - powiedziała. - Za poduszkę.

Nie usłyszała odpowiedzi. Zasnęła.

W ciemności pojawiły się mroczne zjawy. O straszliwych, odrażających twarzach, z ustami wykrzywionymi w ohydny uśmiechu, atakowały niewinnych ludzi, mordowały, niszczyły. Chciała krzyżeć, lecz nie mogła wydobyć głosu; chciała uciekać, lecz nie mogła zrobić kroku; sięgała po broń tylko po to, by zaraz się zorientować, że jej nie ma. Musiała stać i beczynn timer przyglądać się masakrze. A zjawy dobrze o tym wiedziały. Dręczyły ją, szydząc z niej bezlitośnie. Kiedy wszystkie ich ofiary już nie żyły, wzięły za cel Elene. Nie mogła się bronić, stała bez ruchu niema i otępiała.

Obudziła się ze zduszonym krzykiem. Krępowwały ją silne więzy. Zaczęła na oślep wymachiwać zaciśniętymi pięściami.

- No już, już, spokojnie. - Cichy głos Ryana sączył się do jej ucha. Chwycił ją za ręce, przyciskając mocno do siebie. - To był sen, tylko sen.

Znieruchomiła. Ze świstem wciągnęła powietrze. Po chwili po jej twarzy słonymi strużkami popłynęły gorące łzy rozpaczy. Ich kropelki lśniły pod mocno zaciśniętymi powiekami. Jej pierś unosiła się w ciężkim oddechu. Za wszelką cenę próbowała ukryć ból. Bez powodzenia. Przerazenie wzięło nad nią górę i zaczęła nagle rozpaczliwie szlochać.

- Ciii... - Ryan tulił ją i kołysał, patrząc w ciemność ponad jej głową.

- Nic... nic... nie mogłam zrobić. - Pełne bólu, zdu-

szone słowa wyrwały się w końcu z ust roztrzęsionej dziewczyny.

- Oczywiście, że nie. - Odsunął się lekko. Marszcząc brwi, puścił jej ręce.

- Było ich tak wielu. I wszystko tak szybko się skończyło.

- Teraz jesteś już bezpieczna. Nie płacz.

Gorączkowym ruchem ocierała oczy wierzchem dłoni.

- Nie wiem, dlaczego ja żyję, gdy tylu ludzi zginęło. I to w tak straszliwy sposób.

Poczucie winy. Nie dawało jej spokoju to, że została przy życiu. Jakże dobrze to znał. Mógł przypuszczać, że kobieta taka jak ona też pozna ten ból. Poczł nagły, nieoczekiwany ucisk w gardle i odchrząknął.

- Nikt nie mógł nic zrobić. Nie myśl już o tym.

- Jak mogę nie myśleć? - krzyknęła ostrym głosem. - Nie mogę się od tego uwolnić. Zawsze będę pamiętać! Zawsze!

Musiał ją jakoś uspokoić. Mógł dać jej jeszcze trochę brandy, ale szklaneczka, którą wypila wcześniej, najwyraźniej nie spełniła swego zadania. Dziewczyna zasnęła na niecałą godzinę.

- Uspokój się. Zapomnisz, obiecuję ci to. Ale tylko wtedy, jeśli sama sobie na to pozwolisz.

- A cłz ty możesz o tym wiedzieć? Nie widziałeś tego wszystkiego! - Jej ciałem wstrząsnął kolejny szloch.

Znał metodę, która mogła ją uciszyć. Na pewno bez trudu poradzi sobie z jej gniewem. Ujął ją pod brodę silnymi, długimi palcami i odwrócił jej twarz w swoją stronę. Schylił głowę i dotknął ustami jej warg.

Elene gwałtownie wstrzymała oddech i zesztyniała. Nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Pałący gniew powstrzymał falę łez. Ze wszystkich sił próbowała odwrócić głowę. Ryan trzymał ją jednak coraz mocniej. Gdzieś w głębi duszy pamiętał, dlaczego zaczął ją całować, lecz

motywy jego czynu szybko odpływały w dal. Teraz czuł już tylko ciepło kobiety, którą trzymał w ramionach. Z niezwykłą czułością całował jej miękkie usta. Jego dotyk był kojący, lecz siłą musiał powstrzymać palące pożądanie. Smakował słodycz zmysłowych kącików, przesuwając językiem po drżącej linii, gdzie spotykały się obie cudownie wykrojone wargi.

Elene przycisnęła dłonie do jego piersi. Chciała go odepchnąć, ale nagle uświadomiła sobie, że nie ma siły. Całe napięcie zniknęło. Jej usta zdrząły. Pocałunek Ryana nie stanowił żadnego zagrożenia, niósł za to obietnicę oszołomienia i zapomnienia. To drugie przemawiało do niej ze zdwojoną siłą. Nie było przecież nic złego w tym, że ukryta tutaj w zupełnych ciemnościach, pozwoli się unieść fali zapomnienia. Tylko na chwilę.

Serce zabiło mocniej i czuła, jak krew szybciej krąży jej w żyłach. Lekko rozchyliła usta. Ryan natychmiast skorzystał z tej chwili słabości. Coraz bardziej zdecydowanie smakował delikatne usta dziewczyny, przesuwając językiem po krawędzi jej zębów. Po krótkiej chwili stał się jeszcze bardziej natarczywy, całował ją coraz mocniej, a upajająca siła jego warg i języka wzbudziła w Elene fałę gorącego pożądania. Zaczęła odpowiadać na jego pocałunki. Przyciągnął ją mocniej do siebie. Jej piersi wbiły się w jego umięśniony tors. Przez cienki stanik sukni czuła, jak mocno bije mu serce.

Jego podniecenie podziałało na nią w bardzo niezwykły sposób. Wcześniej sądziła, że jest nieczuły na wszelkie słabości i pokusy ciała, nieczuły na wszystko, co nie wiąże się z pieniędzmi. Bardzo się myliła. Ten dowód jego słabości sprawił, że stał się dla niej dziwnie bliski. Siedzieli razem niczym w grobie, wydani na łaskę kapryśnego losu i własnego pożądania.

Elene oparła dłoń na ramieniu Ryana. Pod cienkim materiałem koszuli czuła naprężone mięśnie. Sprawilo

jej to niezwykłą przyjemność. Ostatnie zjawy z sennego koszmaru uleciały. Ich miejsce powoli zajmowało zmęczenie, które niosło ze sobą chęć całkowitego oddania się temu obcemu przecież mężczyźnie. Na jego wargach czuła smak brandy i słodycz tłumionej namiętności. Język był rozkosznie natrętny, nie opuszczał jej ust. Z radością odkryła, jak powoli budzi się całe jej ciało, jak reaguje na jego dotyk. Po chwili każdym zmysłem czuła siłę jego ciała, cudowny męski zapach, gęste włosy rosnące nisko na karku, gładką skórę. Fascynowały ją mięśnie drgające pod dotykiem jej palców. Nagle poczuła jego dłoń na swoich piersiach. Już chciała zaprotestować, lecz powstrzymała ją przed tym niespodziewana fala gorąca, która ogarnęła ją w chwili, gdy Ryan wsunął dłoń pod stanik sukni, ujął kragłą pierś i przesunął kciukiem po delikatnym sutku. Zadrzała lekko i poczuła znajomy już ucisk w dole brzucha.

Ryan pieścił ją niezwykle delikatnie, lecz widać było wyraźnie, że jest w tych sprawach bardzo doświadczony. Całował namiętnie kąciki jej ust, przesuwając wargami po długiej szyi aż do zagłębienia przy obojczykach. Pieścił ją z tak pełnym pasji wyrafinowaniem, że nie zauważyła, kiedy rozpiął suknię. Zorientowała się dopiero wtedy, gdy poczuła na nagim ciele powiew zimnego powietrza.

Jego ciepły oddech, usta i język znalazły się nagle na jej drżących piersiach. W uniesieniu poczuła, jak krew pulsuje jej w żyłach, a razem z nią obudziła się namiętność, pokonująca wszelkie zahamowania, jakie być może powinna odczuwać. Poruszający się szybko wilgotny język Ryana sprawiał, że unosiła się na jej fali coraz wyżej i wyżej, aż poczuła skurcz najczystszej rozkoszy.

Udawanie obojętności nie miałoby najmniejszego sensu. W zapraszającym geście otworzyła szeroko ramiona, pozwalając mu dotrzeć do każdego milimetra swego ciała. Pomogła mu zsunąć do końca jedwab sukni i delikat-

na bieliznę. Wyjęła jego koszulę zza spodni i przesunęła dłonią po twardych mięśniach brzucha, kiedy zdejmował ubranie i buty.

Noc otulała ich swoim mrokiem. Mieli przed sobą mnóstwo czasu; nie musieli się spieszyć. Pieścili się namiętnie ustami i koniuszkami palców, poznając tajemnice swoich ciał. Przesuwali po wszystkich zagłębieniach, ucząc się na pamięć każdego zakamarka skóry, każdego pasma włosów, drżąc z tłumionej namiętności. Nie padło z ich ust żadne głośne słowo, szeptali tylko, czasem wymknęło im się westchnienie lub zduszony jęk. Ulegając w mroku nocy podszepantom instynktu, sięgnęli granicy pożądania. Gdzieś głęboko lśniła delikatnie iskierka uczucia bliskiego miłości, ale na razie musiało im to wystarczyć.

Drżąc jak liście na wietrze, zbliżyli się do siebie jeszcze bardziej. Ryan wsunął kolano pomiędzy smukłe uda dziewczyny i rozpalony wszedł w nią w akcie największego połączenia. Poczuła nagle palący ból, lecz zniknął w ułamku sekundy, zanim jej mózg zdążył go zarejestrować. Jego miejsce zajęła porażająca, niemal nie do zniesienia rozkosz. Czuła ostre ruchy Ryana, pragnęła, by wszedł nią głębiej i głębiej, by mogła się w nim zatracić. Porywał ją z sobą, razem wznosili się na szczyty, z których, wydawało się, nie będzie już powrotu. Otoczeni pożogą i śmiercią, w połączeniu swych ciał odnaleźli rozkosz i być może jedyną możliwą afirmację życia.

Po chwili, ciężko oddychając, opadli na pośłanie. Ich skóra lśniła od potu, mięśnie drżały, a serca biły jak oszalałe. Leżeli przez długą chwilę z zamkniętymi oczami. W powietrzu unosił się delikatny lecz natarczywy zapach róż i gardenii oraz zupełnie nieznaną, niezwykłą woń.

Ryan, z czołem opartym o piersi Elene, wciągnął głęboko powietrze.

- Boże, ależ ty przepięknie pachniesz - powiedział, śmiejąc się.

Co ona najlepszego zrobiła?

Gwałtownie otworzyła oczy i spojrzała w otaczającą ich ciemność. Ani przez chwilę nie pomyślała o perfumach Devoty. Prawdę mówiąc, myślała wyłącznie o pocałunkach i pieszczotach Ryana. Zupełnie zapomniała o tym, jaki wpływ może wywrzeć na niego.

Ale przecież obietnice i zapewnienia Devoty nie mogły być prawdą. Służąca chciała ją tylko uspokoić, pomóc jej swobodnie wejść w związek z człowiekiem, którego nie kochała i który był jej całkiem obojętny. Devota pragnęła jedynie ukoić przed ślubem jej skołatane nerwy. To wszystko. Ale czy na pewno?

Elene nigdy wcześniej nie działała tak na mężczyzn. Oczywiście, nie miała ku temu okazji, nigdy bowiem nie znalazła się w tak intymnej sytuacji. Jednak nie odniosła wrażenia, by Durant był porażony jej urokiem. A czy Ryan Bayard od pierwszej chwili nie patrzył na nią w szczególny sposób? Co prawda ocalił jej życie, to mogło sporo tłumaczyć, ale jednak...

Nie chciała w to wierzyć. Nigdy w to nie uwierzy. Zaklęcia i czary wudu to tylko przesady. Ich rzekoma moc miała przyciągać ciemnych i prostych ludzi, by można ich było łatwo oszukać i omamić. Ona nie była ani ciemna, ani łatwowierna. To, co wydarzyło się pomiędzy nią i Ryanem, było naturalnym efektem przebywania mężczyzny i kobiety na mocno ograniczonej przestrzeni, nie wspominając już o grożącym im niebezpieczeństwie, które mogło podziałać jak afrodyzjak.

- Jak to się nazywa? - spytał Ryan leniwym głosem.
- Co takiego?
- Te twoje perfumy. Mają jakąś nazwę?
- Raczej nie.
- Nie wiesz? Myślałem, że większość kobiet zna się na tym doskonale.
- Te... te są wyjątkowe - powiedziała z ociąganiem.

- Chyba nigdy wcześniej ich nie wachałem. Czy zrobiłaś je we Francji na specjalne zamówienie?

- A jakie to ma znaczenie?

Podniósł się, potem położył na plecach, opierając głowę na jej piersiach.

- Zwykła ciekawość. Czasem znajduję perfumy na statkach.

- Zwłaszcza na francuskich?

- Skoro tak twierdzisz. Czy to twój osobisty zapach?

Jego ciekawość nie miała granic. Z drugiej strony, jej powodem mógł być brak innych tematów do rozmowy. Niestety, nie przychodziło jej do głowy nic, czym mogłaby odwrócić jego uwagę od perfum.

- Zrobiła je dla mnie Devota.

- Naprawdę? - W jego głosie pojawił się cień goryczy. - Niewielkie są więc szanse, by móc się nimi znów nacieszyć.

- Raczej nie.

Jej słowa zabrzmiały oschle. Ryan odwrócił głowę i zmarszczył brwi.

- Czy coś się stało? - Przewrócił się na bok i delikatnie dotknął jej twarzy. - Czy sprawiłem ci ból? Zorientowałem się, że...

- Ależ skąd. - Nie miała zamiaru rozmawiać z nim o swojej utraconej nocie.

- Gdyby to w czymś pomogło, przeprosiłbym cię elegancko, choć teraz jest już chyba na to trochę za późno.

- Proszę, nie rób tego.

- Prawdę mówiąc, nie zamierzałem posunąć się aż tak daleko. Tylko... byłaś taka słodka i czułem się wspaniale, a twoje perfumy zupełnie uderzyły mi do głowy.

- To była wyłącznie moja wina. Rozumiem.

- Tego nie powiedziałam.

- Ale to prawda - odparła ponurym tonem. Wiedziała, że tak naprawdę powinna opłakiwać swoje utracone dzie-

wictwo. Źle zrobiła, oddając się mu tak łatwo. Na dodatek nie powinno jej to sprawić tak wielkiej przyjemności, przynajmniej tak ją uczono. Rankiem na pewno gorzko tego pożałuje. Teraz czuła, że wszystko jest w największym porządku. Nie do wiary, ale naprawdę tak było.

- To wszystko nie tak - powiedział zdecydowanie. Usiadł. - Chciałem cię pocieszyć, musiałem cię jakoś wyciszyć.

- Dziękuję ci bardzo - rzuciła z przesadną uprzejmością. - Świetnie sobie z tym poradziłeś.

Przez chwilę nic nie mówił. Kiedy się w końcu odezwał, jego słowa zabrzmiały ostro, lecz nie było w nich pasji.

- Nie chciałem, by to tak zabrzmiało. Nie mam dla siebie żadnego wytłumaczenia. Od pierwszej chwili bardzo cię pragnąłem. Kiedy znalazłem wreszcie powód, by cię dotknąć, zapragnąłem cię jeszcze bardziej. To wszystko.

Jego uczciwość i rycerskość zasługiwały na stosowną odpowiedź.

- Nie musisz robić z siebie takiego męczennika. Ja też cię pragnęłam.

- Naprawdę? - Na jego usta wypłynął uśmiech, a w głosie pojawił się cień wesołości. - A teraz?

- O co ci chodzi...

Pochylił się nad nią, wtulając mocno w jej uda.

- Chodzi mi o to, czy nadal mnie pragniesz? Bo możesz mnie mieć i to całego.

- Znowu? - Nie mogła ukryć zdziwienia.

- Tak. I znów, i znów.

- Bo pięknie pachnę? - spytała niepewnie.

- I pięknie smakujesz - powiedział, dotykając ustami jej piersi, przesuając dłonią do miejsca, gdzie spotykają się nogi. - Cała jesteś cudowna. I wydajesz cudowne odgłosy.

- Jeśli tylko nie są zbyt głośne - odparła zadziornie.
- Nie dbam o to, czy są zbyt głośne, czy nie - szepnął.

Rankiem nie obudził ich wcale nieśmiały blask słońca, choć wpadł do piwnicy przez szczelinę w fundamentach domu. Otworzyli oczy na dźwięk szurania, które usłyszeli na górze. Ryan uniósł głowę. Elene, oparta na jego ramieniu poszła w jego ślady. Szuranie rozległo się jeszcze raz.

- Devota - powiedziała Elene. Gdyby zjawił się tu Dessalines ze swoim oddziałem, odgłosy na pewno byłyby bardziej gwałtowne. Nagle Elene usiadła. Podobnie jak Ryan była naga. Gdy minął pierwszy szok, przypomniała sobie, co między nimi zaszło. Poczwała, jak jej twarz oblewa rumieniec.

Na górze od stołu odsunięto kolejne krzesło. Kłapa mogła się otworzyć w każdej chwili. Nie przejmowała się wcale tym, że Devota zobaczy ją nagą, ale przecież mogła nie być sama. Równie dobrze mógł się koło niej kręcić Favier, by raz jeszcze spróbować ich namówić do opuszczenia jego domu.

Rozejrzała się gorączkowo w poszukiwaniu sukni i hałek - nie miała czasu, by włożyć bieliznę. Przerzuciła podartą suknię przez głowę, wsuwając szybko ramiona w rękawy. Wygładziła stanik i spódnice. Zawsze mogła udać, że zdjęła bieliznę z powodu panującego upału.

Obok niej Ryan wsuwał swoje długie nogi w spodnie i zapinał guziki. Uśmiechnął się do niej szeroko, przygładził dłonią włosy, i sięgnął po koszulę. Miał ją już niemal na sobie, ale szybko zdjął, przewrócił na prawą stronę i ponownie włożył.

Kłapa ze skrzypieniem podniosła się do góry. Mimo że do piwnicy wpadł wcześniej nieoczekiwany promień słońca, zmrużyli oczy, oślepieni niczym śmy blaskiem

padającym przez duże okno w sypialni. Na jego tle Devota była przez moment tylko ciemną postacią.

- Proszę, to dla was - powiedziała. - Tylko uważajcie... jest gorące.

Ryan sięgnął po owinięte ściereczką ucho i postawił gliniany dzbanek z kawą na ziemi. Devota podała im potem filiżanki i miskę z owocami, a po chwili duży dzban z gorącą wodą, kostkę mydła i ręcznik. Z kieszeni fartucha wyjęła grzebień, który rzuciła Elene.

- Jeśli czegoś jeszcze potrzebujecie, mówcie szybko - ucięła ich podziękowania.

Elene spojrzała nieśmiało na Ryana, który potrząsnął głową. Devota z przebiegłym wyrazem oczu spojrzała w dół. Na widok niekompletnego stroju obojga uśmiechnęła się lekko.

- Muszę już iść - powiedziała do Elene. - Przyjdę dziś wieczór, *chere*, kiedy wszyscy pójdą spać. Uważaj na siebie.

- Ty też.

- Zawsze.

Kłapa opadła. Na górze przesunięto krzesła. Usłyszeli jeszcze oddalające się kroki.

Elene nie wiedziała, czego pragnie bardziej: gorącej kawy, by się podnieść na duchu, czy gorącej wody, by odświeżyć ciało. Szybko doszła do wniosku, że letnia kawa jest zdecydowanie gorsza od letniej wody. Usiadła więc obok Ryana, by zjeść śniadanie złożone z bułki, banana i skrzydełka kurczęcia przyniesionego przez Devotę minionego wieczoru.

Wszystko smakowało niczym ambrozja. Elene nie pamiętała już, kiedy ostatnio była tak głodna. Nagle poczuła wyrzuty sumienia. Nic nie powinno sprawiać jej aż tak wielkiej przyjemności, gdy ojciec i przyjaciele nie żyli. A jednak głodzenie się nie miało najmniejszego sensu. Niczego tym nie zmieni, a już na pewno nikogo nie przywróci do życia.

W milczeniu zamoczyła potem niewielki ręcznik w ciepłej wodzie i powoli przemyła nim twarz. Kątem

oka dostrzegła, że Ryan bacznie ją obserwuje. Siedział pełen skupienia na posłaniu, trzymając w dłoni filiżankę kawy.

- O co chodzi? - spytała. - Nigdy nie oglądałeś kobiety przy porannej toalecie?

- Czasami. Jednak nigdy nie były podobne do ciebie.

- Masz na myśli moje włosy? - Uniosła spletaną falę i przeciągnęła ręcznikiem po szyi.

- Kolor jest niezwykły, to prawda, ale nie tylko o to chodzi. Każdy twój ruch jest pełen gracji.

- No wiesz - rzekła z niedowierzaniem. - Chyba czegoś chcesz ode mnie.

- To zależy - odparł z błyskiem w oku - co masz mi do zaoferowania.

Otworzyła szeroko usta, udając oburzenie.

- Jesteś nienasycony!

- I ty to mówisz? Wiesz przecież, że zaspokajasz mnie w niezrównany sposób.

Zarumieniła się po koniuszki włosów, lecz z całych sił próbowała ukryć zażenowanie.

- Jakoś nie zauważyłam twego zadowolenia.

- Cóż poradzę na to, że tak na mnie działasz.

Powoli zaczęła wycierać ręce. Kochała się z nim jeszcze trzy razy tej nocy, ostatnio tuż przed świtem. Ranek przyniósł wyrzuty sumienia i uczucie radosnego zmęczenia. Postanowiła nie zwracać na to najmniejszej uwagi i zatroszczyć się o siebie. Nie mogła jednak uwolnić się od myśli, że dali się zbyt mocno unieść pożądaniu. Nie widziała, co prawda, swojej twarzy, lecz cieni pod oczami Ryana z pewnością nie wywołał jedynie brak snu.

Nienasycony. Takiego słowa użyła Devota. Oszaleje na twoim punkcie i nie będzie mógł się tobą nasycić.

- Czy naprawdę aż tak na ciebie działam? - spytała, spuszczać wzrok. - A może po prostu od dłuższego czasu nie miałaś kobiety?

Roześmiał się, wypił ostatni łyk kawy i odstawił filiżankę. Ukłął na jedno kolano i pochylił się w jej stronę.

- Być może masz rację w obu przypadkach. Możemy to jednak zaraz sprawdzić.

W geście protestu wyciągnęła szybko rękę.

- Jest przecież jasno!

- A jakie to ma znaczenie?

Nagle przyszło jej do głowy, że jej poranna toaleta mogła znacznie zmniejszyć jego zapał, jeśli oczywiście Devota mówiła prawdę.

- Poza tym, wcale się nie myłęś.

- Co za różnica? - odparł z szerokim uśmiechem. - Teraz pachnę jak ty.

- W ten sposób moimi perfumami mógłby pachnieć i wieprz - rzuciła ostro.

Skrzywił się.

- Skoro tak twierdzisz.

Jednak szybkie przetarcie skóry ręcznikiem nie usunęło upajającej woni. Jakiś czas później okazało się bowiem, że jego pożądanie bynajmniej nie zmalało, a nawet zdawało się rosnać z każdą chwilą.

Trudno było znaleźć lepszy sposób na zabicie czasu niż uprawianie miłości, jednak ograniczenia czysto fizyczne sprawiały, że mogli tak spędzić tylko parę godzin. Dzień ciągnął się w nieskończoność. Wiele razy żalowali, że nie poprosili Devoty o talię kart, szachownicę, czy też jakąkolwiek inną grę. Zastanawiali się też, czy nie poprosić ją wieczorem o książkę, lecz szybko doszli do wniosku, że nie mają dość światła na czytanie. Od czasu do czasu zapadali w krótką drzemkę, z której budził ich najłżejszy nawet szmer. Kiedy nie spali, nasłuchiwali gorączkowo, próbując odgadnąć z dochodzących ich odgłosów, co się dzieje na górze.

Przez większość czasu rozmawiali jednak, starając się mówić jak najciszej, by nie zdradzić kryjówki. Opowia-

dali sobie o dzieciństwie i o pobieranej edukacji: Elene o szkole z internatem, a Ryan o złośliwym, lecz doskonałym nauczycielu z ospowatą twarzą. Mówili o książkach, sztukach teatralnych i utworach muzycznych, które szczególnie zapadły im w pamięć. O Francji i o człowieku, który był w tych czasach jej uosobieniem - czyli o Napoleonie Bonaparte; o jego polityce i dożywotniej władzy pierwszego konsula; o wpływie, jaki wywierał na handel i stosunki towarzyskie. Nie pominęli też skandali związanych z jego żoną, Józefiną. W wyobraźni przemierzali ulice Paryża, opowiadając o swoich ulubionych widokach, domach i miejscach. Ryan nie spędził tam zbyt dużo czasu, podobnie jak Elene, która odwiedziła stolicę z ciotką, ale w zupełności im to wystarczyło.

- Na pewno pokochasz Nowy Orlean - rzekł, gdy powoli zaczął zapadać zmierzch i oboje czekali, co Devota przyniesie im na kolację.

Elene się zawahała, nie chcąc powiedzieć nic, co mogłoby doprowadzić do kłótni. Nie było jednak sposobu, by uniknąć tego tematu.

- Ale ja tam nie pojedę.

- Naprawdę? - Powiedział to łagodnie, lecz od razu poczuł budzące się w nim przekonanie, że musi ją mieć na swoim statku, nawet gdyby miał ją tam zanieść siłą. W Elene Larpent było bowiem coś takiego, co nie dawało mu spokoju i fascynowało bez granic. Była urocza i ciepła, cudownie niedoświadczona w sztuce miłości, ale chodziło przecież o coś więcej. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Elene kryje w sobie jakąś tajemnicę, jakby chciała zachować cząstkę samej siebie niczym wielki dar przeznaczony tylko dla tego, kto okaże się go godny.

Machnęła lekko ręką.

- Nie wiem nic o tym mieście, poza tym, że mimo czterdziestoletniego panowania Hiszpanów, ludzie nadal mówią tam po francusku. Jest tam też gorąco, wszędzie

pełno straszego błota i pełzających węży. Tyle przynajmniej dowiedziałam się z listów ojca.

- Węże dają się we znaki jedynie w czasie powodzi. Poza tym to bardzo przyjemne miasto. Bryza od morza łagodzi latem skwar, a zimą jest tylko trochę chłodniej. Nowy Orlean ma w sobie cechy zarówno hiszpańskie, jak i francuskie. Po pożarach, które za panowania Hiszpanów zniszczyły dużą część miasta, większość domów trzeba było odbudować. Balkony z kutego żelaza i dziedzińce kojarzą się z Hiszpanią, lecz linie dachów, kształt i umiejscowienie drzwi i okien oraz układ ulic na pewno przypomina ci Paryż.

- Tato utrzymywał, że można tam umrzeć z nudów.

- Widocznie nie zadał sobie dość trudu, by poznać mieszkańców. W Nowym Orleanie odbywa się mnóstwo bali i przyjęć, są też wieczory muzyczne, spotkania przy kartach, wyprawy za miasto, a dla dżentelmenów kawiarnie, walki kogutów, jaskinie hazardu i gospody serwujące wszystko, począwszy od wina i absyntu po piwo słodowe. Potem zaś wszyscy wybierają się na spacer na Place d'Armes, by odetchnąć świeżym wieczornym powietrzem, pokazać się i spotkać znajomych.

- Lubisz to miasto, prawda?

- To mój dom - odparł, jakby żadne inne wytłumaczenie nie było potrzebne.

Elene odwróciła wzrok. Jakże pragnęła mieć miejsce, które mogłaby uznać za swoje. Jako dziecko żywiła zapewne podobne uczucia wobec wyspy, lecz lata spędzone we Francji sprawiły, że odeszły w zapomnienie. Sama Francja nigdy nie była dla niej prawdziwym domem, gdyż żyła tam w poczuciu, że w każdej chwili może zostać wezwana do powrotu na wyspę.

Ryan bezskutecznie czekał na jej odpowiedź.

- Nowy Orlean może stać się domem także i dla ciebie. Uniosła dumnie brodę.

- Urodziłam się na Santo Domingo.
- Spodziewam się więc, że masz tu kogoś, do kogo możesz się zwrócić z prośbą o pomoc, przyjaciela ojca czy też może jego współnika w interesach.
- Nie mam nikogo - odparła chłodno.
- Jestem pewny, że coś wymyślisz. - Wyciągnął się wygodnie na posłaniu. - Zawsze możesz oddać się w ręce dowódcy, który przejął schedę po generale Leclercu.
- Generała Rochambeau?
- Myślisz, że nie ma sensu mierzyć aż tak wysoko? Chyba masz rację. Już wiem, parę dni temu poznałem grubego pułkownika, który może okazać się właściwą osobą.
- Jak to? - spytała podejrzliwie, wyczuwając jego robawienie.
- Ma bardzo miękkie serce i pożądlivy wzrok. Na pewno zdołasz go przekonać, by zrobił dla ciebie wszystko. Możesz nawet za niego wyjść.
- Wyjść? Nigdy!
- No to zostać jego kochanką.
- Co takiego? - krzyknęła rozwścieczona.
- Może więc praczką? Powinnaś jednak wiedzieć, że określane tym mianem kobiety muszą często świadczyć i inne usługi, gdy panowie oficerowie zdejmą już swoje brudne mundury.
- Wiem - odparła. - Myślałam jednak, że Francuzi pod dowództwem Rochambeau zostaną pokonani.
- W takim przypadku zawsze zostanie dość Brytyjczyków, którzy chętnie wyskoczą z mundurów.
Chwyciła jego kurtkę i w zapadających ciemnościach cisnęła nią gdzieś w okolice jego głowy.
Pełne udanej rezygnacji westchnienie mężczyzny stłumił gruby materiał, który wylądował na jego twarzy.
- Na niektóre osoby naprawdę nie ma ludzkiej siły - mruknął.

- V-

- Zapal świecę - szepnęła Elene.
Ugodzony w żebra Ryan obudził się przestraszony.
- Co się stało?
- Coś tutaj jest. Zapal świecę.
W ciemności rozległ się odgłos delikatnego tupania. Po chwili usłyszeli skrobanie w miejscu, gdzie złożyli swoje zapasy.
- To szczur - powiedział cicho Ryan.
- Wiem - rzuciła ostro, podenerwowana. - Zapal wreszcie tę świecę!
Zwierzę skusił zapach jedzenia. Przedarło się przez fundamenty domu i trafiło do piwnicy. Teraz musieli je zabić. Z własnej woli na pewno nie opuści pełnego przysmaków miejsca, a Elene nie zamierzała dzielić się z nim zapasami i cennym miejscem w piwnicy. Szczury nie tylko przenosiły choroby. Ten osobnik mógł na dodatek zaplątać się jej we włosy, gdy tylko zapadnie w sen.
Tuż obok usłyszała delikatny trzask krzesiwa, gdy Ryan próbował zapalić świecę. Ostrożnie sięgnęła po jeden z jego butów, by w najgorszym wypadku użyć go jako broni. Wyciągając rękę, dotknęła ogona szczura. Odsunęła się gwałtownie, tłumiąc okrzyk odrazy.
- Co się stało? - W głosie Ryana usłyszała troskę.
- Dotknęłam go! - odparła ze wstrętem.
Usłyszała cichy śmiech. Chwilę później zapłonął delikatny żółty płomyk hubki. Ryan przytknął do niego

knot świecy i kiedy rozpała się na dobre, zamknął pudełko z krzesiwem, by stłumić ogień.

Elene chwyciła but, którego szukała, i uniosła go w górę. Rozejrzała się w poszukiwaniu szczura. Schował się za dzbankiem z wodą. Rzuciła się w jego stronę, uderzając w ziemię butem. Przerazone stworzenie próbowało uniknąć ciosów.

- Zabij go - rzuciła przez ramię z pasją w głosie. - Zabij!

Ryan postawił świecę w kącie, wziął do ręki but i rozpoczął polowanie. Razem z Elene walili w kamienną podłogę, podczas gdy szczur przebiegał gorączkowo z jednej strony na drugą. Ich cienie tworzyły niezwykle kształty na ścianach piwnicy, odskakując od siebie i znów się zbliżając niczym w niezwykłym, prymitywnym tańcu.

Nie było wątpliwości, kto zwycięży w tej nierównej walce. Szczur co prawda bez trudu dostał się do piwnicy, ale nie mógł już tak łatwo uciec, a jego przeciwnicy - oprócz wściekłej determinacji - mieli też broń. W starciu z dwoma butami szczur nie miał więc żadnych szans. Po kilku sekundach polowanie dobiegło końca. Ryan położył martwego szczura na półce przy kłapie, gdzie mógł leżeć nie zauważony do czasu, gdy wyniesie go Devota. Oboje usiedli teraz na ziemi, by złapać oddech.

- Biedne stworzenie - powiedział z żalem Ryan. - Chciał tylko coś zjeść.

- Tak, i przy okazji ugryźć cię w palec - odparła Elene, nie dzielając jego smutku.

- Nie wiedziałem, że masz serce z kamienia.

- Nienawidzę szczurów.

Nie chciała na niego patrzeć. Wstydziła się trochę swego zapału w polowaniu na gryzonia i niedobrze się jej robiło na wspomnienie dźwięku, który rozległ się, kiedy Ryan wymierzył zwierzęciu śmiertelny cios.

- Tak podejrzewałem.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Jakoś nie zauważyłam, żebyś zachował się szczególnie delikatnie.

- Ależ skąd - zgodził się z nią szybko. - Ja też ich nie kocham. A kiedy piękna dama prosi mnie o pomoc, udzielam jej szybko, jak najlepiej potrafię.

- Teraz też?

- Oczywiście. Zwłaszcza jeśli istnieje szansa, że dama zechce mnie hojnie wynagrodzić.

- Naprawdę tego oczekujesz? - spytała z niedowierzaniem w głosie.

- Jeśli tylko uznasz, że zasłużyłem na nagrodę.

- Ty zarozumiała, nieznośny...

- Skąd miałem wiedzieć, że się zdenerwujesz? Jeszcze nie tak dawno chciałaś się oddać pod opiekę tłustego pułkownika, akceptując wszystkie warunki tego układu. Co za różnica?

- Nic takiego nie planowałam! To była twoja ohydna sugestia!

- Nie masz innego wyjścia. Będziesz musiała związać się w ten lub inny sposób z jakimś mężczyzną - powiedział naturalnym tonem Ryan.

- Nie sądzę - odparła, parszcząc gniewnie.

- Nie? W tych niebezpiecznych czasach tylko mężczyzna może ci zapewnić opiekę. Na dodatek jesteś zbyt piękna i wzbudzasz zbyt wielkie pożądanie, by móc cię zostawić na pastwę tych sępów.

- Do których ty oczywiście się nie zaliczasz.

- Ależ tak. Stoję na czele stada.

- Przynajmniej jesteś szczery. - Miało to zabrzmieć zimno i sarkastycznie, lecz zamiast tego z ust Elene wyrwało się tylko stłumione westchnienie.

- No proszę! Nie przypuszczałem, że usłyszę coś takiego.

Spojrzał na nią badawczo. W blasku świecy jej gładka skóra lśniła delikatnie niczym najczystsza z pereł, a wspaniałe włosy kładły się złotą falą na podartej sukni. Wiedział, że to głupie, ale nie miał najmniejszej ochoty opuszczać tego miejsca. Jeśli nie będzie ostrożny, po wyjściu z tej mrocznej piwnicy ich znajomość będzie należeć do przeszłości. A przecież w jego wyobraźni malowała się jak nie kończąca się idylla.

Elene spoglądała na niego spod rzęs. Na pewno żartuje, pomyślała. Nie spodziewał się chyba, że odda mu się w nagrodę za zabicie szczura. A może rzeczywiście tak myślał? Ciężko było go rozgryźć, nie mówiąc już o próbie obdarzenia go zaufaniem. Tak niewiele o sobie mówił. Mimo łączącej ich intymności, mimo wielu godzin rozmów, tak naprawdę wcale go nie znała. Wyglądało to tak, jakby bronił dostępu do najgłębszych zakamarków swojej duszy. Nie mogła go zresztą za to winić; sama postępowała podobnie.

Przez twarz Ryana przebiegł cień irytacji. Roześmiał się.

- Nie przejmuj się tak straszliwie. Nie chcę od ciebie niczego, czego sama nie zechcesz mi dać. Połóż się i postaraj zasnąć.

Z tymi słowami pochylił się i zgasił świecę. W piwnicy zapadła ciemność. Elene usłyszała szelest jego ubrania, gdy próbował się wygodniej ułożyć. Szybko przesunęła się, by zrobić mu miejsce. Dotknął jej ramieniem, a ona odskoczyła jak oparzona. Jeszcze przez chwilę próbowali znaleźć wygodniejszą pozycję, lecz w końcu, zrezygnowani, poddali się.

Czas mijał powoli. Elene wpatrywała się w ciemność. Bardzo pragnęła znaleźć dla siebie jakiejś wyjście z tej sytuacji, inne od wizji roztaczanych przez Ryana. Może pojawi się jakiś dawno zapomniany krewny, jakiś urzędnik, który wiele zawdzięcza jej ojcu, przyjaciel, który ra-

zem z Devotą zabierze ją daleko stąd? Niestety, nic takiego nie przychodziło jej do głowy.

Kiedy zasnęła, powrócił koszmar, tym razem jednak zdołała się uporać z nim sama.

Natychmiast słyszeli, gdy ktoś pojawiał się na górze. Nad ich głowami głucho dudniły kroki, odbijając się echem w ciemnej piwnicy. Czasami dobiegały ich urywki rozmów, głosy służących lub też burkliwy ton starszej kobiety, bez wątpienia matki Faviera, która wydawała najróżniejsze polecenia.

Najgorsza była pora kolacji. Przesuwaniu krzesel towarzyszył pył z dywanu opadający przez szczeliny w kłapie. Do uwięzionych w piwnicy głodnych uciekinierów dobiegał smakowity zapach potraw i wina. Oni sami mogli liczyć na świeże zapasy dopiero wtedy, gdy cały dom pogrąży się we śnie. Obecność Faviera, jego matki, a raz nawet kilku gości zmuszała Elene i Ryana do zachowania absolutnej ciszy przez ciągnące się w nieskończoność godziny. Jakże byli wdzięczni losowi, że domownicy jedli śniadanie w łózkach, a obiad gdzieś poza domem, najprawdopodobniej na ganku.

Podsluchane rozmowy okazały się jednak bardzo pouczające. Okazało się bowiem, że sam Dessalines próbował wypędzić Francuzów z wyspy, a część swoich oddziałów wysyłał na plantacje, by tam podburzały niewolników do powstania. Nakłaniały tubylców do walki, której celem było zabicie wszystkich białych i pozbycie się ich na dobre. Lista spalonych posiadłości i wymordowanych rodzin wydłużała się z dnia na dzień. Elene i Ryan słyszeli opowieści o ludziach schwytanych na plantacjach trzciny cukrowej, ukrywających się w szopach i stajniach, pojmanych w drodze do Port-au-Prince czy też Cap Francaise. Wszystkich czekały tortury i śmierć w najgorszych męczarniach.

Czasami odnosili wrażenie, że Favier snuje te opowie-

ści ze szczególną lubością. Mówił bardzo głośno, by mogli go usłyszeć. W ten sposób pragnął im odpłacić za wszystkie upokorzenia, których przez lata doświadczał od ich rodaków. Jednak jego położenie też nie było godne pozazdroszczenia. Rozszalały, żądny krwi tłum mógł zawsze popełnić błąd i pod osłoną nocy przez przypadek zaatakować także jego dom.

Mniej więcej rankiem trzeciego dnia, a przynajmniej tak się Elene zdawało, tuż nad głową usłyszeli dwa podniesione głosy. Należały do Devoty i matki Faviera.

Ryan wyprostował się i stał oparty plecami o kamienną ścianę, gotów bronić ich azylu. Elene też wstała. Nasłuchiwała badawczo, patrząc z lękiem na drewnianą kłapę.

Co się tam stało? Czy Favier mógł wzbudzić w matce podejrzenia, że ktoś ukrywa się pod podłogą? A może starszą panią zaintrygowała obecność Devoty i obserwując ją, doszła do wniosku, że Mulatka zbyt często pojawia się w jadalni?

Istniała też możliwość, że dobiegł ją jakiś podejrzan dźwięk z dołu, jakieś słowo wypowiedziane zbyt głośno w nieodpowiedniej chwili. Próbowali oczywiście ograniczyć swoje rozmowy do późnych godzin nocnych, zawsze najpierw nasłuchiwali odgłosów z góry i pamiętali, by zawsze mówić jak najciszej. Jednak czasem zapominali o środkach ostrożności.

Po kilku minutach stało się jasne, że Devota została przyłapaną na próbie dostarczenia im śniadania. Starsza pani besztła ją za wykradanie jedzenia i za wszelką cenę chciała się dowiedzieć, co Devota zamierza z nim zrobić. Mulatka wyjaśniała, że chciała zjeść posiłek przy stole, co od razu wywołało falę oburzenia z powodu bezczelności służby, która uważa, że może do woli korzystać z mebli swoich państwa, wylegiwać się do późna w łóżku i opychać się smakołykami ze spiżarni.

Reakcja Devoty była bezczelna, nie można tego było określić inaczej. Zdumiona Elene szeroko otworzyła oczy. Jeśli służąca mówiła prawdę, stało się jasne, że została kochanką Faviera. Bez wątpienia była to doskonała wymówka, by móc przebywać w domu, a nie w chatach niewolników, lecz czy była to tylko wymówka? Czy Devota oddała się Favierowi, by w ten sposób zapewnić bezpieczeństwo Ryanowi i Elene?

Starsza pani kazała służącej iść do kuchni. Oba głosy oddaliły się. Pozostał tylko drażniący zapach bekonu i kawy.

Elene wolno opadła na posłanie.

- Czy zdajesz sobie sprawę - szepnęła - że jesteśmy tu uwięzieni niczym ten szczur, którego zabiliśmy?

- Mówiłem ci, że cała wyspa jest jednym wielkim więzieniem i pułapką. A my znaleźliśmy się w nieco tylko mniejszej. - Ryan usiadł blisko niej, by mogli mówić jak najciszej.

- Co zrobisz, jeśli nas odkryją?

- To, co można zrobić w takich wypadkach. Będę uciekał z nadzieją, że nie jest ich zbyt wielu.

- A jeśli znajdzie nas matka Faviera? Wyraźnie dawał do zrozumienia, że ona na pewno nas wyda.

- Jeśli podniesie kłapę, będzie musiała do nas dołączyć - odparł, zaciskając dłonie w pięści.

- Tak - powiedziała Elene niemal do siebie. - To całkiem niezłe wyjście. Masz rację.

Devota nie pokazała się przez resztę dnia. Nie zjawiła się też po kolacji i z nadejściem nocy w domu zapadła cisza. Elene martwiła się nieobecnością służącej, nie tylko dlatego że była wściekle głodna, bo od poprzedniego wieczoru zjedli tylko po kawałku chleba. Obawiała się o bezpieczeństwo kobiety, która była przeciw jej ciotką. A jeśli matka Faviera powzięła podejrzenia i zamknęła gdzieś Devotę lub też postanowiła pozbyć się nowej, nie-

znośnej kobiety swego syna? Devota mogła też z jakiegoś powodu opuścić dom, zostać rozpoznana i zabita. Każda następna możliwa wersja wypadków na górze była bardziej przerażająca od poprzedniej.

Ryan też znajdował się u kresu wytrzymałości. Do szalu doprowadzał go fakt, że nie może się wyprostować, że nie wie, co dzieje się na zewnątrz i nie ma żadnego wpływu na bieg zdarzeń. Elene doszła też do wniosku, że on nie ufa Favierowi, choć ze wszystkich sił zapewniał ją, że jest inaczej. Tego wieczoru miał się zjawić jego statek. Jeśli Favier nie wykona żadnego ruchu, jeśli okaże się zbyt wielkim tchórzem, by zapalając latarnię, zwrócić uwagę na swój dom, będą musieli pozostać w piwnicy przez następne parę dni. To było nie do pomyślenia, zwłaszcza że ryzyko odkrycia rosło z godziny na godzinę.

Elene boso chodziła tam i z powrotem po posłaniu, uważając, by nie potknąć się o długie nogi Ryana. Coraz bardziej pragnęła wyjść z ciemnej piwnicy, odetchnąć świeżym powietrzem, zobaczyć niebo i morze, drzewa, kwiaty i trawę. Jakże pragnęła usiąść na prawdziwym krześle i położyć się w prawdziwym łóżku. Nie wiedziała, jak długo zdoła jeszcze to wszystko wytrzymać. Najbardziej jednak, podobnie jak Ryan, pragnęła dowiedzieć się, co dzieje się na górze i gotowa była podjąć największe ryzyko.

Gdy przechodziła obok niego kolejny raz, Ryan złapał ją za spódnice.

- Usiądź - powiedział ostro. - Doprowadzasz mnie do szalu.

Był zbyt wysoki, by iść w jej ślady i chodząc uwolnić się od targającego nim niepokoju. Nie zauważył, jak się skrzywiła, po czym posłusznie usiadła obok niego.

- Przepraszam - mruknęła.

- Nie możesz żyć dalej jak ścigane zwierzę. Musisz pojechać ze mną do Nowego Orleanu.

- Już o tym rozmawialiśmy. Nie ma tam dla mnie miejsca.

- A tutaj? Tam możesz zawsze zamieszkać ze mną. - Nie tak chciał jej to zaproponować, ale trudno. Słowa już padły.

- Rozumiem. Uważasz, że to coś lepszego niż gruby pułkownik.

- Chcę się tobą opiekować. Ze mną nie tylko będziesz bezpieczna, będziesz żyć wygodnie, opływać w luksusy.

- Cóż za uroczą wizja. O mało się skusiłam, ale widzisz, przywykłam, by okazywano mi większy szacunek. Zakładam, bo jakoś o tym nie wspomniałeś, że małżeństwo nie stanowi części twojej uprzejmej propozycji?

- Nie chcę się żenić, jeszcze nie teraz - odparł. - To nie byłoby uczciwe, gdy tak często wypływam w morze.

- Uczciwość wobec kochanki nie ma z tym oczywiście nic wspólnego. - Elene nie paliła się do małżeństwa bardziej niż on, lecz przyznanie się do tego tylko osłabiłoby jej pozycję.

- Nie miałyby wcale powodów do narzekań - odparował, z trudem ścisząc głos. - Nie rozumiesz, o co mi chodzi albo wcale nie chcesz zrozumieć.

- Rozumiem, że poczułeś się na tyle pewny, by złożyć mi taką propozycję, gdyż w chwili słabości, szukając pociechy, uległam twoim słodkim słówkom. Rozumiem też, że czujesz się za mnie w jakimś sensie odpowiedzialny - nie na tyle, by spędzić ze mną całe życie, lecz na tyle, by ciągnąć mnie za sobą. Gotowa jestem nawet zgodzić się, że czujesz do mnie coś na kształt pożądania, w innym wypadku bowiem nie zaproponowałbyś mi życia u swego boku. Nie próbuj mnie tylko przekonywać, że chodzi ci wyłącznie o moje dobro. Nie wierzę w to teraz i nie uwierzę nigdy.

- A czy gotowa jesteś uwierzyć - powiedział niezwykle miłym tonem - że jeśli nie zgodzisz się płynąć ze

mną, zaciągnę cię na statek, bez względu na to, jak ostro będziesz się temu sprzeciwiać?

- Oczywiście - odparła bez wahania. - To przecież bardzo do ciebie podobne.

Przez chwilę przeklinał ostro pod nosem. Kiedy znów się odezwał, jego głos zabrzmiał w miarę spokojnie.

- To wszystko przez te twoje cholerne perfumy. Nigdy nie usłyszałaś żadnych słodkich słówek, jak je nazwałaś, gdyby nie ich upajający zapach. Ale dobrze. Możesz zamieszkać u mnie tylko przez jakiś czas, dopóki nie znajdziemy czegoś odpowiedniego. Nie zamierzam trzymać niechętnej mi kochanki, dziękuję bardzo.

- Doprawdy? Jakież to wspaniałomyślne z twojej strony! Zwłaszcza że nie mam żadnych środków, by znaleźć coś odpowiedniego. - Jej słowa tylko zabrzmiały zuchwale. Zdołała bowiem zapomnieć, jaką rolę w jej uwidzeniu odegrały perfumy Devoty.

- Przez te ostatnie trzy dni zupełnie przestałaś trzeźwo myśleć. Wystarczy, że przygotujesz parę buteleczek tego zapachu, a możesz liczyć na prawdziwą fortunę.

Nie mówił tego poważnie, chwycił się tylko ostatniej deski ratunku, by dostarczyć jej przekonujących argumentów. Lecz czyż jego pomysł był aż tak bardzo szalony? Zapach był w istocie niezwykły, bez względu na to, czy miał magiczną moc, czy nie. Jeśli Devocie udałooby się zdobyć w Nowym Orleanie cenne olejki i esencje, perfumy mogłyby w istocie cieszyć się sporym powodzeniem. Oczywiście, musiałyby zrezygnować ze składnika, który zamieniał je w afrodyzjak o wielkiej mocy, ale to nie powinno w żaden sposób wpłynąć na jakość zapachu.

- Och, jestem pewna, że w twoim mieście wprost marzą o nowych perfumach. - W jej głosie bez trudu można było wyczuć nutę szyderstwa, lecz poczuła też ogarniające ją powoli podniecenie.

- I to bardzo słodkich. Wszystkie pachnidła Arabii

nie zduszą smrodu rynsztoków i ustawionych za domami wychodków. Nad starym francuskim targiem unosi się też paskudny odór psujących się ryb i gnijących owoców, w magazynach śmierdzi fermentująca melasa, a ze wspólnych grobów na cmentarzu, gdzie trupy przysypują tylko cienką warstwą wapna, unosi się smród rozkładających się ciał. Nie wspominając już o wszechobecnej pleśni i grzybach ani o ciałach, które przez długi czas nie zagnały kąpieli.

- Niemal udało ci się mnie przekonać, że Nowy Orlean jest cudownym miejscem dla sprzedawcy perfum - powiedziała oschle.

- To jedyne miejsce dla ciebie.

- Być może.

Pozwoliła, by uznał jej ostatnie słowa za zgodę. Może rzeczywiście głupotą byłoby nie skorzystać z takiej propozycji. Nowy Orlean od samego początku sprawiał wrażenie idealnego miejsca na azyl. Znalazłaby się wśród ludzi, którzy mówili tym samym językiem, mieli takie same zwyczaje. Nie było jej jednak łatwo pogodzić się z myślą, że miałyby porzucić wszystko, co znała i zaczynać życie od nowa wśród obcych, nie mając grosza przy duszy.

Jakaś cząsteczka jej duszy z przerażeniem przyjmowała fakt, że rozważała możliwość zamieszkania - choćby tylko na krótko - z mężczyzną. Szybko odrzuciła od siebie te myśli. Teraz musiała przede wszystkim odzyskać kontrolę nad własnym życiem. Teraz ona była najważniejsza. Nie chciała być zależna od nikogo - od ojca, męża, kochanka. Jeśli mogła w tym celu wykorzystać Ryana Bayarda, a nawet swoje perfumy, to tak właśnie musiała postąpić.

Tak pracowicie snuła plany na przyszłość, że dopiero po pół godzinie uświadomiła sobie, że pozycja, jaką miała zajmować w domu Ryana, nie została wcale określona. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz natychmiast je zamknęła.

Ktoś nadchodził.

Najpierw dostrzegli blask świecy. Pojawił się w szczelinach podłogi nad ich głowami i zalsnił złowieszczo na kamiennych ścianach. Towarzyszyły mu bardzo lekkie kroki. Po chwili ucichły, jakby ktoś na górze zaczął nasłuchiwać i ostrożnie badał teren. Potem delikatnie, niemal bezszelestnie zaczął odsuwać krzesła. W powietrzu uniósł się kurz z odwijanego dywanu. Ryan zerwał się na nogi i znieruchomiał. Elene w półmroku rozejrzała się w poszukiwaniu jakiejś lekkiej broni. Powoli zacisnęła dłonie w pięści. Poczowała ogarniające ją napięcie, które zawisło nad jej głową niczym ciężka chmura.

Nagle zadźwięczało metalowe kółko, za którego pomocą unoszono klapę. Rozległ się stłumiony jęk wysiłku i ciche skrzywienie. W szczelinie ujrzeli fałdy kobiecej sukni. Tuż obok stała miedziana latarnia. Klapa unosiła się coraz wyżej. Wreszcie spoczęła na podłodze.

Ujrzeli nad sobą Devotę.

Elene odetchnęła z ulgą. Służąca uśmiechnęła się do niej ze współczuciem, lecz nie traciła czasu na wyjaśnienia.

- Szybko, wychodźcie - rzuciła cicho. - Statek zaraz tu będzie.

Nie potrzebowali dalszej zachęty. Ryan podskoczył i podciągnął się na ramionach. Kiedy znalazł się na górze, przyklęknął na jedno kolano i wyciągnął rękę do Elene. Wsunęła stopy w pantofelki i złapała go za nadgarstek. Chwycił ją mocno i pociągnął w górę, aż znalazła się na krawędzi podłogi.

Ryan pomógł jej wstać, po czym pochylił się i zamknął klapę. Razem szybko zasunęli dywan i krzesła. Devota wzięła latarnię.

- Tędy - szepnęła.

- A Favier? - spytał cicho Ryan.

- Ukrywa się - odparła z odrazą. - Ja sama dałam znak latarnią.

- Jesteśmy twoimi dłużnikami. Ale teraz nie potrzebujemy już światła. Zgaś latarnię.

Devota spełniła jego polecenie. Postawiła latarnię na środku podłogi i wyprowadziła ich z jadalni.

Nie odezwali się ani słowem. Cicho jak duchy przeszli przez dom do drzwi na tyłach i wyszli na ganek. Chwilę później znaleźli się na trawniku, który prowadził prosto na brzeg morza.

Powietrze było przyjemnie wilgotne i tak świeże, że wdychanie go graniczyło z ekstazą. Elene czuła, jak powoli budzą się wszystkie jej zmysły, jakby do tej pory pozostawały głęboko uśpione. Na niebie blade świecił księżyc. Wyglądał dokładnie tak jak tej nocy, gdy razem z Devotą uciekały z płonącego domu, choć teraz jego blask miał moc najczulszej pieśczości. Gdzieś w pobliżu kojąco szumiały palmy.

Byli już mniej więcej w połowie trawnika. W świetle księżycy ich postaci rzucały długie cienie i nagle, może w wyniku zbyt długiego przebywania w zamknięciu, Elene poczuła, że otacza ich zbyt wielka przestrzeń, że są za bardzo widoczni, bezbronni. Zastanawiając się nad tym, zrobiła jeszcze dwa kroki. Potem strach wrócił.

- Ryan? - szepnęła.

- Wiem - odparł. - Idź dalej spokojnie. Nie biegnij, jeszcze nie.

Ich kroki stały się dłuższe. Jeden i jeszcze jeden.

Nagle rozległ się za nimi pełen wściekłości krzyk. Niemal natychmiast podjęła go setka gardeł, a krzyk przeszedł w pełen grozy jednostajny grzmot.

- Teraz! Biegiem!

Elene ujęła suknię i pobiegła najszybciej jak potrafiła. Nie musiała się oglądać; wiedziała, co zobaczy za sobą. Mężczyzn, maczety, strzelby. Oczy z wysiłku zaszyły jej łzami, oddychała z wielkim trudem. Serce waliło jak oszalałe. Kamienie i ostre kawałki muszelek raniły stopy

przez cienkie podeszwy atłasowych pantofelków. Nie czuła jednak bólu. Słyszała biegnących Devotę i Ryana. Raz jeszcze przeżywała swój senny koszmar - wyścig ze śmiercią, którego nie mogła wygrać.

Nagle padł strzał. Nad głowami usłyszeli świst kuli. Wściekłe okrzyki były coraz bliżej. Podobnie jak cypel. Raz jeszcze świsnęła kula. Tuż przed sobą po prawej stronie zobaczyli nagle głęboko wydeptaną w piasku ścieżkę. Przeskoczyli przez skały.

Pod nimi rozciągała się oblana blaskiem księżycy plaża. Fale z szumem rozbijały się o brzeg, gdzie czekała łódź. Stojący obok niej mężczyźni z gotowymi do strzału muszkietami wpatrywali się w cypel. Za nimi rysowała się elegancka sylwetka dwumasztowego szkunera. Stał na kotwicy w spokojnej zatoczce. Jego obecności nie zdradzało ani jedno światło, ani jeden dźwięk.

Rozwścieczeni Murzyni dopadli krawędzi cypla, przedzierając się przez porastające go krzaki. Widząc swoją zwierzynę, wydali wrzask triumfu. Zagrzechotały strącone przez nich kamienie.

Obok głowy Elene ze świstem przeleciała kula. Po prawej stronie głęboko w piasek wbiła się ciśnięta z niezwykłą siłą włócznia. Tuż za nimi upadły jeszcze dwie, trzecia przeleciała wysoko, wpadając do wody.

Elene pierwsza dopadła płaskiej plaży. Biegła jak szalona, rozsypując piasek na wszystkie strony. Ryan się odwrócił. Ciemne postaci masą zalały cypel. Ruszył ostro w stronę łodzi. Zwinął dłonie wokół ust.

- Ognia! - krzyknął. - Ognia!

Powietrze rozdarł podwójny wystrzał z muszkietów. Na cyplu rozległy się krzyki bólu i paniki. Pościg zwolnił. Czekający na nich mężczyźni wrzucili strzelby do łodzi i zaczęli ją odpychać, cały czas trzymając w gotowości na wysokich falach przypływu.

Jeszcze tylko sto metrów, pięćdziesiąt i już siedzieli

w łodzi, kryjąc się za burtami. Ryan chwycił muszkiet i rzucony mu przez jednego z mężczyzn proch. Zaczął ładować strzelbę, gdy jego ludzie mokrzy przeskakiwali przez burtę. Szybko chwycili wiosła. Ryan wycelował i nacisnął spust. Przywódca Murzynów stojących teraz na brzegu wyrzucił wysoko ramiona i padł na piasek.

Nie było czasu na więcej. Łódź kołysała się na falach, pozostawiając za sobą plażę coraz dalej i dalej. Usłyszeli jeszcze dwa strzały, lecz nie stanowiły już dla nich żadnego zagrożenia. Pas wody oddzielający łódź od brzegu lśnił w blasku księżycy. Kilku napastników zaczęło wznosić gniewne okrzyki i wygrażało im pięścią, lecz na niewiele się to zdało.

Elene odwróciła się w stronę dziobu. Obiema rękami trzymała się mocno ławeczki, na której siedziała, lecz bardzo chciała spojrzeć na czekający na nich statek. Był pomalowany na szaro, a pod bukszprytem rozciągał się szeroki biały pas. Na dziobie pyszniła się wyrzeźbiona postać kobiety w rozwianych wiatrem szatach. W świetle księżycy lśniły wypisane na białym pasie czarne litery - „Sea Spirit”.

Z burty zwisała sznurowa drabinka. Tuż obok niej, na pokładzie, zgromadziło się sporo ludzi. Krzyczeli do nich przyjaźnie, choć z tej odległości ich niesione przez wiatr głosy przypominały Elene odgłosy ptaków. Kiedy dotarła do końca drabinki, ktoś wyciągnął rękę i pomógł jej wejść na pokład. Z wdzięcznością przyjęła pomoc, lecz zaraz odwróciła się, by zobaczyć, jak radzi sobie Devota, przerażona koniecznością wspinania się po rozchwianej drabince.

Po chwili wszyscy znaleźli się na pokładzie. Wydano rozkaz wciągnięcia łodzi. Do Ryana podszedł jakiś mężczyzna o czarnych kręconych włosach i roześmianych oczach. Uścisnął mu dłoń i pogratulował. Ryan zwracał się do niego po imieniu, Jean, lecz wszystkim przedsta-

wił jako kapitana. Wokół nich zaczęli się tłoczyć mężczyźni i kobiety w wieczorowych sukniach. Wszyscy śmiali się radośnie i podniesionym głosem zadawali najróżniejsze pytania.

Elene ogarnęło nagle tak wielkie zmęczenie, że z trudem patrzyła na oczy. Kolana zaczęły jej drżeć. W obawie, że upadnie, wsparła się na ramieniu Ryana. Spojrzał na nią, wyczuł od razu drżenie palców i przyciągnął ramieniem do siebie.

- Chodźmy na dół - powiedział.

Wszyscy zebrani jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozeszli się po pokładzie, by po chwili znaleźć się we wspólnej sali, która spełniała być może rolę jadalni dla oficerów. Mężczyźni wrócili do pozostawionych tu drinków, kobiety zajęły się lekturą lub haftem. Wszyscy jednak czekali niecierpliwie na pojawienie się Elene i Ryana Bayarda, słynnego korsarza, który najwyraźniej był ich gospodarzem.

Znużona Elene przez chwilę zastanowiła się, skąd wzięli się tutaj ci wszyscy ludzie. Patrzyła na nich w bladym świetle dwóch lamp wiszących na ścianach. Sądząc po ich strojach i bladych zapadniętych twarzach byli mieszkańcami wyspy, choć wydawało się mało prawdopodobne, by korsarz zabierał pasażerów na pokład swojego statku.

Kiedy w jej udręczonym umyśle zaczął pojawiać się cień odpowiedzi, z grona zebranych wystąpił mężczyzna. Średniej budowy, arogancki nawet w białym pomiętym ubraniu i z krwawą blizną na policzku, z wyciągniętą ręką podszedł do Elene, licząc, że dziewczyna ciepło go przywita.

- Elene, moja najdroższa - powiedział wyraźnie uradowany Durant Gambier. - A już myślałem, że cię straciłem na zawsze. Na szczęście łaskawy Bóg sprawił, że wróciłaś do mnie.

- Raczej łaskawy Ryan Bayard - odparła ostro Elene. Jej narzeczony zatrzymał się gwałtownie. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

Nie wiedziała, skąd wzięła te słowa. Gdzieś głęboko czuła, że mogą okazać się niebezpieczne, lecz świadomość ta nie powstrzymała jej przed ich wypowiedzeniem. Myślała tylko o tym, jak uniknąć uścisku silnych ramion Duranta. Nie chciała, by raz jeszcze zgłosił do niej swoje prawo. Ryan Bayard okazał się świetną tarczą obronną i postanowiła skorzystać z tej okazji. Jeśli będzie musiała kiedyś za to zapłacić, to trudno.

Zapadła cisza. Wszyscy zebrani chciwie przyglądali się scenie, jaka rozgrywała się na ich oczach, jakby dzięki niej mogli choć na chwilę oderwać się od własnych problemów. Na twarzy Duranta pojawił się purpurowy rumieniec gniewu. Przyłożył końce palców do ust, z niedowierzaniem przebiegając wzrokiem od ramienia Ryana do talii Elene. W końcu utkwiał twarde spojrzenie w twarzy korsarza. Ryan patrzył na niego z cieniem uśmiechu błakającym się w kącikach ust i uniesioną pytająco brwią.

Za nimi do sali wszedł kapitan statku, przechodząc obok stojącej w drzwiach Devoty. Wyglądało na to, że chce o coś spytać Ryana, lecz wyczuwając wiszące w powietrzu napięcie, zawahał się. Bayard odwrócił się w jego stronę.

- Powiedz mi, Jean - rzucił lekko - kim są ci wszyscy ludzie?

Kapitan wyglądał jak mały chłopiec, którego przyłapano na wyjadaniu konfitur.

- To uchodźcy. Próbują wydostać się z Santo Domingo. Podpływali do nas w małych łódkach, kiedy zbliżaliśmy się do brzegu. Nie mogłem ich tam zostawić.

- Raczej nie. - Ryan odwrócił się w stronę zebranych. - Proszę mi wybaczyć, panie i panowie, lecz razem z panną Larpent mamy za sobą naprawdę ciężkie chwile. Później dokonamy stosownej prezentacji, ale teraz pragniemy tylko się wykapać, coś zjeść i położyć spać. Proszę nam wybaczyć.

- Chwileczkę... - zaczął Durant.

- Później. - Głos Ryana przeciął powietrze niczym ostrze szpady.

Do Duranta podeszła jedna z kobiet i położyła mu dłoń na ramieniu. Poruszała się z niezwykłą gracją, jakby w przekonaniu, że wszyscy będą ją bacznie obserwować. Nie była wcale klasyczną pięknoscią: natura obdarzyła ją bladą cerą, ostrymi rysami, a jej miedzianorude włosy z pewnością nie były naturalne. Jednak jej głos zabrzmiał tak uroczo i zmysłowo, że wszystkim wydała się niezwykle fascynującą kobietą.

- Durant, mój drogi - powiedziała. - Jeśli masz w sercu choć trochę cieplejszych uczuć, pozwól im odejść. Pomyśl, że sami nie tak dawno rozpaczliwie pragnęliśmy tego samego.

Ryan skłonił się rudowłosej damie, po czym z Elene u boku ruszył w stronę drzwi po drugiej stronie sali.

Kapitan odchrząknął i zawołał za nim:

- Ryan? Dokąd płyniemy?

- Do Nowego Orleanu - rzucił Bayard przez ramię, dodając z cieniem ironii w głosie: - I to jak najszybciej. Grupka, która postanowiła nas odprowadzić do brzegu,

nie miała chyba pod ręką łodzi, ale tak na wszelki wypadek lepiej będzie się pospieszyć.

Kabina właściciela szkunera zgodnie z tradycją była największa na statku, oczywiście na miarę panujących tam warunków. Stało w niej dość szerokie łóżko ze sporą skrzynią w nogach, składany stół przysunięty do jednej ze ścian i dwa proste krzesła oraz umywalnia z wpuszczoną głęboko porcelanową miednicą. Kiedy wniesiono wannę, ledwie zmieściła się w kabinie.

Wannę wykonano w Anglii z malowanej cyny. Elene pomyślała, że wygląda jak bardzo duży dziecinny bucik. Zażywający kąpieli delikwent wchodził do niej góra i siadał, wyciągając nogi. Główną zaletą posiadania takiej konstrukcji na statku było to, że nie wylewała się z niej jakże cenna woda, której na dodatek nie trzeba było zbyt wiele, by napełnić wannę. Poziom wody podnosił się bowiem, gdy zażywająca kąpieli osoba wchodziła do środka i mogła się w niej rozkosznie zanurzyć aż po same ramiona.

Elene zmyła dokładnie brud ze skóry i włosów, po czym siedziała długo w ciepłej wodzie, czekając, aż spłynie z niej cały strach i zmęczenie. Myśli bezładnie przebiegały jej przez głowę, lecz nie próbowała ich w żaden sposób uporządkować. Ryan, zarządziwszy kąpiel i kolację, wyszedł z kabiny, by zapewnić jej odrobinę prywatności. To miłe z jego strony, pomyślała.

Statek kołysał coraz mocniej, wznosił się w górę i w dół. Najwyraźniej opuścili już zaciszną zatokę, gdzie rzucono kotwicę, i skierowali się prosto do Nowego Orleanu.

Jakie to niezwykle. Któż by pomyślał zaledwie tydzień temu, że dziś wieczór znajdzie się na statku, pozostawiając za sobą całe swoje dotychczasowe życie.

Z wyjątkiem Duranta.

Kiedy go zobaczyła na pokładzie - narzeczonego wy-

branego dla niej przez ojca - przez ułamek sekundy stał się uosobieniem porządku i normalności. Czuta, że musi do niego podejść, że nie może postąpić inaczej. Potem nagle coś w niej pękło. Nic już nie było takie jak dawniej. Nie musiała się teraz kierować w życiu niczym, poza własnymi pragnieniami i potrzebami. I to było teraz najważniejsze.

Nie wiedziała jednak, co ma z nim począć. Musi mu jakoś wytłumaczyć, że nie mogą podjąć zerwanej przez los nici. Nie da się zmusić do małżeństwa, któremu się sprzeciwiała. Teraz powinna się spokojnie rozejrzeć i sprawdzić, co nowe życie ma jej do zaoferowania. Potrzebuje czasu, by móc wszystko przemyśleć, zaplanować i zastanowić się, czego tak naprawdę pragnie i potrzebuje.

Los potrafi płatać niezwykle figle. Jego zrzędzeniem Durant znalazł się na szkunerze Ryana. A stało się tak dlatego, że „Sea Spirit” jako jeden z niewielu statków pływał u wybrzeży Santo Domingo w czasach wielkiego niepokoju, gdy handel praktycznie zamarł. Jakże żałowała, że Durant nie wybrał innego statku, by uciec z wyspy. Gdyby zobaczyła go po paru tygodniach w Nowym Orleanie, kiedy kilka ostatnich dni byłoby już tylko strasznym wspomnieniem, być może ich spotkanie wyglądałoby zupełnie inaczej, może znalazłaby bardziej odpowiednie słowa. W tej sytuacji mogła polegać tylko na szczęściu i swoim instynkcie.

Siedziała jeszcze w wannie, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Devota wyszła przed chwilą, by sprawdzić, dlaczego przyniesienie czegoś do jedzenia zajmuje aż tyle czasu. Elene z pewnym trudem wydostała się z wanny i sięgnęła po ręcznik. Owinąwszy się nim starannie, poszła do drzwi.

- Kto tam? - spytała.

- Hermine Bizet. Przyniosłam pani parę rzeczy. Na

pewno nie ma pani nic ze sobą, a jesteśmy podobnej budowy.

Bez wątplenia był to głos należący do rudowłosej damy. Elene otworzyła drzwi.

- To niezwykle uprzejme z pani strony, ale nie chcę pozbawiać pani tego, co na pewno z wielkim trudem udało się pani ocalić.

- Proszę o tym nie myśleć - odparła kobieta z figlarnym uśmiechem. - My, ludzie teatru, jesteśmy zawsze przygotowani do wyjazdu. Wszystko mamy zawczasu spakowane.

- Jest pani aktorką? - Chyba odkryła sekret niezwykłego głosu kobiety.

- Widzę, że nie należy pani do grona moich wielbicieleli. Gram w trupie Morvena Ghenta - urwała, czekając na odpowiednią reakcję.

- Ach, tak - powiedziała Elene. Tydzień przed jej planowanym ślubem wiele mówiono o występach Anglika o tym nazwisku w Port-au-Prince. Elene była jednak zbyt zajęta przygotowaniem wyprawy, by myśleć o rozrywkach.

- Wszyscy pamiętają Morvena, a już na pewno wszystkie damy - rzekła Hermine z grymasem goryczy na twarzy. - No, nie będę pani dłużej trzymać przy drzwiach, bo zjawia się tu zaraz wszyscy marynarze w nadziei, że i oni coś zobaczą. Do zobaczenia rano.

Hermine wsunęła pod wolne ramię Elene zawiniątko z ubraniami, uśmiechnęła się do niej ciepło i odeszła.

- Dziękuję bardzo - zawołała za nią dziewczyna.

Aktorka pomachała tylko ręką.

Elene znalazła w zawiniątku koszulę nocną, parę pończoch, miękkie zamszowe pantofelki z kokardkami i suknię z brązowej popeliny przybraną złotą-zielonym haftem. Aktorka dostrzegła jej zupełnie zniszczone buciuki, ale też trudno było nie zauważyć krwawych śladów,

jakie zostawiała za sobą na podłodze. Chodzenie nie sprawiało teraz bólu, lecz rankiem na pewno będzie znacznie gorzej, gdy stopy spuchną i zaczną naprawdę dokuczać. Nowe pantofelki bardzo się przydadzą.

Elene przerzuciła ręcznik przez wannę i wsunęła przez głowę koszulę nocną. Długa, uszyta z miękkiego muślinu, miała krótkie bufiaste rękawki i krezę przy dekolcie. Brakowało tylko wstążki, by móc ją trochę ściągnąć. Bez niej koszula rozchyłała się z przodu aż po pępek.

Na dźwięk otwieranych drzwi Elene podniosła wzrok. Do pokoju weszła Devota, niosąc przykrytą serwetą tacę.

- Zobacz tylko, co przyniosła mi ta kobieta o pięknym głosie.

- Ta aktorka?

- To już wiesz? A ja myślałam, że cię zaskoczę.

Devota miała jednak niezwykły talent do zbierania informacji. Rzadko zadawała pytania, lecz potrafiła znakomicie słuchać.

- Na pokładzie są dwie aktorki - powiedziała - i aktor, który ma bardzo wysokie mniemanie o sobie. Jest tu też bardzo gruby plantator i jego chuda jak patyk córka razem ze swoją służącą, Mulatką. Trafili się też jakiś drobny urzędnik i jego żona o ciętym jak brzytwa języku. Naprawdę okropna, stale narzeka. No i jest jeszcze Serephine.

Elene rzuciła służącej długie spojrzenie. Serephine, kochanka Duranta, była piękną kobietą o nieco sennej urodzie i miała w sobie domieszkę murzyńskiej krwi. Byli razem już od piętnastu lat. Ojciec kupił ją dla Duranta, gdy chłopiec miał szesnaście lat, a Serephine niewiele ponad piętnaście. Matka Duranta nie żyła już, więc nie mogła zaprotestować, gdy dziewczyna wprowadziła się do domu i podczas spotkań w męskim gronie spełniała rolę gospodyni i pani domu. Oczywiście, kiedy z wizytą zjeżdżały damy, trzymała się z daleka. Sere-

phine i Durant mieli syna, który pobierał nauki we Francji.

- Nie mógł jej przecież zostawić - rzekła Elene. - A poza tym, to i tak nie ma najmniejszego znaczenia.

- Na pewno nie chcesz za niego wyjść?

Poirytowana Elene wzruszyła ramionami.

- Nie mam zamiaru za nikogo wychodzić.

- No to w porządku.

Devota miała rację. Wszystko było w porządku. Przed ślubem Elene często się zastanawiała, jak zachowa się w sprawie Serephine. Nie była wcale pewna, że Durant gotów jest odprawić kochankę. Nigdy o tym nie rozmawiali; większość białych kobiet w ogóle nie dopuszczała do siebie myśli o takim układzie, a już na pewno nie o nim nie wspominała. Zawsze istniała możliwość, że Durant zechce, by obie zamieszkały pod jednym dachem. Elene oczywiście nie wyraziłaby na to zgody i doszłoby do bardzo nieprzyjemnej próby sił. Jako że nie mogło być mowy o głębokim uczuciu łączącym ją z Durantem, wiedziała, że jej pozycja nie należałaby do najmocniejszych. Musiałyby więc ograniczyć się do utrudniania życia Serephine, by ta - zmęczona - z radością przeniosła się w końcu do innego domu. Nie była to najprzyjemniejsza wizja.

Devota nakryła do stołu. Porcje szynki, fasoli, chleba i owoców były bardzo obfite.

- Czy Ryan przyjdzie tu na kolację? - spytała Elene.

- Prosił, żeby na niego nie czekać, zje coś w kabinie kapitana. Chyba muszą porozmawiać.

- To usiądź i opowiedz mi o wszystkim, czego się tu dowiedziałaś.

Jednak Devota nigdy nie przekraczała ustalonych granic i dbała o to, by zawsze zajmować odpowiednie dla jej pozycji miejsce.

- Zapominasz, że jadłam dziś kolację. Wszystko ci

opowiem, ale najpierw wypiorę w wannie twoją bieliznę. Rano będzie już sucha.

Kiedy Elene skończyła jeść, poczuła się straszliwie senna. Chciała pomóc Devocie wysunąć wannę z kabiny i posprzątać, ale nie mogła znaleźć w sobie dość sił. Nigdy w życiu żadne łóżko nie wyglądało tak zachęcająco jak to proste stojące przy ścianie kabiny. Jedyną rzeczą, która ją powstrzymywała przed wsunięciem się pod kołdrę, był brak pewności, czy łóżko przeznaczone jest dla niej.

Nikt jednak nie wspomniał ani słowem o żadnej innej kabinie. Jeśli ona położy się tutaj, co zrobi Ryan?

- Myślisz, że mam spać tutaj? - spytała Devotę, z trudem dobierając właściwe słowa.

- Raczej tak.

- A ty? Łóżko nie jest zbyt szerokie, ale zmieścimy się na pewno.

- Nie martw się, mam już miejsce. - W głosie kobiety zabrzmiała czułość i dziwne rozbawienie. - No, kładź się. Zgaszę światło.

- A co z... - Elene ziewnęła przeciągle. - Co z Ryanem?

- Podejrzewam, że da sobie radę.

- Tak.

Devota stała przy lampce, w której palił się tłuszcz z wieloryba, gotowa, by ją zgasić. W jednej ręce trzymała moką bieliznę Elene. Mimo że dobrze ją wykręciła, na podłogę wciąż spadały krople wody. Może powiesi ją na pokładzie, gdzie wiatr wszystko szybko wysuszy. Elene wstała od stołu, opierając się dłońmi o jego blat. Przez chwilę się wahała, patrząc w śniadą twarz swojej służącej i ciotki, która, mając trzydzieści cztery lata, nie była dużo od niej starsza.

- Możesz mi coś powiedzieć? - spytała w końcu.

- Co tylko zechcesz, *chere*.

- Podśłuchałam coś w domu Faviera. Czy to prawda, że... poszłaś z nim do łóżka przez wzgląd na mnie?

Devota ściągnęła usta, a w jej oczach pojawił się szelmowski błysk.

- A czy musiałam to robić przez wzgląd na ciebie?

- Co przez to rozumiesz?

- Jestem kobietą, a on mężczyzną. Los chciał, że się spotkaliśmy. Takie rzeczy czasem się zdarzają.

Devota nie była kobietą prostą; bez trudu potrafiłaby skłamać, byle tylko nie martwić Elene.

- Z tą męskością u niego nie było chyba najlepiej. Przecież to ty musiałaś przekazać sygnał na statek.

- No, ale przynajmniej jesteśmy do siebie podobni. A o to nie jest łatwo.

Podobni. Devota na pewno miała na myśli, że razem z Favierem byli Mulatami, w ich żyłach płynęła mieszana krew. Widać to było w wilgotnych, brązowych oczach służącej, z których powoli zniknął wyraz rozgoryczenia. Elene się wzdrygnęła.

- Nie chciałam być wścibska.

- Masz do tego prawo, *chere*.

- Nie, raczej nie.

Devota potrząsnęła głową.

- Nie przejmuj się. Ja już prawie o tym zapomniałam.

Służąca wsunęła rękę do kieszeni fartucha i wyjęła małą szklaną buteleczkę. Podała ją Elene, po czym podeszła znów do lampy.

Dziewczyna spojrzała na buteleczkę i zacisnęła na niej palce. Perfumy, które Devota zrobiła specjalnie dla niej. Musiała je nosić w kieszeni fartucha przez cały ten czas. Elene nie chciała ich teraz użyć, lecz nie była w stanie odmówić służącej, która z takim poświęceniem przechowała dla niej niezwykły zapach. Odrobina na pewno nie zaszkodzi. Wyjęła koreczek i kilkoma kroplami olejku szybko posmarowała zgięcia łokci, szyję i zagłębienie

między piersiami, po czym zakorkowała flakonik i postawiła na stoliku.

- Są naprawdę śliczne - powiedziała z wymuszonym uśmiechem, siadając na łóżku. - Dobranoc.

- Dobranoc.

Lampka zgasła, skwiercząc, a za służącą zamknęły się drzwi. Elene położyła się i zamknęła oczy.

Obudziły ją wpadające do kabiny promienie słońca, które odbijały się od powierzchni wody i tańczyły na ścianach i suficie. Podziwiała je przez na wpół przy-mknięte oczy. Pomyślała, że od lat nie oglądała czegoś równie pięknego. Aż do tej chwili nigdy w pełni nie doceniała uroku budzącego się poranka.

Gdzieś nad nią ktoś musiał otworzyć iluminator. Delikatny wietrzyk poruszał jej złotymi lokami i szeleścił pościelą. Słyszała delikatny szum fal i monotony świst dziobu tnącego wodę. Wiatr kołysał linami statku, trzepotał żaglami, a gdy szkuner majestatycznie wznosił się i opadał na falach, skrzypiało drewno. Ruch ten działał na nią tak kojąco, że zaraz na pewno znów zapadłaby w sen.

Coś jednak wyraźnie jej przeszkadzało. Poduszka, na której opierała głowę, była zdecydowanie twardsza i cieplejsza niż ta, na której położyła się wieczorem. Na dodatek, pod jej ręką coś delikatnie pulsowało, zupełnie jak bicie serca.

To było bicie serca.

Nie powinna być tym wcale zaskoczona. Budziła się przecież dokładnie w ten sam sposób przez dwa ostatnie dni. A choć lewe ramię zupełnie ścierpło, nie było jej znowu aż tak niewygodnie. Nieoczekiwanie poczuła się bardzo bezpieczna. Ręka, spoczywająca pod jej policzkiem i palcami, nawet we śnie kryła w sobie wielką siłę, podobnie jak udo, na którym oparła zgięte kolano.

Otworzyła powoli oczy. Brązowy tors Ryana był nagi,

okrywało go jedynie przerzucone niedbale tuż nad talią prześcieradło. Pokrywające go czarne kręcone włosy zbiegały się w cienką linię, która znikwała pod białym materiałem pościeli. Widziała żyłą pulsującą na jego smukłej szyi i lekko tylko pociemniały podbródek. Minionego wieczoru znalazł wyraźnie dość czasu nie tylko na kąpiel, lecz także na pozbycie się trzydniowego zarostu. Przebiegła wzrokiem po jego ogorzałej od wiatru i słońca twarzy. Już pierwszej nocy zauważyła, że jego nos został kiedyś złamany, nie stracił przez to jednak nic ze swego uroku. Oczy mężczyzny ocieniały gęste czarne brwi i rzęsy. Zmysłowo wykrojone usta zdobiły w kącikach delikatne zmarszczki, których sieć pojawiła się także w kącikach oczu. Zdradzały skłonność do uśmiechu, lecz powstały głównie poprzez wpatrywanie się w bezkres morza w promieniach palącego słońca. Ciemnoniebieskie oczy przypominały barwą głębokie morze.

Obserwował ją, wytrzymując jej badawcze spojrzenie z humorem i cierpliwością.

- Nie zapomniałaś chyba, jak wyglądam - powiedziała, gdy ich oczy się spotkały.

- Nie jestem pewna - odparła z udaną powagą - czy kiedykolwiek wiedziałam.

- Ja zapamiętałem cię doskonale.

Mówił cicho, a w jego oczach na moment pojawił się żartobliwy błysk, gdy ujął złote pasmo jej włosów i przesunął między palcami. Chyba nigdy nie zapomni chwili, kiedy stanęła przed nim, wyniosła w blasku księżycy niczym królowa, po straszliwym starciu z dwoma napastnikami. Trzeba mieć w sobie niezwykłą wewnętrzną siłę, by tak szybko odzyskać równowagę i wytrzymać trzy dni w zamknięciu. Trudno się było spodziewać, by w takich okolicznościach dostrzegła w nim mężczyznę.

- Skoro tak dobrze mnie pamiętasz, czemu zawdzię-

czam dzisiejszą wizytę? Raczej nie powodowała tobą ciekawość.

- Dobrze wiesz, że to nie jest wizyta.

- Nie?

Jeden z kącików jego ust uniósł się delikatnie.

- Elene, ma *cherie*, czy naprawdę myślałaś, że po spędzeniu z tobą trzech upojnych nocy pozwolę ci teraz spać samotnie?

Próbowała się odsunąć, lecz objął ją mocniej.

- Mogłeś mnie chociaż zapytać! - rzuciła zapalczywie.

- Nie chciałybyś chyba, żebym cię budził w środku nocy?

- Pomyślałaś na pewno, że odmówię.

- I miałem rację, czyż nie? - Uniósł się na łokciu, patrząc w płonące gniewem srebrnoszare oczy.

- W istocie.

- Cieszysz się więc, że cię nie obudziłem, prawda? - szepnął, zbliżając usta do jej warg. Dłoń położył delikatnie na jej piersi. Fala emocji i niemal bolesne pragnienie, które wzbudził w niej jego dotyk, wydały się jej w tym otoczeniu bardzo dziwne, lecz okazały się tak słodkie i porywające, że natychmiast zapomniała o obronie.

Jak to się działo, że od razu poddawała się pożądaniu, które w niej budził? Nie tak miało być. Perfumy. To one ponosiły winę za obecność Ryana w jej łóżku i jej reakcję na jego pieśczoły. Żadne inne wyjaśnienie nie miało sensu. To wszystko przez perfumy.

Powód nie miał jednak najmniejszego znaczenia. Liczyła się tylko magia delikatnych pieśczoł, ich mieszające się oddechy, żar płynący z połączenia dwóch ciał i pulsująca gwałtownie w żyłach krew. Łagodne kołysanie statku podkreślało jeszcze płynność ich ruchów, a blask poranka, oblewający ich spocone ciała, nadawał ich połączeniu nowego wymiaru. Ignorując czas i jakże

mało istotne zakazy, pograżyli się w morzu nowo odnalezionej nadziei, znajdując w niej nie tylko radość, lecz także i niezwykle piękno.

Leżąc później na brzuchu z policzkiem opartym na zmiętym prześcieradle, Elene myślała, że wszystko byłoby bardzo proste, gdyby ludzie duchowo otwierali się przed innymi równie chętnie, jak oddają swoje ciało. Problem polegał na tym, że swoje najgłębsze pragnienia i największe potrzeby skrywali nawet przed sobą. Wiedziała o tym doskonale, bo sama postępowała podobnie.

Materac wygiął się, gdy Ryan powoli usiadł na łóżku. Po chwili usłyszała tupot jego nagich stóp po podłodze. Ruszył w kierunku stołu, lecz zanim zdążyła się poruszyć, już był przy niej. Odrzucił prześcieradło okrywające jej biodra.

Przewróciła się na bok, lecz chwycił ją za kostki, kładąc z powrotem na brzuchu. Z trudem spojrzała na niego przez ramię.

- Co robisz?

- Jeszcze nic, ale zamierzam się zająć twoimi stopami. Nie ruszaj się.

- Moimi stopami? A to co takiego?

Powoli odkręcał pokrywkę ze słoika z mało apetycznie wyglądającą mazią. W powietrzu uniósł się zapach kojarzący się Elene z maścią dla koni.

Mamy na pokładzie człowieka, który pod kierunkiem słynnego medyka przez sześć miesięcy zgłębiał w Edynburgu podstawy leczenia. Marynarze na pokładzie dziobowym nazywają go doktorkiem. Rewanżuje się im, opatrując od czasu do czasu rany. A ponieważ nie ma na swoim koncie więcej ofiar niż jego koledzy na stałym ładzie, cieszy się sporym wzięciem. To on przyrządził ten balsam.

Elene skrzywiła się lekko, gdy przyłożył maść do jej

stopy. Spodziewała się, że zacznie ją straszliwie szczypać, lecz zamiast tego poczuta kojące ciepło. Mimo że leżała nieruchomo, Ryan mocno przytrzymał ją za kostkę. Nagle otoczył ją bardzo mocny zapach, zabijając nawet woń jej perfum. Uniosła się delikatnie na łokciach.

- Jesteś pewien, że ten twój doktorek nie studiował w stajni? - spytała mocno sceptycznym tonem.

- Poczują się urażony. Moim skromnym zdaniem mięśnie i skóra koni i ludzi, gdy bołą, nie różnią się od siebie aż tak bardzo.

Mówiąc to, przyklęknął na jedno kolano. Zażenowana Elene uświadomiła sobie, że jej ciało w tej pozycji nie ma dla niego żadnych tajemnic. Udając wielkie opanowanie, mruknęła:

- Cofam moje słowa. Czuję się o wiele lepiej. Dziękuję.
- Doktorek będzie bardzo uradowany.

Mówił cicho, zbyt cicho, a delikatny masaż stóp hipnotyzował ją swoją czułością.

- Jest... jest już na pewno bardzo późno. Zastanawiam się, gdzie podziewa się Devota?

- Podejrzewam, że odpoczywa i w pełni na to zasłużyła. Poza tym, jest zbyt taktowna, by zjawiać się u ciebie o tak wczesnej porze.

- Chcesz przez to powiedzieć, że wie o twojej obecności?

- Jest przecież inteligentną kobietą. - Z tymi słowami zajął się jej drugą stopą.

- Ciekawa jestem, czy inni już wstali.

- Nie mam pojęcia - odparł krótko. - Nie znam tych ludzi.

- Nie jesteś zachwycony, że znaleźli się na twoim statku, prawda?

- Nie mamy czasu na zajmowanie się pasażerami.

- Mogłeś ich zostawić.

- Musiałbym ich chyba wyrzucać za burtę, jednego

po drugim. Ach, już rozumiem. Tego się właśnie po mnie spodziewałaś. No, ale zasłużyłem sobie na taką opinię. Gambierowi też się to wszystko nie podoba.

- Durantowi? Rozmawiałeś z nim? - Raz jeszcze spojrzała na niego przez ramię.

- Raczej on rozmawiał ze mną. Odszukał mnie wczoraj wieczorem i domagał się wyjaśnień. Bardzo chciał się dowiedzieć, jak to się stało, że zjawiłem się na pokładzie z jego narzeczoną.

- Co mu powiedziałeś?

- Prawdę.

- Co takiego?!

- No, nie całą. Nie uznałem za stosowne zaspokajając jego ciekawości w najbardziej nurtującej go kwestii.

- Czyli jakiej? - spytała, pełna najgorszych przeczuc.

- Czy nadal jesteś dziewicą.

Podskoczyła gwałtownie, próbując przyjąć pozycję siedzącą, lecz Ryan nadal mocno trzymał ją za kostki.

- Puść mnie.

- Nie, dopóki mi nie powiesz, co cię tak zdenerwowało.

- Dlaczego miałabym się denerwować? Powinnam chyba uznać za wielki zaszczyt to, że dwóch mężczyzn rozprawia o mojej nocie na pokładzie statku.

- Nie ja o tym rozmawiałem, tylko Gambier.

- Wielkie dzięki. Na pewno. Czy będziesz tak łaskawy i poinformujesz mnie, jaką umowę zawarliście po tej jakże pouczającej dyskusji, czy mam się domyślać jej warunków po twojej obecności w moim łóżku dziś rano? - Kopnęła ze złością nogą, lecz nie mogła się uwolnić się z jego uścisku.

Wyprostował się pełnym gracji ruchem, a po chwili poczwała na sobie jego ciężar. Przycisnął jej ponętnie zaokrąglone biodra, a jego ramiona otaczały ją niczym okowy.

- Nie było żadnej umowy - szepnął jej prosto do ucha. - Wolałabyś, by moje miejsce zajął teraz Durant?

- Puść mnie - rzuciła przez zaciśnięte zęby.

- Najpierw odpowiedz na moje pytanie.

Szybko odkrył, że przyjęcie takiej pozycji było błędem. Elene wiała się pod nim, próbując się uwolnić, a on natychmiast poczuł znajomy skurcz w dole brzucha. Nie zamierzał jej jednak puścić, dopóki nie usłyszy odpowiedzi. Zbyt była dla niego ważna.

- Powiedziałaś mi już, co myślę o narzuconym mi małżeństwie. Jak możesz mnie o to jeszcze pytać? A może chcesz w ten sposób zaspokoić swoją próżność?

Zsunął się z niej natychmiast i wyciągnął na łóżku.

- Próżność? - powtórzył z obrzydzeniem.

- A cóż innego?

Rzeczywiście, co innego mogło nim kierować? Spojrzał na nią, leżącą z włosami rozrzuconymi na pościeli. Ich złota fala na wpół skrywała ramiona i piersi i spływała aż po smukłą kibić. Patrzył na jasne szare oczy, wdychał upajający zapach będący niemal częścią jej ciała i nagle zapragnął jej tak mocno, że aż poczuł fizyczny ból i przejmujący ucisk w sercu.

- Nie zamierzam rezygnować z ciebie tylko dlatego, że jakiś plantator roszczący sobie do ciebie prawa ocalił skórę, wdrapując się na mój statek - powiedział bardzo poważnym tonem. - Z drugiej jednak strony, wczoraj wieczór pokazałaś, jak bardzo zależy ci na poważaniu innych. Teraz, gdy twój narzeczony powstał z martwych, nie chciałbym, abyś straciła je przeze mnie.

- Rozumiem - odparła z lodowatym błyskiem w oku. - Dlatego zainstalowałeś mnie w swojej kabynie i spędziłeś ze mną noc. Chciałeś dać Durantowi do zrozumienia, że dostanie towar z drugiej ręki. A ty oczywiście nie będziesz się musiał zniżać do rozmowy na ten temat.

- Ależ skąd - odparł szybko, bardzo pewnym głosem. - Zrobiłem to, bo absolutnie nie mogłem postąpić

inaczej. Wiedziałem, że nadchodzi poranek i chciałem znaleźć się właśnie tutaj, żeby zobaczyć cię w blasku słońca.

Zaskoczona wciągnęła głęboko powietrze. Poczula nagłe ukłucie bólu, jakby ktoś zranił ją śmiertelnie ostrym narzędziem. Nie dała tego jednak po sobie poznać.

- A skoro już to zrobiłeś? - spytała, unosząc dumnie podbródek.

- Teraz, jeśli Durant zechce cię odzyskać, będzie cię musiał zabrać mi siłą.

- Sądzę, że to ja powinnam dokonać wyboru.

- Myślałem, że już to zrobiłaś.

- Fakt, że nie chcę, by Durant zabrał mnie jak źle dostarczoną do adresata paczkę, nie oznacza wcale, że postanowiłam związać się z tobą. Dałeś mi wyraźnie do zrozumienia, że nie byłoby to najmądrzejszym posunięciem. - Elene usiadła, odrzucając na bok falę włosów i splatając ramiona na piersiach.

- Głupio zrobiłem.

- A to co znaczy? - spytała podejrzliwie.

- Nic. Zawsze jesteś taka napastliwa przed śniadaniem?

Na jego twarzy pojawił się bardzo uprzejmy, nie zdradzający żadnych uczuć wyraz. Nie było sensu pytać go dalej. Na pewno niczego więcej się nie dowie. I dobrze. Wcale nie wiedziała, czy tego chce. Tylko dlaczego?

Oczywiście nie zdążyli na śniadanie. Ryan otworzył drzwi i zawołał na chłopca okrętowego, by przyniósł im kawę. Z jedzeniem postanowili jednak poczekać do obiadu. Ryan szybko narzucił ubranie i wyszedł z kabiny. Po drodze musiał się zatrzymać, by porozmawiać z Devotą, gdyż kilka minut później służąca zjawiła się, żeby pomóc Elene w porannej toalecie.

Kiedy nareszcie stanęła w sukni przybranej złoto-brązowymi aplikacjami, w pantofelkach na nogach i z wło-

sami zaplecionymi w elegancką koronę, po raz pierwszy od wielu dni poczuła, że wygląda jak należy. Nie było w niej ani cienia próżności, lecz z bólem myślała o tym, jak musiała wyglądać poprzedniego wieczoru w podartej i zabłoconej sukni, w zniszczonych bucikach, ze spletanymi włosami i podkrążonymi ze zmęczenia oczami. Być może uda się jej dzisiaj - choćby częściowo - zatrzeć to przykre wrażenie. Nie zapomni, że swój przyzwoity wygląd zawdzięcza aktorce o imieniu Hermine. Bała się tylko, że Ryan zostawi ją i będzie musiała sama wejść do wspólnej sali. Nie przejęła się tym zbytnio, lecz po jego manewrze z kabiną, kiedy dał wszystkim do zrozumienia, co ich łączy, nie widziała powodu, dla którego miałyby się spotkać z resztą pasażerów bez jego wsparcia.

Martwiła się zupełnie niepotrzebnie. Ryan zjawił się równo z biciem dzwonu, który obwieszczał południe i zmianę wachty. Przyjrzał się jej, po czym potrząsnął głową.

- Twój poranny strój podobał mi się znacznie bardziej - powiedział.

- Ale nie miałam... - zaczęła, po czym urwała poirytowana, gdy pojęła, co miał na myśli.

- No właśnie - mruknął, wsuwając jej ramię pod swoje i podziwiając rumieniec, który wypłynął na bladą twarz. - Idziemy?

Podobnie jak minionego wieczoru pozostali pasażerowie już na nich czekali. Gdy Elene weszła z Ryanem do sali, panowie wstali, a panie przyglądały im się bez cienia zażenowania. Młoda, chuda córka plantatora zachichotała nerwowo. Durant stał oparty o ścianę. Patrzył na nich pałającymi gniewem oczami. Milczenie przerwał jednak aktor Morven Ghent, który wystąpił z grona zebranych ze szklanką wypełnioną bursztynowym płynem w ręce. Jego przystojną twarz zdobił ognisty rumieniec.

- To dla nas prawdziwy zaszczyt - zaczął donośnie,

choć jego głos nie brzmiał całkiem wyraźnie z powodu wypitego alkoholu. - I wielkie szczęście. Smak czekającego nas posiłku podniesie wybornie towarzystwo naszego gospodarza, Ryana Bayarda, i jego pięknej ukochanej!

-VII-

- Morven! - wykrzyknęła Hermine - Na miłość boską, zachowuj się przyzwoicie!

Spojrzał na nią, wciąż stojąc w teatralnej pozie. Uśmiechnął się smutno.

- Czy powiedziałem coś nie tak? Powinienem przeprosić?

- Natychmiast!

- Trzymająca mnie w niewoli czarownica przemówiła i muszę być posłuszny lub zostanę ukarany, czego moja wrażliwa dusza chyba nie przeżyje. - Odwrócił się do Ryana i skłonił z wielką galanterią. - Błagam cię, panie, byś razem ze swą damą wybaczył mi to drobne przejęzyczenie. Jeśli jednak twa łaskawość nie sięga tak daleko, będę z pokorą oczekiwał przybycia twych sekundantów.

Ryan spojrzał na niego ostro.

- Jeśli chcesz mi sprawić przyjemność, Morven, to zachowaj swoje talenty dla sceny.

- Wszystko zepsułeś - odparł aktor. - Damy czekały, by na podłogę połała się nasza krew. Czy odmówisz im tak skromnej przyjemności?

- Z bólem serca, ale nie chcę słyszeć jęków, które rozległyby się na pewno, gdybym tylko drasnął cię w ramię, nie wspominając już o płomiennych mowach, którymi zapragnąłbyś nas uraczyć przed śmiercią.

- Cóż znaczą twe słowa? Jestem wszak najdzielniejszym z ludzi.

- Jesteś wielkim oszustem, jak wszyscy aktorzy.

Morven westchnął przeciągle.

- Może masz rację, lecz skąd ta pewność, skoro nie chcesz mnie wyzwąć?

- Zrobię to natychmiast - powiedział cicho Ryan - gdy tylko zaczniesz naprzykrzać się tej damie.

Aktor uniósł wysoko brwi.

- Ach tak? Zostałem więc ostrzeżony. - Odwrócił się do Elene. - Jestem pełen skruchy. To szczerą prawdą, pani.

Docinki obu mężczyzn dały wszystkim wyraźnie do zrozumienia, że panowie doskonale się znają. Co więcej, Morven Ghent miał rację. Niejedna dama była rozczarowana, że nie doszło między nimi do pojedynku. Przez ułamek sekundy Elene była gotowa sama zranić aktora, jednak zaraz dostrzegła w jego zielonych oczach diabelski błysk. Szybko doszła do wniosku, że będzie musiała się przyzwyczaić do jego niezwykłego sposobu bycia i rzucanych na wszystkie strony żartów.

Morven Ghent był niezwykle przystojnym mężczyzną. Blasku jego kruczoczarnych włosów mogła pozazdrościć niejedna kobieta. Twarz aktora miała klasyczne rysy, a on sam prezentował się niezwykle elegancko. Jego jedyną wadą było to, że zdawał sobie doskonale sprawę z imponującego wyglądu, a efekt, jaki wywierał na innych, sprawiał mu wyraźną przyjemność.

- Pan Ghent, jak rozumiem? - Elene wyciągnęła do niego rękę.

- Do usług, piękna pani. Ufam, że doszła już pani do siebie po ciężkich przejściach, gdyż wygląda pani przesłicznie. Pragnieniem wszystkich dam powinno stać się poznanie równie wielkiego niebezpieczeństwa, jeśli dzięki temu będą wyglądać równie uroczo.

Elene wiedziała doskonale, że wyszukane komplementy były w pewnych kręgach bardzo modne i stano-

wiły pozbawiony większego znaczenia przejaw uprzejmości. Mimo to słuchała ich z przyjemnością.

- Jest pan zbyt łaskawy.

Gdy aktor wciąż kwieciście zaprzeczał, siedząca tuż obok nich pulchna matrona odezwała się z pełną rozsądkiem szczerością:

- Pan Ghent robi wszystko co w jego mocy, by komplementami poprawić nastrój znajdujących się na pokładzie statku dam. To doprawdy miłe, gdyż nie jesteśmy w najlepszej formie. Pani, *chere*, wygląda jeszcze na zmęczoną. Proszę nam opowiedzieć o swoich przykrych przeżyciach.

Morven Ghent odsunął się na bok.

- Pani pozwoli, że przedstawię madame Françoise Tusard, żonę jednego z tuzów urzędniczego świata wyspy, którą właśnie zostawiamy za sobą. Przykro mi, ale zapomniałem, jaką zajmował pozycję.

- Jest, a raczej był zastępcą komisarza - odparła dama, a jej okrągła, pokryta plamami twarz zarumieniła się ze złości na dźwięk tak wyraźnego braku szacunku dla stanowiska małżonka. Duże, wylupiate oczy kobiety były bladoniebieskie, szeroki nos miał mocno zaokrąglony czubek, a cienkie włosy siewały w mało atrakcyjny sposób. Suknia z wiśniowego muślinu w czarne kropki noszona na płócienną halkę była nieco zniszczona, lecz nadal można ją było uznać za modną. Dłonie damy zdobiły wiśniowe rękawiczki, jakby nawet w samym środku wielkiego zamieszania próbowała zachować pozory.

- Madame. - Elene skłoniła się grzecznie.

- Stojący za mną dżentelmen to mój mąż, monsieur Claude Tusard. - Matrona wskazała na pulchnego mężczyznę z wąsem, ubranego w zmięte bryczesy, żakiet i kamizelkę oraz koszulę, której wysoki kołnierz znacznie utrudniałby ruchy, gdyby nie był aż tak powykrzywiany. Mężczyzna obrzucił Elene taksującym spojrzeniem i ni-

sko się skłonił. Zanim zdążyła odwzajemnić ukłon, jego żona powtórzyła:

- Proszę usiąść i wszystko nam opowiedzieć.

- Nie, nie - zaprotestował Morven. - Nie wolno pani zatrzymywać tej młodej damy tylko dla siebie.

Madame Tusard wyglądała tak, jakby nagle nabrała w płuca zbyt dużo powietrza.

- Rozumiem, że uważa pan to za swój wyłączny przywilej.

- Jak może pani sugerować coś podobnego, gdy nasz gospodarz jest tak blisko? Czy aż tak bardzo chce pani sprawdzić, jaki kolor ma moja krew? Chodzi mi tylko o to, że ta młoda dama i kapitan Bayard muszą poznać także innych pasażerów.

Elene odniosła wrażenie, że jest właśnie świadkiem jednej z tych niewielkich bitew o przejęcie panowania w towarzystwie, do których dochodzi zawsze wtedy, gdy spotyka się jakaś grupka osób. Morven Ghent miał naturalny talent do przejmowania głównej roli, podczas gdy madame Tusard wyglądała na damę, do której zawsze należy ostatnie słowo, w czym wydatnie pomagała jej pozycja zajmowana przez męża. Tym razem jednak musiała się poddać.

Elene, z Morvenem u jednego boku i Ryanem u drugiego, została przedstawiona wszystkim zebranym. Pierwszą osobą, którą poznała, okazała się trzecia członkini trupy aktorskiej, młoda kobieta z Martyniki, Josephine Jocelyn, naśladowująca nieudolnie żonę Napoleona, której najwyraźniej zawdzięczała część swego scenicznego pseudonimu. Obracając w palcach ciemne pasmo kręconych włosów, mrugała rzęsami i wydymała usta w kierunku Ryana, ignorując zupełnie Elene.

- Mówią do mnie Josie - oznajmiła. - Nie będę miała nic przeciwko temu, jeśli pan też będzie tak mnie nazywał.

Następna młoda panna, Flora Mazent, nie mogła się bardziej od niej różnić. Była tak nieśmiała, że z trudem podnosiła głowę, a jej niemal przezroczysta twarz zalewała się malinowym rumieńcem, gdy tylko uświadamiała sobie, że znajduje się w centrum uwagi. Jej jasne brwi i rzęsy prawie nie odcinały się od bladej twarzy. Była przeraźliwie chuda i bardzo płaska. Przywitała się z Elene cichutko, rzucając jej ukradkowe spojrzenie zbyt blisko osadzonych orzechowych oczu.

- Mów głośniej, Floro - powiedział do niej stojący w pobliżu ojciec, lecz jego słowom brakło przekonania, jakby wiedział, że nie odniosą najmniejszego skutku.

Monsieur Mazent był wdowcem, postawnym, ubranym na szaro mężczyzną o rzadziejących włosach i takich samych jak u córki orzechowych oczach. Miał też dziwny zwyczaj stania z ręką przyciśniętą do brzucha. Był plantatorem, lecz podobnie jak ojciec Elene stracił posiadłość w czasie pożaru. Nie został jednak całkowicie zrujnowany, gdyż posiadał ziemię także w Luizjanie.

- No, skoro mamy to już za sobą - odezwała się madame Tusard - może przejdziemy do stołu. Widzę, że przyniesiono jedzenie, zjawił się też nasz kapitan.

Do posiłku usiadło jedenaście osób: sześciu mężczyzn i pięć kobiet zajęło miejsce przy trzech stołach. Przy usadzaniu pasażerów nie kierowano się żadnymi szczególnymi względami. Elene i Ryan siedzieli razem z Morvenem Ghentem i Hermine. Kapitan usiadł obok Josephine, razem z monsieur Mazentem i jego córką Florą. Durantowi pozostało towarzystwo państwa Tusard. Stoły ustawiono w niewielkiej jadalni tak blisko siebie, że można było rozmawiać bez najmniejszych przeszkód. Zaraz też podano prosty, gęsty gulasz z krewetkami i kiełbasą oraz ryż. Z dużego rondla na długiej rączce nalewał go steward, który wracał potem z butelką wina i koszykiem chrupiącego chleba. Kiedy obsłużył wszystkich, zniknął bez słowa.

Gdy Elene spytała Ryana o Devotę, dowiedziała się, że razem ze służącą panny Mazent zje posiłek w niewielkim pokoiku przy kuchni. Nigdzie nie było też widać kochanki Duranta, Serephine. Na pewno nie miała ochoty jeść ze służbą, lecz madame Tusard zapewne ostro by zaprotestowała, gdyby kolorowa utrzymanka Duranta zajęła wolne krzesło przy jej stole. Przebywanie na tak ograniczonej powierzchni na pewno stwarzało poważne problemy dla kobiety, która nie należała do żadnego ze światów. Serephine prawdopodobnie zjadła posiłek gdzieś w samotności, w miejscu, które dla niej przeznaczone.

Nie wszyscy mogli liczyć na taki luksus i zajmować kabinę, jaka przypadła w udziale Elene i Ryanowi. Devota powiedziała jej, że pozostałe kobiety tłoczyły się w dwóch niewielkich pomieszczeniach, podczas gdy mężczyźni spali razem z załogą. Kapitan Jean zrobił wszystko, by madame Tusard nie dowiedziała się o obszernej, wygodnej kabinie zajmowanej przez właściciela statku. Obawiał się bowiem, że zechciałaby ją zarekwirować dla siebie i męża.

Rozmowa przy stole Ryana była niezwykle ożywiona. Hermine podtrzymywała ją, opowiadając zabawne dyktetyki i rzucając dowcipne uwagi. Miała niezwykle poczucie humoru i nie oszczędzała nikogo, zwłaszcza siebie. Z Morvenem poczynała sobie tak bezceremonialnie, iż od razu stało się jasne, że łączy ich coś więcej niż tylko wspólna miłość do teatru. Tymczasem on otwarcie zalecał się do Elene, obsypując ją wyszukаныmi komplementami i wzdychając przejmująco, gdy tylko uwaga Ryana skierowana była na kogoś lub coś innego.

Kiedy Hermine zauważyła, jak Elene marszczy brwi na widok przeciągłego spojrzenia aktora, roześmiała się serdecznie.

- Cała sztuka polega na tym, by nie zwracać na Mor-

vena uwagi. Nie oznacza to wcale, że jest nieszczerzy, ależ skąd. Po prostu traci panowanie nad sobą w obecności kobiet, a zwłaszcza tych, których na pewno nie może mieć.

Morven odwrócił się w jej stronę z wyrazem bólu na twarzy.

- Skarbie, jak możesz?

- Przecież to prawda. Pomyślałam, że trzeba szybko ostrzec Elene, mój kochany, żebyś nie musiał za chwilę rozmasowywać bolącego policzka.

Morven potrząsnął głową, patrząc smutno na Elene.

- Ależ z niej zazdrosna lisica.

- Naprawdę? - Elene musiała się uśmiechnąć, słysząc tę uwagę.

- Nie wiem, dlaczego jeszcze znoszę jej obecność.

- Podejrzewam, że to ona musi pana znosić.

- *Et tu Brute?* Dołączy pani do moich wrogów i zacznie się ze mnie wyśmiewać?

- Kobiety są bez serca - oświadczyła posępnym tonem. - Nie możemy się powstrzymać.

- Nie znoszę mądrych i przebiegłych kobiet.

- Wielkie nieba, czy na zawsze wypadłam z łask?

- Tak sędzę.

- Przypuśćmy, że obiecuję obejrzeć pana występ w Nowym Orleanie, bo spodziewam się, że będzie pan tam grał?

- Ależ tak! W takim wypadku będę panią kochał szalenie aż po grób.

- Bardzo sprytne - rzuciła Hermine.

- W istocie - odparł Ryan. - Elene, madame Tusard bardzo chce zamienić z tobą parę słów.

Żona urzędnika przechyliła się przez przejście dzielące oba stoły.

- Panno Larpent, pamiętam, że dom pani ojca był jednym z pierwszych, które zostały spalone parę dni te-

mu. Zastanawiam się, jak udało się pani przetrwać aż do wczorajszego wieczoru?

Pytanie skierowane było do Elene, lecz spojrzenie starszej pani przebiegało podejrzliwie między dziewczyną i Ryanem. Elene zmusiła się do uśmiechu.

- Nie udałoby mi się ująć z życiem bez pomocy mojej służącej. Razem znalazłyśmy osobę, która zgodziła się udzielić nam schronienia.

- To wielkie szczęście. A któż to był?

Elene wyjawiała nazwisko właściciela domu.

- Sądzę, że to jeden z pańskich znajomych, panie Bayard.

- W istocie.

- Wygląda więc na to, że ten Favier ukrywał was oboje. - Oczy Francoise Tusard pałały chęcią zdobycia pikantnych informacji. Palce zacisnęła na łyżce tak mocno, że aż zbielały ich kostki.

- Tak - odparła Elene i próbując zmienić temat, spytała. - A pani i mąż?

- Och, to zbyt straszne. Ukrywaliśmy się przez wiele godzin w pustych beczkach na sól stojących w szopie. Byłam pewna, że się uduszę, lecz te dzikusy wreszcie odeszły, by spalić i złupić inną posiadłość, dzięki Bogu. Czyż nie tak, Claude?

- Tak, *chere* - odparł chrapliwie jej mąż, gdy tylko przełknął kęs chleba.

- Nie chciałam oczywiście powiedzieć, że dzięki Bogu zaatakowano kogoś innego, tylko że udało nam się wyjść z tego bez szwanku. Nikomu nie życzę takiego losu, jaki stał się udziałem naszych biednych sąsiadów. Obok nas mieszkała wdowa Clemenceau z trzema córkami. Nie uwierzy pani, co z nimi zrobiono! Ich ciała znaleziono następnego ranka, straszliwie zmasakrowane.

Szczegóły były naprawdę przerażające, lecz kobieta nie zawahała się przed przytoczeniem ich w całej rozciągłości.

- Oczywiście, nie był to jedyny taki incydent w okolicy - zakończyła swoją relację, wzdrygając się. - Mam nadzieję, że pani nie spotkał podobnie straszliwy los?

- Gdyby tak było, na pewno nie chciałabym o tym rozmawiać - odparła zimno Elene.

- Bardzo rozsądnie. - Kobieta pochyliła się jeszcze bardziej, niemal ryzykując upadek z krzesła - Ale czy naprawdę nic się pani nie stało?

- Nic.

- To dobrze, to bardzo dobrze - powiedziała madame Tusard bezbarwnym głosem, sadowiac się wygodnie.

Elene spojrzała na Duranta, który w napięciu przysłuchiwał się ich rozmowie. Przebiegła potem wzrokiem do sąsiedniego stolika, gdzie kapitan Jean i młoda aktorka Josephine Jocelyn siedzieli z Mazentami. Josie oparła się o krzesło tak mocno, że przez delikatny materiał jej taniej sukni widać było zarys piersi i sutków. Pan Tusard nie spuszczał wzroku z dziewczyny, lecz ona kierowała swe słodkie uśmiechy wyłącznie do Ryana.

Widząc to Hermine potrząsnęła głową.

- Josie też nie bardzo nad sobą panuje.

Ryan zignorował zupełnie awanse dziewczyny. Oderwał kawałek chleba z dużego bochenka leżącego tuż przy jego talerzu. Spojrzał na Elene i w jego niebieskich oczach pojawił się błysk rozbawienia. Wiedziała doskonale, że gdyby tylko zechciał, bez trudu potrafiłby ukrócić zapał Morvena i powstrzymać potok pytań wścibskiej madame Tusard. Zamiast tego pozwolił, żeby broniła się sama. Najwyraźniej chciał, by pozbawiona jego ochrony doceniła, jak bardzo jest ona cenna.

Elene nie chciała jednak, by miał okazję docenić awanse Josie. Pokusa mogła okazać się zbyt silna. Odwróciła głowę i pochyliła się, przechwytyjąc spojrzenie ciemnowłosej aktorki. Patrząc jej zimno prosto w oczy, powoli uniosła w górę brew. Josie wyprostowała się na

krześle, obrzuciła uważnym spojrzeniem iluminatory, po czym całą uwagę skoncentrowała na stojącym przed nią talerzu. Ujęła łyżkę i zaczęła powoli jeść.

Elene z niewinnym wyrazem oczu odwróciła się do Ryana.

- Ten gulasz jest naprawdę znakomity i... - powiedziała ze szczerym uznaniem w głosie i urwała w połowie zdania. Zamarła. Na twarzy Ryana malowało się tak wyraźne pożądanie, że serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

Na ratunek pospieszył jej monsieur Mazent siedzący najbliżej przy sąsiednim stole.

- Przyznaję, smakuje wyśmienicie, lecz trochę za dużo tu przypraw, zwłaszcza papryki. Mój żołądek będzie musiał stoczyć ciężką walkę.

- Ależ tato - szepnęła jego córka.

Kapitan Jean natychmiast zaproponował plantatorowi omlet, lecz spotkał się z niezwykle uprzejmą odmową. Gdy próbował nalegać, Flora Mazent potrząsnęła głową szepcząc niemal niesłyszalne podziękowanie. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy. Kiedy kapitan znów pochylił się nad talerzem, zerkała na niego kątem oka, a na jej bladych wargach pojawił się uśmiech satysfakcji.

Kiedy podany na deser pudding chlebowy został zjedzony do ostatniej okruszyny, wszyscy wyszli na pokład, gdzie zrobiona z żagla markiza osłaniała delikatną skórę dam przed palącym słońcem. Pod tym prowizorycznym daszkiem ustawiono kilka krzeseł. Dodatkowe miejsca siedzące zapewniono dzięki słomianym siennikom używanym przez marynarzy do spania.

Po paru dniach spędzonych w mrocznej piwnicy Elene nie mogła się nacieszyć słońcem. Siedziała na sienniku i obserwowała lśniąca wodę, oblane blaskiem żagle i reling. Nagle ogarnęło ją niezwykle pragnienie, by zrzucić ubranie, wyciągnąć się w promieniach słońca

i chłonać je całym ciałem. Siedziała jednak spokojnie, obejmując kolana ramionami, by wiatr nie wydymał jej spódnicy.

Madame Tusard snuła swoją kolejną przerażającą opowieść o kobiecie, której rebelianci odcięli głowę. Straszliwe wydarzenia na Santo Domingo wyraźnie ją fascynowały i nie mogła się powstrzymać, by nie dzielić się nimi z pozostałymi pasażerami.

- Nie rozumiem tylko - wyznała, gdy przedstawiła już wszystkie makabryczne szczegóły wydarzeń - dlaczego musiało dojść do tego wszystkiego. Dlaczego nasi Murzyni zwrócili się przeciw nam z tak strasliwym okrucieństwem? Nigdy wcześniej coś takiego nie miało przecież miejsca.

- Rewolucja we Francji - odezwał się jej mąż.

- Tak, może wyciągnęli odpowiednie wnioski z rządów terroru - rozwinęła jego myśl Hermine.

- A może sami daliśmy im przykład - rzekła niemal do siebie Elene.

Madame Tusard odwróciła się do niej z wyrazem oburzenia na twarzy.

- Co chce pani przez to powiedzieć?

Elene pożałowała swoich słów, nie mogła ich jednak cofnąć.

- Pamiętam, że jako dziecko słyszałam podawane szeptem z ust do ust informacje o tym, co niektórzy plantatorzy robili ze swoimi niewolnikami. Jak grzebali ich żywcem za drobne przewinienia, przecinali ścięgna w nogach uciekinierów, by okaleczyć ich do końca życia, zmuszali kobiety do pracy w polu zaledwie godzinę po urodzeniu dziecka, nie wspominając już o chłostach i wypalaniu piętna na skórze.

- W istocie, może jakaś niewielka grupka posuwała się do takich okropności - zgodził się z nią Mazent - ale któż byłby tak głupi, by niszczyć swoją własność i to

dość cenną? Nie postępuje się tak przecież z końmi ani roboczymi mułami.

- Robią to ludzie, którzy się boją. Wyspa zawsze leżała bardzo daleko od ośrodków władzy i trudno było liczyć na pomoc z zewnątrz. Na każdego białego przypadało dwudziestu niewolników. Na długo przed pierwszym powstaniem wszyscy wiedzieli, że zjednoczeni niewolnicy będą stanowić straszliwą siłę. Plantatorzy doszli więc do wniosku, że mogą utrzymać ich w ryzach, tylko siejąc powszechny strach.

Dokładnie tak postępował jej ojciec. Swego podejścia do kwestii niewolnictwa nie potrafił zmienić nawet na prośbę córki.

- No tak, niewolnicy okupili wolność własną krwią, ale dokąd ich to zaprowadziło? Wciąż walczą i walczą.

- Pod przywództwem Toussainta...

Madame Tusard prychnęła z pogardą.

- Proszę nie wymieniać przy mnie nazwiska tego człowieka! Któż to widział, by Murzyn stał na czele rządu? To śmieszne.

- W warunkach, w jakich przyszło mu rządzić, poradził sobie całkiem nieźle.

- Sam musiał korzystać z bata, by wygnać w pole swoich popleczników. Musieli przecież jakoś zarobić na życie. Czyż nie tak, Claude?

- Oczywiście, *chere*.

Pomoc nadeszła z zupełnie nieoczekiwanej strony.

- Gdyby Toussainta zostawiono w spokoju - powiedział Ryan - pani małżonek mógłby wciąż zajmować swoje stanowisko, a pozostali nie straciliby domów i majątków. Nie byłoby też tylu ofiar. Za ostatnią masakrę odpowiedzialność ponoszą Napoleon i jego szwagier Leclerc, którzy przywrócili niewolnictwo i skazali Toussainta na śmierć w więzieniu.

- Dobrze panu tak mówić. Pan nie stracił fortuny na

Santo Domingo, może ledwie kilka lirów na ostatniej dostawie towarów.

- Dzięki temu mogę zachować obiektywizm, na który państwo nie mogą sobie pozwolić.

- Obiektywizm? - wykrzyknęła madame Tusard z pogardą. - Spędziliśmy z Claude'em na Santo Domingo dwadzieścia pięć lat, z wyjątkiem może dwóch, gdy na wyspie doszło do najostrzejszych walk. Pochowaliśmy tam dwóch synków. Oddaliśmy wyspie naszą młodość, nasze nadzieje i marzenia. I co nam zostało? Nic. Musieliśmy porzucić nawet groby naszych dzieci.

Zaczęła płakać, kołyszając się wolno na krześle. Mąż poklepał ją delikatnie po ramieniu. Na jego ciche słowa pociechy odpowiadała rozdzierającym szlochem. Na pokładzie zapanowało pełne powagi milczenie.

Jakiś czas potem do zebranych dołączyła Devota i zostali, którzy skończyli posiłek. Wyszli na pokład całą grupą, której przewodziła Serephine, mówiąca coś ze śmiechem do Devoty i Germaine, służącej panny Mazent.

Żona urzędnika patrzyła zaczerwienionymi oczami na Mulatkę, która podeszła do siedzącego z boku Duranta. Chwilę później wstała dostojnie, najwyraźniej pragnąc uniknąć jakiegokolwiek kontaktu z kolorową kobietą.

- Czy któraś z pań zechce się przejść ze mną po pokładzie? - rzuciła konspiracyjnym tonem.

Hermine i Josephine zdawały się nie słyszeć jej propozycji. Flora Mazent wzywała swoją służącą, krzycząc do niej, że potrzebna jej jest wstążka do przytrzymania kapelusza. Elene, powodowana poczuciem winy, gdyż to ona stała się przyczyną wybuchu rozpaczy madame Tusard, zmusiła się, by wstać i towarzyszyć starszej damie. Chciała też uniknąć zaciekawionych spojrzeń współpasażerów, którzy bacznie obserwowali jej reakcję na przywitanie Duranta z kochanką.

Powinna była od razu wiedzieć, że popełnia poważny błąd. Gdy tylko znalazły się dość daleko od zebranych, madame Tusard pochyliła się w jej stronę.

- Ta Serephine to utrzymanka Gambiera, wie pani o tym na pewno - szepnęła. - Co za pomysł, by narzucać nam jej towarzystwo w czasie podróży! Nic by się jej nie stało, gdyby została na wyspie.

- Mogła znaleźć się w niebezpieczeństwie, jest przecież niemal biała - zauważyła Elene.

- I dumnie się z tym obnosi. Nie wiem, jak pani może to znieść, widząc ich razem. Przecież byli ze sobą nawet wtedy, gdy planowano pani małżeństwo. Podziwiam pani spokój. Tak, kobieta musi trzymać głowę wysoko i udawać, że takie rzeczy nic a nic jej nie obchodzą.

- W moim przypadku to najszczęśliwsza prawda.

Francoise Tusard ciągnęła jednak dalej, jakby wcale nie słyszała słów Elene.

- Przyznaję, że oddając się innemu mężczyźnie, zemściła się pani doskonale, choć dziwię się, że nie robi pani z tego tajemnicy. Takie postępowanie może uchodzić w Paryżu, lecz na wyspach panują bardziej surowe zasady. Mówiono mi, że w Luizjanie, hiszpańskiej kolonii, jest jeszcze gorzej. Może się okazać, że dała pani Durantowi Gambierowi dość powodów, by zerwał zaręczyny. A tego na pewno pani nie chce.

- Doprawdy?

- No cóż, przyznaję, że Ryan Bayard jest bardzo pociągającym mężczyzną, nawet dla kobiety w moim wieku. Nie może się jednak równać z bogatym plantatorem takim jak Gambier.

- Durant nie jest już wcale bogaty.

- Bardzo się cieszę, że jest pani realistką, ale radzę pani postępować bardzo ostrożnie. Po dotarciu do Nowego Orleanu może być już za późno na zmianę decyzji. Biała kobieta może bez trudu upaść tak nisko jak ta Se-

rephine czy nawet Germaine, która od lat jest kochanką Mazenta.

- Tak?

- Trudno pani uwierzyć? To rzeczywiście zakrawa na skandal, na dodatek wszystko dzieje się w obecności jej biednej córki. Ale to prawda. Ta Germaine jest straszliwie wyniosła. Jest kolorowa, ale odzyskała wolność po pierwszym powstaniu niewolników. Nie omieszka zaraz pani o tym powiedzieć, jeśli ośmieli się pani nazwać ją niewolnicą. Radziłabym nie mieć z nią nic wspólnego. Była bardzo nieuprzejma, gdy spytałam ją, od jak dawna służy Florze i jej ojcu.

- Ach tak.

Brak zachęty ze strony Elene nie powstrzymał potoku złośliwych komentarzy madame Tusard. Kiedy skończyła z Serephine i Germaine, skrytykowała kolor włosów Hermine i brzmienie jej głosu, które uznała za odpowiednie wyłącznie do sypialni. Dostało się też Josie za sposób chodzenia i uśmiechy przesyłane pod adresem panów.

- Przyłapałam ją nawet na przymilaniu się do mojego Claude'a! Czegóż innego jednak można spodziewać się po aktorce?

Kiedy dotarły do dziobu, Elene przystanąła. Nie drgnęła nawet, gdy jej towarzyszka chciała ruszyć dalej.

- No, idzie pani? - spytała zniecierpliwiona Francoise. - Jeśli będzie pani tutaj stać, wiatr zniszczy pani fryzurę i zaczną się do pani zalecać wszyscy marynarze na statku.

Elene dotknęła misternej fryzury upiętej przez Devotę z tak wielkim poświęceniem.

- Chyba zaryzykuję.

- Bardzo dobrze, przyślę do pani Duranta. To powinno pomóc rozwiązać wszystkie problemy.

- Nie! - wykrzyknęła dziewczyna, ale było już za późno. Jej towarzyszka odeszła.

Elene zastanowiła się przez chwilę, czy nie poszukać schronienia w kabinie Ryana, lecz nie chciała, by Durant pomyślał, że się go boi lub za wszelką cenę unika. Może nawet lepiej będzie porozmawiać z nim tutaj, na uboczu i wyjaśnić mu, że nie ma już do niej żadnych praw.

Stała z twarzą wystawioną do słońca, obserwując rozciągający się w oddali horyzont, gdy usłyszała za sobą kroki Duranta. Koniec z błogim spokojem... Poczwała w piersiach bolesny ucisk.

- Postąpiłaś bardzo rozsądnie, posyłając po mnie - odezwał się. - Jeszcze chwila, a mógłbym powiedzieć w obecności tych wszystkich osób coś, co bardzo by cię zawstydziło.

- Nie posyłałam po ciebie - odparła, nie odwracając się.

Stanął obok niej, tyłem do relingu. Wiatr nawiewał mu włosy na czoło i łopotał końcem fularu. Zmrużył powieki od gniewu oczy.

- Nie rozumiem cię, Elene. Cztery dni temu mieliśmy wziąć ślub. Jeszcze kilka minut i byłoby po wszystkim. Jak możesz o tym zapomnieć? Czy nic cię nie obchodzi, co się ze mną dzieło?

Jakież to do niego podobne! Najważniejsze były jego własne przejścia i tylko one się liczyły. Spojrzała na bliźnię na policzku.

- Widzę, że zostałeś ranny. A skoro jesteś tutaj, domyślałam się, że udało ci się uciec. Cóż więcej jest do powiedzenia?

- Zadano mi cios z tyłu i upadłem. Stąd ta blizna. - Dotknął twarzy koniuszkami palców. - Gdybym nosił tego wieczoru jakieś pierścienie, mógłbym stracić kilka palców. A tak, tylko zdarto ze mnie ubranie i pozostawiono na pewną śmierć pod stosem ciał. Gdyby nie Serephine, zostałbym tam na zawsze.

- Serephine - rzuciła sucho.

- Przyszła mnie szukać. O ile wiem, ty nie zrobiłaś nic, by sprawdzić, co się ze mną stało.

- Widząc tę masakrę, byłam pewna, że nie mogłes ująć z życiem - zaprotestowała. - Poza tym nie miałam możliwości, by zasięgać informacji o kimkolwiek.

- Mogłaś okazać większą radość, znajdując mnie wczoraj wieczorem wśród żywych.

- Byłam prawie nieprzytomna. Nie wiedziałam, gdzie jestem ani co robię.

- A jaką wymówkę wymyślisz na dzisiejszy rano? Trudno uznać twoje powitanie za godne stęsknionej narzeczonej!

- Nie jestem już tą dziewczyną, którą znałeś, ani twoją narzeczoną. - Rzuciła mu to prosto w twarz. - Wszystko się zmieniło, nie rozumiesz?

- Ależ tak - odparł ze złością. - Rozumiem, że chcesz zapomnieć o naszych zaręczynach. Znalazłaś sobie coś przyjemniejszego i małżeństwo przestało cię interesować.

- Wiesz, że to nie ja podjęłam decyzję o ślubie.

- Panieńskie strachy. Nasza noc poślubna szybko by je rozwiąła.

Rzuciła mu baczne spojrzenie.

- Jesteś bardzo pewny siebie, prawda? Ale czemu miałyby być inaczej. Serephine chyba nigdy się nie skarży.

Durant zamarł.

- Serephine nie ma z tym nic wspólnego.

- Teraz nie.

- Nigdy nie miała. Jej obecność w żadnym stopniu nie wpłynęłaby na uczucie szacunku i miłości, którym obdarzyłyby moją żonę.

- Nie masz jednak zamiaru jej odesłać, nigdy tego nie planowałaś.

- A dokąd miałyby jechać? Z czego żyć? Jestem za nią odpowiedzialny.

- Jakież to wygodne tłumaczenie.

Ściągnął ciemne brwi.

- Nie zamierzam z tobą o tym rozmawiać. Żona nie powinna mieć nic wspólnego z takimi sprawami. Nie powinna nawet wiedzieć o ich istnieniu, nie mówiąc już o wypowiedaniu się na ten temat.

- Nie powinna się przyznawać, że wie o istnieniu kochanki. Kolejne wygodne rozwiązanie.

- To nie moja wina, Elene, ani mojego sposobu życia. To ty związałaś się z nieodpowiednim mężczyzną. Powinnaś się cieszyć, że rozważam możliwość poślubienia cię po tym, jak się zachowałaś.

- Ale się nie cieszę - odparła, unosząc dumnie brodę.
- Nie chcę wychodzić za mąż. A już na pewno nie za ciebie.

W jego czarnych oczach pojawił się morderczy błysk.

- To wielka szkoda. Podpisałaś przecież kontrakt ślubny.

- To pozbawiona znaczenia drobnostka. Nie wypowiedziałam w kościele przysięgi, nie złożyłam żadnych przyrzeczeń.

- Dla ciebie to może drobnostka, ale dzięki niej mam prawo bronić twego honoru jak swojego. Zastanawiam się, jak ci się spodoba widok twego wybawiciela rozplatanego moją szpadą.

Spojrzała na niego osłupiała.

- Nie zrobiłbyś tego!

- Nie wierzysz mi? - spytał z ironią w głosie.

- Okazałbyś się wielkim niewdzięcznikiem. Przecież to dzięki Ryanowi mogłeś uciec z wyspy.

- Ból, który mi zadał, jest większy niż poczucie wdzięczności.

- To niemożliwe - powiedziała zapalczywie. - Nie mam pojęcia, dlaczego wciąż chcesz się ze mną żenić. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że nie darzysz mnie uczuciem, nigdy zresztą nie darzyłeś.

- Jesteś pewna? Nie o to w tym wszystkim chodzi. To sprawa honoru. Może ten aktorzysta miał rację, może chcesz zobaczyć, jak dwóch mężczyzn walczy o ciebie, przelewa dla ciebie krew.

- Ależ skąd! Niedobrze mi się robi na samą myśl o tym.

- Szkoda. Bardzo chciałbym dać Bayardowi nauczkę. Niech wie, że pozbawianie dziewictwa narzeczonych innych mężczyzn to bardzo niebezpieczna sprawa.

- Uratował mi życie.

- Jakoś nie zaprzeczasz utracie dziewictwa. Tak też myślałem.

Patrzyła na niego zrozpaczona. Dlaczego on nic nie pojmuje?

- To nie było tak. Nie tak.

- Możliwe, że on rzeczywiście nie ponosi tu winy, ale tym zajmę się dopiero wtedy, gdy nauczę go kilku zasad postępowania godnych prawdziwego dżentelmena. Może później odwiedzę cię w jego kabinie. Wierzę, że uda mi się skłonić cię do udzielenia mi kilku odpowiedzi, które mogą się okazać... niezwykle przyjemne.

Chciał ją przestraszyć. Popełnił jednak błąd. W ciągu minionych dni poznała, czym jest prawdziwe przerażenie i potrafiła z nim żyć. Zmrużyła oczy.

- Miej się na baczności. Cieszysz się sławą dobrego szermierza, lecz Ryan Bayard na pewno nie ustępuje ci na tym polu.

Machnął ręką z pogardą.

- Proste cięcia jak na zwykłego pirata przystało. Ani odrobiny finezji.

- Ale za to siła, wytrwałość i zdolność do utrzymywania się przy życiu.

Zamierzał odpowiedzieć, lecz jego słowa zagłuszył krzyk z bocianiego gniazda.

- Żagiel na horyzoncie! Z lewej burty!

Odwrócili się gwałtownie. Durant otworzył szeroko oczy, a na jego usta wypłynął złośliwy uśmiezek.

- Może wcale nie będę musiał zajmować się Bayardem.

- O co ci chodzi?

- Wygląda na to, że zamierza walczyć z kimś innym.

Elene odgadła, co się szykuje, zanim jeszcze to powiedział. Zaniepokoił ją nagły ruch na pokładzie "Sea Spirit"; padały ostre rozkazy, a marynarze biegali we wszystkich kierunkach. Od strony burty widać było płynącą na pełnych żaglach statek handlowy, sądząc po kształtach pod angielską banderą. „Sea Spirit” zbliżył się do niego, przygotowując się do ataku. Na pokładzie, w miejscu gdzie siedziały kobiety, madame Tusard zaczęła krzyczeć w nagłym ataku hysterii.

- Nie może tego zrobić, mając nas na pokładzie - powiedziała cicho Elene.

- Nie? Jest korsarzem, a tamten statek to niezły kasek. Dlaczego nie miałyby go zdobyć? Interesują go przecież wyłącznie smaczne kaski i to najróżniejszego rodzaju.

Rzuciła mu pałające gniewem spojrzenie.

- Jeśli sugerujesz, że uważa mnie za swój łup, to wiedz, że mi ubliżasz.

- Nie zniósłbym myśli, że oddałaś mu się dobrowolnie.

Na dźwięk jego głosu poczuła przebiegający po plecach dreszcz. Nie poddała się jednak. Ujęła z gracją fałdy długiej spódnicy i odsunęła się od Duranta.

- Możesz sobie myśleć, co ci się żywnie podoba!

Wyciągnął szybko rękę i chwytając ją za ramię zatrzymał.

- Ależ z przyjemnością. A jeśli to udowodnię, pożałuje tego nie tylko twój przystojny korsarz.

-VIII-

Kiedy odległość między statkami malała z każdą chwilą, Ryan stanął na mostku. Powinno być to wiedzieć, powtarzała sobie Elene w duchu. On nie jest zwykłym właścicielem statku, to przecież Ryan Bayard, słynny korsarz. Do tej pory jakoś udało się jej uniknąć myśli o tym, co to może oznaczać na morzu. Spodziewała się, że podobnie jak przez cały ranek kapitan Jean będzie wydawał rozkazy załodze. Widząc Ryana przemierzającego pokład bez kurtki i fularu, z rękawami koszuli podwiniętymi do łokci i z lśniącym mieczem u boku, poczuła nagły ucisk w żołądku.

Wiedziała, że jest człowiekiem bardzo zdecydowanym, zdolnym do nagłych zwrotów i gwałtownych postępów. Jednak widząc, z jak wielką precyzją kieruje „Sea Spirit” prosto na wytyczony cel, przestraszyła się nie na żarty. Potężny statek, do którego powoli się zbliżali, nie miał właściwie żadnych szans. Poczuła nagle chęć ostrzeżenia Anglików przed grożącym im niebezpieczeństwem, tak jak zawsze miała chęć przepłoszyć ptaka, gdy stanowił cel skradającego się kota.

Pasażerowie płynący na „Sea Spirit” otrzymali rozkaz zejścia pod pokład. Morven i pan Tusard nieco się ociągali, lecz kobiety w większości szybko spełniły polecenie. Elene się zawahała. Nie mogła znieść myśli o uwięzieniu pod pokładem, jeśli dojdzie do wymiany ognia; nie zdoła się szybko wydostać, gdyby statek zaczął tonać.

Szybko jednak doszła do wniosku, że niebezpieczeństwo jest naprawdę niewielkie. Większość statków handlowych budowano z myślą o przewożeniu jak największej ilości towarów przy minimalnej liczbie załogi. Nie było też zbyt dużo miejsca na ciężkie działa. Niewiele statków w ogóle je miało. Poza tym ładunek należał przecież do bogatych inwestorów, którzy pozostawali bezpieczni na brzegu. Kapitan i członkowie załogi na pewno nie zamierzali ryzykować życia, by za wszelką cenę ocalić nie swoje towary. Choć czasem można było jednak spotkać kapitanów, którzy inwestowali własne pieniądze w przewożony ładunek i umieszczali na pokładzie potężne działa, by w razie ataku pomieszać szyki napastnikom.

W powietrzu rozległ się ostry głos Ryana. Padł rozkaz. Jedno z wytoczonych na pokład dział wystrzeliło. Kula przeleciała nad dziobem statku handlowego, nie czyniąc żadnych szkód. Jednocześnie dała wyraźnie do zrozumienia załodze, że nie może być mowy o litości. Marynarze Ryana w milczeniu wypatrywali jakiegoś znaku. Czekali, by Anglicy zaczęli uciekać lub postanowili się poddać.

Elene raz jeszcze spojrzała na stojącego na mostku Ryana. Opierając ręce na biodrach, bez trudu utrzymywał równowagę na kołyszącym się statku. Rękawy koszuli furkotały na wietrze, który zmierzwił gładko przyczesane brązowe włosy. Jego postać była tak dobrze znajoma, a mimo wszystko daleka. Stał tam niczym uosobienie władzy i siły, nie zwracając uwagi na nic poza wytyczonym sobie celem. Co ten korsarz ma z nią wspólnego? A ona z nim?

Świat, który znała do tej pory, rozpadł się tak gwałtownie i nieodwołalnie. Nie miała pojęcia, czy dobrze postąpiła, postanawiając zaufać Ryanowi i popłynąć do Nowego Orleanu, odrzucając ostatecznie Duranta. Jednego była absolutnie pewna: nie chciała, by Durant walczył z jej

powodu z Ryanem. Bayard uratował jej życie i bez względu na późniejsze zachowanie zasłużył na wdzięczność.

Wokół niej rozległy się ochryple krzyki. Angielski statek poddawał się, opuszczając banderę. Zdobyli go bez jednej ofiary, nawet bez walki. Bayard przeszedł na jego pokład, by spotkać się z kapitanem. Wrócił po chwili z kilkoma skrzyniami i pudłami. Zaraz też wyznaczył członków swojej załogi, którzy mieli odprowadzić statek do Kartageny. W tej spokojnej przystani korsarzy i piratów zostanie sprzedany, przynosząc Ryanowi spory zysk.

W zaskakująco krótkim czasie statek zniknął na horyzoncie. "Sea Spirit" wrócił na swój kurs, sunąc pod pełnymi żaglami po gładkiej powierzchni morza.

W powietrzu unosiło się delikatne poczucie zawodu. Nie oznaczało to wcale, że pasażerowie byli rozczarowani brakiem zażartej walki pomiędzy załogami szkunera i angielskiego statku. Przygotowali się jednak na najgorsze i teraz z różnym skutkiem godzili się ze świadomością, że ich wysiłki poszły mimo wszystko na marne. Hermine wpadła w euforię, gotowa była tańczyć, śpiewać, pić wino. Na policzkach Josie malowały się rumieńce podniecenia. Madame Tusard wpadła w złość, jakby ubrała się elegancko na bal, który w efekcie odwołano, a jej mąż - być może w wyniku jej zdenerwowania - wpadł w bardzo posępny nastrój. Mazent zdecydowanie się ożywił. Incydent na morzu przypomniawszy mu bowiem pewne wydarzenie z czasów młodości, kiedy to pomógł odeprzeć atak piratów. Chciał o tym opowiadać każdemu, kto tylko miał dość cierpliwości, by go wysłuchać. Jego córka Flora w jednej chwili próbowała studzić zapał ojca, by zaraz potem skoncentrować całą swoją uwagę na Morvenie, który z paradną szpadą w dłoni niezwykle przekonująco prezentował fragment roli odważnego kapitana broniącego swego statku w jakimś łzawym melodramacie.

Obserwująca go Josie klasnęła w dłonie i zalotnie potrząsnęła ciemnymi lokami.

- Czyż Morven nie jest wspaniały?

- Ależ tak - odparła bezbarwnym tonem Hermine. Na widok pełnego bólu spojrzenia Morvena skrzywiła się.

Josie skierowała całą uwagę na podchodzącego do nich Ryana.

- A oto nasz dzielny korsarz! Proszę mi powiedzieć, co pan zdobył? Co przewoził ten statek? Może klejnoty? A może skrzynie pełne złota i srebra?

- Nic tak pięknego - odparł Ryan swobodnie. Otaczająca go aura siły i władczości zniknęła, jakby nigdy nie istniała. - Niestety, czasy, gdy hiszpańskie statki aż kłapały od złota, należą już do przeszłości. Szkoda.

- Co więc tam było? Proszę nam powiedzieć.

- Głównie rum i cukier z Jamajki. I trochę drewna różanego i mahoni z Południowej Afryki dla jakiegoś stolarza artysty.

- Ale chyba nie to wniósł pan na pokład w tych skrzyniach i pudłach.

- To były książki, *chere*. Nadal jest pani zainteresowana?

Josie lekko wzruszyła ramionami.

- Jakież to nudne.

- Prawda? - Ryan powiedział to ze współczuciem, choć gdy spojrzał na Elene, w jego oczach pojawił się błysk rozbawienia.

Nagle odezwał się Durant, stojący pod zaimprovizowaną markizą tuż obok krzesła Elene.

- Nic dziwnego, że angielski kapitan nie chciał walczyć i umierać za swój ładunek. Jakież to wygodne dla pana, Bayard, że okazał się tchórzem.

- Był realistą. - W oczach Ryana błysnęła nagle czujność, lecz jego słowa pozbawione były ognia. Spojrzał na

palce Duranta oparte na ramieniu Elene i lekko zmrużył oczy.

- Zastanawiam się, czy zaatakowałby go pan równie ochoczo, gdyby miał mocniejsze zasady, a jego statek okazał się o wiele lepiej uzbrojony.

Nietrudno było wyczuć napięcie, które wkradło się do rozmowy obu mężczyzn. Elene, bojąc się, co to może oznaczać, chwyciła leżącą na jej ramieniu dłoń Duranta. Zanim ją puściła, spojrzała mu głęboko w oczy.

- Proszę cię, nie - powiedziała cicho.

Ryan usłyszał jej błaganie. Poruszyło go bardziej niż całe zamieszanie z angielskim statkiem.

- Trudno jest ocenić stan uzbrojenia statku i przeciwnika zanim rzuci się wyzwanie - rzekł z naciskiem.

- Zawsze można się wycofać, gdy cel okaże się zbyt trudny do zdobycia.

- Czasami wszystko dzieje się zbyt szybko i sprawy zdążą zająć za daleko.

Jeśli w słowach Ryana zabrzmiało ukryte ostrzeżenie, Durant nie zwrócił na nie najmniejszej uwagi, podobnie jak na spojrzenie Elene utkwione w jego twarzy.

- Jestem jednak przekonany, Bayard, że woli pan bezbronnie ofiary. O wiele mniej z nimi kłopotu, podobnie jak z niewinną kobietą.

Pozostali pasażerowie w milczeniu przysłuchiwali się ich rozmowie. Na dźwięk tego wyraźnego oskarżenia jedna z pań sapnęła z przejęciem.

- Gambier, chce mnie pan wyzwąć ze względu na mój charakter czy ze względu na brak odwagi? A może jeszcze z zupełnie innego powodu?

Ostry ton głosu Ryana podziałął jak szpicruta na napięte nerwy Elene. Zawarta w jego pytaniach groźba nie była wymierzona pod adresem samego tylko Duranta. W przebiegającym po niej spojrzeniu korsarza kryła się niema obietnica wyrównania rachunków. Gdy uświado-

miła sobie, co mogło być jej przyczyną, otworzyła szeroko oczy. Ryan pomyślał, że skarżyła się Durantowi na jego zachowanie, że to ona jest przyczyną całego zamieszania. Chciała zaprotestować, powiedzieć mu, że się myli, ale nie wiedziała jak to zrobić, nie budząc przy tym jeszcze większego gniewu Duranta.

Gambier wyprostował się dumnie.

- Wybór zostawiam panu - odparł.

- Nie chciałym pana rozczarować - powiedział cicho Ryan. - Rozumiem, że będziemy walczyć na szpady?

Tuż za nim rozległ się stłumiony okrzyk i tupot biegnących stóp. Elene odwróciła się w samą porę, by zobaczyć, jak Serephine, kochanka Duranta, ucieka z szelestem spódnic, pochylając nisko głowę, by nikt nie dostrzegł wyrazu jej twarzy. Devota podniosła się natychmiast i poszła za nią.

Po chwili Durant i Ryan dobyli broni i zmierzyli długość szpad. Usunięto krzesła i markizę, a wszyscy zebrani odsunęli się na bok, by pozostawić walczącym jak najwięcej miejsca. Mężczyźni stanęli naprzeciwko siebie. Durant zdjął kurtkę i fular, a Ryan, który nie zdążył nałożyć ich z powrotem, podwinął wyżej rękawy koszuli i czekał spokojnie na rywala.

Nareszcie Durant był gotowy. Uniósł w pozdrowieniu szpadę, uśmiechając się z pełnym zadowolenia oczekiwaniem. Ryan, z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu, powtórzył jego gest.

- *En garde* - rzucił.

Durant zaatakował go gwałtownie, prezentując duże umiejętności. Widać było wyraźnie, że chce szybko zakończyć pojedynek, przełamując obronę Ryana jednym szybkim wypadem.

Nie wszystko jednak ułożyło się zgodnie z jego planem.

Wydawało się, że Ryan tylko nieznacznie porusza nad-

garstkiem, lecz ostrze szpady jego przeciwnika raz po raz gwałtownie odskakiwało. Przez długą chwilę Durant atakował, odparowując uderzenia Bayarda, po czym nagle, jednym gwałtownym ruchem korsarz przejął inicjatywę i teraz to on zmuszał przeciwnika do rozpaczliwej obrony. Na krótką chwilę zaprzestali wymiany ciosów, by złapać oddech, a koniuszki ich szpad ledwo się dotykały.

Ryan uniósł brew, widząc pałające wściekłością czarne oczy przeciwnika. Bez trudu pojął, że Durant miał nadzieję pokonać go kilkoma łatwymi pchnięciami, nie dbając przy tym wcale o to, jakie rany może zadać swojemu przeciwnikowi. Na jego twarzy malowała się wyraźnie żądza zemsty. Raz jeszcze skrzyżowali szpady.

Tempo pojedynku zmalało. Obaj walczący badali teraz siłę przeciwnika, jego umiejętności i doświadczenie w walce. Koncentrowali się wyłącznie na wymianie ciosów; nie zwracali uwagi na obserwujących ich pasażerów, kołysanie statku, napięte do bólu mięśnie. Na ich czołach i ramionach pojawiły się kropelki potu. Oddychali coraz ciężiej, a ich sapanie rozlegało się w absolutnej ciszy zakłócanej tylko przez odgłos wody rozbryzgującej się o dziób statku i szuranie stóp na deskach pokładu. Stopniowo zaczynali czuć do siebie coraz większy szacunek, choć gniew i szalona determinacja bynajmniej nie straciły na sile.

Elene stała w pełnym napięcia milczeniu tuż przy relingu. Obok niej stanęła Hermine.

- Są wspaniali - szepnęła, przyglądając się bacznie szerokim ramionom i napiętym mięśniom obu mężczyzn.

Elene w pełni podzielała zachwyt aktorki, lecz jej uwagę przykuła przede wszystkim broń lśniącą w dłoniach Duranta i Ryana. Chciała odwrócić wzrok, nie patrzeć na śmigające niczym srebrne wstęgi ostrza, ale nie mogła

się do tego zmusić. Mocno zacisnęła zęby, a serce waliło jej jak oszalałe. Głęboko w duszy czuła gniew, że to ona stała się przyczyną tego pojedynku i rozpacz, że nie potrafiła mu zapobiec. Jednocześnie targały nią gwałtowne uczucia. Chciała wykrzyknąć im prosto w twarz, że są parą głupców i rzucić się między nich, by zapobiec dalszej wymianie ciosów. Jediną rzeczą, która ją powstrzymywała, była świadomość, że choćby nie wiadomo jak mocno udawali, że walczą o jej względy, tak naprawdę chodziło o honor i śmieszny męską dumę. Na to nie miała lekarstwa, tę przypadłość mogła uleczyć jedynie przelana krew.

Durant wykonał zwód i gwałtownie natarł do przodu. Ryan odparował cios i cofnął się. Nagle statek zakołysał, co sprawiło, że na ułamek sekundy stracił równowagę. Durant zbyt gwałtownie zapragnął wykorzystać ten szczęśliwy zbieg okoliczności, lecz Ryan szybko, niemal bez wysiłku wrócił na pozycję. Rozległ się budzący dreszcz dźwięk stali uderzającej o stal. Nagle szpada Duranta upadła na pokład, a on zamarł, przyciskając palce do krwawiącego ramienia.

Ryan cofnął się i stał, ciężko oddychając. Durant spojrział na strużki krwi, a potem, szeroko otwierając oczy, popatrzył z niedowierzaniem na swego przeciwnika. W oczach Ryana nie widać było triumfu, lecz nie dało się tam dostrzec także cienia litości.

Pierwszy wszedł między nich Morven.

- No, moi panowie - powiedział rzeczowym tonem. - Czy honor został zaspokojony?

Ryan lekko skłonił głowę pełnym gracji ruchem. Przez długą chwilę Durant trwał w milczeniu. W końcu skinął powoli głową.

- Wierzę, że tak.

Wokół Elene rozległo się krótkie westchnienie ulgi, jakby wszyscy nagle wypuścili długo trzymane w płu-

cach powietrze. Dziewczyna zamknęła oczy i ogarnięta nagłą słabością oparła się o reling.

- Biedny pan Gambier - powiedziała swym melodyjnym głosem stojąca obok Hermine. - Ktoś musi opatrzeć mu ramię.

Elene rozejrzała się, szukając Devoty, która znakomicie radziła sobie w takich wypadkach, lecz służąca zniknęła. Na pewno nadal towarzyszyła Serephine. Podeszła więc do walczących. Od czasu swego powrotu z Francji wiele razy pomagała Devocie opatrywać niewolników. Być może na coś się przyda.

Nagle tuż przed nią wyrosła lśniaca, poplamiona krwią klinga. Odwróciła głowę, by spojrzeć na mężczyznę, który trzymał szpadę.

- Nie - powiedział zdecydowanie Ryan.

Nie zamierzała udawać, że nie rozumie.

- On potrzebuje pomocy.

- Nie ty mu jej udzielił.

Nie mógł znieść wyrazu troski malującego się na jej twarzy. Wizja ta nie opuszczała go nawet w czasie walki. Budziła w nim uczucie do tej pory zupełnie mu obce. Zresztą gdyby je znał, i tak nigdy by się do niego nie przyznał. To była bez wątpienia zazdrość, która sprawiała, że przestał się kierować nakazami rozsądku.

Plama na rękawie Duranta była coraz większa, a strużki krwi powoli płynęły w dół ramienia, sięgając palców. Elene wiedziała, że trzeba natychmiast przewiązać ranę.

- A kogo proponujesz? Siebie?

- Zajmie się nim doktorek - powiedział Ryan. - My mamy parę spraw do omówienia.

Zasuszony marynarz, który przysłał balsam na bolące stopy Elene, szedł teraz przez pokład, trzymając w ręce pudełko z przyrządami pomocnymi w wykonywaniu wyuczonych u medyka czynności. Pozostali członkowie niewielkiej grupki pasażerów również gromadzili się w po-

blizu. Obie aktorki ze współczuciem pocieszały Duranta, gładząc go po szerokich ramionach, a Flora Mazent podniosła szpadę i trzymała ją niczym świętą relikwię.

Elene nie ustępowała.

- Chyba... chyba powinnam dopilnować, by opatrunek zrobiono jak należy. Czuję się winna.

- Kto wie, czy rzeczywiście nie należy cię za to wszystko obwiniać - powiedział ostro Ryan. - To jedna ze spraw, o których będziemy rozmawiać.

Opuścił szpadę i chwycił ją wolną ręką za ramię, kierując w stronę wejścia do swojej kabiny. Elene twardo stała w miejscu.

- Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Popełniasz błąd, *chere*. Pójdiesz tam sama, czy mam cię przerzucić przez ramię i zanieść do środka?

- Myślisz, że inni na to pozwolą?

- Raczej tak, dopóki będę to trzymał. - Pomachał szpadą.

Elene przeniosła wzrok z jego zaciętej twarzy na lśniące ostrze.

- Jakież to urocze - rzuciła szyderczo. - Zwycięzca upomina się o swoją nagrodę. I to kolejny raz.

- Skoro tak uważasz.

Do zmiany zdania nie skłoniła jej wcale jego groźba, lecz ponury wyraz twarzy, z jakim przyjmował ostre słowa. A przecież to przez nią musiał ryzykować życie. Tak, była mu winna wyjaśnienie. Rzucając ostatnie piorunujące spojrzenie, wyrwała rękę z jego uścisku i ruszyła we wskazanym kierunku.

Tuż za sobą czuła jego obecność i pamiętała niezwykłą siłę, której dowody miała okazję przed chwilą oglądać. Szybko przeszła przez wspólną salę i weszła do kabiny, którą razem zajmowali. Zgrabnie ominęła ustawione tam skrzynie i pudła z angielskiego statku i odwróciła się. Ryan kopnięciem zamknął drzwi, po czym położył

szpadę na stole. W ciszy zetknięcie ostrza z blatem zdźwięczało przejmująco. Odwracając się do niej splótł ramiona na piersi i oparł się biodrem o stół.

- Jak to się stało - zapytał zwodniczo spokojnym tonem - że oskarżono mnie o wykorzystywanie bezbronnej kobiety?

Zapanowała nad drzeniem i zmusiła się, by spojrzeć w jego zimne, niebieskie oczy.

- To oskarżenie padło z ust Duranta, nie moich.

- Coś go jednak do tego skłoniło. Musiał coś od kogoś usłyszeć. A od kogo, jeśli nie od ciebie?

- Sam na to wpadł. Nie może uwierzyć, że będąc jego narzeczoną, w ciągu paru dni zostałam twoją kochanką i to dobrowolnie. Mnie też jakoś trudno to pojąć.

- Wolałabyś znów być jego panną młodą, słodką i niewinną?

- Przestań szydzić!

- To nie jest odpowiedź. Czy mimo zaistniałych okoliczności proponował ci małżeństwo?

Odwróciła wzrok.

- A jeśli tak, to co? To przecież niemożliwe. Rozumiem to doskonale. Nic już nigdy nie będzie takie samo.

- Ale chciałabyś, żeby było inaczej. - Jego oskarżycielski ton ciął jak bat. Już dawno wyczuł, że coś przed nim ukrywa, co z dnia na dzień tylko zyskiwało na sile. Teraz już wiedział, co to jest.

Nie zamierzała dać mu tej satysfakcji i zaprzeczać.

- Chciałabym czuć się bezpiecznie. Tylko tyle.

- Jedyńi, którzy tak naprawdę są bezpieczni, to ci, którzy już pożegnali się z życiem.

Elene nie kryła rozdrażnienia.

- A co ty możesz o tym wiedzieć? Jesteś mężczyzną, możesz robić, co ci się żywnie podoba. Na dodatek jesteś korsarzem, który sieje postrach wśród kobiet, dzieci i kupców. I to na tyle silnym, by brać wszystko, czego za-

pragniesz, wiedząc, że nikt nie ośmieli się stanąć ci na drodze!

W jego oczach pojawił się lodowaty błysk.

- Czy ty przypadkiem nie oskarżasz mnie o kradzież?
- A jak nazwiesz to wszystko - rzuciła, wskazując na stojące w kabinie pudła - jeśli nie łupem z kradzieży?

- Towarem. - To jedno słowo miało w sobie ciężar kamienia.

- Książki, jak sądzę? Jeśli myślisz, że oszukasz mnie tak łatwo jak Josie, to grubo się mylisz. Musisz się bardziej postarać.

- Jestem kupcem. Kupuję, sprzedaję, wymieniam towary. W Nowym Orleanie mam skład...

- Pełen skradzionych dóbr!

- Wypełniony towarami, które zabrałem na mocy listów kaperskich oraz futrami i pszenicą z Illinois - powiedział, tłumiąc wściekłość. - Byłoby tam znacznie więcej tych ostatnich, gdyby Hiszpania przestała mieszać się do uczciwego handlu. Ale nie ma o czym mówić. Ten angielski statek to była czysta gra.

- A gdyby należał do Francji? Też byś go zaatakował? Jego milczenie uznała za potwierdzenie.

- Widzisz? Dla ciebie nie istnieje pojęcie lojalności.

- Jestem lojalny w stosunku do siebie, moich przyjaciół i mojej ziemi...

- Ziemi? Ty? Też coś!

- Mojej ziemi, tak. Wiedz, że jestem również plantatorem. Może to poprawi mój wizerunek w twoich oczach. Ale mówiąc o ziemi, miałem na myśli jedyny kraj, któremu służę całym sercem i duszą. To Luizjana.

- Tak, tak. Jestem pewna, że Hiszpanie będą pod wrażeniem, jeśli zaatakujesz niewłaściwy statek i postanowią cię powiesić.

- Hiszpanów w Nowym Orleanie nic a nic nie obchodzi los ich kolonii w Luizjanie. Interesuje ich wyłącznie

to, co może przynieść korzyści Hiszpanii oddalonej o tysiące mil.

- To nie będzie miało najmniejszego znaczenia, jeśli będziesz martwy!

Przyglądał się jej z podziwem. Na jej twarzy malował się rumieniec gniewu, a kształtne piersi unosiły się pod cienkim materiałem sukni. Słowa dziewczyny odbijały się echem w jego umyśle. Uśmiechnął się lekko. Była piękna, a w jej słowach wyczuł ukrytą troskę, z której najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy.

- Jeszcze nie jestem martwy. Wręcz przeciwnie. Jestem bardziej żywy, niż wypada w takich okolicznościach.

Rzuciwszy okiem na jego obcisłe zgodnie z nakazami mody spodnie, wiedziała już, co miał na myśli. Przeniosła wzrok na wilgotną koszulę oblepiającą jego szerokie ramiona i mocne ręce. Na skórze Ryana lśniły kropelki potu. Nagle poczuła się dziwnie przytłoczona jego siłą, która w ciasnej kabinie wydawała się jeszcze bardziej porażająca niż w czasie pojedynku z Durantem.

- Pragnę cię - powiedział cicho, jakby w zamyśleniu.

Jego słowa od razu wzbudziły w Elene falę ciepła, która od piersi szybko spłynęła w dół, jednocześnie sprawiając, że zakręciło się jej w głowie. Spojrzała mu prosto w oczy, a ich błękit poraził ją jak nigdy dotąd.

Ryan odwrócił się gwałtownym ruchem i przyklęknął, by podnieść wieko jednej ze skrzyń.

- Chcesz obejrzeć mój jakże obrzydliwy łup? Czy mam cię odziać w bogate szaty i obsypać klejnotami, zanim znów cię zgwałcę?

- To nie będzie konieczne... - zaczęła wyniośle, po czym nagle urwała.

Skrzynia pełna była książek najróżniejszych rozmiarów - od małych i bardzo grubych, które bez trudu można było zmieścić w kieszeni, po olbrzymie tomy zawierają

jące najdziwniejsze ilustracje. Wszystkie szczelnie wypełniały skrzynię, tworząc malowniczy i cenny zbiór. Ograbiony z nich kolekcjoner będzie na pewno bardzo rozczarowany.

Elene wskazała ręką na pozostałe skrzynie i pudła.

- To wszystko książki?
- Bardzo ich mało w Nowym Orleanie.
- A ty chcesz wypełnić tę lukę?
- Kiedy wybiorę już coś dla siebie.

Elene usiadła ciężko na łóżku. Patrzyła, jak Ryan bierze do ręki tomik poezji i trochę się ociągając, odkłada go niemal z nabożeństwem. Raz jeszcze poraziła ją świadomość, jak mało o nim wie, jak trudno jest go osądzić.

Zamknął wieko i usiadł obok niej.

- Wolałabyś sznury pereł i szafiry wielkości ptasich jaj?

Czy rzeczywiście wolałaby ujrzeć bezcenne klejnoty?

Potrząsnęła głową, nie patrząc na niego.

- Ja tak - szepnął, obejmując ją czule. - To niezwykle kusząca wizja: ty masz na sobie tylko biżuterię, a ja szukam słodczy twego gorącego ciała wśród zimnych i pozbawionych uroku kamieni. Jednak pożądam cię i bez nich.

To jednak nie był gwałt. Jej ciało reagowało na jego pieszczoty z dziką żądzą, która wymykała się nakazom woli. Wstrząsające nią dreszcze były jednocześnie rozkoszą i torturą. Oddała mu się niemal automatycznie, bez chwili zastanowienia, chłonąc jego radość, siłę i pasję. Gdy wreszcie była do tego zdolna, ze zdumieniem pomyślała, że sprawiło jej to ogromną przyjemność.

-IX-

Parę dni później na horyzoncie pojawiło się wybrzeże Luizjany, zrazu jasnoniebieskie, potem zielonobrazowe. Podróż ciągnęła się w nieskończoność, dawały im się we znaki długie okresy ciszy na morzu, zwłaszcza gdy opływali Kubę. Nie zbliżyli się jednak od razu do lądu, lecz skierowali bardziej na zachód. Opłynęli rozległe ujście rzeki Missisipi, gdzie błotniste, żółte wody wpływają do zielonej zatoki, barwiąc jej wody na brązowo. Minęli leżący na wschodzie tor wodny prowadzący do punktu kontrolnego La Balise, skąd liczący sto mil kanał prowadzi do samego Nowego Orleanu.

Ryan, mimo szumnych opowieści o tym, że jest szanowanym kupcem, na końcu swoich podróży nie rzucał dumnie kotwicy w porcie. Wyjaśnił, że zazwyczaj ląduje w zacisznej zatoczce znanej jako Barataria Bay. Stamtąd płynął skomplikowanym systemem rozlewisk i torów wodnych na tyły Nowego Orleanu. Ładunek zrzucał w prowizorycznym składzie na plaży, skąd zabierał go dopiero po jakimś czasie albo sprzedawał współnikom, którzy sami zajmowali się transportem towarów do miasta. Twierdził, że taki manewr pozwala mu uniknąć straszliwej hiszpańskiej biurokracji, nie wspominając już o łapówkach, których domagali się skorumpowani pracownicy portu. Nie chciał mieć z nimi nic wspólnego, gdyż gubernator Salcedo próbował utrudniać handel z Amerykanami.

Ryan nie był jedynym, który korzystał z zatoczki. Wraz z upływem czasu Barataria Bay stała się nieoficjalnym portem także i dla innych korsarzy. Nie połączyli się oni jednak w żadną oficjalną organizację. Wpływali i wypływali z zatoki, kiedy chcieli, szanując należącą do innych własność. Zmuszały ich do tego prawa panujące na morzu i obawa przed groźącym im niebezpieczeństwem, gdyby ośmielili się postąpić inaczej.

Uchodźcy z Santo Domingo zgromadzili się przy relingu, obserwując zbliżający się łąd. Z radością oczekiwali końca trudnej podróży, lecz jednocześnie byli dziwnie przygaszeni. Nie mieli pojęcia, co ich czeka na brzegu; nie wiedzieli, gdzie będą mieszkać, jakie znajdą dla siebie zajęcie, niektórzy zastanawiali się, jak uda im się znaleźć środki do życia. Czas spędzony na wodach Karaibów i Zatoki Meksykańskiej spędzili niejako w zawieszaniu pomiędzy ocaleniem a czekającą ich niepewną przyszłością. Na morzu myśleli głównie o tym, jak spędzić pełne słońca dni i rozgwieżdżone noce, które zdawały się nie mieć końca. Teraz czekała ich konfrontacja z nieuchronnie nadciągającą przyszłością.

Elene była świadoma panującego wśród współpasażerów niepokoju, sama jednak nie mogła się oprzeć ogarniającemu ją podnieceniu. Czekał na nią nowy kraj, nowe życie. Wszystko będzie tak bardzo inne; inne widoki, zapachy, zwyczaje, ludzie. I tylko ona zadecyduje, jak pokierować swoim losem.

Nad głowami pasażerów przeleciało duże stado mew. Ich białe skrzydła rysowały się wyraźnie na tle szarych chmur rozciągających się na południowym zachodzie. Ich przeszywające krzyki brzmiały jak skrzyżowanie pełnych gniewu wymówek i błagalnych prośb. Bliżej brzegu, wzdłuż wąskiej plaży, z godnością machając skrzydłami, przechadzał się duży, brązowy pelikan. Z niskiego brzegu unosił się zapach błota, rozkładają-

cych się wodorostów i ryb, jednocześnie wabiąc i budząc obrzydzenie.

- Fuj! - wykrzyknęła z komicznym grymasem na twarzy stojąca obok Elene Hermine. - Co za smród!

- Nie jest tak źle.

Zapachy z łądu dochodziły wraz z powiewami wiatru, który poruszał żaglami szkunera. Suknie obu kobiet przyłgnęły do ciała, a dół spódnic falował z głośnym furkotem.

Hermine podniosła rękę, by przytrzymać na karku misternie upięty węzeł rudych włosów.

- Zdecydowanie wolę zapach pudru do twarzy, tanich pokoi i końskiego nawozu na ulicach. To odludzie przeraża mnie i rani mój niezwykle delikatny nos.

- Bzdura - przekomarzała się Elene. - To nie zapach dzicy, lecz naszego obiadu, który przygotowują w kuchni.

- Ciii... lepiej, żeby kucharz nie usłyszał twoich słów, bo będzie nas karmił rybami aż do czasu zejścia na łąd. A skoro już muszę oddychać, pozwól mi stanąć bliżej ciebie i poczuć zapach twoich perfum. Już od paru dni chciałam ci powiedzieć, że są cudowne.

Elene podziękowała, wdzięcznie skłaniając głowę. Nie pierwszy raz usłyszała komplement pod adresem perfum, lecz ten był chyba najbardziej szczery. Słyszac go jednak zawstydziła się, jakby przyłapano ją na nieczym uczynku.

- Sama bardzo chciałabym mieć podobne. Może zdradzisz mi ich nazwę i powiesz, gdzie można je nabyć.

- Obawiam się, że nigdzie.

Hermine wzruszyła ramionami.

- No cóż, masz prawo nie zdradzać swojej tajemnicy.

- Nie o to chodzi - powiedziała Elene przepraszającym tonem.

- Powiedz mi, który wytwórca perfum w Paryżu jest ich autorem, to przy następnej wizycie w tym mieście...

- Moje perfumy nie pochodzą z Paryża.
- Jesteś pewna? - Hermine zmarszczyła brwi. - Zapach jest tak bogaty, tak intensywny, typowy dla perfum z Paryża.

- Jestem absolutnie pewna - odparła Elene i opowiedziała aktorce historię perfum. Wiedziona nagłym impulsem dodała: - Myślałam o tym, by zająć się ich wytwarzaniem, oczywiście z pomocą Devoty, kiedy już za domowię się w Nowym Orleanie.

- Naprawdę? To wspaniale! Zamierzasz otworzyć perfumerię? Jeśli tak, to na pewno będę twoją pierwszą klientką.

Elene roześmiała się cicho, słysząc pełne entuzjazmu słowa aktorki.

- Niemal uwierzyłam, że moje przedsięwzięcie odnie- sie wielki sukces.

- Ależ oczywiście. Mając do zaoferowania taki zapach, nawet nie myśl o porażce.

Elene rzuciła rozmówczyni szybkie spojrzenie, lecz nic w jej twarzy nie zdradzało, że ma na myśli coś więcej niż tylko niewinny zachwyt. Uspokoiła się.

- Pierwsza buteleczka, jaką zrobimy, już należy do ciebie.

Aktorka odwróciła się do Flory Mazent, która siedzia- ła w pobliżu razem ze swoją służącą Germaine.

- Słyszałaś? Elene będzie robić swoje perfumy!

- To miłe. - Flora spojrzała na nie z przelotnym uśmiechem. Patrzyła z wyrazem wahania malującym się na twarzy, jakby zastanawiała się, czy stanąć obok nich przy relingu. Po chwili opuściła wzrok i skoncentrowała się na leżącej na kolanach robotce.

Hermine spojrzała na Elene, unosząc brwi, i potrzą- snęła głową. W zachowaniu Flory krył się cień wyższo- ści, jakby wolała własne towarzystwo, uznając je za znacznie ciekawsze. Trudno to było uznać wyłącznie za

przejaw nieśmiałości. Sprawiała wrażenie, jakby uważa- ła Hermine i Josie, a nawet Elene za gorsze od siebie. Nie tolerowała jednak również madame Tusard. Nic nie mogło wyrwać jej z narzuconej sobie izolacji i większość pasażerów po paru próbach nawiązania z nią bliższej znajomości w końcu się poddała.

W czasie podróży wszyscy uchodźcy zdążyli się na- wzajem bardzo dobrze poznać. Los zetknął ich ze sobą w bardzo niebezpiecznych okolicznościach, by potem pozostawić im mnóstwo wolnego czasu, nic więc dziwne- go, że szukali u siebie pociechy i towarzystwa. Dni upły- wały im na rozmowach. Wszyscy znali najdrobniejsze szczegóły dolegliwości żołądkowych monsieur Mazenta oraz straszliwe doświadczenia jego córki Flory ze szkoły z internatem, do której uczęszczała na Martynice, gdzie zmuszano ją do klęczania godzinami na grochu i bito li- nijką po ręce, gdy nie potrafiła się odezwać głośniejsz niż tylko szeptem. Madame Tusard zabawiała wszystkich barwnymi opowieściami o swoich kobiecych przypadło- ściach, a ogólne zdumienie wzbudziła historia sprzed kilku lat, gdy pana Tusard oskarżono, oczywiście bez- podstawnie, o fałszowanie ksiąg i sprzeniewierzenie spo- rych funduszy. Josie dzieliła się swoim niezadowoleniem z powodu źle zagranych ról, a kilka razy wszyscy zebrani mieli okazję uczestniczyć w ognistych kłótniach Her- mine i Morvena, po których dochodziło do bardzo czu- łych przeprosin.

Jednak żadna z tych spraw nie mogła przyćmić po- wszechnego zainteresowania, z jakim obserwowano pe- łen dramatyzmu związek Elene z Bayardem. Elene wie- działa doskonale z jakim przejęciem wszyscy o nich roz- mawiają, a dowodem nie malejącego zainteresowania pasażerów było wyraźne ożywienie, gdy oboje znajdo- wali się w jednej sali z Durantem. Ten ostatni nieco wszystkich rozczarowywał, demonstrując jawny brak

zainteresowania poczynaniami Elene. Całą uwagę poświęcał albo Serephine, która pielęgnowała go czule w czasie pierwszych dni po pamiętnym pojedynku, albo też szukał towarzystwa panów. Gdy jego ramię, podobnie jak i blizna na twarzy goiło się znakomicie w zdrowym morskim powietrzu, Durant zaprzyjaźnił się z Mazentem. Jako plantatorzy mieli ze sobą wiele wspólnego. Bardzo często widywano ich spacerujących po pokładzie, pogrążonych w rozmowie, podczas gdy Flora postępowwała w niewielkiej odległości za nimi, rzucając od czasu do czasu ukradkowe spojrzenie na Duranta, rumieniąc się i wdzięcząc nieśmiało, gdy ten raczył zauważyć jej obecność.

Jednak stosunki między współpasażerami nie zawsze były poprawne. Morven i madame Tusard kłócili się nieustannie. Przyczyną ostrego sporu mogło stać się dosłownie wszystko - począwszy od tego, kto poprowadzi wszystkich pasażerów na kolację aż po wybór piosenek, które będą śpiewać pod rozgwieżdżonym niebem. Josie poczuła się urażona docinkami żony urzędnika i wspierając Morvena, wdała się w długi spór dotyczący ustawienia krzesel pod markizą na pokładzie. Madame Tusard aż kipiała z zazdrości, gdy jej Claude zwracał uwagę na Josie oraz inne panie, nie wyłączając Serephine, i nieraz dawała głośny wyraz swemu niezadowoleniu. Devota i służąca Mazentów, Germaine, kłóciły się o angielską wannę i o jedyne na pokładzie żelazko, które zresztą należało do Hermine. Flora nie sprawiała nikomu kłopotu, lecz pewnego popołudnia zdenerwowała się nie na żarty, gdy marynarz, którego obserwowała przez dłuższą chwilę, ośmielił się puścić do niej oko.

Tego typu nieporozumienia były nieuniknione, zważywszy na małą przestrzeń, w jakiej przyszło wszystkim spędzić kilka dni, i napięte nerwy wszystkich uchodźców. Okazało się jednak, że wspólne bolesne przeżycia są

znacznie silniejsze niż drobne niesnaski. Kiedy statek zbliżał się do zatoki, gdzie wszyscy mieli opuścić pokład, coraz częściej słychać było zapewnienia o ponownym szybkim spotkaniu i utrzymywaniu stałych kontaktów. Wypowiadanych obietnicom trudno było odmówić szczerości, choć z czasem ich moc na pewno zdecydowanie osłabnie.

Do Barataria Bay wpłynęli tuż przed nadciągającą burzą. Rzucając kotwicę, opuścili żagle, oczyścili pokład i zamknęli luki, by spokojnie przeczekać nawałnicę.

Szkuner kołysał się gwałtownie na wysokich falach. Gdzieś wysoko rozległ się grzmot, budząc przerażenie u zgromadzonych pod pokładem pasażerów. Błyskawica przecięła niebo i uderzyła w wodę. Napięty łańcuch kotwicy dzwonił złowieszczo. Deski jęczały, jakby je ktoś rozdzierał. Kiedy zaczął lać deszcz, biło pokład niczym smagnięcie batem.

Elene wraz z innymi pasażerami zjadła wcześniej kolację, po czym wszyscy udali się na spoczynek. Szkuner kołysał tak mocno, że zaimprovizowane pośłania wydawały się najbardziej bezpiecznym miejscem. Ryan obchodził statek, szukając uszkodzeń, łagodząc niepokój, a od czasu do czasu wracał, by sprawdzić, jak radzi sobie Elene. Kiedy burza trochę ucichła, uznał, że "Sea Spirit" jest bezpieczny. Wróciwszy do kabiny, zrzucił mokre ubranie i po chwili leżał już obok Elene.

Był przemarznięty i jego ciało pokrywała gęsia skórka. Elene, kierowana współczuciem i czułością, przytuliła go mocno, podciągając nieco koszulę, by położyć mu nogę na udzie. Zadrżał, czując dotyk jej ciepłego ciała. Pocałował ją delikatnie w czoło i wyciągnął się wygodnie. Elene oparła skroń o jego podbródek, wpatrując się w ciemność, rozjaśnianą od czasu do czasu blaskiem błyskawic. Nad ich głowami deszcz bębnił o deski pokładu, spływając potem rwącymi strużkami do wód zatoki.

Od dnia pamiętnego pojedynku z Durantem Elene i Ryan dzielili kabinę i znajdujące się w niej łóżko. Razem spali, razem jedli, spacerowali po pokładzie, rozmawiali i kochali się. Nie wspominali jednak już ani słowem o Nowym Orleanie, z wyjątkiem paru rzuconych od niechcienia ogólników. Elene doszła do wniosku, że Ryan nadal planował wspólne życie w mieście. Jednego była pewna - jego pożądanie nie zmalało ani o jotę i pragnął jej równie gorąco, jak na początku ich krótkiej znajomości.

Kiedy tylko chciał, potrafił być bardzo interesującym towarzyszem. Spędzili razem wiele wspaniałych wieczorów, czytając zabrane z angielskiego statku książki i omawiając poruszane w nich sprawy. Czasami grali w karty. Stawką były zazwyczaj poszczególne części ubrania, a Ryan oszukiwał tylko wtedy, gdy nagroda zapowiadała się niezwykle obiecująco. W łóżku był silnym i czułym kochankiem; pełen zachęty, nigdy nie krył słów uznania i zachwytu. Zawsze też stał u jej boku i broił w konfliktach z innymi pasażerami; nie zaniedbywał jej, by bez reszty poświęcić się swoim obowiązkom. Tulił Elene, gdy nawiedzały ją w nocy koszmary i z troską opatrywał bolące stopy. Zapach jej perfum wciąż miał na niego zniewalający wpływ. O jednym tylko nie wspominał nigdy: o miłości.

Elene nawet tego nie oczekiwała. Mimo wspólnych dramatycznych przeżyć, nadal byli sobie obcy. Nie musiał jej składać żadnych przysięg ani obietnic. Tak naprawdę to ona była jego dłużniczką. Łączyła ich czysto fizyczna więź, nie mająca nic wspólnego z uczuciami. Elene czasem tylko zastanawiała się, czy Ryan pozostanie taki sam, gdy dotrą w końcu do Nowego Orleanu. Tam, w towarzystwie przyjaciół i dawnych współników, może szybko dojść do wniosku, że jest dla niego zawadą i przypomina o mało przyjemnych chwilach, o któ-

rych chciałby jak najszybciej zapomnieć. Może równie dobrze znaleźć sobie inną kobietę i wyrzucić ją razem z Devotą, by radziły sobie dalej bez jego pomocy. Gdyby sprawy przybrały taki obrót, zyskałaby absolutną pewność, że jego pożądanie wiązało się bez wątpienia z upojnym zapachem perfum. Mogła oczywiście sprawdzić to w każdej chwili, po prostu przestając ich używać. Jednak na statku efekty takiej próby nie byłyby do końca przekonujące. Jeśli nie chciałby jej widzieć u swego boku, nie miałyby gdzie spać. Musiałyby więc mimo wszystko pozostać w jego kabinie, a narzucona im niejako siłą wzajemna bliskość mogła sprawić, że i tak szukałyby ciepła jej ciała. W zaistniałych okolicznościach Elene nie odważyła się na podjęcie takiego ryzyka. Nie mogła sobie teraz pozwolić na to, by utracić jego opiekę.

Wyczuwając jej napięcie, Ryan przesunął dłońmi po jej plecach. Pochylił głowę, tak że poczuła na włosach jego gorący oddech.

- O co chodzi, *cherie*? Czy coś się stało?

Westchnęła lekko.

- Nie, nic - odparła.

Zmarszczył brwi, lecz nie naciskał. Wiedział, że łącząca ich więź jest niezwykle delikatna. Każde mocniejsze szarpnięcie sprawiłoby, że mogła rozerwać się i utraciłby Elene na zawsze. Będzie miał dość czasu, by porozmawiać o wspólnej przyszłości, gdy dotrą do Nowego Orleanu. Tam pokaże jej, co straci, nie decydując się na pozostanie u jego boku. Musi więc uzbroić się w cierpliwość i spokojnie poczekać.

W tej chwili czuł, że nie może się jej oprzeć. Jej ciało pod delikatnym materiałem nocnej koszuli było tak ciepłe i kuszące. Szalejąca na zewnątrz burza sprawiła, że krew krążyła szybciej w żyłach. W ciemnościach pocałunkiem zamknął jej powieki. Po chwili odnalazł jej usta

i całował je tak długo, aż otworzyły się zapraszająco. Poczł ich zniewalającą słodycz, a pod spoczywającą na piersiach Elene dłonią wyczuł bicie jej serca. Na razie to musiało wystarczyć.

Następnego ranka, w blasku kolejnego słonecznego i gorącego dnia, Barataria Bay wyglądała jak duże jezioro otoczone przez bagna. Wąską plażę obrastała falująca trawa i karłowate palmy, a na piasku leżały pociemniałe od wody pnie drzew i rozkładające się cielsko żółwia. Ptaki latały z głośnym trzepotem skrzydeł, a ich przenikliwe krzyki unosiły się wysoko w powietrzu na tle kumkania żab i brzęczenia komarów. Od czasu do czasu rozlegał się basowy ryk aligatora. Pasażerowie "Sea Spirit" stanęli przy relingu, wypatrując polujących na ryby prymitywnych bestii.

Ryan nadzorował rozładunek statku. Długa łódź pływała tam i z powrotem do rozpadającego się składu stojącego tuż nad brzegiem morza. Z kłód drewna, liści palmowych i plecionej juty zbudowano w pobliżu kilka prymitywnych chat. Nad jedną z nich wznosiła się w niebo strużka dymu, lecz przez długą chwilę nie widać było żadnych śladów obecności człowieka.

Wreszcie, gdy rozładunek dobiegł niemal końca, z największej chaty wyłonił się mężczyzna. Stał na brzegu, przeciągając się i drapiąc, po czym zaczął bacznie przyglądać się zakotwiczonemu w pobliżu szkunerowi. Po chwili krzyknął coś w stronę chaty i z jej wnętrza, odsuwając zasłaniającą wejście skórę, wyłoniła się Indianka. Spojrzała na statek, na swojego mężczyznę, odwróciła się i weszła z powrotem do chaty. Elene nigdy w życiu nie widziała tak jawnego lekceważenia.

Mieszkańcy chat ukrywali się przed prawem. Byli tu złodzieje, mordercy, piraci. Barataria leżała dość daleko od Nowego Orleanu; od miasta oddzielały ją całe mile wody, błota i zdradliwych bagien. Jesienią i zimą zjawia-

li się tu mężczyźni, by polować na kaczki i gęsi przylatujące całymi stadami z północy, lecz latem zatoka była opuszczona.

Jej mieszkańcy dobrze znali Ryana. Widać to było wyraźnie po sposobie, w jaki witali się z nim, gdy dopłynął do brzegu. Ochoczo oferowali swoje pirogi, by przewieźć pasażerów do Nowego Orleanu, oczywiście za drobną opłatą. Jeśli nawet czuli odrobinę współczucia dla znajdujących się na pokładzie uchodźców, nie okazywali go. Patrzyli tylko w milczeniu, jak powoli sadowią się w łodziach, śmiejąc się i mało wybrednie żartując na widok zgrabnej kostki lub kształtnej łydki którejś z pań. Kapitan Jean wraz z kilkoma członkami załogi pozostał na pokładzie, by czuwać nad statkiem.

Elene pragnęła jak najszybciej odbyć wiodącą przez labirynt dróg wodnych podróż do Nowego Orleanu. Kiedy tylko opuścili zatokę, wiatr ucichł zupełnie. Czerwcowe słońce paliło niemiłosiernie, a w wilgotnym, dusznym powietrzu trudno było swobodnie oddychać. Wszyscy straszliwie się pocili, a moskity i komary bezlitośnie wypatrywały najmniejszego choćby kawałeczka odkrytej skóry. Pasażerowie chronili się jak mogli nie tylko przed dokuczliwymi owadami, lecz również przed palącym słońcem i co chwilę ocierali pot z czoła. Byli brudni, zmęczeni i wyczerpani.

Podróż zdawała się nie mieć końca. Miarowe ruchy wiosł wiodły godzinę za godziną. Wokół łodzi śmigały węże wodne, a ukryte w błocie aligatory śledziły ich nieruchomym wzrokiem. Od czasu do czasu rozlegały się słowa rytmicznej piosenki, lecz wraz z upływem czasu podróż coraz częściej przebiegała w milczeniu.

Co jakiś czas zatrzymywali się na krótki odpoczynek. Choć woda kusiła ich chłodem, nie odważyli się wyprawać zbyt daleko od brzegu z powodu czekających na ucztę pijawek. Noc spędzili na walce z moskitami. Sen

przerywały grzmiące ryki aligatorów, a raz rozległ się przeraźliwy wrzask polującej pantery. O świcie pasażerowie znów zajęli miejsca w pirogach i niebawem dotarli do Nowego Orleanu.

Na widok strażników Elene poczuła niepokój. Na szczęście bała się zupełnie niepotrzebnie. Nie mieli żadnych kłopotów. Ryan poklepał ich przyjaźnie po plecach, pytając o rodziny i kobiety. W słońcu błysnęło podawane z rąk do rąk złoto. Właściciela zmieniła również skrzynka przedniego rumu. Po chwili bramy otwarto i znaleźli się w mieście.

Nowy Orlean był w dużej części miastem zupełnie nowym. W ciągu minionych piętnastu lat szalały tu trzy pożary, z których dwa wyrządziły ogromne szkody. Ostatni, przed dziewięcioma laty, zniszczył ponad dwieście budynków, a ogólne straty oszacowano na ponad osiem milionów piastrow. W obawie przed kolejnymi katastrofami wydano specjalne zarządzenie dotyczące rozbudowy miasta. Każdy budynek liczący więcej niż jedno piętro musiał być wzniesiony z cegły, a dachy należało pokryć dachówką. Dachówki pojawiły się również na stojących już wcześniej budowlach. W rezultacie miasto nabrało głównie hiszpańskiego charakteru. Budynki posiadały wewnętrzne dziedzińce; balkony, okna i drzwi zdobiły metalowe kraty. Wszystkie miały też szerokie bramy, przez które powozy i piesi przedostawali się na dziedzińce. Wytwarzane na miejscu cegły były tak kruche, że trzeba je było dodatkowo pokrywać gipsem. Malowano go potem na biało lub żółto, lecz słońce, deszcz i upalna pogoda sprawiały, że na ścianach pojawiały się najróżniejsze odmiany mchów, porostów i pleśni, barwiąc budynki na wszystkie odcienie zieleni, szarości, złota i brązu.

Nowy Orlean liczył zaledwie dziesięć tysięcy mieszkańców. Umocnienia i dwumetrowa palisada otaczały

obszar długi na ponad kilometr i szeroki na zaledwie czterysta metrów. Na każdym z czterech rogów palisady wznosił się fort, a między nimi wstawiono dobrze strzeżone bramy. Dla dodatkowej ochrony na zewnątrz palisady wykopano rów szeroki na sześć metrów i głęboki na dwa. Fortyfikacje umocniono w 1796 roku, gdy koloniści w Luizjanie obawiali się, że ich niewolnicy, w większości przywiezieni z Santo Domingo, pójdą w ślady swoich braci i wzniesą zbrojne powstanie. Umocnienia nie zdołałyby oczywiście powstrzymać zbrojnej armii, lecz mogły się okazać bardzo pomocne na wypadek poważnych niepokojów.

W samym mieście dość szerokie ulice nie były brukowane, a środkiem każdej z nich biegł rynsztok. Wokół każdego kwartału domów wykopano rowy ściekowe, które teraz wypełniały chwasty i śmieci. W okresach deszczowych każdy z kwartałów przypominał małą wyspę. Choć rowy i rynsztoki biegły prosto do kanału Carondelet na tyłach miasta, ulice pokrywało sięgające kostek błoto.

Domy leżące najbliżej palisady były najbardziej zaniedbane. Stały tutaj jednopiętrowe budynki pamiętające czasy francuskiego panowania. Udało im się co prawda uniknąć zniszczenia w czasie pożarów, lecz poddały się działaniu wilgoci. Zniszczenia były zbyt poważne, a ich właściciele zbyt biedni, by móc sobie pozwolić na remont.

W całym mieście unosił się nieprzyjemny odór, choć nie był gorszy niż smród panujący w większości portowych miast. Odchody koni i mułów mieszały się z pokrywającym ulice błotem. Odpadki z kuchni, obierki z warzyw i głowy ryb, kawałki szmat i zniszczona, pokryta pleśnią skóra pływały w wypełnionych zieloną wodą rynsztokach lub też walały się na tyłach domów. Wszystko to powoli psuło się i gniło w palących promie-

niach słońca. Część kobiet z pokładu "Sea Spirit" krzywiła się z niesmakiem i zakrywała nosy. Elene oddychała bardzo płytko, pocieszając się myślą o swoich perfumach.

Ryan mieszkał przy Royal Street, będącej główną ulicą handlową i ulubioną przez mieszkańców częścią miasta. Wzdłuż niej wznosiły się dwu-, a nawet trzypiętrowe budynki, większość z nich z balkonami ozdobionymi delikatnymi niczym koronka żelaznymi kratami. Rangę tej największej w mieście ulicy podkreślały latarnie wiszące na rozciągniętych między domami linach. Podobnie jak w Europie parter bogatych rezydencji zajmowały biura i sklepy ich właścicieli, którzy albo mieszkali na górnych piętrach, albo decydowali się wynająć je lokatorom.

Okna na parterze domu Ryana były zasłonięte okiennicami. Na domu nie wisała jednak żadna tablica reklamująca wina, świece, tkaniny czy kapelusze. Bayard wyjaśnił, że najczęściej wykorzystuje te pomieszczenia jako skład towarów, lecz teraz stoją puste. Z powodu późnej pory zaproponował wszystkim gościom w swoim domu.

Pasażerowie przyjęli jego zaproszenie z wdzięcznością. Wysiedli z wozu, który Ryan pożyczył od farmera w Bayou Saint John na obrzeżach miasta, gdzie wylądowały łodzie, i przeszli przez bramę wjazdową na wyłożony kamieniami dziedziniec. Minęli stojącą na środku fontannę obrośniętą paprociami i pelargoniami i skierowali się w stronę schodów, które wiodły na ganek biegnący wokół dziedzińca. Zanim dotarli na górę, pojawił się pełen godności Murzyn. W jego kręconych czarnych włosach wiły się srebrne nitki, a on sam mógł liczyć sobie od trzydziestu pięciu do pięćdziesięciu lat. Nazywał się Benedict i pełnił rolę majordomusa. Zaraz też przejął kontrolę nad całą sytuacją. Wezwał pokojówki i lokajów, oferował zmęczonym gościom napoje i przydzielał miejsca

w pokojach. Nic nie umknęło jego uwagi. Nie tylko umieścił Mazentów i Germaine w przylegających do siebie pokojach, lecz zgodnie z życzeniem przekazanym mu w tajemny sposób przez Ryana, kazał pokojówce zaprowadzić Elene i Devotę do sypialni, która bez wątpienia należała do pana domu.

Przypuszczenia obu kobiet zamieniły się w pewność, gdy po chwili lokaj wniósł do środka skrzynię Ryana. Ustawił ją na podłodze obok stolika z marmurowym blatem, wspartego na złoconych nóżkach. Stała na nim srebrna taca pełna zaproszeń adresowanych do Ryana Bayarda. Leżący na samej górze kartonik pochodził od prefekta Pierre'a Clementa de Laussat, który po odzyskaniu Luizjany przez Francję miał objąć stanowisko gubernatora. Teraz zapraszał Bayarda na kolację wydaną tego wieczoru.

O zachodzie słońca wszyscy pasażerowie „Sea Spirit” odetchnęli z wielką ulgą. Byli wykapani i przebrali się w czyste ubrania, które im dostarczono. Troskliwe dłonie opatrzyły ślady po ukąszeniach insektów i poparzoną przez słońce skórę. Podano im również smaczny posiłek. Sam gospodarz przeprosił ich uprzejmie za swą nieobecność. Uroczysta kolacja z przyszłym gubernatorem, który przybył do Nowego Orleanu podczas nieobecności Ryana, była doskonałą okazją, by poznać najnowsze wieści i plotki. Postanowił więc skorzystać z zaproszenia. Miał wrócić dopiero rano. Bramy zamykano bowiem o dziewiątej, a rezydencja zajmowana przez Laussata leżała już poza miastem. Ryan zamierzał spędzić noc u mieszkających w pobliżu przyjaciół.

Elene zastanawiała się, skąd Ryan czerpie tyle sił. Ona po morderczej dwudniowej podróży była wykończona i marzyła tylko o tym, by wreszcie znaleźć się w łóżku, odgrodzić od moskitów cudownie grubą siatką i spać przez tydzień. Pozostali wyraźnie myśleli o tym samym,

więc tuż po kolacji pożegnała się i udała do przydzielonego jej pokoju.

Nie znalazła tam Devoty, a choć bardzo ją kochała, z radością pomyślała o odrobinie samotności. Przez chwilę rozglądała się po pokoju. Stała w nim ciemna dębowa szafa, najwyraźniej wykonana w Anglii, umywalka podobna do tej, która znajdowała się na statku, ozdobna półka z przyborami do golenia i pasujący do wiszących na ścianach gobelinów flamandzki dywan. Sypialnia była ogromna; zajmowała całą szerokość budynku, a duże oszklone drzwi prowadziły na ganek biegnący wokół dziedzińca. Balkon po drugiej stronie pokoju wychodził na ulicę.

Elene spojrzała na łóżko stanowiące najważniejszy element pokoju. Stało na specjalnym podeście, by zapewnić śpiącemu chłód, a rzeźbione wezgłowie zdobiły złożone liście. Nad łóżkiem wisiała biała moskitiera, a kremowa pościel okrywała materac i puchowe poduszki. Przez ułamek sekundy pomyślała o tym, jak cudownie byłoby znaleźć się w tym wygodnym łóżu z Ryanem i szybko odwróciła wzrok. Podeszła do otwartych, oszklonych drzwi prowadzących na wychodzący na ulicę balkon. Było tam znacznie chłodniej. Wiejący znad rzeki lekki wietrzyk orzeźwiał i łagodził skwar mijającego dnia. Powoli zapadał zmrok, barwiąc niebo na melancholijny odcień purpury. Elene pomyślała o swoim ojcu leżącym wśród ruin rezydencji, którą tak kochała. Poczła nagły ucisk w gardle, gdy wyobraziła sobie jego prochy zmieszane z popiołem spalonego domu. Nie chciała jednak płakać. Gdy ojciec zostawił ją samą we Francji, szybko się przekonała, że płacz nie przynosi ulgi.

Zamiast tego pomyślała o Ryanie i jego zapowiedzianej nieobecności. Czy to prawda, że bramy są zamykane? A przecież strażnicy już raz dali się przekupić i na pew-

no nie oprą się kolejnej pokusie. Możliwe, że dla Ryana informacja o zamykaniu bram okazała się tylko wygodną wymówką. Może musiał odwiedzić jakąś kobietę, której chciał wytłumaczyć obecność nowej kochanki przy swoim boku. Nie miała najmniejszego prawa, by się skarżyć, jeśli zdecydował się spędzić tę noc poza domem. Absolutnie żadnego.

Tymczasem mieszkańcy miasta rozkoszowali się chłodem wieczoru. Wzdłuż całej ulicy na balkonach ozdobionych rosnącymi w dużych glinianych donicach paprociami i jukami, siedziały starsze i młodsze pary oraz całe wielopokoleniowe rodziny. Inni przycupnęli na krzesłach ustawionych na werandach. Wszyscy wymieniali pozdrowienia, najnowsze plotki i machali do siebie przyjaźnie. Gdzieś niedaleko romantyczny zalotnik grał na gitarze rzewną pieśń, a młoda dziewczyna śmiała się wyraźnie zadowolona i przejęta. Przyjaciele i sąsiedzi, wszyscy znaleźli tu swoje miejsce na ziemi.

Elene zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim opuści ją poczucie zagubienia. Była obca w obcym mieście. Nie miała nic poza inteligencją i siłą woli. Na pewno pomoże jej Devota i na swój sposób Ryan, lecz tak naprawdę mogła liczyć tylko na siebie. Tylko od niej zależy, co zrobi ze swoim życiem. Nie zamierzała zmarnować tej szansy.

Nagle usłyszała w pokoju jakiś ruch. Przybyła Devota, by pościelić łóżko. Elene stała jeszcze chwilę na balkonie, po czym weszła do środka.

Devota podniosła wzrok znad zapalanej świecy. Elene popatrzyła jej prosto w oczy i spytała:

- No, i co o tym myślisz? Powinnyśmy tu zostać?
- A dokąd mamy pójść?
- Nie chodzi mi o ten wieczór. Mam na myśli jutrzejszy dzień.
- Pozostaje drobna kwestia pieniędzy.

- Mam kolczyki, które dostałam od Duranta, i naszyjnik mamy. Powinnyśmy za to sporo dostać.
- Tak, ale czy pozbycie się ich nie będzie zbyt ryzykowne? Czy warto porzucać miejsce, gdzie masz wszystko co potrzeba i możesz czuć się bezpiecznie?
- Jako kochanka Ryana. Co mi z tego przyjdzie?
- Kobiety wykorzystywały taką pozycję, by zdobyć pieniądze i władzę.
- Jak pani Pompadour albo Józefina, zanim pierwszy konsul przekonał ją, by za niego wyszła? Może, ale nazywano je również pasożytami. I jeszcze gorzej.
- Devota zmarszczyła brwi.
- Masz rację. Nie rozumiem tylko, dlaczego mężczyznom wolno sprzedawać swoją siłę, a kobietom odmawia się prawa do sprzedaży władzy, jaką nad nimi mają. Mimo wszystko nierozsądnie byłoby rezygnować z tego, co ci tu zaoferowano, tylko z powodu urażonej dumy.
- Co z tego jest w dumie? - zaprotestowała Elene.
- Absolutnie nic, ale musisz wszystko dokładnie przemyśleć. Ryan może przedstawić cię w towarzystwie, ma też dość środków na olejki i esencje do wytwarzania perfum. Może je dostarczyć sam albo poprosi swoich przyjaciół korsarzy i właścicieli statków, by je dla ciebie zdobyli. Pod jego dachem będziesz miała spokój i dość przestrzeni. Kto wie, może nawet sklep, jeśli pan Bayard zgodzi się odstąpić ci część swego składu na dole.
- Niby czemu miałby to robić? Interesuje go wyłącznie moja obecność w jego łóżku.
- Chyba go nie doceniasz.
- Czyżby? Myślę, że woli, żebym była od niego zależna. Tego samego życzyłby sobie na jego miejscu ojciec albo Durant.
- Nie wszyscy mężczyźni są do siebie podobni.
- Oczywiście - odparła z przekąsem Elene. - Zasta-

nów się tylko, czego Ryan będzie ode mnie oczekiwał, gdy zamieszkać u niego.

- Czyżby to było aż tak przykre? Czy to wyłącznie jego wina? Chcę usłyszeć prawdę, *chere*.

Elene odwróciła się bez słowa. Po chwili powiedziała niemal do siebie.

- Nie chcę go wykorzystywać.

- To bardzo skomplikowana sprawa. Nie wiadomo, kto kogo będzie wykorzystywał.

- Tak. - Elene znów zamilkła. Podniosła ręce i zaczęła wyjmować szpilki z włosów.

- Zostajemy więc? - spytała cicho Devota.

Dziewczyna znieruchomiała i westchnęła.

- Zostajemy - rzuciła przez ramię.

Jakiś czas potem obudziła się z głębokiego snu. W pokoju panowała ciemność, rozjaśniona tylko nieznacznie przez wpadający przez okno blask ulicznej lampy. Wieczorna bryza poruszyła delikatnie cienką, muślinową firanką, której brzeg uniósł się, jakby ktoś lekko przeszedł przez pokój. Elene leżała nieruchomo, każdą cząsteczką ciała nasłuchując ponownie dźwięku, który ją obudził. Nagle rozległ się cichy szelest materiału. Zatrzeszczała podłoga. Elene przewróciła się gwałtownie na łóżku. Tuż za moskitierą w ciemności rysowała się postać mężczyzny. Wciągnęła szybko powietrze, gotowa krzyknąć i wołać o pomoc.

Mężczyzna gwałtownie odsunął siatkę i rzucił się na nią, przyciskając dłoń do jej ust. Mocno objął ją ramieniem. Poczuli na sobie jego nagi, gorący tors. Jego zapach był miło znajomy. Kiedy położył na jej piersi zwinętą delikatnie dłoń, wiedziała już.

- Ryan...

Uniósł wciąż leżącą na jej ustach dłoń. Roześmiał się zadowolony, po czym szybko pocałował miejsce, gdzie wcześniej spoczywała jego dłoń. Pocałunek, początkowo

przelotny, już po paru sekundach krył w sobie zapowiedź czegoś bardziej obiecującego. Pierś obojga unosiła się w ciężkim oddechu, gdy wreszcie się skończył.

- Myślałam, że dziś nie wrócisz - odparła drżącym głosem. Serce waliło jej jak oszalałe. Nie poszedł do innej kobiety. Wrócił do niej.

- Zawsze znajdzie się jakiś sposób.

- Podejrzewam, że przekupiłeś strażnika.

Potrząsnął głową w ciemności.

- Spali zbyt mocno, by skorzystać z mojej propozycji.

- To jak...

- Palisada nie jest w najlepszym stanie, zwłaszcza na tyłach miasta. Udało mi się jakoś przeczołgać.

- Mogli cię złapać!

- Kiedy pomyślałem, że leżysz ciepła i ponętna w moim łóżku, uznałem, że warto zaryzykować dzień lub dwa w mamrze.

- Schlebiasz mi - odparła, siłąc się bez powodzenia na lekki ton.

- I co jeszcze? - spytał i zsuwając koszulę Elene, zaczął powoli odsłaniać jej piersi.

- Przestraszyłeś mnie - jęknęła.

- Wybacz. I co jeszcze? - Jego gorący oddech sprawiał, że poczuła na skórze gęsią skórkę, a sutki stwardniały obiecująco.

- Obudziłeś mnie. - Poczowała nagłe pragnienie, by unieść piersi i przycisnąć do jego warg. Boże, jakaż zrobiła się rozwiązła.

- *Pauvre petite*. Zaraz cię ukołyszę do snu. I co jeszcze?

Wstrzymała oddech, gdy jego gorące, wilgotne wargi czule objęły jej sutek.

- Nie zamierzam... już... zadowalać cię dłużej... opowiadając...

- To pozwól, że ja zadowolę cię słowami, czynkami,

wszystkim co tylko w mej mocy, by w końcu przekonać cię, żebyś tu została - szepnął czule. - Będę to robił, dopóki nie pojmiesz, jak wielką radość sprawia ci moja obecność. Choć oczywiście nigdy nie dorówna ona mojej radości.

Rozdział

— X —

Mężczyźni z grupy przybyłych z Santo Domingo uchodźców rozeszli się szybko następnego ranka tuż po śniadaniu. Zniknął też Ryan, który musiał zająć się swoimi interesami zaniedbanymi w czasie długiej wyprawy. Panie pozostały u niego w domu, czekając aż mężczyźni znajdą dla nich odpowiednie miejsce. Zebrały się na ganku wychodzącym na dziedziniec, gdzie z ożywieniem rozprawiły o luksusie w domu Ryana, jaki wprowadził ich w bezgraniczne zdumienie. Rozmawiały też o rozkoszach Nowego Orleanu, o widocznych na każdym kroku udogodnieniach, okazjach do zabawy, o pierwszych, niecierpiących zwłoki zadaniach - od znalezienia dobrego lekarza po odkrycie sklepu z karminem do ust - jakie będą musiały wykonać zanim na dobre rozpoczną nowe życie. Pomimo łączącej je zażyłości można było wyczuć unoszące się w powietrzu poczucie skrepowania, dobrze znane gościom czekającym na schodach na swój powóz po zakończeniu przyjęcia.

W południe wszyscy zdążyli się już rozjechać: Mazentowie do najlepszej w Nowym Orleanie gospody, gdzie postanowił zatrzymać się również Durant; trupa Morvena wynajęła pokój nad tawerną na północnym końcu rue de Bourbon, a Tusardowie znaleźli schronienie w domu przyjaciela, który zajmował niegdyś stanowisko w zarządzie kolonii, a teraz - będąc już na emeryturze - zamieszkał w Nowym Orleanie.

Elene została sama. Siedziała w zacienionym miejscu na ganku, obserwując rozpryskującą się w fontannie wodę i promienie słońca tańczące na liściach dużego dębu rosnącego na dziedzińcu. Nagle usłyszała za sobą kroki. Obejrzała się i zobaczyła zbliżającego się majordomusa Ryana, który skłonił się jej z uszanowaniem.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli przeszkadzam. Pan Ryan pozostawił nam wyraźne polecenia, by traktować panią jako panią tego domu. Jeśli życzy sobie pani, by coś zostało wykonane, jeśli ma pani jakieś polecenia dotyczące porządku lub zmian w sypialni czy też wyboru potraw na obiad, proszę mi zaraz powiedzieć.

Była to bardzo zgrabnie skonstruowana przemowa, wypowiedziana z wielkim szacunkiem i atencją, jednak jej autor dawał wyraźnie do zrozumienia, że szanując bezgranicznie polecenia swego pana, to on dzierży ster w tym domu. Kierowanie całym gospodarstwem będzie mimo wszystko spoczywało na jego barkach, czym zajmował się bez wątplenia od dobrych paru lat, a Elene będzie mogła tylko udawać, że ma coś do powiedzenia. Benedict wyraźnie sugerował, że to on będzie podejmował wszystkie dotyczące gospodarstwa decyzje.

Słyszając głos majordomusa, z sypialni wyszła Devota. Na dźwięk jego pełnej podtekstów przemowy najeżyła się.

- Panią Elene - powiedziała dobitnie - kierowała gospodarstwem znacznie bardziej imponującym i eleganckim niż ta rudera na długo zanim pozwolono jej upiąć włosy. Zapewniam cię, że nie potrzebuje nikogo, kto przekazywałby innym jej polecenia. Ani też nikogo, kto sugerowałby, jak te polecenia powinny brzmieć!

Elene zorientowała się natychmiast, że Devota i Benedict wypowiedzieli sobie otwartą wojnę. Wstała szybko, odbierając tym samym służącemu okazję do ciętej odpowiedzi. Popatrzyła na tych dwoje stojących naprzeciw

siebie z pałającymi gniewem oczami i rzucając Devocie ostrzegawcze spojrzenie, powiedziała do Benedicta:

- Jestem obca w Nowym Orleanie. - Jej głos brzmiał spokojnie, jakby nic nie zaszło. - Nie znam waszych zwyczajów i nie wiem, co można dostać na targu. Na razie pozostawiam więc wszystko w twojej gestii. Sprawisz mi jednak wielką przyjemność, pokazując dom i opowiadając, jak sobie tutaj radzicie.

Służąca i majordomus spojrzeli na siebie triumfalnie. Devota nie posiadała się z radości, gdyż jej pani zajęła należne sobie miejsce, wydając ukryte pod postacią uprzejmej prośby polecenie, a Benedict cieszył się, że jego pozycja w domu została uznana i potwierdzona. Elene odwróciła się i czekała spokojnie.

Spojrzał na nią z ociąganiem, nie chcąc porzucać tak mile rozpoczętej kłótni.

- Teraz, panią Elene?

- Jeśli można. - Odpowiedź zabrzmiała bardzo zdecydowanie, lecz jednocześnie niezwykle uprzejmie.

Obchód zaczęli od salonu, największego i najbardziej oficjalnego pomieszczenia w całym domu. Choć zamknięto okiennice, by powstrzymać pałac promienie słońca przed wtargnięciem do środka i w rezultacie w pokoju panował półmrok, widać było, że salonowi nie brak uroku i elegancji. Podobnie jak główna sypialnia umeblowany był najlepszymi angielskimi sofami i sekretarami, lecz stoliki, lustra, żyrandol i wesołe, czerwono-białe tapety pochodziły z Francji. Przylegającą do salonu jadalnię, jak również sypialnie znajdujące się w głównym budynku oraz pomieszczenia w bocznych skrzydłach rezydencji urządzono w podobnym stylu.

Elene obliczyła, że w całym budynku znajduje się trzydzieści pokoi, wliczając w to pomieszczenia w *garconnières*, w dużych rodzinach przeznaczane za zwyczaj dla młodych kawalerów. Oprócz salonu, jadalni

i kredensu oraz sypialni Ryana znajdujących się w głównym budynku, na piętrach każdej z dwóch *garconnières* znajdowało się sześć sypialni. Na dole były pomieszczenia magazynowe, których okna wychodziły na ulicę, a wokół dziedzińca umieszczono kuchnię, pralnię, salę do bilardu oraz pokoiki dla służby. Wszystkie pokoje na każdym piętrze położone były w amfiladzie, a na zewnątrz łączył je ozdobny ganek. Kamienny dziedziniec dostarczał chłodu i ciszy, będąc prawdziwą oazą spokoju wśród zgiełku ciągnącej się przed domem ulicy. Układ ten, bardzo podobny do rezydencji na wyspach, budowanych z myślą o łagodzeniu trudów tropikalnego klimatu, na pewno czynił życie w mieście niezwykle przyjemnym.

Elene nie zdradzała chęci do przejścia rządów w domu, dlatego wraz z upływem czasu majordomus coraz chętniej dzielił się z nią informacjami dotyczącymi porcji posiłków, podawanych potraw, zakupów i najróżniejszych szczegółów związanych z prowadzeniem tak dużego gospodarstwa. Zgromadził też na dziedzińcu całą służbę i przedstawił jej wszystkich z imienia. Jednak kucharzowi, osobie niezwykle ważnej i o tej porze dnia bardzo zajętej, musieli złożyć wizytę w kuchni. Elene obejmowała całe stopy serwet, obrusów i pościeli, zapasy mydła, proszku do mycia zębów i pomady do włosów. Otwarto dla niej również puste teraz magazyny. Benedict z wielką dumą wyliczał towary, które Ryan często tam przechowywał zarówno dla siebie, jak i dla swych wspólników: pudła świec, beczki malagi, bordeaux i madero, gliniane butle oliwy, najlepsze owoce, całe pudła rodzynek oraz suszonych śliwek, ocet, orzechy i sery, beczki maku i nie mielonej kukurydzy, tytoń, herbatę, kawę i kakao oraz całe zwoje muślinu i zwykłego płótna przeznaczonego do użytku w gospodarstwie.

Elene okazywała odpowiednie zainteresowanie, lecz

jej szczególną uwagę zwrócił niewielki pokój, którego okna wychodziły na ulicę. Długi i wąski, miał po jednej stronie drewnianą ladę, a po drugiej półki. Na tyłach znajdowała się nieduża wnęka. Choć teraz pachniał kawą i herbatą, kiedyś na pewno doskonale sprawdzi się jako perfumeria.

Ryan wrócił do domu, by zjeść z Elene obiad. Usiedli razem na ganku, gdzie w cieniu obok słupka obrosniętego gałązkami jaśminu ustawiono dla nich niewielki stolik. Kwiaty kwitnące w lutym dawno już opadły, lecz w liściach krzewu znalazła schronienie para kameleonów, które ich teraz obserwowały, czekając na swój posiłek.

Jeszcze przy śniadaniu Ryan opowiedział Elene o wszystkim, czego dowiedział się w czasie kolacji u prefekta. Wyglądało na to, że amerykański prezydent Jefferson wraz z kongresem wyraził tak wielkie niezadowolenie z powodu cofnięcia prawa do składowania towarów w Nowym Orleanie i wynikającymi z tego utrudnieniami dla amerykańskiego handlu, że rząd hiszpański w Madrycie przeraził się nie na żarty. Bojąc się, że oddziały Stanów Zjednoczonych ruszą na Nowy Orlean i zdobędą miasto, Hiszpanie wydali rozkaz, by miasto ponownie stało się wolnym od opłat celnych portem dla amerykańskich statków. Proklamację przywracającą to prawo wydano w czasie nieobecności Ryana. Wszyscy z wielką ulgą przyjęli wiadomość, że nie istnieją już żadne przeszkody dla wolnego handlu. Ryan też mógł wrócić do swego głównego zajęcia i stać się bardziej kupcem niż korsarzem.

Potwierdziły się również pogłoski o zaostrzeniu konfliktu pomiędzy Wielką Brytanią i Francją. Wielka Brytania wypowiedziała wojnę przed miesiącem, więc Ryan mógł zatrzymać statek przechwycony w czasie podróży do Nowego Orleanu jako legalną zdobycz wojenną.

Podczas jego nieobecności wielkie poruszenie wywołało na początku czerwca przybycie statku z wiadomością, że Napoleon sprzedał Luizjanę Stanom Zjednoczonym za bajeczną sumę. Prefekt Laussat wyśmiał jednak szerzące się w mieście pogłoski na ten temat i oświadczył, że nic mu nie wiadomo o takiej transakcji.

Przez kilka chwil Elene i Ryan jedli w milczeniu, rozkoszując się smacznym daniem z przyprawionego ziołami ryżu, owoców morza i szynki.

- Czy słyszałeś coś jeszcze o odstąpieniu kolonii? - spytała w końcu Elene.

- Nic konkretnego, choć Amerykanie już to świętują. Od paru dni organizują przyjęcia z fajerwerkami, ciesząc się z przyłączenia do Stanów nowego kawałka ziemi. A po ulicach chodzą tak dumnie, jakby już byli ich właścicielami. Para pijanych mieszkańców Kentucky niemal zepchnęła mnie z *banquette*.

Banquette był rodzajem wzniesionego nieco wyżej drewnianego chodnika, który chronił pieszych przed błotem pokrywającym stale ulice miasta. Elene wiedziała, że trudno jest popchnąć w dużych glinianych donicach potężną postać Ryana i zastanowiła się, czy dwaj nieszczęśnicy wylądowali w błocie. Nie spytała go jednak o wynik tego starcia.

- Myślałam, że z radością staniesz się porządnym Amerykaninem.

Skrzywił się.

- Czułbym się o wiele lepiej, gdyby można się było pozbyć tych okropnych facetów z Kentucky.

Wiedziała dokładnie, co Ryan ma na myśli. Rano miała okazję obejrzeć ich z balkonu. Byli potężni, ubrani w skóry, z długimi, zmierzwionymi włosami. Na głowach nosili proste czapki ze skór, na których wciąż widać było resztki sierści zwierząt. Byli pijani i bardzo głośni, zataczali się, śpiewając sprośne piosenki, a kiedy zo-

baczyli ją na balkonie, zaczęli wykrzykiwać obraźliwe epitety. Szybko weszła do środka i zamknęła drzwi.

- Czy mieszkańcy Stanów na pewno nie są tacy sami?

- Nie. Niektórzy z nich wyglądają na prawdziwych dżentelmenów i mają nienaganne maniery, ale niezwykle trudno prowadzi się z nimi interesy. Na pewno jest wśród nich wielu szlachetnych ludzi, nie może być przecież inaczej w kraju, który wydał Washingtona i Jeffersona, ale niewielu z nich przybywa do Nowego Orleanu. Nie szkodzi. Jacykolwiek by byli, i tak są lepsi od Hiszpanów.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że Napoleon mógłby sprzedać Luizjanę.

- Twierdzi, że przyczyniając się do powstania potężnych Stanów Zjednoczonych, chce stworzyć wroga Wielkiej Brytanii na przyszłość.

- To dość odległe plany, prawda? - Elene nie kryła sceptycyzmu.

- Napoleon należy do ludzi, którzy wybiegają myślą daleko w przyszłość. Prawda wygląda chyba jednak tak, że nie widzi możliwości utrzymania Luizjany. Nie przy tak wielkiej odległości i tak poważnych stratach, jakie poniósł na Santo Domingo. Nie mówiąc o ogromnych wydatkach związanych z utrzymaniem kolonii. Bardziej prawdopodobne wydaje mi się to, że zamiast przyczyniać się do powstania potężnego wroga dla Wielkiej Brytanii, miał nadzieję, że Stany Zjednoczone zostaną sojusznikiem Francji, tak jak ona stanęła po ich stronie w czasie wojny o niepodległość.

- Zastanawiam się, jak na to wszystko zareagują Hiszpanie?

- Na pewno dojdzie do protestów, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. W traktacie z San Ildefonso wyraźnie zakazano oddania Luizjany. Hiszpańscy ministrowie chcieli ją zatrzymać jako bufor pomiędzy

Stanami Zjednoczonymi i należącymi do Hiszpanii terenami w Meksyku i w Ameryce Środkowej, pozbywając się jednocześnie konieczności sprawowania tu rządów. Obawiam się, że Napoleon przysporzył Hiszpanii nowych problemów.

- Jak, skoro istnieją wyraźne zakazy?

- Pierwszy konsul Francji nie zwraca sobie głowy żadnymi zakazami.

- Mówisz tak, jakbyś wierzył, że cesja stała się faktem. Przecież prefekt Laussat na pewno coś by o tym wiedział.

- Niekoniecznie. Wiadomość musi zostać potwierdzona oficjalnie, a to przecież trwa. Trzeba wykonać ogrom czynności prawnych, no i przestudiować, skopiować i podpisać wiele pism i dokumentów.

- A my tymczasem siedzimy tutaj, nic nie wiedząc. Możemy się tylko snuć domysły i zgadywać. To takie frustrujące!

Ryan zgodził się z nią, po czym zgrabnie zmienił temat, pytając, co robiła przed południem. Opowiedziała o spacerze Devoty i Benedicta i dokładnym zwiedzaniu dom.

Ryan nie odrywał od niej wzroku. Przyniósł ze sobą najnowszy numer „La Moniteur de la Louisiane”, gazety wydawanej w Nowym Orleanie, lecz leżała zapomniana przy jego talerzu. W ruchach siedzącej przed nim młodej kobiety kryło się tyle wdzięku, z taką gracją unosiła widelec i odwracała głowę, że nie mógł się na nią napatrzeć. Poczul niemal bolesny skurcz na widok jej delikatnych, poznaczonych niebieskimi żyłkami nadgarstków. Fascynowało go pojawiające się w jej oczach rozbarwienie i promień słońca błędzący po jej policzku. Włosy Elene lśniły niczym najczystsze złoto, co przypomniało mu o monetach. Wyjął z kieszeni kurtki portmonetkę i położył ją na stole. Schowane w niej monety zadźwięczały donośnie.

- Pieniądze? Dajesz mi pieniądze?

- Wygląda na to, że ich nie masz, a na pewno bardzo chcesz odwiedzić sklepy z materiałami i modystki.

- Nie zamierzam brać od ciebie pieniędzy na ubrania!

Ryan za wszelką cenę próbował zachować spokój, choć jej opór w tej materii wcale go nie dziwił.

- A czym to się różni od kwot wydawanych na jedzenie czy dach nad głową?

- Różni się i wiesz o tym doskonale. - Ściągnęła usta i z wyrazem pogardy na twarzy spojrzała na portmonetkę.

- Ta sukienka, którą dostałaś od Hermine, jest naprawdę urocza, ale trochę mi się już opatrzyła. A choć że koszula nocna, którą miałaś wczoraj na sobie, jest bardzo powabna, na pewno nie zdecydujesz się chodzić w niej po ulicach. No, bądźże rozsądna i weź te pieniądze.

- Nie mogę.

Ryan oparł się wygodnie i utkwiał baczne spojrzenie w twarzy Elene. Światło padające z dziedzińca oświetliło delikatnie jej podbródek, sprawiając, że skóra dziewczyny załśniła jak najdelikatniejszy jedwab. Odbiło się również od łańcuszka z kameą, który nosiła na szyi. Patrząc na naszyjnik, nagle wpadł na doskonały pomysł.

- Zawrzyjmy więc umowę. Udzielisz mi odpowiednich gwarancji, a ja wypłacę ci pewną sumę pieniędzy.

- Co masz na myśli? - spytała obojętnie.

- Nie twoje ponętne ciało, jeśli o nie ci chodzi.

Spojrzeła na niego uważnie.

Wzruszył ramionami.

- Ten drobiażdżek, który nosisz na szyi.

- Kameę mojej matki? - W obronnym geście zamknęła dłoń na klejnocie.

- Zatrzymam go tylko do chwili, kiedy będziesz go mogła wykupić. To pożyczka, rozumiesz?

Wiedziała doskonale, że nigdy nie będzie chciał od

niej pożyczonych pieniędzy. Zaproponowany układ był tylko wygodną wymówką, dzięki której będzie mógł ubrać ją w najwspanialsze suknie. Ale ona sprawi mu niezłą niespodziankę. Odda mu wszystko co do grosza, zarabiając na sprzedaży perfum. Rozważała już przecież możliwość sprzedaży naszyjnika, by w ten sposób użyć pieniądze na dobry początek. Lepiej będzie, jeśli rodzinna pamiątka trafi w ręce Ryana. Może nie będzie zachwycony sposobem, w jaki wykorzysta pożyczone od niego pieniądze, ale z tym będzie musiała sobie poradzić później.

- Dobrze, zgadzam się - odparła i pochyliła głowę, by zdjąć łańcuszek.

Ryan spodziewał się ostrzejszej walki. Obserwując ją zastanawiał się, dlaczego tak łatwo skapitulowała. Przez myśl mu nie przeszło, że udało mu się ją oszukać. Spodziewał się, że dojdzie między nimi do niezwykle skomplikowanej dyskusji, a każde z nich będzie udawać, że kieruje się najczystszy motywem. Powinien był wiedzieć, że Elene nie podejmie zaproponowanej jej gry zgodnie z regułami stosowanymi przez kobiety i mężczyzn na całym świecie. Był tak pogrążony w rozmyśleniach, że kiedy podała mu łańcuszek z wisiorkiem, wziął go niemal automatycznie. Już chciał oddać go jej z powrotem, lecz coś go powstrzymało. Może wielka godność ukryta w każdym jej ruchu, może wyraz zdecydowania w szarych oczach. Naszyjnik był jeszcze ciepły. Trzymając go w dłoni, poczuł dziwny ucisk w sercu, lecz ani o jotę nie zmniejszyło to jego niepokoju.

Elene wybrała się na zakupy razem z Devotą. Z zaskoczeniem odkryły, że w Nowym Orleanie nie brakuje materiałów niezbędnych do uszycia eleganckich sukien. W sklepach pełno było muślinów, koronek, jedwabi, aksamitów, tafty i najróżniejszych ozdób. Na półkach można też było znaleźć pióra i egrety, koraliki, ozdobne gu-

ziki, wstążki, delikatne woalki i mnóstwo najróżniejszej biżuterii. Nie zabrakło też kremów, pudru i barwiczki do twarzy, nie mówiąc już o perfumach, w większości sprowadzanych z Francji. Devota, przyglądając się podejrzliwie flakonikom spostrzegła, że z czasem pociemniały i nie należą już do najświeższych.

Na ulicach panował spory ruch. Mijały elegancko ubrane matrony w mantylkach na wyszukanych fryzurach, młode dziewczęta w słomianych kapelusikach i skinieniem głowy odpowiadały na ukłony przechadzających się swobodnie młodych mężczyzn z eleganckimi szpadami u boku i perfumowanymi chusteczkami wsuniętymi za mankiety białych koszul. Mijające je zakonnice w czarnych habitach uśmiechały się przyjaźnie. Hiszpańscy żołnierze w czerwonych mundurach z białymi kokardami odprowadzali je wzrokiem.

Elene kupiła wzorzysty muślin z Indii na kilka porannych sukienek i bladoróżowy jedwab na strój wieczorowy, na wypadek, gdyby okazał się potrzebny. Razem z Devotą nabyły też delikatny batyst na bieliznę oraz wstążki i koronki do przybrania kreacji. Zadbaly też o odpowiednie pończochy, pantofle i buty, rękawiczki oraz kapelusze chroniące przed słońcem. Nie wydały za to ani grosza na szwaczki i niewiele kosztowały je usługi modystki. Z pomocą Devoty sama uszyje proste stroje, potrafi też przybrać kapelusze. Po dokonaniu wszystkich zakupów i wysłaniu ich do domu pozostało jej więc w portmonetce sporo pieniędzy. Doszła do wniosku, że dobrze byłoby pomyśleć o przygotowaniu nowego zapasu perfum, gdyż te przywiezione z wyspy powoli się kończyły. Spytały o najbliższą perfumerię i wyruszyły na jej poszukiwanie.

Sklep znajdował się na błotnistej ulicy zabudowanej domami w stylu francuskim. Nie prezentował się zbyt imponująco, gdyż nie była to perfumeria z prawdziwego zdarzenia, a tylko kilka półek umieszczonych w ciem-

nym rogu apteki. Sam aptekarz niewiele miał wspólnego ze sztuką wytwarzania zapachów. Człowiek, od którego przed rokiem nabył aptekę, trzymał na składzie płatki kwiatów, esencje, olejki oraz pachnące proszki, które pozostały na półkach. Choć aptekarz miał w zapasie także potrzebny alkohol, nigdy nie próbował wytwarzać własnych perfum.

Elene podeszła do półek, przyglądając się bursztynowym i przejrzystym płynom. W szklanych buteleczkach i naczyniach stały tam wszystkie składniki, które miały zapewnić jej bezpieczeństwo.

Razem z Devotą odmierzyły potrzebne ilości ambry i piżma, pochodzącą z Dalekiego Wschodu mirrę i kadzidło, olejki z drzewa cedrowego i sandałowego. Wąchały olejki jaśminowe, różane i te otrzymane z uroczynu, mielone korzenie fiołków z Parmy, skórkę cytrynową i pomarańczową, sproszkowaną miętę, nasiona anyżu, rozmaryn i cynamon, olejki pochodzące z koniczyny, żonkili i pelargonii. Kupiły wszystko, czego potrzebowały, prócz kilku tylko składników. Aptekarz włożył zakupy do kosza Devoty, gdyż służąca nie chciała powierzyć cennych składników chłopcu zajmującemu się ich dostarczaniem. Sama przerzuciła kosz przez ramię i razem z Elene wyszły ze sklepu.

Na południowym zachodzie powoli zaczęły pojawiać się szare chmury, lecz nadal było bardzo gorąco. Na ulicy minął je spieszący się gdzieś mężczyzna, a kobieta z zawiniątkiem ciągnęła za rękę płaczące dziecko, rzucając przy tym na niebo pełne niepokoju spojrzenia. Nagle rozległ się grzmot i powiał mocny wiatr. Elene spojrzała na Devotę. Zaraz na pewno zacznie padać. Ostrzeżono je, że latem w Nowym Orleanie często pada po południu. Przyspieszyły kroku. Przed sobą zobaczyły dwupiętrowy budynek z dużym balkonem, pod którym na pewno znajdą schronienie.

Raz jeszcze rozległ się stłumiony grzmot, jakby powietrze było zbyt gęste, by przenieść bardziej potężne dźwięki. Gruba kropla ciepłego deszczu spadła Elene na twarz. Za nią druga i następna. Zaczęła biec. Devota poadażała tuż za nią, a buteleczki i fiolki, które niosła w koszyku, dzwięczały przy każdym ruchu.

Nagle szare niebo jakby się otworzyło i na ulicę spadły strugi deszczu. Ostatkiem sił, przez coraz gęstszą ścianę wody, wbiegły pod balkon. Stały tam, śmiejąc się i ocierając kapiącą z twarzy wodę, gdy nagle podmuch wiatru skierował pod balkon kolejną falę deszczu. Cofnęły się szybko, znajdując schronienie w mieszczącej się na parterze budynku pracowni modystki.

Kiedy weszły do środka, mała dziewczynka obserwująca strugi deszczu odwróciła się gwałtownie i podbiegła do niani, dwóch starszych sióstr i matki, która rozmawiała z właścicielką sklepu. Objęła matkę za kolana.

- No, Zoe, nie wstydz się - powiedziała cicho kobieta i łagodnie popchnęła dziewczynkę w stronę niani.

Elene uśmiechnęła się do małej, po czym raz jeszcze z zainteresowaniem przyjrzała się jej matce. Była niezwykle piękna i otaczała ją aura wielkiej elegancji i pewności siebie. Stojącą u jej boku modystkę traktowała z lekkim dystansem, jednak bez cienia protekcyjności. Ubrana była w bładoniebieską suknię, a na szyi zawiązała chustkę z delikatnego muślinu przybraną drogą koronką. Suknia była tak doskonale uszyta, że mogła pochodzić tylko z Paryża.

Modystka trzymała w dłoniach kapelusz z delikatnej, barwionej na bładoniebiesko słomki, idealnie pasujący do stroju damy. Sięgnęła do stojącego na ladzie koszyka, by wyjąć bukietek stokrotek z płatkami z jedwabiu i aksamitnymi, żółtymi środkami.

- Może te, madame Laussat - zasugerowała, przekrzywiając lekko głowę. - Będą wyglądać niezwykle świeżo.

- Raczej nie - odparła żona prefekta. - Nie zamierzam naśladować biednej Marii Antoniny i ubierać się jak mleczarka.

- Do takiego kapelusza pasują bardzo proste dodatki, madame.- Modystka najeżyła się lekko, jakby nie mogła się pogodzić z odrzuceniem swojej propozycji. Odłożyła stokrotki i drżącymi palcami zaczęła gładzić kapelusz.

- Prostota, tak, zgadzam się w zupełności - odparła bardzo dyplomatycznie madame Laussat. - Może groszki? Albo wianuszek drobnych listków owinięty wokół główki? - Odwróciła się do Elene. - Jak pani sądzi?

Elene zrobiła krok naprzód.

- To kapelusz do codziennego użytku?

- Tak. Będę w nim jeździć z mężem w otwartym powozie. On uwielbia zwiedzać okolicę, muszę więc się dobrze zabezpieczyć przed palącym słońcem Luizjany.

- Skoro nosi pani białą chustkę, może do przybrania kapelusza wystarczy zwykła biała wstążka? Nic nie stwarza wrażenia chłodu tak dobrze jak biel. Mogłaby też pani przypiąć do runda długie wstążki, które pięknie powiewałyby na wietrze.

- Przydałyby się także do zawiązania kapelusza. Tak, to bardzo odpowiednie i niezwykle szykowne. Jestem pani ogromnie wdzięczna za radę, panno...

Kiedy kobieta urwała na moment, Elene szybko podała swoje nazwisko. W tej samej chwili modystka obdarzyła ją wrogim spojrzeniem.

- Ach tak, panna Larpent. - Madame Laussat przedstawiła się, po czym ruchem ręki wskazała na dzieci. - A to są moje córki. Zoe, Sophie i Camille. Dziewczynki, ukłon.

Elene odpowiedziała dygnięciem na ich pozdrowienie.

- Słyszałam o pani ciężkich przejściach na Santo Domingo - ciągnęła dalej madame Laussat. - Proszę przyjąć szczerze wyrazy współczucia z powodu śmierci pani ojca.

- Dziękuję - odparła zakłopotana Elene. - To niezwykle uprzejme z pani strony, ale nie wiem jak...

- Jak się o tym dowiedziałam? Od pana Bayarda, oczywiście. Zgodzi się pani ze mną na pewno, że mamy tu wspaniałych mężczyzn. Takich dzielnych i szarmanckich.

- Tak - odparła cicho Elene.

- Co za straszna rzecz, ten bunt. Na Santo Domingo jest teraz bardzo niebezpiecznie. Razem z mężem zatrzymaliśmy się tam w lutym na dwa dni, ale było tak groźnie, że nie opuściliśmy pokładu statku.

- Tak... było naprawdę bardzo źle.

- Szczerze pani współczuję, ale przychodzi mi to łatwiej, gdy opowieść o przykrych wydarzeniach i cudownym ocaleniu słyszy się z ust takiego mężczyzny jak pan Bayard.

Nawet gdyby Elene znalazła właściwe słowa, nie zdążyłaby ich wypowiedzieć, gdyż do rozmowy wtrąciła się modystka.

- Strasznie dużo jest tych uchodźców z Santo Domingo - rzuciła z pogardą. - I nie widziałam w ich gronie żadnych dzielnych mężczyzn. Zajmują się wyłącznie hazardem. A kobiety są jeszcze gorsze. Lekceważą zupełnie modę, ubierają się w jaskrawe kolory i noszą nieprzyzwoicie głębokie dekolty. Wszyscy tak bardzo byli uzależnieni od niewolników, którzy potem próbowali ich wymordować, że teraz nic sami nie potrafią zrobić.

Elene nie mogła pozwolić, by taki atak uszedł na sucho. Rzuciła modystce ostre spojrzenie.

- Jestem pewna, że kobiety pochodzące z mojej wyspy są takie same, jak wszędzie. Ani lepsze, ani gorsze.

- Może tak, ale co pani powie o tych, które przywożą ze sobą swoje niewolnice? Te dumne stworzenia noszą na włosach turbany i zatruwają umysły naszych służących opowieściami o strasznym kulcie wudu i zaklęciach wywołujących śmierć.

- One też niczym się nie różnią. Proszę tylko spojrzeć na moją służącą Devotę.

Właścicielka sklepu cofnęła się gwałtownie. Zacisnęła mocno usta i w milczeniu zajęła się kapeluszem żony prefekta.

Deszcz przestał padać równie gwałtownie jak zaczął. Już po chwili palące słońce wyszło zza chmur, a znad dachów domów i ociekających wodą rynien unosiła się para.

Elene i Devota pożegnały się z panią Laussat i jej córkami. Idąc do domu Ryana, Elene pomyślała o gwałtowności, z jaką stanęła w obronie uchodźców z Santo Domingo. Czuła się tak, jakby broniła wyspy i panującego tam stylu życia. Czy to możliwe, że podobnie jak Ryan czuła się bardziej związana z miejscem urodzenia niż ze swoją ojczyzną, Francją?

Zanim mogły się zabrać do przygotowywania perfum, musiały zdobyć składniki, których zabrakło w aptece. Kiedy dotarły do domu, Devota zasięgnęła informacji u Benedicta. Jej wyniosłe zachowanie spotkało się z dobrze udawaną uprzejmością. Po chwili służąca wzięła koszyk i wyszła z domu. Nie powiedziała, dokąd się udaje, a Elene nie pytała. Skierowała się jednak w stronę grobli, gdzie cumowały statki, których maszty rysowały się wyraźnie na tle błękitnego nieba.

Minął cały tydzień, zanim udało im się zgromadzić wszystkie potrzebne składniki. Elene spędziła większość czasu, szyjąc i przygotowując nową garderobę. Uszyły również kilka strojów dla Devoty. Miały sporo czasu, by posprzątać składzik, w którym zamierzały urządzić swoją pracownię. Zebrały potrzebne naczynia, dużą szklaną butlę, do mieszania alkoholu, olejków i proszków, porcelanową miarkę do odmierzania potrzebnej ilości, cały zapas ciemnoniebieskich flakoników do przechowywania gotowego już zapachu i małe korki. W czasie pracy

zastanawiały się nad nazwą dla nowych perfum. Wszystkie propozycje wydawały im się albo zbyt bezbarwne, albo zbyt nieprzyzwoite i przynajmniej na tym polu musiały się przyznać do porażki.

Wreszcie nadszedł ranek, gdy wszystko było gotowe. Elene i Devota poczekały, aż Ryan wyszedł na cały dzień z domu, a Benedict udał się na targ po codzienne zakupy, i szybko zeszły do pracowni. Elene przyniosła ze sobą papier, pióro i atrament, by zapisywać składniki i ich ilość, gdyż na razie przepis spoczywał wyłącznie w głowie Devoty. Razem odsunęły okiennice, by wpuścić blask porannego słońca. Podeszły do lady. Devota ujęła pierwszą fiolkę. Elene wzięła pióro i zapisała: jaśmin, następnie bergamotka i starannie podała ilość obu składników.

Krok po kroku mieszały cenne olejki, dodając na koniec kilka kropel uroczynu. Devota uniosła dużą butlę i łagodnie wymieszała bursztynowy płyn. Kiedy odstawiła butelkę, odsunęła się i skinęła lekko na Elene, która po chwili wahania odłożyła pióro i wzięła do ręki przygotowany kawałek czystego płótna. Zwilżyła go kilkoma kroplami perfum i odczekała chwilę, delikatnie potrząsając szmatką. Wreszcie zbliżyła ją do nosa i głęboko wciągnęła powietrze.

Zmarszczyła brwi, po czym znów ostrożnie powąchała płótno. Odwróciła się do Devoty z wyrazem rozczarowania w oczach.

- Coś jest nie tak.
- Co takiego?

Devota wzięła od niej płótno. Zaraz potem wylała parę kropli perfum na nadgarstek, odczekała, aż alkohol się ulotni i powąchała rozgrzaną skórę. Westchnęła rozdrażniona.

- Co mogło się stać? - powiedziała niemal do siebie.
- Może tutejsze kwiaty są inne.

- To nie to.
- Czy jesteś pewna, że mamy wszystkie składniki, z których korzystałaś na Santo Domingo?

- Prawie wszystkie.

Patrzyły na siebie przez długą chwilę. Elene od razu się domyśliła, czego brakowało. Na pewno bardzo ważnego składnika, który zdaniem Devoty sprawiał, że perfumy wywierały niezwykle wpływ na mężczyzn. Nie miała pojęcia, co to jest. Może jeden z olejków lub proszków stojących tak niewinnie na ladzie; może chodziło o bardzo subtelną zmianę w sposobie mieszania lub też o miejsce, w jakim przygotowały zapach. Bez tego składnika perfumy były jednak zupełnie inne, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości.

- Zapach jest bardzo piękny - rzekła po chwili namysłu Elene. - Może to wystarczy?

- Może - odparła Devota, raz jeszcze wachając nadgarstek.

Nagle do drzwi składziku rozległo się pukanie. Były tak zajęte swoją pracą, że podskoczyły przestraszone. Odwróciły się szybko, gdy do środka wszedł majordomus.

- Co się stało, Benedict? - spytała Elene ostrzejszym tonem, niż zamierzała.

- Ma pani gościa - odpowiedział z godnością. - To panna Bizet.

- Hermine? Teraz? - Elene szybko zdjęła fartuch, którą włożyła, przystępując do pracy, i wygładziła dłonią włosy. - Później podejmiemy decyzję co do zapachu - rzuciła do Devoty.

Benedict ruszył przodem w kierunku schodów prowadzących na ganek.

- Zaprowadziłem pani gościa na górę. Czy mam przynieść dzbanek czekolady i ciastka?

- Bardzo proszę - powiedziała ciepło, pragnąc zre-

wanżować się za swój wcześniejszy ostry ton. - To znaczy przynieś czekoladę dla pani. Ja wolę kawę.

Benedict skłonił się z uśmiechem.

- Elene, *chere!* Przyszłam zobaczyć, jak się miewasz i opowiedzieć ci wszystkie plotki. - Hermine wstała, by się przywitać i objęła ciepło dziewczynę. Elene wskazała jej gestem fotel, po czym sama usiadła naprzeciwko. Obie wymieniły zwyczajowe uprzejmości.

- Nigdy w to nie uwierzysz - rzekła Hermine z wyrazem rozbawienia na twarzy. - W Nowym Orleanie nie ma zawodowego teatru. Ani jednego!

- Żartujesz.

- Ależ skąd. Amatorskie spektakle odbywają się w zaimprowizowanym teatrze znanym jako Spectacle de la Rue Pierre, jest też miejsce znane jako La Salle de Comedie. A może to jedno i to samo miejsce, nie mam pojęcia. Trudno je jednak w ogóle brać pod uwagę. Co opętało tych nieszczęsnych Hiszpanów, że radzili sobie bez teatru?

- Może cierpieli na nadmiar skromności? A może nie mieli utalentowanych aktorów takich jak członkowie twojej trupy?

- Ten ostatni powód bardzo mi się podoba - odparła Hermine z błyskiem w oku. - Ale na pewno ucieszysz się na wieść, że wszystko niedługo się zmieni. Morven znalazł już dla nas odpowiednie miejsce.

- Teatr, którego nie ma? - Elene starała się bardzo, by okazać odpowiednie zainteresowanie, mimo problemów z perfumami.

- Cuda niestety się nie zdarzają. To ogródek.

- Co takiego?

Elene wiedziała doskonale, że Hermine ma na myśli ogródek pełen najróżniejszych uciech, naśladujący słynne Vauxhall Gardens w Londynie. W ogródkach tego typu często można było znaleźć scenę, gdzie prezentowano ma-

ło wybredne przedstawienia, takie jak pokazy żonglowania i sztuczek akrobatycznych, skecze, lekkie arie i muzykę przeznaczoną do tańca. Publiczność zazwyczaj siedziała w łóżach, jedząc kolację, pijąc i śmiejąc się głośno. Nie zwracała przy tym zbyt wielkiej uwagi na występujących artystów. Tylko najzabawniejsze skecze lub najbardziej niebezpieczne numery mogły liczyć na należne uznanie.

- Nie bądź aż tak zaszokowana, moja droga. Zapewniam cię, że występowaliśmy już w gorszych miejscach. Tak się składa, że nasza protektorka ma udział w ogródku leżącym poza miastem na końcu kanału.

- Rozumiem.

Hermine się uśmiechnęła.

- Wątpię, czy do końca. Protektorka jest wdową w średnim wieku, nie tylko bogatą i bardzo kochliwą, lecz również kompletnie oczarowaną Morvenem. Wdowy to jego specjalność.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Że ją wykorzystuje? Nic na to, biedak, nie może poradzić. A wdowy bardzo to lubią. Dzięki temu kolekcjonują miłe wspomnienia, które przydadzą się na starość.

- Tobie to nie przeszkadza? - spytała zakłopotana Elene.

Hermine wzruszyła lekko ramionami.

- Tylko trochę. Dla niego to nie ma wielkiego znaczenia, a jakoś musimy żyć.

- Tak przypuszczam. - Odniosła jednak wrażenie, że odpowiedź aktorki jest zbyt lekka i beztraska. Zupełnie nie pasowała do smutnego wyrazu jej oczu. Hermine, z całą swoją wyrozumiałością, była tym wszystkim przygnębiona. I to bardzo.

- No, lecz dość już o tym. Pod koniec tygodnia wystawiamy sztukę i koniecznie musicie przyjść z Ryanem. Z radością zobaczymy was wśród publiczności, ale też bardzo będziemy potrzebować waszego aplauzu!

Elene zgodziła się ochoczo. Ryan na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, tym bardziej że Morven był przecież jego starym przyjacielem.

Czekolada i kawa zjawiły się na stole w dwóch dzbankach z delikatnej sewskiej porcelany malowanej w drobne różyczki. Benedict napełnił filiżanki, po czym zniknął równie cicho jak się zjawił.

Hermine wypita łyk czekolady, wyraziła się bardzo pochlebnie o jej smaku, po czym przechyliła pytająco głowę.

- Czy miałas jakieś wieści od innych pasażerów statku? Monsieur Mazent udał się na inspekcję plantacji, którą jakże rozsądnie nabył tutaj przed kilkoma laty. Jakiś czas potem zaczęto tam produkować cukier, więc teraz może się uważać za człowieka bogatego mimo utraty pokaźnej fortuny na Santo Domingo. Rozważa możliwość zbudowania nowej rezydencji, lecz jeszcze się waha, bo Flora woli mieszkać w mieście.

- A Tusardowie?

- Kiedy ostatnio widziałam madame Tusard, była bardzo rozgoryczona. Monsieur Claude spędza większość czasu w Cafe des Refugies przy ulicy St. Philip, razem z innymi dżentelmenami z Santo Domingo. Popijają tam absynt i wspominają dawne czasy, gdy wiele znaczyli. Przyjaciele, u których zatrzymali się Tusardowie, już dali im delikatnie do zrozumienia, by poszukali sobie innego miejsca. Madame Tusard boi się, że będą zmuszeni zamieszkać w jakiejś skromnej chatce i żyć na łasce rządu francuskiego. Oczywiście, jeśli uda im się załatwić u pierwszego konsula jakąś skromną emeryturę. Wygląda na to, że Napoleon ma już dość naprzykrzania się i straszliwych opowieści przekazywanych przez uchodźców z wyspy. Podobnie zresztą jak mieszkańcy Nowego Orleanu.

- Wiem doskonale, co masz na myśli. Sama to zauwa-

żyłam - odparła Elene, wspominając tyradę modystki dotyczącą kobiet z Santo Domingo.

- Madame Tusard naprawdę zasługuje na współczucie, ale też potrafi być straszliwie męcząca. Przyszła do mnie wczoraj z wizytą. Z jakiegoś powodu była przekonana, że jej Claude przesiaduje u mnie, a nie w kawiarni. Wydaje jej się, że jestem aktorką, która przed laty sprowadziła Claude'a na manowce, nakłaniając go do sprzeniewierzenia rządowych funduszy.

- Nie wiedziałam, że w ten skandal zamieszana była jakaś aktorka. Nic o niej nie wspomniano na statku.

- Ja też nie. Ale z przyjemnością wyprowadziłam madame Tusard z błędu. To przecież czysty absurd. Byłam wówczas w Paryżu, przysięgam! Jednak tragedie, których los jej nie skąpił, sprawiły, że wszędzie dopatruje się wrogów.

Elene skinęła głową.

- W istocie.

- Spodziewam się, że miałas wiadomości od Duranta?

- Nie, żadnych. - Elene nie miała pojęcia, dlaczego Hermine sądziła, że jest inaczej. Czy myślała, że Durant odwiedza ją w domu, gdzie mieszka jako kochanka innego mężczyzny? W rzeczywistości ignorował ją zupełnie, jakby nie istniała, a ona nie miała nic przeciwko temu. Przez parę ostatnich dni Ryan był bardzo zajęty interesami, lecz na pewno nie popierałby wizyt Duranta w czasie swej nieobecności w domu.

Aktorka dopiła czekoladę i odstawiła filiżankę, po czym mówiła dalej swoim melodyjnym głosem.

- Durant ma chyba jakieś środki, o których nie wspominał na statku. Nie tylko ubrał się bardzo elegancko u najlepszego krawca w mieście, ale kupił też najpiękniejszy powóz, jaki kiedykolwiek widziałas. To czarny, lakierowany faeton z błękitnymi siedzeniami, do którego zaprzągł parę kasztanów, które nie mają sobie równych.

- Durant zawsze chciał mieć wszystko co najlepsze.

- Co przypomina mi od razu, że jego kochanka dostała błękitną suknię idealnie pasującą do koloru siedzeń w powozie i błękitny kapelusz z czarnymi piórami. Ze względu na Serephine wynajął też piętro domu położonego przy bardzo eleganckiej i modnej ulicy. Właściciel gospody, w której zatrzymał się razem z Mazentami, nie zgodził się, by z Durantem zamieszkała kochanka. Nie pozwolił jej również jeść w jadalni razem z innymi gośćmi. Durant wyprowadził się i od tej pory pokazuje się z nią ostentacyjnie w mieście.

- To bardzo do niego podobne.

- Podejrzewam, że właśnie dlatego postanowił kupić powóz, by podróżować z kochanką po całej okolicy. Nie musi przecież nadzorować plantacji ani odwiedzać krewnych, a głównie do tego służą tutaj powozy. To czysta ekstrawagancja.

- Zupełnie w jego stylu.

- Tak myślałam, choć przeszło mi również przez myśl, że bardzo za tobą tęskni i próbuje wszystkim udowodnić, że jest inaczej.

Elene potrząsnęła głową z wymuszonym uśmiechem.

- To bardzo wątpliwe.

- Jaka szkoda. A już miałam nadzieję, że brak szczęścia w miłości jest powodem wielkiego powodzenia Duranta!

Rozmawiały jeszcze przez chwilę, po czym Hermine wstała i zaczęła zbierać się do wyjścia. Elene zeszła z nią po schodach i razem przeszły przez dziedziniec. W bramie aktorka się zatrzymała.

- My, czyli członkowie trupy, opuściliśmy już pensjonat, w którym zatrzymaliśmy się zaraz po przyjeździe. Przenieśliśmy się do wdowy, by odbywać próby w jej ogrodzie. Musisz nas koniecznie odwiedzić, gdy tylko znajdziesz wolną chwilę.

- Wdowa nie będzie miała nic przeciwko temu?

- Ależ skąd. Uwielbia gości.

Aktorka wytłumaczyła Elene dokładnie, jak trafić do ich nowego miejsca zamieszkania. Dziewczyna powtórzała instrukcje, kiedy nagle otworzyły się gwałtownie drzwi do składziku, w którym urządziły z Devotą pracownię.

- Gotowe, *chere!* - wykrzyknęła służąca, wybiegając na dziedziniec. - Teraz wszystko jest tak, jak należy.

- Skończyłaś beze mnie? - Elene nawet nie próbowała ukryć rozczarowania.

- Nagle pojęłam, czego nam brakuje. Powąchaj tylko... - Devota wcisnęła w dłoń Elene małą buteleczkę i kawałek płótna. Dopiero teraz zauważyła stojącą obok aktorkę. - Panna Hermine, przepraszam, nie zauważyłam, że pani tu jest. Moje oczy... tak tu jasno po półmroku panującym w pracowni.

- Dzień dobry, Devoto - odparła aktorka. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że już zdążyłyście zrobić nowy zapas tych bajecznych perfum?

Devota z wahaniem skinęła głową.

- Praca nad dobrym zapachem musi być doprawdy fascynująca. Wąchanie go wiąże się z przywoływaniem wspomnień kwitnących kwiatów, a używając go tworzymy własne, cudowne wspomnienia. - Hermine spojrzała na niebieski flakonik spoczywający w dłoni Elene. Nie spuszczała z niej wzroku, gdy dziewczyna wyjęła koreczek i wykonała cały rytuał związany ze sprowadzeniem zapachu.

- I co? - zapytała aktorka.

- I co? - nalegała służąca.

Elene uśmiechnęła się szeroko do obu kobiet.

- Cudowny - powiedziała. - Doskonały.

Hermine westchnęła.

- Wspaniale. Pozwolisz mi powąchać? Nie mogę się

już doczekać, by sprawdzić, czy jest taki sam jak twój. To naprawdę niezmiernie zapach.

Elene poczuła nagle, że nie chce się nim z nikim dzielić. Ich triumf był jeszcze tak świeży, nie zdążyły się nim jeszcze nacieszyć, przekonywała samą siebie. Szybko jednak doszła do wniosku, że takie postępowanie jest bardzo nierozsądne. Podała więc aktorce kawałek płótna i z niepokojem czekała na jej reakcję.

- Cudowny - westchnęła rozanielona Hermine. - Jest po prostu bajeczny. To zapach raj, bez dwóch zdań. Powiedz mi proszę, że ta odrobina to nie wszystko, co udało się wam zrobić. Błagam cię, muszę dostać choć trochę. Naprawdę muszę!

Elene złożyła kiedyś obietnicę i teraz nadeszła chwila, by jej otrzymać. Zmusiła się do uśmiechu i wsunęła mały koreczek na miejsce.

- Weź ją.. tę pierwszą buteleczkę - powiedziała. - Jest twoja, tak jak kiedyś obiecałam. Nadałaś też zapachowi idealną wprost nazwę. Myślę, że nazwiemy nasze perfumy Raj.

Devota uczyniła gest, jakby chciała odebrać aktorce flakonik, lecz szybko cofnęła rękę. Nikt tego nie zauważył, gdyż Hermine mocno objęła Elene ramionami, wykrzykując słowa podziękowania. Kiedy aktorka wyszła, zabierając ze sobą perfumy, Elene rozejrzała się wokół w poszukiwaniu Devoty, która bez słowa zniknęła w ciemnej pracowni.

Elene stała otoczona niewidoczną chmurą perfum. Zapach przywoływał wspomnienie tropikalnych nocy, białych w świetle księżyca kwiatów, podmuchów ciepłego wiatru niosącego woń przypraw, skąpanych w słońcu białych plaż i turkusowych fal, palm i wilgotnych liści paproci.

Ryan obserwował ją, oparty o framugę drzwi. Złote włosy dziewczyny lśniły w półmroku pokoju, rozjaśnionym jedynie wpadającymi przez okna promieniami zachodzącego słońca. Na jego twarzy malował się skupiony, niemal surowy wyraz, lecz na ustach błąkał się uśmiech zadowolenia. Elene poruszała się bardzo zgrabnie, przestawiając niewielkie buteleczki. Trudno było uznać wykonywaną przez nią pracę za kuszącą, jednak zapragnął jej z przerażającą gwałtownością.

W ciągu minionych paru dni dużo zajmował się interesami, lecz nie miał już do nich serca. W najmniej odpowiednich chwilach powracał myślami do Elene. Co noc kochał się z nią, trzymał ją w ramionach dopóki nie zasnęła, siedział z nią przy stole i co rano przed wyjściem z domu całował na pożegnanie. Ale wciąż czuł, że mu się wymyka.

To już zakrawało na obsesję. Opętała go bezgranicznie. Siłą powstrzymywał się, by nie wracać parę razy dziennie do domu i nie sprawdzać, czy wciąż tam jest. Jego pożądanie, mimo stałego zaspokojenia, zamiast maleć, niebezpiecznie rosło. Zapadła mu głęboko w serce, a jej za-

pach utrzymywał się na jego skórze i unosił we wszystkich pokojach. Opanowała jego duszę i myśli, podczas gdy sama ledwie zauważała jego obecność, chyba że leżała w jego ramionach. To było nie do zniesienia. Podobnie jak myśl, że pracowała dalej, nie dostrzegając go w drzwiach pracowni.

Wszedł powoli do środka. Stając za nią, objął jej kibić rękami i przyciągnął do siebie.

Przestraszona, zeszywniała. Pusta buteleczka, którą trzymała w ręce, upadła na blat stołu. Odwróciła się gwałtownie.

- Co ty tu robisz? - spytała ostrym tonem, a na jej twarzy wyraźnie malowało się poczucie winy.

- Mieszkam tutaj, pamiętasz?

- Ale wyszedłeś...

- Coś mnie skłoniło do powrotu, zwłaszcza gdy Benedict wspomniał, że może mnie to zainteresować.

- Benedict - powtórzyła głucho.

- Będziesz musiała mu wybaczyć. Troska o mnie i moje dobre samopoczucie należy do jego obowiązków. - Oparł dłoń na biodrze, drugą wskazując rząd ustawionych na stole buteleczek. - Nie spodziewałaś się chyba, że uda ci się to przede mną ukryć przez dłuższy czas. Sam zapach zdradziłyby cię bardzo szybko.

Nie potrzebował wcale informacji Benedicta. Od razu powziął pewne podejrzenia, gdy chciała się go jak najszybciej pozbyć z domu i stale wydawała się czymś mocno zaprzątnięta.

- Otwieraliśmy drzwi i okna i pracowaliśmy tylko przez godzinę lub dwie. - Uniosła wysoko podbródek. - Na pewno nie wyrządziłyśmy żadnych szkód ani w domu, ani w tym składziku.

- Nawet przez myśl mi to nie przeszło. - Zmarszczył brwi. - Zastanawiam się tylko, dlaczego uznałaś za konieczne robić to za moimi plecami.

- Aby uniknąć takiej właśnie sceny, wybuchu gniewu pana domu, gdy dowie się, że kobieta zapragnęła zrobić coś zupełnie sama. Dlaczego miałabym błagać cię o pozwolenie? Aby dać ci przyjemność odmówienia mi?

Fakt, że mogła go aż tak źle ocenić, doprowadził go do wściekłości.

- A cóż mnie do diabła może obchodzić, czym się tutaj zajmujesz? Nic a nic mnie nie obchodzi, że chcesz się bawić w robienie perfum. Kiedyś nawet ci to proponowałem, pamiętasz? Mogłaś mi zaufać i opowiedzieć o swoich planach.

- Bawić się! Dla ciebie to tylko zabawa. Coś takiego powiedziałeś też na statku. Nie traktujesz tego poważnie. - Rzuciła mu pełne gniewu spojrzenie.

- Nie wypowiadaj się w moim imieniu. Nie możesz wiedzieć, co myślę, czego chcę albo co zrobię.

- Może masz rację, ale i tak nie zgodziłbyś się, bym się tym zajęła, żeby udowodnić swoją władzę nade mną, podobnie jak mój ojciec, który nigdy na nic się nie godził.

- Nie jestem twoim ojcem. Nie muszę nic nikomu udowadniać!

Elene zdumiało zdecydowanie, jakie zabrzmiało w jego głosie. Spojrzała na niego uważnie, na ciemne cienie pod oczami i powoli docierało do niej to, co przed chwilą usłyszała. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, ciągnął dalej:

- Powiem ci coś. Rób sobie, co chcesz, tutaj lub gdzie indziej, lecz nigdy już nie próbuj zrobić ze mnie głupca. Tego nie zniosę.

- Ty... naprawdę nie masz nic przeciwko temu? - spytała z wahaniem, wskazując na buteleczki, jakby nadal nie mogła uwierzyć jego słowom.

- Dlaczego miałabym mieć? Nie korzystam z tego pomieszczenia.

- Ale możesz go potrzebować później.
- Chcesz je czy nie? - spytał wciąż gniewnym tonem.
- Tak, chcę!
- No to je masz.

Miał rację, zupełnie go nie znała. Ale to on sam nie pozwalał się do siebie zbliżyć, a ona była przekonana, że musi się jakoś bronić. Jeśli nie dopuści do zbyt wielkiej intymności, nie będzie cierpieć, gdy ich drogi w końcu się rozejdą. Czuła też wyrzuty sumienia, że wykorzystuje perfumy przeciwko niemu, a wewnętrzny niepokój nie sprzyjał tworzeniu mocnych więzi.

Teraz doszedł jeszcze strach. Jeśli wpadł we wściekłość z powodu tego drobnego oszustwa z wykorzystaniem składziku, co zrobi, jeśli dowie się o tajemnej mocy perfum?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Przepraszam. Po chwili zastanowienia doszłam do wniosku, że lepiej będzie, jeśli zrezygnuję z tego pomieszczenia. Powinnam też opuścić twój dom. Tak będzie lepiej.

- Nie - rzucił ostro, chwytając ją za ramię. - Nie pozwolę ci odejść.

- Nie możesz mnie tu trzymać wbrew mojej woli.

- Chcesz się przekonać?

Trzymał ją mocno za ręce. Wiedziała, że trudno będzie się uwolnić, o ile w ogóle zdoła to zrobić. Postanowiła nie próbować.

- Mam ci więc dać szansę, byś udowodnił swoją siłę i władzę? - spytała, patrząc mu prosto w oczy.

Skrzywił się lekko.

- Dlaczego miałbym pozwolić ci odejść? Żebyś związała się z innym mężczyzną?

- Odzyskałbyś spokój.

- Wcale nie chcę spokoju. Nie zamierzam też oglądać pustego domu, na dodatek pozbawionego zapachu twoich perfum.

Przechyliła lekko głowę i zmrużyła oczy.

- Chodzi ci więc o perfumy?

- Dobrze wiesz, że nie.

- Naprawdę?

- Mogę ci to udowodnić - powiedział z cieniem rozbawienia w głosie. - Czy kochałaś się kiedyś na bardzo twardej i zimnej podłodze?

- Nie zapomniałeś chyba...

- Ależ skąd, to jedno z moich najmilszych wspomnień. Wiesz, czasami bardzo tęsknię za tą norą w domu Faviera.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Dlaczego?

Powód był bardzo prosty. W panujących w piwnicy ciemnościach nie widział malującej się w jej oczach rezerwy. Kiedy tam siedzieli, istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że jej narzeczony, Durant Gambier, nie żyje. W ciągu tych paru krótkich dni Elene Larpent naprawdę należała do niego i nigdzie nie mogła mu uciec.

- Wyjdź za mnie - powiedział nagle.

Elene wstrzymała oddech. Zapragnęła z całych sił, by nigdy w życiu nie dowiedziała się o istnieniu perfum Devoty. Początkowo nie wierzyła w ich moc, nie chciała w nią wierzyć. Jednak z każdym dniem wyczuwała rosnące pożądanie Ryana i coraz większą potrzebę przebywania w jej towarzystwie i nie dopuszczała do siebie myśli, że powodem tak gwałtownych uczuć mogło być coś innego. Nie może przyjąć jego oświadczeń złożonych pod działaniem nieznanego mu sił. Ona i jej pragnienia nie liczyły się tutaj wcale. Nie chciała mieć męża, który ożenił się z nią, bo został do tego zmuszony.

- Dlaczego?

Mówiła tak cicho, że musiał się pochylić, by cokolwiek usłyszeć. Dobiegło go jednak wyraźnie ostrzeżenie zawarte w tym krótkim pytaniu.

- Możesz to potraktować jako nagły impuls.
- A co ci się nie podoba w naszym dotychczasowym układzie?

Uścisk jego rąk zelżał.

- Może ty jesteś zadowolona, ale ja chcę czegoś więcej.
- A czym jest dla nas to „więcej”?
- Wspólna przyszłość. Dzieci. - Mówił cicho, lecz jego słowom nie brakowało przekonania, a niebieskie oczy pociemniały.

Elene poczuła nagły ucisk w sercu i powoli zaczynała jej brakować tchu. Jak łatwo byłoby przyjąć jego oświadczenia i nigdy już nie wracać do przeszłości. Ale jeśli odkryje, co z nim, wprawdzie nieświadomie, ale przecież zrobiła? Małżeństwo zawiera się do końca życia, a to zbyt długi czas, by wiązać się z człowiekiem, który mógł ją znienawidzić.

Nie przypuszczała, że jego słowa mogą nią aż tak bardzo wstrząsnąć. Poczuła nagłą falę niechęci do samej siebie, która pozwoliła jej znaleźć właściwe słowa.

- Nie mogę się na to zgodzić. Nie proś mnie więcej.

Dojrzał wyraz smutku na jej twarzy i nie wiedział już, co o tym wszystkim myśleć. Może opłakiwała w duchu utraconą przyszłość u boku Gambiera? Przeklął dzień, w którym Jean zabrał plantatora na pokład „Sea Spirit”. Czemu nie mógł zostać na wyspie i tam szukać nowych wyzwań? Nie wszystko jednak do końca rozumiał. Mógł przysiąc, że nie jest Elene obojętny, a jego słowa wywarły na niej spore wrażenie.

- Teraz moja kolej spytać dlaczego?

Potrząsnęła lekko głową.

- Nie traktujesz tego wszystkiego poważnie. To tylko przelotny kaprys wywołany przez narzucone nam okoliczności i zapach moich perfum.

- Do diabła z tymi twoimi perfumami! - wykrzyknął rozdrażniony. - Wiem, co...

- Ważne, żebyś zrozumiał, że są naprawdę wyjątkowe - przerwała mu, kierowana nagłym impulsem, by wszystko wyjawić i pozbyć się ciężaru winy. - Wywierają dziwny i bardzo silny wpływ. Nie wiesz...

- Wiem tyle, ile chcę - powiedział z rosnącym zniecierpliwieniem. - Teraz interesuje mnie wyłącznie to, dlaczego nie chcesz mi udzielić odpowiedzi, jaką pragnę usłyszeć.

Próbowała mu powiedzieć, naprawdę próbowała. Ale może on nie chciał usłyszeć tego, co miała mu do powiedzenia. Odwróciła wzrok, nie mogąc znieść jego spojrzenia. Na gwałt szukała jakichś wyjaśnień, które mogłyby na jakiś czas wystarczyć.

- Nasz układ z założenia miał być tymczasowy. Nie mieliśmy na myśli nic stałego.

- I to ci się podoba.

- Muszę sama zacząć się troszczyć o siebie, panować nad własnym życiem, a nie pozwalać, by ktoś to robił za mnie.

- Elene, nie zamierzam cię ani kontrolować, ani w żaden sposób ograniczać. Chcę tylko, byś czuła się przy moim boku bezpieczna.

- Teraz tak twierdzisz, lecz porzucisz mnie, kiedy tylko będziesz mógł... jeśli będziesz mógł.

Nie zamierzała wcale wypowiedzieć ostatnich słów. Popłynęły gdzieś z najgłębszych zakamarków jej duszy. Nagle uświadomiła sobie z porażającą jasnością, że były efektem wysłania jej do Francji przez ojca i pozostawienia jej tam w zamęcie szalejącej rewolucji, oraz jego ostatecznego odejścia. Umierając, podobnie jak matka, opuścił ją na zawsze. Nie byłaby w stanie przeżyć kolejnego porzucenia.

Może dlatego takim przerażeniem napawała ją myśl o rezygnacji z perfum. Nawet nie chciała spróbować, czy ich moc jest tylko wytworem wyobraźni Devoty. Musia-

ła zapewnić sobie ochronę Ryana i nie dopuści, by ją porzucił, zanim będzie gotowa.

Kąćki ust Ryana uniosły się w przebiegłym uśmiechu.

- Porzucę cię tylko wtedy, jeśli mnie do tego zmusisz. Nie przejmuj się tym wszystkim. Tak jak powiedziałaś, ten pomysł ze ślubem był jedynie przelotnym kaprysem. Zapomnij o nim i o tym, że chciałaś się stąd wynieść, a ja złożę ci kolejną propozycję. Otrzymaliśmy zaproszenie trupy Morvena na przedstawienie, które odbędzie się za trzy dni. Mamy się tam zjawić z Mazentami. Monsieur Mazent wynajął już łódź i pragnie, by wszyscy uchodźcy z Santo Domingo zjawili się tam razem. Co o tym myślisz?

Mówił lekkim tonem, lecz Elene wyczuła czające się pod pozornym spokojem chłód, rezygnację i oczekiwanie. Cofnął nawet ręce i stał teraz przed nią, opierając się jedną dłonią o blat stołu. Przyjęcie jego propozycji będzie oznaczało powrót do dawnego układu. To chyba byłoby najlepsze wyjście. Bez żadnych obietnic i deklaracji burzliwych uczuć każde z nich mogło zachować w tajemnicy swoje sekrety. Przełknęła dławiące ją w gardle łzy.

- Czemu nie?

- Masz rację - odparł i pomyślał, czy mogła się już dowiedzieć, że w gronie zaproszonych osób znalazł się również Gambier.

Ogródek znajdował się wśród tawern, kasyn, gospód i sal tanecznych, które powstały, gdy kanał zbudowany przez hiszpańskiego gubernatora Carondeleta połączył miasto z Bayou St. John. Kanał miał swój początek przy zewnętrznych obwarowaniach miasta i wpływał do jeziora Pontchartrain, a w czasie powodzi jego zadaniem było chronić Nowy Orlean przed zalaniem. Goście zapro-

szeni przez Mazenta skorzystali z przypominającej barcę dużej łodzi, która czekała na nich przy bramie miasta.

Wyruszyli tuż po zachodzie słońca, dołączając do innych łodzi zmierzających w stronę rozlewiska. Znad jeziora zerwała się lekka bryza, przynosząc przyjemny chłód, a mężczyźni kierujący ich barką radośnie wyśpiewywał. Płaskodenna łódź była koniecznością, gdyż utrzymywany niegdyś starannie kanał od paru dobrych lat nie był czyszczony i w niektórych miejscach głębokość wody nie przekraczała metra. Nad jego brzegami rosły iwy, zwieszając nad wodą gałęzie niczym gęsta, zielona kurtyna. Kiedy płynąc poruszali gałęzie, unosiły się spośród nich całe chmury moskitów. Komary i inne owady tańczyły szaleńczo nad powierzchnią wody, w której odbijało się różowolawendowe, wieczorne niebo.

Panujący w łodzi nastrój nie był zbyt radosny. Ryan, choć odnosił się do wszystkich bardzo uprzejmie, zachowywał dużą rezerwę. Samej Elene miał niewiele do powiedzenia. Zupełnie nie był sobą od chwili, gdy nie zgodziła się zostać jego żoną. Nie był zgryźliwy ani nachmurzony, lecz sprawiał wrażenie, jakby coś wyraźnie leżało mu na sercu.

Przez trzy ostatnie noce nie zbliżył się do niej w ogóle. No tak, ale też skończyły się perfumy przywiezione jeszcze z Santo Domingo i na razie postanowiła dać sobie z nimi spokój. Jeśli więc potrzebowała dowodu na ich skuteczność, miała go jak na dłoni i z bólem serca musiała przyznać, że pożądanie Ryana było w dużym stopniu wynikiem ich działania. Pragnąc zyskać całkowitą pewność, ubierając się tego wieczoru skropiła się obficie nowym zapachem, przygotowanym już w Nowym Orleanie. Nie zauważyła jednak, by wywarł na Ryana jakiegokolwiek wrażenie. Powinna się z tego cieszyć. A przynajmniej próbowała.

Płonące pochodnie oświetlały łódź i alejki w ogródku.

Miały za zadanie nie tylko dostarczyć światła, lecz również odstraszyć moskity. Dym sączył się przez liście drzew pomarańczowych rosnących wzdłuż białych, wyspanych muszelkami ścieżek, a jego drażniący zapach mieszał się ze słodką wonią kwiatów. Po gorącym dniu zapadła bardzo łagodna i przyjemna noc. Lekki wietrzyk wiejący znad jeziora kołysał lokami dam i poruszał fałdami sukien. Przyniósł też ze sobą aromat przygotowywanego gdzieś jedzenia, mleczny zapach pralinek i *tout chard calas*, czyli gorących placuszków ryżowych. Sprzedawały je *marchandes*, wolne kolorowe kobiety w białych fartuchach, oferujące swój towar w płaskich koszach, które nosiły oparte na biodrach. Od czasu do czasu w powietrzu pojawiał się cierpki zapach pomarańczy, zmieszany z bogatą wonią czerwonych róż i dzikich gardenii, oferowanych przez natarczywe młode dziewczęta, oraz zapach kapryfolium wijącego się wśród gałęzi innych krzewów.

Grupka towarzysząca Mazentom z przyjemnością wdychała rześkie powietrze, czekając na kolację i początek przedstawienia. Błękitna muślinowa suknia Elene ozdobiona była złotymi wstążkami, spływającymi z węzła przyszytego tuż pod piersiami. Wstążki powiewały na wietrze, więc w końcu postanowiła je złapać w dłonie i idąc alejką, przesuwając je między palcami.

Nie ona jedna miała na sobie nowy strój. Madame Tusard włożyła na tę okazję lawendową jedwabną suknię, z czarną narzutką z lekkiej tafty, a w ręce trzymała pasującą do całości torebkę. Flora Mazent prezentowała się trochę lepiej niż zwykle w bladożółtym jedwabiu, lecz kolor podkreślał bladość jej cery, a fałdy marszczonego materiału na ramionach i w okolicy kolan, mające zatuszować jej chudość, sprawiały, że przypominała nieco snopek zboża.

Flora szła obok Duranta. Na jej policzkach pojawiły

się rumieńce podniecenia. Trzymała swego towarzysza za ramię tak mocno, że aż zbiegały koniuszki jej palców. Kiedy minęła ich sprzedająca pomarańcze dziewczyna, Flora obrzuciła owoce wygłodniałym spojrzeniem.

- Czy mogę dostać jedną? - spytała, podnosząc wzrok na Duranta.

Odpowiedziała jej madame Tusard swoim najbardziej protekcyjnym tonem.

- To byłoby bardzo nierozsądne, moja droga. Sok mógłby poplamieć twoją piękną, nową suknię.

- Nie dbam o to.

- Jedwab jest tu bardzo drogi.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła, przerażona własną zuchwałością. - Tato, proszę, czy mogę dostać pomarańczę?

- Moja maleńka musi mieć wszystko, czego tylko zapagnie - powiedział Mazent do madame Tusard nieco przepaszającym tonem, nie pozbawionym jednak cienia dumy. Wyciągnął portmonetkę i gestem dłoni przywołał sprzedającą pomarańcze młodą, zaledwie trzynastoletnią Murzynkę. Jak zwykle szarmancki, zaproponował owoce wszystkim zebrany, lecz spotkał się z odmową. Widząc zakłopotanie Flory wywołane tym, że tylko ona jedna zainteresowała się oferowanymi smakołykami, Elene poprosiła o pralinę. Jej pochwały wzbudziły u madame Tusard natychmiastowe pragnienie, by też spróbować czekoladki, szybko posłała więc Claude'a w ślad za sprzedającą je dziewczyną.

Durant, z wyrazem rezygnacji malującym się na twarzy, wyjął scyzoryk, by obrać pomarańczę Flory, po czym wytarł chusteczką swoje i jej dłonie. Monsieur Mazent przyglądał im się wyraźnie zadowolony, choć odmówił, gdy zaoferowano mu cząsteczkę. Nie chciał też skosztować pralinek, którymi wszyscy zgodnie się zachwycali. Gładząc się po brzuchu oświadczył, że kwas i cukier nie

służą jego żołądkowi; teraz marzył tylko o dobrej kolacji.

Niebawem podano do stołu. Wszyscy zasiedli w wynajętej łoży, znajdującej się na wprost ustawionej na podwyższeniu sceny. Kolacja była bardzo smaczna, choć mało wyszukana. Podano kurczaka w sosie z czerwonego wina, jarzyny z miodem i gorące pieczywo. Masło topiło się w panującym wciąż ciepło, a wino było dość marne, lecz podany na deser krem karmelowy ze świeżymi jagodami okazał się przepyszny.

Zaprezentowane po kolacji przedstawienie pod względem jakości było do niej bardzo podobne, stanowiąc mieszaninę dobrych i zaledwie przyzwoitych elementów. Para komików, która je rozpoczęła, była rzeczywiście bardzo zabawna, a występujący po nich znakomici akrobaci i żonglerzy raz po raz zaskakiwali widzów umiejętnościami. W krótkiej, dość odważnej, rozgrywającej się w sypialni farsie trzej mężczyźni, dwie kobiety i służąca wpadali przez czworo drzwi, budząc wesołość wśród mniej wymagającej publiczności. Całości brakowało jednak smaku, co sprawiło, że gdy na scenie pojawiła się trupa Morvena, powitano ją z wielkim entuzjazmem.

Nikt jednak nie bił brawa głośniejsz od damy siedzącej w łoży po lewej stronie. Ta elegancka, czterdziestoletnia kobieta z masą czarnych, nie tkniętych jeszcze siwizną loków, miała na sobie fioletową suknię z bardzo śmiałym dekoltem, na którym znakomicie prezentował się imponujący diamentowy naszyjnik. W uszach i na przegubach połyskiwały kolczyki i bransoletki, lecz największą uwagę przykuwał ogromny otoczony diamentami ametyst wiszący na cienkim łańcuszku na czole damy. Obserwując jej entuzjazm i gorące spojrzenia rzucające na Morvena, który złożył jej głęboki ukłon, Elene pomyślała, czy dama ta nie jest przypadkiem wdową, o której wspominała Hermine. Szybko jednak o tym za-

pomniała, gdy na scenę wszedł Morven i rozpoczął swój monolog.

W przeciwieństwie do lekkich numerów prezentowanych wcześniej przez wykonawców, na debiut swojej trupy w Nowym Orleanie Morven wybrał tragedię. Była to opowieść jego autorstwa o szlachcicu zakochanym w dwóch kobietach. Jedna z nich, młoda i zmysłowa, dbała o potrzeby jego ciała, podczas gdy druga - bardziej dojrzała i inteligentna - troszczyła się o sferę duchową. Nie mogąc wybrać pomiędzy nimi, poprosił, by to one podjęły za niego decyzję. Bardziej dojrzała wybranka, przekonawszy się, jak słaby i w efekcie niegodny jej uczuć okazał się jej ukochany, postanawia przebić się sztyletem, nie mogąc przestać kochać człowieka, dla którego nie czuje już szacunku. Szlachcic na wieść o tym, że stał się przyczyną śmierci kobiety, którą prawdziwie kochał, odbiera sobie życie tym samym co ona sztyletem.

Morven zaprezentował się wspaniale jako szlachcic dręczony miłością i wyrzutami sumienia, podczas gdy Hermine doskonale odegrała rolę inteligentnej kobiety, prezentując całe bogactwo uczuć, zmiennych nastrojów i namiętności. Josie jako młoda piękność wypadła dość przeciętnie, koncentrując się wyłącznie na przekazaniu zmysłowego aspektu swej roli.

Kiedy opadła kurtyna, publiczność zgotowała artyście prawdziwą owację. Całą trójkę obrzucono kwiatami, choć najwięcej bukietów padło pod stopy Morvena i ubranej zgodnie z wymogami roli Josie. Wszyscy kłaniali się cztery razy, po czym szybko zbiegli ze sceny, by ustąpić miejsca powracającym komikom.

Ubrany wciąż w sceniczny kostium Morven wraz z partnerkami pojawił się najpierw w łoży lśniącej od diamentów damy. Wymieniono komplementy, po czym wszyscy skierowali się do łoży Mazentów.

Elegancką damę przedstawiono jako madame Rachel

Pitot. Przy bliższym poznaniu sprawiała wrażenie, jakby i jej scena nie była obca. Ruchy miała bardzo opanowane, wiedziała, jak zwrócić na siebie uwagę, a twarz pokrywała zbyt gruba warstwa makijażu. Powitała wszystkich w ogródku, którego była współwłaścicielką, lecz widać było wyraźnie, że opinia innych niewiele ją obchodzi. Zależało jej wyłącznie na obecności Morvena przy swoim boku.

Mazent, jak zwykle elegancki, nalegał, by aktorzy i madame Pitot przyłączyli się do jego gości. Artyści szybko wyrazili zgodę i widać było wyraźnie, że oczekiwali tego zaproszenia. Madame Pitot gestem dłoni przywołała kelnerów, by przyjęli zamówienie od aktorów, którzy przed przedstawieniem nic nie jedli. Przesunięto krzesła, by zrobić miejsce dla nowo przybyłych. W tym samym czasie do loży podeszło kilku widzów pragnących wyrazić swoje uznanie. Wynikło z tego małe zamieszanie. Wreszcie wielbiciel odeszli i zdołano przywrócić porządek.

Elene nareszcie miała okazję, by zamienić parę słów z Hermine i jej partnerami.

- Wspaniała sztuka - powiedziała z przejęciem. - Wszyscy byliście wspaniali. Wzruszyłam się do łez.

Jej słowa spotkały się z głośną aprobatą pozostałych gości. Morven, z wyrazem triumfu i euforii malującym się na zarumienionej twarzy, skłonił się nisko.

- Z całą skromnością uważam, że był to całkiem niezły debiut.

- Trochę za mało tej skromności - odparowała Hermine. - W ostatniej scenie nastąpiłeś mi na palce.

- Bo twojej rozpaczy brakło przekonania - odparł aktor z przebiegłym uśmiechem.

- Zrobiłeś to celowo!

Widząc jej pełne gniewu spojrzenie, Morven uniósł ręce w przeproszającym geście.

- Ależ skąd, najmilsza. Wiesz, jaki ze mnie niezgraba. Madame Pitot ostro zaprotestowała.

- Jest pan najbardziej zwinny mężczyzną, jakiego znam, *cher* Morven. Nie mógłby pan okazać się niezgrabny, nawet jeśliby pan tego pragnał.

Hermine obserwowała ich bacznie, po czym odwróciła zasmuconą twarz.

- Byliście naprawdę wspaniali - powiedziała lekko zdyszany tonem Flora, która do tej pory zachowywała milczenie. - Płakałam, kiedy się zabiłaś, Hermine. Ale teraz wszyscy jesteście trupio bladzi.

- To przez tę farbę na twarzy - odparła aktorka i przesunawszy dłonią po policzkach, pokazała białe koniuszki palców. - A tak naprawdę to mąka. Wielu aktorów i aktorek korzysta z białego proszku ołowianego, lecz jest on bardzo niezdrowy, a poza tym na twarzy pojawiają się paskudne pryszcze.

- Ja też go używałam i nie miałam żadnych pryszczy - zaprotestowała zapalczywie Josie. Być może czuła, że komplementy Flory także jej nie dotyczą.

- Pojawia się po pewnym czasie - powiedziała Hermine, potrząsając ze smutkiem głową, podczas gdy jej koleżanka wzruszyła obojętnie ramionami.

Flora zmarszczyła brwi.

- Masz tak delikatną i jasną cerę, Hermine, że nie musisz chyba używać mąki ani innych środków.

- To wszystko przez latarnie umieszczone na przodzie sceny. Rzucają tak jasne światło, że z nie umalowaną twarzą wyglądasz jak zjawa. Co się zaś tyczy mojej cery, to nie postępuję zbyt mądrze. Pochodzę z rodziny bretońskich rybaków i gdybym nic nie robiła, wyglądałabym jak żeglarz wysmagany północnym wiatrem. Czasami popijam więc specjalny napój z odrobiną arszeniku, by pozbyć się rumieńców.

- Stale ci powtarzam, że to głupota - rzekł Morven.

- Zgadza się. - Hermine nie obdarzyła go nawet przelotnym spojrzeniem, lecz nadal z uśmiechem patrzyła na swoją młodą rozmówczynię. - Jestem pewna, że każda z nas ma jakiś swój mały sekret.

- Ja nie mam żadnych - odparła Flora.

Znajdowało to doskonałe potwierdzenie w jej pozbawionej uroku twarzy, dlatego przy stole na chwilę zapadła cisza. Przerwała ją Elene.

- Moja matka nigdy nie kryła się z tym, że maluje twarz, lecz teraz jest to coraz radsze. Zapanowała moda na naturalną urodę.

- Albo tylko nam się tak wydaje - odparła Hermine, lekko wykrzywiając usta.

- Ja bardzo się z tego cieszę - oświadczyła madame Tusard, rzucając aktorce lekko złośliwe spojrzenie. - Jeśli mężczyźni mogą prezentować światu nagie twarze, dlaczego my kobiety miałybyśmy postępować inaczej?

- Moja droga - odparł Claude Tusard, gładząc się po wąsach - trudno je uznać za nagie. Częściowo ogolone, to prawda i bez żadnych kosmetycznych sztuczek, lecz na pewno nie są nagie.

- Są, Claude. Proszę, przestań się ze mną spierać.

- Dobrze, *chere*.

Josie zachichotała.

- Nie widzę powodu, dlaczego wszyscy nie mielibyśmy chodzić nago. Po co w ogóle zwracać sobie głowę ubraniami?

- Zmniejszają ryzyko kontaktu z moskitami - odparł Ryan, zabijając dłonią owada siedzącego mu na twarzy.

- Ma pan absolutną rację - oświadczyła Josie, jakby usłyszała niezwykle doniosłą uwagę. - Są strasznie dokuczliwe!

- Pani pozwoli - powiedział Claude Tusard i pochylając się, zmiażdżył moskita siedzącego na nagim ramieniu młodej aktorki.

Josie rzuciła mu figlarny uśmiech.

- Dziękuję panu.

Wąsy Tusarda uniosły się w uśmiechu zadowolenia, a w oczach pojawił się wyraźny błysk.

Jego żona głośno wciągnęła powietrze.

- Claude!

- Tak, *chere*. - Błysk zniknął, a pokryta zmarszczkami twarz mężczyzny przybrała markotny wyraz.

Flora, ignorując małżeńskie nieporozumienie, zwróciła uwagę na łożę po prawej stronie, gdzie dwóch Amerykanów kończyło kolację. Rozmawiali nieco zbyt głośno i rozpierali się na krzesłach, rozglądając się dumnie wokół, jakby byli właścicielami całego ogródka. Elene zauważyła, że pochylając się w stronę Duranta, dziewczyna wdrygnęła się z przesadą.

- Ci mężczyźni, o tam. Jeden z nich bezwstydnie się we mnie wpatruje - powiedziała cicho.

- Proszę się nie przejmować - odparł Durant, spoglądając z ukosa we wskazanym przez Florę kierunku. - Ci dwaj będą się wpatrywać we wszystkich i wszystko, jak na prostaków z prowincji przystało.

- Nie podoba mi się to. Mam dreszcze.

- To proszę na nich nie patrzeć.

- Jak mam to zrobić? Och, proszę kazać im przestać! - Dziewczyna w podnieceniu złapała go za ramię.

Durant zsunął jej zaciśnięte palce z rękawa.

- Proszę się uspokoić, mademoiselle.

- Uspokoić się, też coś! - rzuciła madame Tusard, przychodząc Florze z odsieczą. - Ja też nie znoszę, gdy ktoś się na mnie gapi. To takie wulgarne i może okazać się niebezpieczne. A jeśli ci dwaj będą nas śledzić i zaatakują w drodze powrotnej?

Flora wydała cichy okrzyk przerażenia. Ryan oparł się wygodnie o krzesło i wziął ze stołu kieliszek wina. Spojrzał na Florę, madame Tusard, a potem na Amerykanów.

- Może i są wulgarni, ale wyglądają całkiem nieszkodliwie.

- Jeden z nich jest nawet całkiem miły - orzekła Josie. - Chyba właśnie rzucił mi bratek. Nie byłabym zaskoczona, gdyby wcale nie na patrzył ciebie, Floro. - Aktorka ubrana w suknię z głębokim dekoltem poklepała się lekko po piersiach, wyraźnie zadowolona. Przebiegła wzrokiem po twarzach zebranych, by sprawdzić, jaki efekt wywarły jej słowa.

- Flądra! - syknęła Flora Mazent i ujmując kieliszek, szybko wylała jego zawartość na dekolt Josie.

Aktorka krzyknęła i zerwała się z miejsca. Miotając przekleństwa rodem z najciemniejszych zaułków Paryża, doskoczyła do Flory. Ta szybko wstała, by uniknąć ataku. Pan Tusard i Ryan chwycili Josie, zanim zdążyła ruszyć za Florą. Monsieur Mazent wstał od stołu, zacieraając ręce.

- No, no - powiedział. - Spokojnie.

Hermine roześmiała się perliście. Elene spojrzała na nią, wargi zadrżały jej lekko, po czym zawtórowała jej. Po chwili otaczająca ich publiczność też wybuchnęła gromkim śmiechem.

W jednej chwili Flora zbladła jak ściana. Widząc jej zmieszanie, Elene zamilkła. Kiedy śmiech nadal grzmiał dalej, Flora zorientowała się, że wywołały go popisy komików na scenie i odetchnęła z wyraźną ulgą. Drżąc na całym ciele pozwoliła, by Durant odprowadził ją na miejsce, lecz dopiero wtedy, gdy upewniła się, że Josie siedzi spokojnie na krześle.

Hermine spojrzała na Elene, unosząc brew w udanym przerażeniu. Jej rozbawienie jednak natychmiast ustąpiło smutkowi, gdy spojrzała na Morvena i wdowę, pochylonych czule ku sobie i coś szepczących. Nie zwracali w ogóle uwagi na otaczające ich zamieszanie.

Do stolika podszedł kelner, niosąc na uniesionej nad

głową ręce tacę z zamówionymi przez aktorów daniami. Elene, siedząca najbliżej wejścia do loży, pochyliła się, by mógł swobodnie przejść. W tym momencie napotkała spojrzenie Duranta wciąż stojącego za krzesłem Flory. Patrzył na nią z wyrazem napięcia w czarnych oczach, który można było również odczytać jako nieme oskarżenie. Hermine miała rację: w nowym ubraniu prezentował się niezwykle elegancko, lecz czarny kolor sprawiał, że wyglądał bardzo poważnie i trochę przerażająco. Na policzku miał wciąż bliznę po ranie zadanej mu na Santo Domingo.

Tuż za Elene rozległo się nagle skrzywienie, gdy Ryan podniósł się z krzesła. Zadrżała, kiedy pochylił się do jej ucha.

- Przejdziemy się chwilę, gdy Morven z paniami będą jedli kolację? - spytał, zniżając głos do szeptu.

Zgodziła się ochoczo. Poczuli nagle przemożną chęć znalezienia się jak najdalej od skomplikowanych emocji, które targały ich niewielką grupą. Po pewnym czasie na pewno znajdą w mieście nowych przyjaciół, lecz na razie byli niejako skazani na siebie. Łączyły ich nie tylko tragiczne przejścia i konieczność stawienia czoła mieszkańcom Nowego Orleanu, którzy uważali ich za mało pożądanymi gości, lecz również pełne emocji związki, które z dnia na dzień stawały się coraz bardziej skomplikowane.

Przez chwilę szli w milczeniu. Elene wsunęła rękę pod ramię Ryana. Na alejkach panował spory tłok, gdyż wielu innych widzów po obfitym posiłku również zapragnęło zażyć trochę ruchu. Jednak w miarę jak oddalali się od sceny, spotykali coraz mniej osób, a odgłosy dźwięczących sztuców, śmiechu i głośnych rozmów cichły z każdym ich krokiem.

W czasie, gdy jedli kolację, zrobiło się zupełnie ciemno. Wiele pochodni oświetlających alejki wypaliło się.

Od czasu do czasu gdzieś rozlegał się chichot, a z gęstwiny krzewów słychać było czuły szept zakochanych koryzystających z ciemności i zacisznego miejsca. Z oddali dobiegły ich nagle dźwięki muzyki, gdy na scenie rozpoczęły się tańce.

Elene spojrzała na towarzyszącego jej mężczyznę.

- Czy chciałeś ze mną o czymś porozmawiać?

- Nie. Czy muszę mieć jakiś powód, żebyś zechciała się ze mną przejść?

- Oczywiście że nie. - Elene zaniepokoiło wyraźne napięcie w jego głosie, choć bardzo starał się nad sobą panować.

- Gambier patrzył dziś wieczór na ciebie jak kot na miseczkę śmietanki, której nigdy nie dostanie. - Wcale nie chciał tego powiedzieć. Poczul się tak, jakby ktoś go do tego zmusił.

- Może martwi się o mnie. Nasze rodziny przyjaźniły się przecież od lat.

Zastanowił się, czy ona naprawdę w to wierzy, czy też tylko pragnie go uspokoić.

- Zaraz mi powiesz, że kocha cię nad życie.

Czy Durant rzeczywiście ją kochał? Nie miała powodów, by tak sądzić. Ale też nigdy nie dał jej do zrozumienia, że jest inaczej.

- To nie ma już znaczenia, gdyż na pewno się nie pobierzemy.

- Nie wątpię, że bardzo tego żałujesz.

- Niczego nie żałuję - odparła ostro.

Ryan się zatrzymał.

- Nie zgodziłaś się wyjść za mnie ani za Gambiera. Tak przynajmniej twierdzisz. Czego tak naprawdę chcesz?

- A muszę czegoś chcieć?

- To przecież normalne.

Chciała sprzedawać swoje perfumy, by móc zarobić na

potrzeby swoje i Devoty. Chciała, by nieporozumienia pomiędzy nią i Ryanem odeszły w końcu niepamięć i by mogła odzyskać spokój. Pragnęła też odzyskać majątek, który jej ojciec w ciągu tych wszystkich lat zainwestował w posiadłość na Santo Domingo, choć nie miała nadziei, że jeszcze ją kiedyś ujrzy. Co jeszcze?

Pozostała jeszcze jedna ważna rzecz.

Chciała, by Ryan pożądał jej dla niej samej, a nie powodowany siłą magii. Sama myśl o tym sprawiła, że krew szybciej zaczęła krążyć w jej żyłach i ogarnęła ją fala gorąca. Na twarz wypłynął jej rumieniec i cieszyła się bardzo, że w panujących ciemnościach Ryan nie może go dostrzec. Serce waliło jej jak oszalałe.

- Co się dzieje? - spytał.

Nie poruszyła się, lecz usłyszał, jak wciąga głęboko powietrze, jakby poczuła raptem ukłucie bólu lub wielką radość. Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Jej skóra była tak delikatna i miękka. Nagle zapragnął porwać ją w ramiona i pojąć ją, w tej pachnącej kwiatami pomarańczy ciemności. Trzy dni i trzy noce bez niej. To tak strasznie długo. A winę za wszystko ponosi duma. Doszedł bowiem do wniosku, że na pewno odmówi mu swego ciała, tak jak odmówiła ręki. Bojąc się kolejnego odrzucenia, czekał na jakiś jej znak. Nie otrzymał żadnego, a nigdy w życiu nie narzucał się żadnej kobiecie.

Teraz poczuł, jak cała drży. Sprawilo mu to niemal fizyczny ból. Nie chciał, by przez niego cierpiała.

- Elene... *cherie* - szepnął.

Odetchnęła głęboko.

- Chcę - powiedziała cicho drżącym, ledwo słyszalnym głosem - żebyś mnie pragnął.

Jej słowa trafiły go prosto w serce. Zanim wybrzmiały, chwycił ją w ramiona i mocno przytulił.

- Zawsze będę cię pragnął - szepnął prosto w jej jedwabiste włosy.

Oparła dłonie o jego muskularny tors i uniosła twarz w delikatnym zaproszeniu. Jego szybka reakcja przepełniła ją radością niemal nie do zniesienia. Pragnął jej. Działała na niego jak dawniej i to bez tajemnej mocy pierwszych zrobionych przez Devotę perfum.

Czuła na ustach jego ciepłe, miękkie wargi, jednocześnie czułe i natarczywe. Delikatnie przesunął językiem po jej wargach, smakując ich słodycz, domagając się więcej i więcej. Gdy rozchyliła je w końcu, przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej.

Elene przesunęła dłońmi po szyi Ryana, sięgając rosnących nisko na karku gęstych włosów. Zaplątała długie, szczupłe palce w ciemne pasma i mocniej przywierając ustami do jego warg, przytuliła się do jego szerokiej piersi. Czuła wbijające się w ciało guziki marynarki i kamizelki i jego rosnące pożądanie. Odszukała jego język swoim. Przez chwilę pieścili się radośnie i zapragnęli siebie jeszcze bardziej. Błądzący po jej ustach język Ryana wzbudził w niej najgłębsze pokłady pożądania i bezsilna osunęła się w jego otchłań. Oddychała coraz szybciej. Ubrania niezdolnie ich krępowały. Chciała poczuć jego nagość, poczuć go w sobie z całą mocą. To pragnienie było zbyt silne, by mogła zaprzeczyć jego istnieniu.

Nagle rozległ się odgłos czyichś kroków. Ryan zaklął cicho i osłonił Elene, by mogła wrócić do równowagi. Jakaś młoda para minęła ich, nie obdarzając nawet przelotnym spojrzeniem.

Ryan zaśmiał się cicho.

- Zjawili się w samą porę.

- Naprawdę? - Elene poprawiała fryzurę drżącymi rękami.

Ryan usłyszał w jej głosie rozczarowanie, które doskonale rozumiał.

- Tak. Muszelki, którymi wysypano ścieżki, są zdecydowanie zbyt ostre dla twej delikatnej skóry, a wszędzie

wokół jest tylko błoto. Twoja piękna suknia zupełnie by się zniszczyła. A poza tym, za dużo tu ludzi. Wracajmy do domu.

- A pozostali... - Jej protest zabrzmiał bardzo słabo.

- Nie zabierzemy ich - odparł wesoło.

Okazało się jednak, że monsieur Mazent chce również wracać do miasta. Czekał tylko na Elene i Ryana, by mogli razem wyruszyć w drogę powrotną.

Podróż odbyli w niemal całkowitym milczeniu. Poza kilkoma krytycznymi uwagami pod adresem przedstawienia, nikt nie kwapił się do rozmowy. Kierującemu barką mężczyźnie skończył się repertuar i najwyraźniej marzył już tylko o tym, by znaleźć się w łóżku. Wiosłował tak pracowicie, że szybko znaleźli się u bram miasta. Rozstali się tam i rozeszli w różnych kierunkach, wykrzykując ostatnie słowa pożegnania i zapewnienia o szybkim kolejnym spotkaniu. Po kilku minutach Elene i Ryan przeszli przez bramę jego domu, gdzie wisiała witażąca ich swym blaskiem latarnia.

Kiedy weszli na dziedziniec, usłyszeli radosny śmiech. Zatrzymali się gwałtownie.

- Czy to ty, *chere*? - zawołała Devota z wnoszącego się nad dziedzińcem ganku. Słyszając głos Elene, zeszła na dół, a za nią stanęły dwie postacie. Kiedy zbliżyły się do światła, Elene rozpoznała w nich Serephine i Germaine.

- Dobry wieczór państwu - powiedziała swym sennym głosem Serephine. Germaine powitała ich jedynie lekkim skinieniem głowy.

- Dobry wieczór - odparła uprzejmie Elene. Nigdy nie czuła nienawiści w stosunku do kochanki Duranta i nie widziała powodu, by teraz zachować się niegrzecznie.

Serephine odwróciła się do Devoty i uściśnęła ją mocno, najwyraźniej w podzięce za małą, niebieską buteleczkę, którą trzymała w dłoni. Drugą ścisnęła Germaine.

Trzy kolorowe kobiety zamieniły jeszcze parę słów, po czym Serephine i Germaine szybko przeszły przez bramę i zniknęły w ciemności.

Elene spojrzała na Devotę, która wzruszyła lekko ramionami.

- Serephine przyszła po perfumy. Dowiedziała się, że zaczęłyśmy je robić. Po drodze spotkała Germaine.

Elene poczuła lekki niepokój na wspomnienie śmiechu kobiet, które połączone kolorem skóry zdawały się mieć jakieś sekrety niedostępne białym ludziom. Zastanowiła się, czy Serephine i Germaine podobnie jak Devota wyznawały kult wudu. Nie mogła się jednak tego dowiedzieć. Nie zamierzała wypytywać Devoty, która mogłaby dojść do wniosku, że jej pani widzi coś niestosownego w wizycie obu kobiet albo też poczuła nagłą niechęć w stosunku do kochanki swego byłego narzeczonego.

- Jestem bardzo zmęczona - powiedziała, uśmiechając się lekko do Ryana. - Chyba pójdę się położyć.

- Zaraz do ciebie przyjdę - odparł.

- Czy potrzebuje pan czegoś? - spytała Devota.

- Benedict się tym zajmie.

Majordomus wyszedł ze swego pokoju na parterze i stał w milczeniu na granicy kręgu światła rzucanego przez latarnię. Teraz skłonił się, po części na powitanie, po części odpowiadając na słowa swego pana.

- Może kieliszek koniaku? - zaproponował.

Ryan przystał na jego propozycję. Elene odwróciła się i zaczęła wchodzić na schody. Miała nadzieję, że Ryan pójdzie za nią, rozbiorą się nawzajem i padną na łóżko. Ze smutkiem pomyślała, że w domu równie trudno jest o odrobinę prywatności jak w ogródku.

Rozebrała się jednak z pomocą Devoty, która przygotowała dla niej przybraną koronką batystową koszulę nocną z bufiastymi rękawkami. Służąca nalała do mied-

nicy ciepłą wodę, a gdy jej pani już się umyła, wyszczotkowała długie, lśniące włosy. Odwiesiła wieczorową suknię i zebrała bieliznę do prania. Zgasiła płonące w kandelabrach świece, pozostawiając tylko jedną w srebrnym lichtarzu na stoliku przy łóżku.

- Sprzedałyśmy nasze pierwsze perfumy, *chere* - powiedziała, odwracając się przy drzwiach.

- Tak. - Na usta Elene wypłynął uśmiech, rozjaśniając jej szare oczy. - To znaczy, ty je sprzedałaś.

- Znajdzie się jeszcze wiele chętnych, zobaczysz.

- Jestem tego pewna.

Devota skinęła z zadowoleniem głową, po czym życząc swej pani dobrej nocy, wyszła z pokoju.

Czekając na Ryana, Elene myślała o perfumach i ich pierwszej klientce. Kto by pomyślał, że stanie się nią Serephine? Czym się kierowała, pragnąc używać tych samych perfum co niedoszła małżonka Duranta? To nie miało żadnego sensu. Ale też i nic nie znaczyło. Perfumy zostały sprzedane, a one zarobiły pierwsze pieniądze. I zarobią jeszcze więcej.

W przyszłości będzie musiała uważać, ile perfum używa. Nie powinna przecież uszczuplać zapasów. Z uśmiechem sięgnęła po swoją buteleczkę z nowym zapachem. Gdzie jest Ryan? Na pewno zauważył, że Devota zgasiła światło i wyszła z sypialni. Powinien zjawić się lada chwila. Na wszelki wypadek Elene wstała ze stojącego przed toaletką krzesła i szerzej otworzyła oszklone drzwi prowadzące na ganek. Stała w nich, opierając dłoń na gałce, nasłuchując i wypatrując jakiegoś ruchu. Nie usłyszała nic poza cichym szelestem liści owiewanych nocną bryzą. Grube gałęzie dębu rzucały cienie na wyłożony kamieniami dziedziniec.

- Ryan? - zawołała, lecz jej słowo wpadło w głucho, mroczną otchłań ciszy.

Nagle poczuła rozdzierający smutek. On nie przyjdzie.

Może nawet wyszedł z domu. Gniew, podsycany przez niezaspokojone pożądanie, rósł w niej z coraz większą siłą i zamienił się w ponurą niechęć. Wyszła z sypialni na ganek. Było już bardzo późno. Księżyc zaszedł, pozostawiając na niebie tylko kilka gwiazd migoczących nad dachami domów. Zatrzymała się na chwilę, próbując przejrzeć kładące się na dziedzińcu cienie. Zastanowiła się, czy przypadkiem Ryan nie wypił zbyt dużo koniaku, który w połączeniu z wypitym wcześniej w ogródku winem sprawił, że po prostu zasnął. To jednak było mało prawdopodobne. Nigdy nie widziała, by był wstawiony.

Spod ganku, na którym stała, wypływał promień światła. Pomyślała początkowo, że pada z leżących na parterze pokojów służby, lecz tam było ciemno. Światło zgasił już nawet Devota i Benedict. Blask płynął z jej pracowni, gdzie w delikatnych buteleczkach stały na blacie stołu perfumy.

Odwróciła się w stronę schodów. Na ich szczycie zatrzymała się na chwilę, po czym bosy zaczęła ostrożnie schodzić po stopniach. Kiedy dotarła na dół, światło w pracowni zgasło, pogrążając dziedziniec w całkowitych ciemnościach. Elene zamarła, czując przebiegający po plecach dreszcz strachu. Nagle rozległ się dźwięk kroków. Zza schodów wyłonił się mężczyzna i szybko podszedł do Elene. Jedną ręką objął ją w pasie, a drugą ujął pod kolana. Uniósł ją i przytulił do swej silnej piersi i trzymał tak mocno, że nie mogła się ruszyć. Wciąż przerażona, poczuła jednak znajomy zapach, który przyniósł ze sobą falę wielkiej ulgi i radości. Kręciło się jej w głowie, gdy mężczyzna kilkoma długimi krokami pokonał dziedziniec i stanął pod rozłożystymi gałęziami starego dębu.

Czuła mocne bicie jego serca. Nad ich głowami wiatr poruszał liśćmi, które szeleściły w blasku gwiazd niczym wielka ławica ryb pokonujących ciemne wody oceanu.

Kiedy wiatr cichł, na dziedzińcu słychać było tylko delikatny szum fontanny. Otaczał ich opiekuńczy mrok nocy.

Elene wyprostowała palce, którymi ścisnęła kołnierz jego marynarki.

- Ryan? - szepnęła.

- Tutaj nie ma ani ostrych muszelek, ani błota.

- Nie - zgodziła się ostrożnie, gdy znaczenie jego słów dotarło do niej powoli. - Ale jest przecież służba, Benedict...

- Benedict z mojego polecenia stoi na straży, choć każdy, kto chciałby nas podglądać, musiałby widzieć w ciemnościach jak kot.

- Zgadza się, ale...

- Od wielu godzin chciałem się kochać z tobą pod gołym niebem, od pierwszej chwili, gdy znaleźliśmy się w tym ogródku. Czy teraz mi odmówisz?

Jak mogła to zrobić, gdy prosił ją o to tak prosto, z tak wielkim pożądaniem w głosie?

- Nie - szepnęła.

-XII-

Postawił ją na ziemi i przesunął wargami po jej czole. Szybko zdjął marynarkę i położył na kamieniach. Przyklęknął na jedwabnej podszewce. Ujął Elene za rękę i pociągnął do siebie. Kiedy uklękała obok niego, podniósł obie jej dłonie do ust. Poczwała na skórze gorący oddech, gdy powiedział cicho:

- *Je t'adore*. Uwielbiam cię nie dlatego, że jesteś bardziej hojna niż jakakolwiek znana mi kobieta, lecz dlatego, że jesteś najbardziej szczerą i uczciwą.

Elene wstrzymała oddech. Jego słowa były niemal jawną deklaracją, lecz nie mogła ich spokojnie słuchać. Nie była uczciwa, nigdy, od pierwszej chwili. Nie mogła mu jednak tego powiedzieć teraz, gdy osłonięci ciemnością gorącej letniej nocy znaleźli się tak blisko siebie. Mogła go jednak przeprosić pieczołowicie, w ten sposób choć trochę łagodząc dręczące ją wyrzuty sumienia.

Delikatnie uwolniła dłonie z jego uścisku. Drżącymi palcami pogładziła go po torsie, przesuając po lekko marszczącej się na silnych mięśniach białej koszuli. Rozwiązała jego poluźniony krawat i pozwoliła, by opadł na ziemię. Odpięła spinkę przytrzymującą kołnierzyk, zdając sobie doskonale sprawę, że on w tym samym czasie przesuwa dłońmi po jej plecach. Po chwili rozsunęła koszulę, obnażając jego muskularny tors.

Ryan wstrzymał oddech, gdy schyliła głowę, by przesunąć językiem po ciemnych włosach na jego piersi. Jej

jasne włosy rozsypały się na ramionach, opadając złotą falą aż na jego uda, gdzie czuł ich ciepły ciężar. Bez tchu wsunął palce w błyszczącą gęstwinę.

Elene poczuła ciepło rozchodzące się w całym ciele. Ryan pragnął jej, pożył, nawet darzył ją przelotnym uczuciem, które nazwał uwielbieniem. Tym razem nic go do tego nie zmuszało. Uzmysłowiwszy to sobie, poczuła się nagle wolna, jakby ktoś zdjął z jej barków wielki ciężar. Mogła dawać radość równie swobodnie, jak ją przyjmowała, i świadomość tego faktu nagle ją ośmieliła.

Przesunęła językiem po jednym z jego twardych sutków. Czując przebiegające przez jego ciało drżenie rozkoszy, uśmiechnęła się do siebie zadowolona. Przesunęła dłoń w dół i powoli zaczęła wyjmować koszulę zza paska spodni.

Pomógł jej, zdejmując koszulę przez głowę jednym pewnym ruchem. Sztywny materiał zaszeleścił, spadając na ziemię. Położył dłoń na jej krągłych ramionach, pieszcząc delikatnie kciukami szyję. Zsunął bufiasty rękaw koszuli i skłoniwszy głowę, przywarł wargami do gładkiej, ciepłej skóry. Okrywał gorącymi pocałunkami smukłą szyję i wgłębienia za uszami, jednocześnie opuszczając coraz niżej batystową koszulę, aż oparła się na krągłościach piersi.

Elene chciała rozpleść ściągającą dekolot wstążkę, lecz Ryan ją ubiegł. Rozwiązał małą kokardkę i delikatny batyst miękkiemi falami opadł do talii dziewczyny.

- Co za słodycz - szepnął, przesuwając językiem po jej gładkich piersiach, drażniąc czułe na jego dotyk sutki.

Fale nieznanych dotąd odczuć przebiegły gwałtownie przez całe ciało Elene, wywołując gwałtowny ucisk w dole brzucha. Poruszona i wstrząśnięta, wciągnęła głęboko powietrze, unosząc piersi w geście niemej, zmysłowej zachęty. Koszula nocna opadła na ziemię.

Ryan puścił ją na chwilę, by rozpiąć pasek spodni. Się-

gnęła tam również, odsuwając jego palce. Zsuwała spodnie i bieliznę coraz niżej, rozkoszując się ciepłem jego napiętych mięśni, wyczuwając dłońmi rosnące tam ostre włosy. Lekko dotknęła jego rozpalonej męskości, która wypychała materiał spodni. Gdy objęła ją palcami, usłyszała, jak Ryan wciąga ze świstem powietrze i natychmiast dała się ponieść fali upajającej rozkoszy.

Jednym szybkim ruchem zsunęła mu spodnie z bioder. Pochylił się, by zdjąć buty i uwolnić się z reszty ubrania. Elene rozłożyła swoją koszulę na marynarce i położyła się na tym zaimprovizowanym pościeliu. Ryan pieścił językiem i wargami jej długie nogi i krągłe biodra, po czym wyciągnął się wygodnie i przygarnął ją do siebie. Czuli bicie swych serc i ciepło skóry, mocno przytuleni, choć nie do końca zjednoczeni.

Gdy ich ciała zdrzały od palącego pożądania, pieścizoty stały się coraz bardziej gwałtowne. Serce Elene waliło jak oszalałe, a krew krążyła w żyłach niczym rwący górski strumień. Jej rozpalona skóra pokryła się lśniąca warstwą potu. Dłonie Ryana przesunęły się po niej tym swobodniej, szukając wejścia do najgłębszej z tajemnic jej ciała. Odnalazł je. Elene pogrążona w niewysłowionej rozkoszy, namiętnie oddawała jego pieścizoty.

W odwiecznym tańcu miłości doprowadzali się do coraz większej rozkoszy bezlitosnymi dłońmi i wargami, aż zaczęli ciężko oddychać z wysiłku i otoczyła ich chmura zapachu przywołującego niezwykle obraz raj. Trwało to do chwili, gdy wysiłek związany z powstrzymywaniem się przed ostatecznym spełnieniem stał się prawdziwą torturą.

Kładąc się na plecach, Ryan pociągnął Elene na siebie, dając rękami znak, by go przyjęła. Nie trzeba jej było tego dwa razy powtarzać. W chwili gdy poczuła go w sobie, z jej ust wyrwał się jęk rozkoszy. Mięśnie ud zdrzały, gdy opadała na niego coraz mocniej i mocniej, aż

sięgnął istoty jej bytu. Po chwili zaczęła się kołysać, zmierzając do cudownego spełnienia. Było już tak blisko, tak nieprawdopodobnie blisko. Pędziło przez każdą cząsteczkę ciała z coraz większą szybkością, rosło niczym lawina, porywając ją ze sobą, aż krzyknęła i zniechęciła się.

Ryan przytulił Elene mocno do siebie, tak że zetknęły się ich czoła i mieszały oddechy. Gdzieś nad ich głowami zabzyczał moskit. Ryan zaklął cicho. Przesunął dłońmi po jej plecach i biodrach, jakby chciał odpędzić przy czajone owady, po czym przycisnął jej kolano i wyprostował lewą nogę. Jednym silnym ruchem przerzucił ją na plecy, tak że leżała na posłaniu z marynarki otoczona falą złotych włosów. Przykrył ją swoim ciałem, chcąc ochronić przed moskitami, lecz zaraz znów odnalazł jej pulsującą wilgotną miękkość i wszedł w nią raz jeszcze. Jej napięte mięśnie reagowały na każdy jego ruch, a otaczająca ich ciemność stała się całym wszechświatem, w którym nie liczyło się nic poza cudownym połączeniem ciał. Uniosła dłonie, by oprzeć je na jego napiętych ramionach i zaczęła poruszać się wraz z nim, przyjmując go w siebie coraz głębiej. Miała wrażenie, że wznosi się coraz wyżej, aż spełnienie wybuchło wokół niej tysiącem małych iskerek. Poczowała się tak, jakby eksplodowała najgłębiej ukryta cząsteczka jej duszy. W tej magicznej chwili połączyła się z mężczyzną, który trzymał ją tak mocno, że wszystko rozpułnęło się w porywającej swą mocą ekstazie. Wyszepiała jego imię. Słyszając, jak wypowiada je niemal błagalnym tonem, czując pod palcami jej wilgotną, aksamitną skórę, Ryan zamknął Elene w swoich ramionach i ostatnim, silnym pchnięciem wznosił się ponad niebo i pogrążył w otchłani niewypowiedzianej rozkoszy.

Wiatr zaszeleścił liśćmi dębu. Cienie zadrzały w rogach dziedzińca, gdy między gałęziami przemknął blask

gwiazd. Gdzieś w ciemnościach swoją melodię wygrywał świerszcz. Na dziedzińcu szemrała cicho fontanna. Para moskitów przeraziła ich swym bzyczeniem, po czym zamilkła.

Ryan się poruszył. Oparty na łokciach, odgarnął włosy z twarzy Elene. Pocałował ją czule, składając hołd na znak wdzięczności. Zaraz potem zgrabnie zsunął się z niej i uklęknął.

- Bardzo tu miło i wygodnie - rzekł radośnie - ale jakoś nie mam ochoty składać ofiary z własnej krwi.

Elene nie poruszyła się.

- Już zaczynałam myśleć, że bardzo chciałbyś zostać zjedzony żywcem.

- Znam większe przyjemności.

- Tak? Może więc wolisz ciemności i twarde łóżko? To też ci się bardzo podobało.

- Wiesz doskonale, że najbardziej podoba mi się twoje ponętne ciało. Zechcesz wejść do środka, by nie wystawić go na pastwę krwiożerczych moskitów?

- Jestem tuż za tobą - szepnęła. Nagle rozległo się bzyczenie i poczuła ostre ukłucie w kostkę.

- Ze wszystkich pozycji, jakie przychodzą mi do głowy, ta najmniej mnie zadowala. - Schylił się i wziął ją w ramiona, przytulił mocno do piersi, po czym ruszył w kierunku schodów.

Przy pierwszym stopniu w ciemnościach rysowała się sylwetka majordomusa. Tuż za nim przy drzwiach do pracowni stał drugi strażnik. Devota. Elene zacisnęła mocniej dłonie na ramionach Ryana i przygryzła dolną wargę.

- Nie wiem, co sobie o nas pomyślą - powiedziała, gdy dotarli już na ganek.

Ryan się roześmiał.

- Naprawdę nie wiesz?

- No, proszę, żartuj sobie do woli - rzuciła. - Dziwię

się tylko, że nie pomyślałeś o sprzedaży biletów na dzieńdziałcu.

Otworzył szeroko wiodące na ganek drzwi i wszedł do sypialni. Odsuwając ramieniem moskitierę, niezbyt delikatnie położył Elene na wypełnionym mchem materacu. Pochylając się nad nią w blasku samotnej świecy, powiedział:

- Masz rację, ale byłem zbyt zajęty czym innym, by o tym pomyśleć.

- Mhmm - odparła, szamocząc się na łożku. - Przypuszczam, że rankiem cała służba nieźle będzie sobie używać, gdy znajdzie nasze ubrania.

- Benedict i Devota zajmą się wszystkim, jak zwykle. Co się z tobą dzieje? Było aż tak źle?

Odwróciła wzrok. Problem polegał na tym, że było wspaniale. Bała się tylko, że zbyt mocno się odsłoniła, że ofiarowała mu zbyt dużą część siebie. Teraz nie miała pojęcia, jak uda się jej przeżyć, jeśli on kiedyś ją porzuci.

To jednak nie wszystko. Powiedział, że jest szczerą i uczciwą. Co sobie pomyśli, kiedy dowie się prawdy? Powinna mu wszystko wyznać. I to teraz, w tej chwili. Powinna mu opowiedzieć, jak go oszukała i omotała. Nie było to oczywiście zamierzone, ale przecież efekt pozostał ten sam.

Nie mogła jednak tego zrobić. To byłby koniec wszystkiego, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Sam przecież powiedział, że nie pozwoli się oszukiwać. Nigdy nie pozwoli, by kobieta, która się do tego zniżyła, mieszkała nadal pod jego dachem i spała z nim w jednym łożku.

- Elene? - rzucił pytająco, wyciągając się obok niej na łożku. Oparł dłoń na jej ramieniu i odwrócił ją w swoją stronę.

Spojrzała w zatroskane ciemnobłękitne oczy, tak mocno kontrastujące z ostrymi rysami i wiedziała, że nic mu

nie powie. Nie było takiej potrzeby. Tym razem przyszedł do niej przecież bez pomocy magii. I może to zrobić jeszcze nie raz.

Zmusiła się do uśmiechu, choć czuła ucisk w gardle.

- Doskonale wiesz, że nie było źle - powiedziała, tłumiąc łzy. - Było wspaniale.

- Naprawdę?

Przytuliła się mocno do niego, kryjąc twarz w zagłębieniu jego szyi, a on objął ją mocno ramionami.

- Powinieneś to wiedzieć. Przecież zapłaciłeś za to ukąszeniami moskitów.

- Kilka kropel krwi to naprawdę niewielka cena - odparł, gładząc ją po włosach. Jednak gdy patrzył na rzeźbione wezgłowie łożka, między jego czarnymi brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka. Czuł, jak Elene drży, gdyż przytuliła się do niego jeszcze mocniej. Nie znał przyczyny jej niepokoju. Bardzo chciał ją zrozumieć, lecz jednocześnie obawiał się, że dowie się zbyt wiele. Pogardzał swoim tchórzostwem, które powstrzymywało go przed poznaniem całej prawdy.

Ranek nadszedł zdecydowanie zbyt szybko. Na dźwięk pukania do drzwi, które obwieściło nadejście Benedicta z kawą i bułeczkami, Elene schowała się pod prześcieradłem. Jednak majordomus był uosobieniem dyskrecji. Nie odezwał się ani słowem, postawił tylko tacę na stoliku przy łożku i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Zapach gorących drożdżowych bułeczek i kawy z mlekiem unosił się w powietrzu. Elene próbowała o nim nie myśleć i zacisnęła powieki, by jeszcze choć na chwilę zatrzymać sen. Jeśli nie pozwoli mu odejść, nie będzie musiała zmierzyć się z nadchodzącym dniem.

Leżący obok niej Ryan poruszył się. Lekko dotknął jej nogi swoją, a ramieniem oplótł talię, by przytulić ją mocniej do siebie. Jej biodra wtuliły się w jego muskularny

brzuch i coś równie twardego, lecz znacznie gorętszego. Podmuchał delikatnie w jej kark, co sprawiło, że zadrżała.

- Czy masz jakieś ślady po ukąszeniach moskitów, które mógłbym podrapać? - spytał prosto w jej ucho.

Odwrociła się szybko w jego stronę. Leżał uśmiechnięty, opierając się na jednym łokciu.

- Jesteś niemożliwy!

- No, nie tak do końca.

- Nie miałam na myśli twojej sprawności w łóżku.

Spojrzał na nią z wyrazem udanej niewinności w oczach.

- A kto twierdzi, że jestem sprawny?

W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia, na którego widok serce Elene ścisnął ból. Cień ciemnego zarostu na opalonej twarzy nadawał Ryanowi nieco chuligański wygląd, który wzbudził w niej dziwną czułość. Odchrząknęła.

- Oszust. Kawa ci wystygnie.

- To nic.

- Jest już jasno.

- Zgadza się - odparł, spoglądając w okno.

- Służący odpowiedzą wszystkim, że nie zajmujemy się niczym innym.

- To przecież takie niewinne.

- Plotki? Czy może...

- Czy co?

- Pieszczoty w łóżku - odparła, nie dając się zastraszyć.

Pocałował ją w ramię, nie spuszczać wzroku z jej lekko zarumienionej twarzy.

- Tak to nazywasz?

- Wiesz doskonale...

- Tak. A teraz, skoro już zaczęliśmy, możemy to równie dobrze kontynuować.

- Nic nie zaczęliśmy!

- Wstyd i hańba. - Ujął brzeg prześcieradła i zaczął je powoli zsuwać, odsłaniając brzoskwińową pierś.

- Wstyd to coś, czego najwyraźniej ci brakuje - oświadczyła, choć słowa nie zabrzmiały tak złośliwie, jak chciała. Powodem był jego język poruszający się jakże delikatnie po jej odsłoniętej skórze.

- Wstyd? Skąd! Gdy chodzi o ciebie, nie mam go ani grama. Możesz mnie jednak sporo nauczyć.

Rzeczywiście, pomyślała, ale nie powiedziała ani słowa. Potrząsnęła tylko głową i wsunęła palce w lśniące kasztanowe włosy na jego karku.

- Mam o wiele ciekawsze zajęcia.

Nic dziwnego, że śniadanie zdążyło całkiem wystygnąć. Zaraz potem Ryan odrzucił prześcieradła i wstał z łóżka. Tego ranka przypływał statek z Balise z towarami, w które sporo zainwestował. Chciał sam pokierować wyładunkiem.

Elene, leżąc, obserwowała go, jak poruszał się nagi po pokoju, golił i ubierał. Nie wezwał na pomoc majordomusa, co nie było aż tak niezwykle. Na statku nie miał przecież lokaja, a schodząc na ląd, nie stawał się automatycznie bezradny jak dziecko. Kiedy był już gotowy do wyjścia, podszedł do łóżka. Pochylił się i pocałował ją w czoło, potem szybko przycisnął ciepłe wargi do jej ust. Pachniał mydłem, krochmalem i środkiem używanym do przemywania zacięć przy goleniu, i sobą.

Nie odszedł od razu, lecz stał przez chwilę z kapeluszem w ręce, patrząc na nią badawczo.

- Wszystko w porządku? - spytał cicho.

- Tak - odparła z uśmiechem, kryjącym zaspokojone pożądanie. - Kiedy wrócisz?

- Zanim zdążysz za mną zatęsknić.

- Czyli bardzo szybko.

- Najpóźniej w południe. - Z obietnicą rozkoszy w oczach odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Uśmiech zniknął z twarzy Elene. Bezgraniczne oddanie Ryana powinno ją cieszyć. Bardzo chciałyby, by łącząca ich więź była prawdziwa i niczym nie wymuszona. A jednak nie wszystko układało się jak należy. Czyż w jego niesłabnącym pożądanu nie było nic nienaturalnego? Czy to możliwe, by mężczyzna pożądał kobiety tak mocno, że najmniejszy choćby dotyk wywoływał natychmiastową chęć spełnienia?

Coś było nie tak, wiedziała to doskonale.

Nie chciała jednak dawać wiary swoim podejrzeniom. Przez krótki czas łudziła się nawet nadzieją, że to wszystko jest jedynie wytworem jej wyobraźni, lecz teraz nie znajdowała w niej żadnej pociechy. Tym razem ofiarą padła i ona.

Mogła się upewnić tylko w jeden sposób. Nie chciała jednak ryzykować. Nie mając absolutnej pewności, mogła się dalej łudzić, że uczucia Ryana w stosunku do niej nie są niczym wymuszone. W tym przypadku niewiedza była wielką pociechą.

Nie chciała, by sen stanowił ucieczkę od problemów. Zamknęła oczy na chwilę, lecz niepokój i zmęczenie zrobiły swoje. Kiedy się obudziła, w sypialni panował upał późnego popołudnia. Nikt nie zakłócał jej spokoju; taca ze śniadaniem wciąż stała na stoliku przy łóżku, a drzwi prowadzące na ganek pozostały otwarte, wpuszczając do środka gorące powietrze z dziedzińca.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju weszła Devota, niosąc miedzianą bańkę z gorącą wodą. Podeszła do umywalni, wylała wodę do miednicy i rozłożyła świeży ręcznik.

- Pan Ryan jest już w drodze z portu. Właśnie odgrzewają mu w kuchni obiad. Pomyślałam, że będziesz miała ochotę mu towarzyszyć.

Elene usiadła i rozgarnęła palcami włosy, pragnąc rozplątać złote pasma.

- Która godzina?
- Jest dość późno, ale to nic. Dostarczono nam wiadomość, że pan Bayard nie wróci w południe. Nie widziałam więc powodu, żeby cię budzić.
- Nie - odparła wolno Elene.
- Możliwe, że nawet teraz nie masz ochoty wstać.
- Do Elene dotarł wreszcie zgryźliwy ton służącej. Spojrzała na nią zdumiona.
- O co ci chodzi?
- Jeśli odrzucasz oświadczyni mężczyzny, większość ludzi zakłada, że przestałaś się nim interesować.
- Czyżby? A kto ci powiedział, że odrzuciłam oświadczyni?
- Benedict dowiedział się o tym od swego pana i dał mi do zrozumienia, co między wami zaszło.
- To wy już ze sobą rozmawiacie?
- Trzeba było coś zrobić wczoraj wieczorem, kiedy czekaliśmy na dziedzińcu.
- Czekali, by ich państwo skończyli wreszcie swe upojne sam na sam. Elene odchrząknęła.
- Rozumiem. Tak się składa, że Benedict ma rację.
- Devota z głośny brzękiem odstawiła bańkę i odwróciła się do niej.
- Nie mogłam w to uwierzyć. Myślałam, że coś mu się pomyliło. Jak mogłaś odmówić Bayardowi teraz, gdy jesteś zdana tylko na siebie? Jak mogłaś?
- Powinnaś mnie zrozumieć, zwłaszcza ty.
- Nic nie rozumiem! Co ci się nie podoba w małżeństwie z Ryanem Bayardem? Jest młody, przystojny, bogaty i chce cię mieć u swego boku przy stole i w łóżku. Czego więcej można chcieć?
- To samo mówiłaś o Durancie.
- I co?
- Nie obchodzi cię wcale, kto zostanie moim mężem? Każdy kandydat się nada?

- Bayard nie jest każdym - odparła Devota, unosząc zdecydowanym ruchem brodę.

- Może i nie, ale co z miłością?

- On cię przecież kocha.

- Pragnie mnie, nie mając nad tym żadnej kontroli? To wcale nie jest miłość!

- Łączy was o wiele więcej.

Słowa służącej zabrzmiałyby znacznie bardziej przekonująco, gdyby wypowiadając je, Devota nie odwróciła głowy.

- Naprawdę? Jesteś tego pewna? No to powiedz mi co.

Devota nie odpowiadała. Na jej ciemnej twarzy pojawił się nagle wyraz smutku.

- Przepraszam, *chere*. Nie chciałam, żebyś przeze mnie miała wątpliwości. To nigdy nie było moim zamiarem.

Czy rzeczywiście miała wątpliwości? Oczywiście, choć w tej chwili nie miało to zbyt wielkiego znaczenia. Machnęła niecierpliwie ręką.

- Nie o to chodzi.

- Ależ tak. Jesteś przekonana, że na początku waszej znajomości perfumy odegrały istotną rolę. Nie oznacza to jednak wcale, że twój mężczyzna bez ich pomocy nic do ciebie nie czuje.

- Nie? A jeśli rzeczywiście tak jest? Co się stanie, gdy jego oczarowanie zniknie, a ja się w nim zakocham?

- *Chere*, czy istnieje niebezpieczeństwo, że do tego dojdzie?

- A jakież to ma znaczenie? - wykrzyknęła, siadając na łóżku. - Chcę się tylko dowiedzieć...

Urwała, gdyż drzwi otworzyły się z wielkim impetem. Do sypialni wszedł Ryan. Spojrzał na zarumienioną twarz Elene, potem na Devotę.

- Powiedziałaś jej? - spytał.

- O czym, proszę pana? - Devota zmarszczyła brwi.

- Byłem przekonany, że wieści dotrą tutaj przede mną, choć wróciłem natychmiast.

- Nic nie słyszałam - odparła Elene. - Co się stało?

- Dostałem przed chwilą wiadomość od Morvena. - Urwał, jakby nie chciał mówić dalej.

- Tak? I co?

- Hermine... nie żyje.

Elene zadrżała. Patrzyła na niego, myśląc o zabawnych anegdotach opowiadanych przez aktorkę aksamitnym głosem, o jej wyrozumiałości dla innych i umiłowaniu życia widocznym we wszystkim, co robiła. To niemożliwe, że Hermine nie żyje.

- Nie - szepnęła.

Ryan z powagą potrząsnął głową.

- Trudno w to uwierzyć, ale to prawda.

- Ale... co się stało?

- Nic jeszcze nie wiadomo, gdyż znaleziono ją przed godziną. Morven jest przekonany, że to wypadek. Lekarz, którego wezwano, uznał to jednak za samobójstwo.

- Samobójstwo!

- Zmarła w wyniku przedawkowania arszeniku.

Morven Ghent, mimo przekonującej rozpacz, z jaką odgrywał rolę tragicznego szlachcica w czasie przedstawienia w ogródku, na pewno nie był mężczyzną gotowym umrzeć z miłości. Nie oznacza to wcale, że nie opłakiwał Hermine. Chodził z zaczerwienionymi oczami, a od czasu do czasu urywał w pół zdania i wpatrywał się gdzieś w dal z wyrazem bezgranicznego smutku na przystojnej twarzy. Nic dziwnego, że wszystkie kobiety całym sercem pragnęły go pocieszać. Zazwyczaj jednak z wielkim przekonaniem opowiadał o planach założenia prawdziwego teatru w Nowym Orleanie i o sztukach, które mogą odnieść sukces w czasie pierwszego sezonu.

Mówił też o tym, dokąd się uda, gdy opuści już miasto, i rozwodził się nad przyszłością teatru we Francji pod rządami Napoleona.

Stypę po pogrzebie Hermine zorganizowano w domu Rachel Pitot, dużym budynku zbudowanym w stylu Indii Zachodnich tuż u bram miasta. Zazwyczaj wizyty z kondolencjami składano dopiero po upływie tygodnia, lecz Hermine spędziła w mieście tak niewiele czasu, a trupa aktorska miała tak niewielu znajomych, że zaraz po smutnej uroczystości przyjaciele postanowili podtrzymać na duchu Morvena i Josie. Pozostali członkowie grupy przybyłej na statku z Santo Domingo musieli podzielać podobne zdanie, gdyż wszyscy zjawili się w komplecie.

Jeśli Morven chciał szukać pociechy w towarzystwie kobiet, nie mógł się na pewno uskarżać na jego brak. Po jednej jego stronie zasiadła bowiem Josie ubrana w czerni rozjaśnioną tylko bielą kołnierzyka i mankietów. Swoim wyglądem przypominała pokojówkę z jednej ze sztuk. Po drugiej stronie aktora usadowiła się wdowa Pitot, w szarolawendowej sukni z szalem z czarnej koronki. Na szyi zawiesiła srebrny naszyjnik z amuletem przedstawiającym kobrę.

Kiedy zbliżyła się Elene, aktor powstał. Ujął wyciągniętą dłoń dziewczyny, uśmiechnął się do niej z wyrazem smutku w pociemniałych oczach, po czym mocno przytulił. Musnął wargami jej policzek i pocałowałby ją w usta, gdyby się szybko nie odwróciła. Zaskoczona czekała na jakąś reakcję na jego dotyk. Nie wzbudził jednak w niej nic poza irytacją z tak jawnego wykorzystania sytuacji. Odepchnięcie go byłoby równoznaczne z okazaniem braku współczucia z powodu jego straty. Jednak gdy obejmował ją coraz mocniej, tylko komentarz czyniony kiedyś przez Hermine na pokładzie szkunera powstrzymał Elene przed skorzystaniem z pomocy łokcia,

by uwolnić się z jego uścisku. Kiedy chodzi o kobiety, Morven zupełnie nad sobą nie panuje, powiedziała wówczas ze śmiechem i najwyraźniej miała rację.

Stojący za Elene Ryan chrząknął ostrzegawczo. Morven bez pośpiechu wypuścił dziewczynę z objęć. W spojrzeniu, jakim obrzucił przyjaciela, nie pojawił się ani cień skruchy.

- No, nie masz chyba nic przeciwko małemu uściskowi, staruszkule? Niektóre wyrazy współczucia znaczą więcej od innych.

- Mogą się również okazać bardziej niebezpieczne - odparł Ryan, a jego chłodny uśmiech niósł ze sobą ostrzeżenie.

Ryan wziął udział w pogrzebie, podobnie jak panowie Mazent i Tusard. Pojawił się również Durant. W Nowym Orleanie panie nie uczestniczyły w takich uroczystościach, gdyż uznano je za zbyt bolesne. Ta była wyjątkowo przykra, gdyż Hermine jako samobójczyni nie można było pochować w poświęconej ziemi.

Tego wieczoru Morven niejednokrotnie krytykował ostro surowość tego zakazu. Raz po raz powtarzał, że Hermine nie miała najmniejszego zamiaru odbierać sobie życia. Kościół jednak stał zdecydowanie na swoim stanowisku. Lekarze uznali śmierć aktorki za samobójstwo i nie mając żadnych dowodów, nie można było wykazać, że stało się inaczej.

- Moim zdaniem - szepnęła madame Tusard do ucha Elene, grzejąc ją przy tym swoim oddechem - Morven Ghent bardzo chce, żebyśmy uwierzyli, że śmierć biednej Hermine była wypadkiem. Inaczej bowiem ten puszczający się jak paw aktorzyzna musiałby przyznać, że miała powody, by chcieć odebrać sobie życie, a przecież tylko on mógł ich dostarczyć!

- Nie wierzy chyba pani, że Hermine zrobiłaby coś takiego - zaprotestowała Elene.

- Mogłaby, gdyby straciła Morvena, na rzecz, powiedzmy, tej tam damy. - Skinęła głową w stronę Rachel Pitot. - Hermine na pewno nie mogła dorównać tej czarnej wdowie. Doszły mnie słuchy, że niezły z niej numer.

- Hermine z pewnością nie była zadowolona z ich flirtu, ale z drugiej strony nie było w tym nic niezwykłego.

Madame Tusard potrząsnęła zdecydowanie głową.

- Mówią, że ta kobieta zajmuje się czarną magią. Niektórzy nawet sugerują, że jej mąż zmarł w bardzo niezwykłych okolicznościach.

- Też coś! - Elene nie mogła ukryć irytacji wywołanej przez tak złośliwe i pozbawione podstaw oskarżenia.

- Może w to pani nie wierzyć, ale takie rzeczy się zdarzają. - Wyraźnie urażona madame Tusard nie dawała za wygraną.

- Dziwi mnie bardzo - powiedziała Elene - że broni pani Hermine. Odniosłam wrażenie, że parę dni temu wymieniła z nią pani kilka ostrych słów.

Starsza kobieta zmarszczyła gniewnie brwi.

- Czy sugeruje pani, że coś, co powiedziałam lub zrobiłam, mogło skłonić tę tanią aktoreczkę do wypicia trucizny? Zapewniam panią, że nie!

- Powiedziałam chyba wyraźnie, że nie wyobrażam sobie, by Hermine mogła świadomie odebrać sobie życie, nawet dla Morvena.

- To co pani sugeruje? - spytała madame Tusard, mrużąc oczy.

Na chwilę zapanowała między nimi tak lodowata wrogość, że Elene aż zaniemówiła. Na szczęście zaraz pojawiła się Josie, opadając na krzesło stojące przy kanapce, na której rozmawiali.

Dziewczyna obrzuciła je zaciekawionym spojrzeniem.

- O czym tu rozmawiacie? Założę się, że o czymś bardzo pikantnym. Czy wiecie, że dostanę rolę po Hermine?

Morven mi to obiecał. Poszukamy kogoś do roli tej młodej osobki, kogoś na tyle głupiego, by zadowolił się okazją do przechadzania się w kostiumach po scenie i nie zażąda zbyt wysokiej gaży.

Madame Tusard skierowała gniew na nowo przybyłą.

- Niektóre role Hermine były bardzo trudne i wymagały sporego kunsztu.

Josie wzruszyła ramionami.

- Nadam im swój własny styl albo Morven trochę je zmieni. Nie macie pojęcia, jak miałam dość grania głupiotkich laleczek. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca, gdy Hermine i Morven rozmawiali o głębi swoich ról, obojętnie co to mogło oznaczać.

- Madame Pitot może mieć coś do powiedzenia w sprawie obsady ról w sztukach granych na scenie w jej ogródku - rzekła.

Josie zmarszczyła brwi.

- Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że im szybciej opuścimy Nowy Orlean i madame Pitot, tym lepiej.

Elene spojrzała przez pokój, gdzie Rachel Pitot, trzymając Morvena pod ramię, mocno się o niego opierała.

- Wygląda na dość zaborczą osobę.

- Jest straszna! Stale wchodzi do naszych pokoi, jakbyśmy nie mieli prawa do prywatności i byli jej niewolnikami.

- Tak się dzieje, kiedy pozwalamy, by inni nas utrzymywali - zauważyła zwięźle madame Tusard.

- Płaciliśmy jej, proszę nam wierzyć - odparła posępnie Josie. - Morven oczywiście bardziej niż inni. Ale... Elene, pamiętasz te perfumy, które dałaś Hermine? Wdowa tylko je powąchała i zaraz oznajmiła, że musi je mieć. Hermine próbowała jej tłumaczyć, że są dla niej czymś wyjątkowym, ale na nic się to zdało. Musiała dać je wdowie.

Perfumy Hermine. Elene poczuła gniew na myśl, że

aktorze nie pozwolono ich zatrzymać. Nie byłoby tak źle, gdyby mogła jej podarować nowy flakonik, ale teraz było już za późno. Za późno. Hermine odeszła, a wraz z nią jej cudowna zdolność do śmiania się z samej siebie i ze świata. Zamilkł też na zawsze jej niezwykle, hipnotyzujący głos.

Madame Tusard zmieniła temat. Słyszała, że dwóch przybyłych właśnie z Hawany marynarzy umiera na żółtą gorączkę w szpitalu dla ubogich. Choroba stanowiła nieustanne zagrożenie na wyspach, a latem była w Nowym Orleanie prawdziwą plagą. Atakowała zazwyczaj nowo przybyłych, jakby chciała zapobiec napływowi świeżej krwi. Można było odnieść wrażenie, że dłuższy pobyt w mieście stanowi niejako ochronę przed zarażeniem.

Rozprawiając z ożywieniem, madame Tusard rozglądała się przez cały czas w poszukiwaniu nowych tematów do rozmowy. Kiedy do pokoju razem ze swoją służącą weszła Flora Mazent, zaraz ją zawołała.

- Floro, chodź do nas, proszę. Wyglądasz dziś wieczór naprawdę uroczo. Powiedz mi, czy to prawda, że twój ojciec już niedługo coś nam ogłosi?

Dziewczyna zarumieniła się po uszy, lecz trudno było stwierdzić, co było tego powodem: zakłopotanie czy irytacja.

- Gdzie się pani o tym dowiedziała?

- Słyszysz się to i owo. Czy to prawda?

- Nic jeszcze nie postanowiono. - Flora starannie wzięła słowa.

- Czyli to prawda. Czy przyszedł narzeczony jest przystojny?

Dziewczyna rzuciła im szybkie, nieśmiałe spojrzenie spod krótkich, wyblakłych rzęs.

- Niektórzy tak uważają.

- Kimże on jest?

Germaine pochyliła się, by szeptnąć coś swej pani do ucha. Flora skinęła głową.

- Wolałabym nic nie mówić - powiedziała ledwie słyszalnym głosem. - Proszę mi wybaczyć, zdaje mi się, że ojciec mnie potrzebuje.

Josie popatrzyła za nią z wyrazem niedowierzania w oczach.

- Jak ktoś taki jak ona mógł znaleźć kandydata na męża i to tak szybko?

Madame Tusard roześmiała się chrapliwie.

- Zdziwiłabyś się, jak pomocny w tych sprawach może okazać się majątek.

- Tutaj też tak było?

- Istnieją takie przypuszczenia.

Elene poczuła nagle, że się dusi. Szybko wstała i odeszła. Chciała się znaleźć jak najdalej od osób, które zawsze spodziewały się najgorszego, nie licząc na to, że w życiu może je spotkać jeszcze coś dobrego.

-XIII-

Jakież to dziwne i niepojęte. Jednego dnia ktoś się śmieje, rozmawia, je, oddycha, a następnego już nie ma go wśród żywych. Jego odejście jest ostateczne, a jednak nic się nie zmienia. Tęsknimy za nim, odczuwamy ból i rozpacz, ale mimo wszystko życie toczy się dalej. Słońce wschodzi i zachodzi, pada deszcz, pory roku zmieniają się z nieuchronną regularnością. Śmierć jednego człowieka niewiele znaczy. Egoizmem byłoby sądzić inaczej, jednak wydaje się, że wydarzenie to powinno zapisać się w dziejach czymś więcej niż tylko kamiennym nagrobkiem z wrytym na nim napisem.

Życie uchodźców w Nowym Orleanie powróciło po śmierci Hermine do dawnego biegu. Władze nie zamierzały zajmować się tą sprawą. W ich opinii aktorka znalazła się tu tylko tymczasowo i nie należała do społeczności, którą mieli ochraniać. Na dodatek występowała na scenie, co ich zdaniem zniżało ją do pozycji kobiet, które sprzedawały swoje ciała przy murach. Takie kobiety zabijały się co dnia lub umierały tragicznie, czasem zamordowane przez swych kochanków. Śmierć jednej więcej nie stanowiła dla nikogo powodu do zbyt wielkiej troski.

Dni mijały powoli, a w mieście na dobre zagościło lato. Elene nauczyła się poruszać po Nowym Orleanie i przemierzała ulice z coraz większą pewnością, mając u boku Devotę lub Benedicta, którzy nieśli jej kosz z za-

kupami. Nauczyła się, którzy kupcy lubią oszukiwać, a którzy dodają do zrobionych zakupów coś małego na osłodę. Odkryła, w jakich godzinach najlepiej jest kupować na targu przy grobli świeże warzywa i owoce, a których należy zdecydowanie unikać z powodu komarów i wielkich much mięsnych unoszących się nad przejrzałymi bananami, cuchnącymi rybami i wiszącymi połączkami mięsa. Doprowadziła do perfekcji sztukę targowania się, robiła to zdecydowanie, lecz z uśmiechem na ustach, a czasem prosiła, by dorzucić jeszcze odrobinę tego lub tamtego, co zmuszało handlarzy do przeliczania całego rachunku na nowo. Nauczyła się też, jak unikać spojrzeń mężczyzn, tak by nie odważyli się zatrzymać jej na ulicy lub odpowiadać na ich ukłony chłodnym skinieniem głowy, co zniechęcało ich skutecznie do podążania za nią.

Uświadomiła sobie też, że modystka miała po części rację, krytykując kobiety z Santo Domingo. Można je było bezbłędnie rozpoznać, gdy przechadzały się po ulicach lub siedziały na balkonach swoich domów. Niezwykle tajemniczo przechylały parasolki chroniące je przed słońcem i układały szale na ramionach. Rzadko nosiły kapelusze lub czepki, a kiedy już je wkładały, robiły to z pewnym zuchwalstwem. Odcienie wybieranych przez nie kolorów sprawiały, że ubiory innych mieszkanek Nowego Orleanu wyglądały na nieco wyblakłe. A przecież były to bardzo szanowane damy.

Kobiety z niewielką domieszką murzyńskiej krwi rzucały się w oczy jeszcze bardziej. Zawiazywały na włosach turbany z lśniącego jedwabiu, przytrzymywane złotymi lub srebrnymi szpilkami, malowały wokół oczu czarne kreski i nosiły duże kolczyki w uszach. Staniki ich sukien - i to zarówno porannych, jak i wieczorowych - miały tak głębokie dekolty, że upał zdawał się im nie dokuczać, a gdy mimo wszystko robiło się zbyt gorąco, mo-

czyły w wodzie halki, które potem zmysłowo opinały ich zgrabne figury. Spacerowały po mieście ze swymi służącymi, trzymając w ramionach ulubionego pieska, aromatyczne kulki, które łagodziły przykre zapachy ulicy, a czasem wachlarz, parasolkę lub pęk pawich piór przewiązanych barwną wstążką. Widać było wyraźnie, że nie należą do grona białych obywateli, lecz cieszą się ze swej wyjątkowej pozycji.

Od czasu do czasu Elene spotykała znajome kobiety z Santo Domingo. Nie podchodziła do nich, a i one też nie próbowały z nią rozmawiać, choć czasami zdawało się jej, że ją rozpoznawały. Nie zajmowała jednak szanowanej pozycji w towarzystwie, a towar ten stał się w Nowym Orleanie niezwykle cenny.

Pewnego wieczoru Ryan postanowił wydać u siebie w domu elegancką kolację. Poprosił Elene, by zechciała pełnić rolę pani domu i przyjąć wraz z nim kilku handlarzy mieszkających przy tej samej co on ulicy oraz dwu plantatorów spoza miasta. Jednym z nich był Etienne de Bore, uroczy człowiek, który w Luizjanie udoskonalił granulowanie cukru, a drugim przystojny i bogaty Bernard de Marigny de Mandeville, który, mając zaledwie osiemnaście lat, cieszył się zasłużoną sławą *bon vivanta*. Minionej wiosny sprowadził z Paryża grę w kości i pomógł ojcu ugościć książąt z dynastii Burbonów w czasie ich pobytu na wygnaniu przed pięcioma laty. Marigny był również adiutantem prefekta kolonii i przedstawiciela Francji, Laussata. Sam Laussat miał być tego wieczoru gościem honorowym.

Elene była bardzo zdenerwowana. Nie wiedziała dlaczego, gdyż podczas kolacji miała naprawdę niewiele do zrobienia. Omówiła z Benedictem, Devotą i kucharzem dania, które zostaną podane, od zupy żółwiowej przez łososia duszonego w białym sosie z krewetkami, krabami, szalotkami i czerwoną papryką po pieczone prosię poda-

wane z młodymi ziemniakami i zieloną fasolką gotowaną z kiełbasą, oraz ciasto z brzoskwiniami na deser. Choć do jej obowiązków będzie należało sygnalizowanie, kiedy należy podać kolejne potrawy, odpowiedzialność, by pojawiały się na stole we właściwej kolejności i formie, nie będzie spoczywać wyłącznie na jej barkach. Od czasu do czasu może zaproponować jakiś temat rozmowy, gdyby konwersacja przy stole stała się mniej ożywiona, lecz nad całością przyjęcia czuwać będzie Ryan i jego służba.

Ona miała swoją obecnością łagodzić nastroje, gdyby zaczęły padać zbyt ostre i zapalczywe słowa, i służyć jako ozdoba domu Ryana. Nie była jednak pewna, czy sprosta tym zadaniom.

Z wielką troską zadbała tego wieczoru o wygląd, wkładając najbardziej oficjalną ze swych sukien, jedyną, którą można było uznać za prawdziwie wieczorową. Uszyta z ciemnoróżowego jedwabiu, była elegancko udrapowana na piersiach i spływała na ziemię prostą falą, z tyłu przedłużoną w niewielki tren. Do sukni dopasowała bladoróżowe rękawiczki i pantofelki, a w wysoko upięte włosy Devota wsunęła kilka różanych pączków. Aby dodać sobie odwagi, Elene skropiła się też odrobiną perfum, które stały się jakby częścią niej samej i bez ich zapachu czuła się naga.

Goście zjawili się dość wcześnie jak na wieczorny posiłek. Panowie mieszkający poza miastem nie mogli jednak zabawić zbyt długo, gdyż mogłoby się okazać, że muszą pozostać w mieście aż do rana. Żaden z nich zresztą zbytnio się tym nie przejmował, lecz prefekt Laussat był w zupełnie innej sytuacji. On nie mógł sobie pozwolić na próbę przekupienia u bram hiszpańskich strażników, gdyż wywoływanie międzynarodowego incydentu w tak niespokojnych czasach nie miało najmniejszego sensu.

Spóźniony Bernard Marigny przybył w towarzystwie znajomego i poprosił o dodatkowe miejsce przy stole. Jako że mieszkańcy kolonii słynęli z gościnności, niespodziewany przybysz mógł zawsze liczyć na miłe powitanie. Tego wieczoru do stołu miało zasiąść jedenastu mężczyzn i tylko jedna kobieta, nie istniało więc niebezpieczeństwo, że dodatkowy gość zburzy starannie opracowany plan ich usadzenia.

Kiedy służący odbierał od towarzysza Marigny'ego kapelusz i laskę, Elene odwróciła się, by skinąć na majordomusa i dać mu znak, że potrzebne będzie jeszcze jedno nakrycie. Benedict skłonił się, lekko urażony, gdyż jej interwencja była zupełnie niepotrzebna. Witając nowo przybyłych gości pomyślała, że teraz zasiądzie do stołu trzynaście osób, lecz nie miało to dla niej zbyt wielkiego znaczenia. Sama nie była przesadna, choć spotkała w Nowym Orleanie wiele osób wierzących w tajemne znaki.

Chwilę później nie była już tak pewna siebie i spokojna. Trzynastym gościem okazał się bowiem Durant Gambier. Z ironicznym uśmiechem pochylał się nad jej dłońią, szepcząc słowa przeprosin. Odzyskując panowanie nad sobą, Elene przywitała go w imieniu Ryana i odwróciła się, by zamienić parę słów z panem de Bore.

Przy stole panowała bardzo gorąca atmosfera, a rozmowy stawały się chwilami zbyt ożywione. Gości nurtowała najbardziej sprawa przekazania kolonii. Czy stało się już faktem, czy jeszcze nie? Amerykanie przygotowali całe zapasy wina, by uczcić to wydarzenie w czasie święta Czwartego Lipca. Ludzie na ulicach dawali wyraz swojemu niezadowoleniu, utrzymując, że w tak ważnej sprawie powinno się ich zapytać o zdanie. Laussat był wyraźnie tym wszystkim zmartwiony, lecz nadal nie otrzymał oficjalnego potwierdzenia transakcji i musiał publicznie dawać wyraz swemu niedowierzaniu.

Prefekt kolonii Laussat był przystojnym, blisko pięćdziesięcioletnim mężczyzną o zdumiewająco bujnej czuprynie, zmęczonych oczach i zdecydowanym wyroku ust. Przejawiał niezwykle zainteresowanie podawanymi potrawami, zwłaszcza tymi, które zawierały charakterystyczne dla kolonii składniki. Z niechęcią wypowiadał się na temat swojej pozycji, bowiem jak każdy polityk obawiał się, że być może powie coś, co zostanie źle zrozumiane.

Pokusił się jednak o niewielki komentarz do panującej sytuacji. Machając niedbale ręką, rzekł:

- Zdam sobie sprawę, że pogłoski o możliwej cesji są coraz bardziej powszechne. Wahania politycznego termometru w tej sprawie wpływają na liczbę moich oficjalnych spotkań. Kiedy przyjechałem do Luizjany, nie miałem ani jednej wolnej chwili. Teraz zainteresowanie znacznie zmalało.

- Z czego wnioskuje - odparł Durant, gdy ucichł pełen szacunku pomruk, którym skwitowano słowa prefekta - że dojdzie do wielkich zmian, gdy cesja stanie się faktem. Znacznie ożywi się handel i wzrosną zyski zajmujących się nim osób.

Ukryte w jego głosie szyderstwo dawało wyraźnie do zrozumienia zebranym, że uważa tego typu zajęcie za niegodne dżentelmena. Było jasne, że obiektem jego krytyki stał się Ryan.

- Wolny dostęp do oceanów pozwoli rozwinąć handel, bez względu na to, kto będzie dzierżył władzę - odparł Ryan.

- Czyż nie uważa pan jednak, że sytuacja będzie wyglądać znacznie lepiej pod rządami Stanów Zjednoczonych niż Hiszpanii... czy Francji? - Durant uśmiechnął się wyzywająco. Znał doskonale poglądy Ryana w tej sprawie. Pod płaszczykiem niewinnego komentarza politycznego chciał go zmusić do zajęcia stanowiska, które

tego wieczoru rozgniewa prefekta, a w przyszłości okaże się bardzo niewygodne, gdyby pogłoski o planowanej cesji okazały się nieprawdziwe.

Ryan oparł się wygodnie i uśmiechnął uprzejmie.

- Największe zyski zawsze będzie czerpał kraj mający do nich najlepszy dostęp. Jestem pewny, że Napoleon zmieniłby Missisipi w strumień czystego złota, gdyby bogate tereny i wpadające do niej rzeki leżały trochę bliżej Paryża.

Prefekt skinął głową.

- Odległość w istocie może stać się straszliwą przeszkodą. Jeśli jednak Francja straci te tereny, straci jednocześnie kolonię z wielką, wspaniałą przyszłością. Tak ogromny obszar musi się kiedyś odłączyć i usamodzielnic, to nieuniknione, ale kiedy jeszcze jest nasz, mógłby stać się źródłem znacznych bogactw i doskonałym rynkiem zbytu dla kraju suwerena. Moglibyśmy stworzyć tu nową Francję. Mam mnóstwo pomysłów na poprawę stanu rolnictwa i potrojenie wyników handlu, dzięki czemu mógłbym pozostawić tutaj po sobie trwałe ślad. Jeśli nie będzie mi to dane, wyjadę stąd z poczuciem głębokiego smutku.

Jego słowa skutecznie uciszyły Duranta. Przy stole zaczęto rozmawiać o incydencie z amerykańskim najemnikiem, Bowlesem. William Augustus Bowles przyłączył się do Indian z plemienia Creek, by wspólnymi siłami wyrzucić z Ameryki Hiszpanów, po czym wszedł w konflikt z hiszpańskim rządem. Został aresztowany i wysłany statkiem z Mobile do Hawany, potem na Filipiny i w końcu do Afryki. Przekazywano go z kraju do kraju jak niechcianą paczkę, aż w końcu uciekł i wrócił do swoich indiańskich przyjaciół, którzy wydali go za sumę czterech tysięcy piastrow. Ostatnio pojawił się w Nowym Orleanie w drodze do więzienia w Hawanie.

Goście skoncentrowali się potem na bogactwie dzikie-

go ptactwa, które można spożywać w Luizjanie. Siewki, gajówki i przepiórki mogły stać się ozdobą każdego stołu, lecz, niestety, panujący upał sprawiał, że coraz trudniej było kupować ptaki na targu. Sam prefekt przyznał, że zaczął hodować drób pod gankiem swego domu i od niedawna przechadzały się tam kurczaki, gęsi, kaczki i pawie. Miał też kilka owiec, dwa oswojone jelenie i kilka szopów.

W czasie kolacji Elene nieraz stawała się obiektem zainteresowania, choć Ryan bacznie pilnował, by rzucane jej spojrzenia nie stały się zbyt wymowne. Jeśli panowie byli bardzo ciekawi, jaką rolę odgrywa w domu Bayarda, żaden z nich nie odważył się o to zapytać. Rzucono jej tylko kilka powłóczystych spojrzeń, a Bernard Marigny, jak zawsze szarmancki, skierował pod jej adresem parę komplementów, lecz nie było w nich nic, czego nie mogłaby usłyszeć najbardziej szanowana dama.

Źródłem największego niepokoju stał się dla Elene Durant. Patrzył na nią w sposób, w jaki nie czynił tego od czasu podróży statkiem, jakby umierał z głodu, a ona była ciepłym posiłkiem zamkniętym przed nim za kratami. W tej sytuacji czuła się wyjątkowo niezręcznie.

Prawdę mówiąc, nie miała wcale ochoty na flirty. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że powoli traci kontakt z rzeczywistością. Nie wiedziała, czy ten niezwykle stan wywołała ciągła troska o dobre samopoczucie gości, czy też może wino, którego sporo wypijała do kolacji. Zaczęła ją boleć głowa, a głosy mężczyzn to wznosiły się, to opadały, niczym unoszone na falach. Było jej strasznie duszno, czuła na twarzy ogniste rumieńce, lecz jednocześnie jej ciałem od czasu do czasu wstrząsał zimny dreszcz.

Wieczór był niezwykle gorący. Upału nie łagodził najmniejszy podmuch wiatru, a bzyczenie moskitów wpadających przez otwarte drzwi i okna brzmiało złowieszczo. Od czasu do czasu gdzieś w oddali odzywał się głuchy

grzmot. Elene zauważyła, że dwóch panów też miało na twarzy nienaturalne rumieńce, szczególnie prefekt Laussat, który nie przywykł do tak straszliwych upałów.

Wszyscy odczuli ulgę, gdy po zakończeniu kolacji Laussat oświadczył, że nie czuje się zbyt dobrze i chciałby wrócić do domu przed deszczem, który dosłownie wisiał w powietrzu. Za jego przykładem poszło paru innych panów oraz Bernard Marigny i Durant. Elene musiała stać u boku Ryana i żegnając wychodzących gości, przyjmować komplementy i podziękowania za niezwykle udany wieczór.

Wreszcie zostało ich tylko czterech, wśród nich monsieur Mazent, który twierdził, że ma do omówienia z Ryanem pewną bardzo korzystną dla obu stron propozycję. Do salonu, gdzie zebrali się goście, wniesiono karafkę z maderą i słodycze. Ryan musnął ustami policzek Elene i zaproponował, by udała się na górę, gdyż nie wiadomo, jak długo jeszcze potrwa to spotkanie. Z radością przyjęła jego propozycję.

Gdy dotarła do sypialni, nie zastała tam Devoty. Wezwanie służącej okazało się jednak zbyt wielkim wysiłkiem. Głowa bolała ją tak straszliwie, jakby za chwilę miała pęknąć. Było jej gorąco. Wyjęła z włosów pączki róż i rozejrzała się za miejscem, gdzie mogłaby je położyć. Stół był tak daleko. Zamknęła oczy i zachwiała się na nogach. Różyczki wypadły z jej palców. Łóżko. Takie miękkie i chłodne. Musi do niego dojść. Kolana odmówiły jej jednak posłuszeństwa. Zaczęła się powoli osuwać na podłogę.

To zabawne, że upadek wcale nie boli.

Znacznie później usłyszała krzyk Devoty i poczuła na ciele jej ręce, gdy zdejmowały z niej ubranie. Do twarzy przyłożono jej wilgotną chusteczkę. Zadrzała z bólu. Dlaczego Devota płacze?

Nagle uniosły ją silne ramiona. Popłynęła w powie-

trzu. Przypomniała sobie pograżony w ciemnościach dziedziniec i uśmiechnęła się. Nie. To było kiedy indziej.

Nareszcie w łóżku. Tak miękko. I tak gorąco. Ciemność i szum padającego deszczu. Błysk i szum deszczu. To takie przyjemne. Ktoś stale trzyma ją, przytula. Wciąż przytula.

Po jej ciele przesuwają się wilgotne ręczniki, z rozpalonej skóry unosi się obłoczek pary. Czuje na języku coś bardzo gorzkiego. Zakrztusiła się i z jej ust wypłynął czarny płyn. Nie chciała wymiotować, to takie żenujące. Znała ten widok z Santo Domingo. Żółta gorączka. Gdzieś krzyknęła pokojówka. Głupia dziewczyna.

Ostry głos rzucił jakieś polecenie. Ryan... Kochany Ryan. Cisza, błogosławiona cisza w głowie... Ktoś stale trzyma ją w ramionach.

Czas przestał istnieć. Nie było dni ani nocy, tylko palący ból, gorączka ogarniająca całe ciało i zmieniające się twarze, które pojawiały się gdzieś wysoko nad nią. Próbowała reagować, pomagać im, ale nie mogła nic zrobić. Mogła tylko zamykać się gdzieś w głębi siebie, gdzie wszystko było szare i spokojne i nikt nie wymagał od niej żadnego wysiłku. Tam znajdowała bezpieczne schronienie, niczym bawiące się w chowanego dziecko, otoczona szarością, która stawała się coraz bardziej nieprzenikniona.

Elene wynurzyła się powoli z otchłani ciemności i cizy, kierując się w stronę podniesionych głosów. Na języku czuła smak jednego z ziołowych naparów Devoty, który pamiętała jeszcze z dzieciństwa. Był bardzo gorzki, lecz jednocześnie kojący. Otworzyła oczy.

Wokół jej łóżka płonęły świece, a na dywanie usypano krąg z białego piasku. Tuż obok niej stała Devota. Służąca mruzczała dziwne zaklęcia, skrapiając przykryte prześcieradłami ciało Elene jakimś płynem z bańki, którą trzymała w ręce.

W tym samym czasie elegancki mężczyzna o rzadniejących włosach i w pincenez na końcu nosa chodził podenerwowany tam i z powrotem po pokoju i ostrym tonem, z wyraźnym paryskim akcentem, protestował przeciw takim pogańskim praktykom. Jego zdaniem biedną panienkę mogą ocalić tylko zdobycze nauki i roztwór chininy. On, doktor Blanquet Ducailla, profesor chemii, dołączył do szczytu leczenia prefekta kolonii, gdy ten zapadł na straszliwą chorobę i udało mu się szczęśliwie przywrócić go do zdrowia. Zrobi to samo dla panny Larpent, jeśli tylko otrzyma pozwolenie. Próbował, naprawdę bardzo się starał. Nigdy jednak nie był świadkiem tak wielkiej ignorancji, jaką dane mu było oglądać wśród tutejszych medyków z ich środkami na przeczyszczenie i upuszczaniem krwi. A teraz musi stawić czoło najbardziej prymitywnym zabobonom. To niesamowite! Nie do pojęcia! Kiedy opowie o tym swoim kolegom po powrocie do Francji, nie uwierzą w ani jedno jego słowo. Jeśli panienska umrze, winę za jej śmierć ponosić będzie ta kobieta i kult wudu. To ona będzie musiała odpowiedzieć przed panem Bayardem. On nie zamierza stawać przed gniewnym obliczem tego korsarza, o nie!

Spod wpół przymkniętych powiek Elene spojrzała na swoje dłonie. Były żółte i przeraźliwie chude. Ona sama była mokra od płynu, którym skrapiała ją Devota, i fala gorąca zaczęła ją dusić. Czuła się tak, jakby rozrzucone na poduszce włosy płonęły. Ciężar okrywającego ją prześcieradła był nie do zniesienia. W pokoju brakowało powietrza, gdyż wszystkie drzwi i okna były zamknięte. Płomyki świec wyglądały jak wielkie, szalejące pożary. Słyszała jak płoną, czuła ich żar. I słyszała głosy dwóch osób wciąż znajdujących się blisko niej. Odbijały się bolesnym echem w jej głowie, grzechotały i dudniły, aż przestała rozumieć słowa i pozostał tylko hałas, porażający swą mocą straszliwy hałas.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wszedł Ryan. Miał na sobie szlafrok, a jego włosy były zmierzwione jakby dopiero co wstał z łóżka. Pod jego oczami malowały się głębokie cienie, a ślady zarostu na brodzie lśniły srebrem, jakby nagle zaczął siwieć. Spojrzał na Devotę i na lekarza, marszcząc gniewnie brwi.

- Co to za hałas? - spytał.

Zaczęli wyjaśniać, mówiąc jedno przez drugie. Ich głosy odbijały się jak grzmot w uszach Elene. Z cichym jękiem zamknęła oczy.

- Dość! - rzucił Ryan.

Głosy zamilkły. Ryan podszedł ostrożnie do łóżka.

- *Chere?*

Z wielkim trudem uniosła powieki i utkwiała spojrzeniem w stojącym przy łóżku mężczyźnie.

- Tak gorąco - szepnęła.

- Wiem. Nic nie mów.

Ryan spojrział na nią i serce ścisnął mu ból. Umiera, wiedział o tym. Umiera, bo przywiózł ją do Nowego Orleanu. Gdyby zostawił ją na Santo Domingo... Myślenie o tym na niewiele się jednak zdało. Jakże pragnął dać jej swą siłę, wziąć na siebie jej ból. Dlaczego to musiała być ona? Dlaczego?

Powinna wyglądać brzydko z żółtą skórą, spalona gorączką, która wycieńczyła ją niemal do cna. Jednak leżąc w blasku świec odbijającym się w złotych włosach i rozszerzonych gorączką szarych oczach, przypominała świętą pogrążoną w religijnej ekstazie. Popełniał na pewno świętokradztwo, dopuszczając do siebie takie myśli, kiedy powinien się za nią modlić, ale nic nie potrafił na to poradzić.

Wielki Boże, jakież czuł się bezradny. Może powinien pozwolić upuścić jej krew; wszyscy mówili, że to właśnie ten zabieg dwa dni temu ocalił życie Laussata. Ale jednocześnie o mało co go nie zabił. Prefekt przez kilkana-

ście długich godzin leżał nieprzytomny, zanim profesor chemii, którego przywiózł ze sobą z Francji, oznajmił, że niebezpieczeństwo minęło.

Może powinni raz jeszcze przemyć jej ciało chłodną wodą, to zdawało się pomagać. Ryan spojrział na Devotę, lecz ta stała z zamkniętymi oczami, cicho mrucząc swe pogańskie zaklęcia. Profesor ścisnął palcami dolną wargę, z powątpiewaniem spoglądając na leżącą na łóżku młodą kobietę. Ryan wrócił spojrzeniem do Elene.

Patrzyła na niego błagalnie.

- Przed dom? - szepnęła ledwo słyszalnym głosem.

- Nie polecałbym tego - rzekł zdecydowanym tonem doktor Ducaila. - Nocne powietrze może okazać się zabójcze.

Devota otworzyła oczy.

- Nie wolno panu przerywać czarów. W kręgu piasku jest bezpieczna.

Elene przesunęła drżącą rękę w jego stronę. Nie potrzebował innego znaku. Jednym gwałtownym ruchem odsunął przykrywające ją prześcieradło.

- Ostrzegam pana - powiedział doktor. - Może się pan zarazić, jeśli choć tylko na chwilę dotknie pan jej skóry.

Ryan spojrział na niego z pogardą. Wsuwając ramiona pod wychudłe ciało Elene, uniósł ją w górę i podszedł do prowadzących na ganek drzwi. Devota zastąpiła mu drogę. Błękitne oczy Ryana załśniły jak stal, gdy spojrział na służącą. Odezwał się jednak bardzo cicho, nie chcąc przestraszyć leżącej w jego ramionach chorej:

- Otwórz je.

Devota przez długą chwilę wpatrywała się w jego twarz. To, co tam ujrzała, pomogło jej podjąć decyzję. Cofnęła się szybko i szeroko otworzyła drzwi.

Ryan wyszedł na ganek. Ciszy ciepłej nocy nie zakłócał ani jeden podmuch wiatru. Zszedł powoli na dziedzi-

nieć, zatrzymał się na chwilę, po czym skierował w stronę starego dębu.

Tuż za nim rozległy się kroki Devoty, która przyniosła drewnianą ławeczkę i ustawiła ją przy drzewie. Ryan usiadł, oparł się plecami o pień drzewa i ułożył Elene wygodnie na swoich kolanach. Czułym gestem odgarnął jej włosy, rozsuwając pasma, które zaplatały się w aplikacje na jego szlafroku. Z rozpaczą dotknął jej rozpalonego policzka. Pochylił się i pocałował ją w czoło.

Ulga, jaką przyniosło świeże powietrze i łagodna pieśczoć, była tak wielka, że Elene westchnęła i przytuliła się mocniej do obejmującego ją mężczyzny. Wiedziała, że w ciągu paru minionych dni leżała tak całymi godzinami. I mogłaby tak leżeć do końca życia.

Z rozpalonej skóry unosił się zapach, który już dawno stał się jej nieodłączną częścią. Devota skrapiała ją perfumami nawet w chorobie. Teraz ich aromat unosił się w otaczającym Ryana powietrzu, niosąc ze sobą tysiące doskonale zapamiętanych chwil rozkoszy.

- Elene, najdroższa, kocham cię - szepnął, a jego słowa niemal zginęły w nagłym podmuchu wiatru, który poruszył liśćmi dębu.

Elene usłyszała je jednak i przez chwilę zastanawiała się, skąd on wiedział, że właśnie te słowa tak bardzo pragnęła usłyszeć, nawet jeśli nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co mówi. Westchnęła i zamknęła oczy.

Mniej więcej godzinę później, gdy głęboko spała, przyszedł kryzys choroby i na ciele Elene pojawiły się kropelki potu. Gorączka spadała. Pot, zmieszany z zapachem perfum, zwilżył cienką koszulę nocną dziewczyny i szlafrok Ryana, który poczuł się tak, jakby nagle się w niej zanurzył. Ogarnęła go fala niewysłowionej radości i ulgi.

Gorące dni lata, dni choroby, ciągnęły się niemiłosiernie. Codzienne ulewy, które spadały na miasto o stałej

porze każdego popołudnia, sprawiały, że firanki i pozbawione dostępu powietrza skórzane przedmioty pokrywały się warstwą pleśni. Z powodu panujących upałów i wilgoci, rekonwalescencja Elene przebiegała bardzo powoli. Minał lipiec i połowa sierpnia, gdy Ryan wyraził zgodę, aby przyjęła paru odwiedzających.

Pierwsza zjawiła się madame Tusard. Ryan nie zostawił jej samej z Elene, lecz stał na straży, jakby nie miał nic lepszego do roboty. Elene chciała zaproponować, by zajął się swoimi interesami, które na pewno zaniedbał, lecz nie chciał nawet o tym słyszeć. Być może znał już wieści, które madame Tusard tak bardzo chciała jej przekazać i bał się zostawić ją samą.

Najpierw oczywiście obie panie wymieniły zwyczajowe grzeczności, madame Tusard zapytała Elene o zdrowie i wyraziła żal z powodu jej nieobecności na spotkaniach ich niewielkiej grupki. Wspomniała też o powracającym do zdrowia prefekcie, który jednak nadal nie wprowadzał żadnych zmian i nie obsadzał nowych stanowisk. W mieście nieustannie szalała epidemia żółtej gorączki, która skłoniła kilkadziesiąt osób do opuszczenia Nowego Orleanu i zamieszkania u krewnych, dopóki niebezpieczeństwo nie minie.

Państwo Tusard też rozważali możliwość wyjazdu, lecz nie mogli sobie pozwolić na taki wydatek. Poza tym pozbawiona wygód podróż byłaby sporym ryzykiem, gdyż z braku przyzwoitych zajazdów musieliby po drodze korzystać z gościnności właścicieli plantacji. Wiele osób utrzymywało też, że monsieur Mazent przed śmiercią planował wyjechać z córką z miasta.

Minęła dłuższa chwila, zanim wypowiedziane lekkim tonem słowa dotarły do Elene.

- Chce pani powiedzieć, że monsieur Mazent nie żyje? - spytała. - Ojciec Flory?

- Obawiam się, że tak. Taka straszna tragedia.

- Umarł na gorączkę?
- Nie, nie. Nie chciałam pani wprowadzić w błąd. Lekarze byli początkowo pewni, że to gorączka lub też kolka wywołana przez problemy z żołądkiem. Jednak ciało obejrzał potem profesor chemii przywieziony z Francji przez prefekta. Stwierdził, że przyczyną śmierci nie była wcale gorączka ani kolka. Nigdy pani nie zgadnie, co go zabiło!

Madame Tusard dla większego efektu szarych oczach, a Elene potrząsnęła głową.

- Na pewno nie. Co to było?
- Arsenik, *chere*. Uwierzy pani?

Arszenik. Najpierw Hermine, teraz Mazent. Elene poczuła przebiegający po plecach dreszcz.

- Ale jak to się stało? Dlaczego?
- Nie wiadomo. Nie ma żadnych śladów, choć niektórzy podejrzewają ich służącą, Germaine. Flora jest oczywiście załamana, biedne dziecko. A już miano ogłosić jej zaręczyny. Teraz trzeba będzie wszystko odłożyć do końca żałoby.

- To brzmi zupełnie nieprawdopodobnie. Jest pani pewna?

Druga śmierć w wyniku otrucia. To nie może być zbieg okoliczności. Co mogło łączyć tę dwójkę: aktorkę i plantatora w średnim wieku?

- Doszło do nieporozumienia pomiędzy lekarzem Mazentów i tym profesorem prefekta Laussata. Lekarz z Paryża miał podobno wspomnieć o zapachu czosnku wskazującym na użycie trucizny, lecz przecież czosnek jest tutaj bardzo popularną i powszechnie używaną przyprawą.

- Możliwe, że monsieur Mazent zmarł z przyczyn naturalnych - rzekła z uczuciem ulgi Elene.

- Tak. Oczywiście zawsze znajdą się tacy, którzy będą twierdzili, że Mazent zmarł z powodu, jak to się określa, zbyt wielkiego podniecenia. Tak to jest, gdy mężczyzna

w jego wieku ma kochankę. - Oczy starszej kobiety załśniły.

- Chce pani powiedzieć...
- Zgadza się.

- Monsieur Mazent i Germaine... Po tym wszystkim co przeszli. To wydaje się bardzo mało prawdopodobne.

- Zapewniam panią, że takie rzeczy się zdarzają.

Elene zapragnęła zmienić temat.

- Flora będzie się czuła bardzo zagubiona i samotna bez ojca.

- To prawda. Fortuna, jaką odziedziczy, na pewno nie ukoji jej bólu po stracie ojca, choć spodziewam się, że narzeczony na pewno pomoże jej przetrwać trudne chwile. Na pewno nie jest tak głupi, by teraz wycofać dane słowo. Ślub był bez wątplenia pomysłem Mazenta. Oczywiście, Flora nie musi teraz przyjąć jego oświadczyn, ale nie wyobrażam sobie, by mogła postąpić inaczej.

- Raczej nie - odparła Elene, choć myślami była daleko od małżeńskich planów Flory. - Jak pani sądzi, kim może być narzeczony?

Na twarzy madame Tusard pojawił się grymas rozdrażnienia.

- Ta mała nic nie chce powiedzieć. Z uporem trzyma nazwisko tego mężczyzny w tajemnicy. Można sobie tylko wyobrazić, dlaczego to robi, chyba że doszło do jakiegoś nieporozumienia między nią i jej ojcem. Dlatego też zastanawiam się, czy teraz będzie chciała spełnić jego wolę. - W oczach kobiety pojawił się błysk przebiegłości. - Nie można mieć oczywiście pewności co do osoby kandydata, lecz ja doskonale pamiętam, że to Durant Gambier towarzyszył Florze w czasie naszej wizyty w ogródku.

Elene myślała o tym samym.

- Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić ich razem - powiedziała niemal do siebie.

Madame Tusard roześmiała się złośliwie.

- Ja też nie, ale przecież zawierano już dziwniejsze związki, gdy w grę wchodził majątek.

Elene pomyślała o pieniądzach, którymi szastał na prawo i lewo Durant, i o śmierci Mazenta, po której Flora stała się bogatą dziedziczką. Zadrzała.

Kątem oka zauważyła zrywającego się ze swego miejsca Ryana.

- Myślę, że na dziś wystarczy - powiedział zdecydowanym tonem. - Elene na pewno jest bardzo wdzięczna za wizytę, lecz musi odpoczywać.

- Ale ja mam jej jeszcze tyle do powiedzenia...

- Innym razem.

Ostre słowa Ryana urwały dalszą dyskusję. Madame Tusard pożegnała się, rzucając w stronę Bayarda pełne niechęci spojrzenia, lecz on nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Wysunął poduszki spod pleców Elene, która opierała się o nie wygodnie i kazał jej się położyć. Może to było tylko złudzenie, lecz wydało się jej, że jego dotyk nie był tak czuły jak zazwyczaj, a słowa nakazujące odpoczynek nie zabrzmiały tak troskliwie jak zwykle. Co więcej, gdy odpoczywała, Ryan po raz pierwszy od wielu tygodni wyszedł z domu.

Josie zjawiła się następnego dnia podczas nieobecności Ryana. Jej strój bardzo przypominał stylem ubiory Hermine i był znacznie mniej wyzywający niż zazwyczaj. Josie prezentowała się w nim elegancko i godnie. Nie potrafiła jednak naśladować aksamitnego głosu Hermine równie łatwo jak jej stylu bycia i ubierania się, i choć bardzo zabawnie opowiadała o najnowszych trendach w modzie, o nowych sztukach i skandalach, brakowało jej ostrego dowcipu Hermine.

- Jak się miewa Morven? - spytała Elene.

- Jak zwykle. Wciąż czaruje wdowę, co nie przeszkadza mu flirtować z wszystkimi kobietami w okolicy. Zu-

pełnie nie wiem, o co to całe zamieszanie. Pewnego wieczoru, gdy wdowa wyszła z domu, próbował przystawiać się też do mnie, ale szczerze mówiąc, trudno go uznać za dobrego kochanka.

Elene niemal udławiła się kawą.

- Chcesz powiedzieć, że wy...

- Skończyło się, zanim zdążyłam się zorientować, co się dzieje. W życiu nie byłam tak rozczarowana. Mężczyźni są tacy zabawni. Najlepszymi okazują się zwykle ci, których nigdy byś o to nie podejrzewała.

- Rozumiem, że masz na tym polu spore doświadczenie?

Josie uśmiechnęła się rozbrajająco.

- Miałam paru, na pewno więcej od ciebie. Mój obecny mężczyzna nie jest może zbyt przystojny, ale wie jak używać tego, czym obdarzyła go natura i potrafi być tak cudownie wdzięczny, że mu na to pozwalam. Jest także niezwykle hojny. Czyż można sobie wyobrazić bardziej idealny układ?

- Zamierzasz za niego wyjść?

- Dlaczego tak sądzisz? Nie, nie zamierzam się wiązać z żadnym mężczyzną. Poza tym, on jest już żonaty.

- Rozumiem.

- Naprawdę? - spytała Josie, lekko się wdzięcząc. Spoglądając z ukosa na Elene, mocno wyprostowała plecy, co pomogło jej dumnie wypiąć pierś. - Jakoś nie widzę, żebyś paliła się do małżeństwa z Ryanem. Słyszałam od madame Tusard, że wspaniale się tobą opiekuje i dba o ciebie z oddaniem godnym średniowiecznego rycerza.

- Przesadza. - Elene próbowała lekko się roześmiać.

- Czyżby? Przecież on całymi tygodniami nie opuszczał twojego pokoju. Takiego poświęcenia próżno szukać u większości kochanków, nie mówiąc już o mężach. Dobrze byś zrobiła, wiążąc się z nim, kiedy jeszcze możesz to zrobić.

- Naprawdę?
- Daj spokój z tym szyderstwem. Nie masz przecież żadnego zawodu, który byłby dla ciebie oparciem.

- Mam moje perfumy - odparła Elene z cieniem uporu w głosie.

- Zgadza się. A to przypomniało mi, że koniecznie muszę dostać od ciebie buteleczkę. Rozmawiałam o tym z... z moich ukochanym i dał mi pieniądze. Chce, żebym miała wszystko, czego zapragnę.

Elene poszukała wzrokiem Devoty, by poprosić ją o przyniesienie flakonika, lecz w czasie ich rozmowy służąca wymknęła się z pokoju. Josie tymczasem paplała bez przerwy. Raz jeszcze opowiedziała Elene o śmierci Mazenta i o wyprawie Flory po czarne stroje, dzięki czemu kilka sklepów w mieście mocno się wzbogaciło i o wycieczkę łódką zorganizowaną przez Bernarda Margigny dla kilku jego przyjaciół oraz trzech starannie dobranych pań. Jedną z nich była oczywiście Flora. Nie wróciły już do tematu perfum.

Elene przypomniała sobie o nich pół godziny po wyjściu Josie.

- Może zanieśiesz jej buteleczkę? - powiedziała do Devoty.

Służąca przerwała układanie na tacy filiżanek po kawie i talerzyków. Zawahała się jedynie na chwilę, lecz Elene poczuła niepokój, zwłaszcza gdy zauważyła, że Devota unika jej wzroku.

- Czy coś się stało?

- Nic, *chere*. Teraz, gdy wracasz do zdrowia, wszystko jest wreszcie w porządku.

Elene przypomniała sobie nagle dzień, kiedy Devota w czasie wizyty Hermine przyniosła jej nowe perfumy. Pomyślała o tych trzech dniach, gdy nie używała zapachu i Ryan nawet jej nie dotknął, i o tym, jak natychmiast wrócił do niej, gdy tylko skropiła się paroma kro-

plami nowej partii perfum. Słowa Josie wypowiedziane tak niedawno odbiły się echem w jej uszach. Oddanie. Całymi tygodniami nie opuszczał twojego pokoju. Poświęcenie.

Milczenie Devoty potwierdziło jej podejrzenia.

- Są takie same. Uzupełniłaś brakujący składnik.

- Bez niego nic nie wychodziło.

- Teraz też nie są w porządku! Nie możesz uzbrajać ludzi w tak wielką moc!

- Myślałam, że w to nie wierzysz?

- Jak mogę nie wierzyć? - wykrzyknęła z rozpaczą Elene.

- Moc zyskuje na sile, gdy towarzyszy jej wiara i wiedza.

- To jednak nie oznacza, że bez nich perfumy przestaną działać.

- Nie, *chere*.

- Czy Serephine i Germaine wiedziały, co kupują? - spytała powoli Elene.

- Tak.

Oczywiście, przecież pochodzą z Santo Domingo. Najprawdopodobniej też wyznawały kult wudu, znały jego tajemnice. Hermine nie miała o tym pojęcia i umarła.

- Powiedziałaś im, ale mnie nie - powiedziała.

- Chciałam zadbać o twoją przyszłość! Powinnaś była wyjść za Ryana, a wtedy to wszystko nie miałoby najmniejszego znaczenia.

Elene patrzyła na swoją służącą. Poczuła się zdradzoną. Była przekonana, że Ryan kochał ją dla niej samej i tylko dla niej się poświęcał.

- Miałoby - odparła.

- Zrobiłam to dla ciebie, tylko dla ciebie. - Słowa Devoty, choć wypowiedziane bardzo cicho, zabrzmiały niczym grom.

Elene zamknęła oczy. Nagle poczuła się straszliwie

zmęczona. Po chwili usłyszała grzechot naczyń i kroki odchodzącej Devoty. Leżała bez ruchu i rozmyślała. Perfumy były więc inne, niż myślała. Zastanowiła się, do ilu rąk trafiły i w jaki sposób wpłyną na życie ludzi, którzy będą mieli z nimi kontakt. Nie mogła się uwolnić od myśli, jaki wpływ wywarły na jej życie. Kiedyś fascynowała ją moc zapachu, który potrafił czarować i podbijać serca. Teraz czuła się tak, jakby była jego niewolnicą, gdyż nikt bardziej od niej nie był od nich uzależniony. Bez nich była niczym.

-XIV-

Pierwszego dnia, gdy Elene poczuła się na tyle silna, by zamienić koszulę nocną i szlafrok na poranną suknię z złotego batystu i porzucić wygodną kanapę, zeszła po schodach do swojej pracowni. Poruszała się bardzo ostrożnie i to nie dlatego, że czuła się jeszcze słaba. Nie chciała zwrócić na siebie uwagi Devoty, która na pewno nie pochwaliłaby jej zamiarów. Musiała więc działać bardzo szybko.

Elene znalazła pusty fajansowy słoć po oliwie o kształcie wielkiego ślimaka. Wiaderko na pewno okazałoby się bardziej przydatne, ale skoro nie było go pod ręką, słoć musiał wystarczyć. Ustawiwszy go na stole, wzięła do ręki butelkę z ostatnią partią perfum przygotowaną przez Devotę. Wyjęła korek i wlała zawartość do słoja. Po chwili sięgnęła po małe, przewiązane wstążeczkami niebieskie flakoniki, które przeznaczyła na sprzedaż. Długo trzymała jeden z nich w dłoni, przesuając kciukiem po gładkiej ściance.

Pomyślała o dumie i nadziei, które razem z perfumami zamknęły w tych małych buteleczkach, o marzeniach i swojej pewności, że wreszcie robi coś, by zapewnić sobie bezpieczną przyszłość. W tym małym flakoniku kryło się tyle ciężkiej pracy, tyle planów, snów o sukcesach. Wszystko to jednak okazało się bezużyteczne.

Poczuła ucisk w gardle, w jej oczach błysnęły łzy. Gdy popłynęły po policzkach, mocniej zacisnęła palce na buteleczce.

Władza. To ona przede wszystkim stanowiła istotę jej perfum. Dzięki nim można było uzyskać bezgraniczne panowanie nad mężczyznami, a tym samym nad przyjemnościami i urokami życia. Władza, nie tylko dla niej, lecz dla całych rzesz kobiet. Perfumy mogły się dla nich stać wielkim dobrodziejstwem, pozwalając im układać sobie życie tak, jak tego pragnęły, bez oglądania się na mężczyzn i ich nakazy. Myśl o tym zapierała dech w piersiach. Posiadanie takiej władzy mogło jednak doprowadzić do wielu nieszczęść. Nie mogła na to pozwolić.

Jednym szybkim ruchem wyjęła korek z buteleczki i wylała jej zawartość do słoja. W powietrzu natychmiast uniósł się cudowny zapach, przywołując marzenia i obietnice, których nie miał już nigdy spełnić. Patrzyła, jak z buteleczki wypływa ostatnia kropla, po czym odstaawiła ją na bok. Perfumy polały się na lawendowe i zielone wstążeczki ozdabiające buteleczkę, lecz nie zwracała na to uwagi. Sięgnęła po następną i jeszcze jedną.

- Co ty wyprawiasz? - zawołała z przerażeniem Devota. Po raz pierwszy w życiu Elene pomyślała, że służąca niemal podniosła na nią głos.

- Pozbywam się niesłusznie zdobytej przewagi - odparła nie podnosząc wzroku.

- To szaleństwo!

- Zabawne, dla mnie wydaje się to jedynym rozsądnym wyjściem. - Elene odstawiła buteleczkę i pełnym zniecierpliwienia gestem otarła płynące po twarzy łzy. Zostały jej jeszcze trzy buteleczki.

Devota spojrzała na fajansowy słoik.

- I co z tym zrobisz?

- Zniszczę.

- Wylewając na ulicę? Czy to nie nazbyt ryzykowne?

- Bo ktoś mógłby się wytarzać w błocie lub zebrać resztki razem z kurzem? Wątpię. Mimo wszystko chcę to wylać do rzeki. To powinno osłabić ich moc.

- Nie mogę ci na to pozwolić.

- Nie powstrzymasz mnie - odparła Elene z determinacją w głosie.

- Pomyśl o naszyjniku matki. Jak go odzyskasz, jeśli zniszczysz to, co za niego kupiłaś? Stracisz go na zawsze.

- Nic na to nie poradzę.

Kiedy Elene sięgała po kolejną buteleczkę, Devota szybko wyciągnęła rękę, chwyciła dwie ostatnie i mocno przycisnęła do piersi.

- Te są dla mnie, za moją pracę.

Elene doszła do wniosku, że nie zdoła wyrwać służącej perfum, nawet gdyby uznała to za stosowne. Zresztą i tak nie zamierzała tego robić. Istniało przecież wiele innych sposobów na zneutralizowanie wywieranego przez nich efektu.

Spojrzała zimno w zatroskane oczy Devoty.

- Możesz używać tego zapachu, jeśli chcesz, lecz nie wolno ci go sprzedawać.

- Dobrze, *chere*.

- Mam na to twoje słowo?

Devota uczyniła ręką gest, który można było uznać za oznakę złożonej przysięgi.

- No dobrze. Czy sprzedałaś lub dałaś komuś perfumy bez mojej wiedzy? Nie chodzi mi o Hermine, Germaine i Serephine.

- Nikomu.

- Dobrze. To bardzo ułatwi całą sprawę.

Devota bacznie się jej przyjrzała.

- Co chcesz zrobić?

- Odebrać perfumy, które sprzedałyśmy.

- To może okazać się trudne.

Elene doskonale o tym wiedziała, lecz z tak prozaicznego powodu nie mogła zrezygnować z osiągnięcia zamierzonego celu. Musi to zrobić, bo inaczej nigdy nie poczuje się wolna. A przynajmniej musi spróbować.

Postanowiła zacząć od madame Rachel Pitot. Powinna ją bez trudu przekonać, by oddała jej perfumy, gdyż wdowa nic nie wiedziała o ich szczególnej mocy. Elene przygotowała sobie historyjkę o źle dobranym składniku, który mógł wywołać przykrą wysypkę, i wzięła ze sobą wszystkie posiadane pieniądze, by je zaoferować w formie zadośćuczynienia. Miała jednak nadzieję, że to ostatnie nie okaże się potrzebne, gdyż madame Pitot była kobietą majątną, a za perfumy nie zapłaciła przecież ani grosza. Wiedziała jednak doskonale, że ludzie bogaci potrafią być straszliwie skąpi, zwłaszcza gdy chodzi o drobniaki.

Z jakiegoś nieznanego powodu poczuła, że podczas tej wizyty powinna szczególnie zadbać o swój wygląd. Kostium z błękitnej popeliny wydał się jak najbardziej odpowiedni, podobnie jak mały słomiany kapelusik z woalką chroniącą ją przed promieniami słońca. Całość była równie elegancka co praktyczna. Musnęła też różem wciąż blade po przebytej chorobie policzki i pomalowała karminem usta. Kiedy obejrzała efekt swoich zabiegów w lustrze, przysięgła sobie w duchu objadać się jak należy przy każdym posiłku, bo mimo iż po chorobie zdołała nieco przytyć, nadal była zdecydowanie zbyt chuda.

Nie dysponowała niestety powozem, który mógłby zawieźć ją do domu wdowy. Mimo że droga nie była daleka, musiała zatrzymać się dwa razy i przysiąść na chwilę na jednej z ławeczek wystawianych przed sklepy dla wygody kupujących. Wznoszące się coraz wyżej na niebie poranne słońce zalewało ulice żarem i w mgnieniu oka wysuszało pozostawione w błocie ślady stóp. Elene czuła, jak po plecach spływają jej strużki potu i co chwilę wsuwała pod woalkę chusteczkę, by zetrzeć z twarzy błyszczące kropelki.

Nareszcie znalazła się przed domem wdowy. Kiedy weszła na schody i stanęła w cieniu rzucanym przez ga-

nek, uświadomiła sobie, że powinna była uprzedzić gospodynię o swojej wizycie. Madame Pitot mogła bowiem wyznaczyć dzień odwiedzin, a w inne sama wybierać się z wizytami do znajomych. Drzwi domu stały jednak otworem, jakby zapraszając do środka nieliczne niestety podmuchy chłodniejszego powietrza. Na lekkie pukanie Elene pojawił się służący i przywitał ją ukłonem. Poprosił, by poczekała, nim sprawdzi, czy jego pani gotowa jest przyjąć niespodziewanego gościa.

Rachel Pitot przyjęła Elene w swoim buduarze, pełnym zasłan z jedwabiu w kolorze brzoskwini, w którym pyszniły się złożone, wykładane aksamitem krzesła. Gospodyni sprawiała wrażenie, jakby przed chwilą wstała z łóżka. Jej włosy opadały spletaną falą na plecy, a koszula nocna i szlafrok były zmięte. Spoczywała na szezlongu zarzuconym koronkowymi poduszkami, a na stoliku obok stała patera ze słodyczami i dzbanek gorącej czekolady. Dobrze, że Elene nie lubiła tego napoju, bo madame Pitot nie spieszyła się, by ją poczęstować. W powietrzu unosił się zapach czekolady stygnącej w delikatnej porcelanowej filiżance. Elene nie wyczuła w pokoju ulotnej woni swoich perfum.

Rachel Pitot wyciągnęła leniwym gestem rękę i ujęła w palce czekoladkę.

- Jakież to odważne z pani strony, że postanowiła mnie pani odwiedzić po tak ciężkiej chorobie. Ufam, że nie okaże się to dla pani zbyt męczące.

- Na pewno nie - odparła Elene, patrząc, jak jej rozmówczyni wkłada do ust czekoladkę. Gdyby wdowę choć w niewielkim stopniu obchodziło jej zdrowie, na pewno zaproponowałyby poczęstunek.

- Czy chce się pani zobaczyć z Morvenem? Obawiam się, że jest teraz w letnim domku, gdzie odbywa próbę z nową aktorką. Jeśli pani sobie tego życzy, mogę zadzwonić na służącego, by go do nas poprosił, ale na pew-

no nie będzie tym zachwycony. Dziewczyna jest naprawdę prześliczna.

- Nie! - zawołała Elene, po czym dodała już ciszej. - Nie przyszłam zobaczyć się z Morvenem.

- To może z Josephine? Wysłała wcześniej rano do miasta, by uniknąć dokuczliwego upału, lecz wątpię, by załatwiła wszystkie swoje sprawy przed zmrokiem.

Elene nie zareagowała na aluzję madame Pitot.

- Widziałam się z Josie dwa dni temu i choć chętnie bym się z nią przywitała, nie przyszłam tu do niej.

- Jestem pewna, że kiedy już pani trochę odpocznie, wyjaw mi cel swojej wizyty.

Swoim wyniosłym tonem, niedbałym strojem i chłodnym przyjęciem gościa madame Pitot dawała wyraźnie do zrozumienia, że jej zdaniem Elene zajmuje w towarzystwie zdecydowanie niższą od niej pozycję i traktowała ją tak, jak przyjęłaby szwaczkę lub modystkę, oferującą nową suknię i kapelusz. Elene czuła to wyraźnie, choć nie znała powodu takiego zachowania i nie mogła pozwolić, by dotknęło ją to w najmniejszym choćby stopniu.

- Ma pani w zupełności rację - powiedziała z wyraźnym ożywieniem, prostując plecy. - Przyszłam tutaj w sprawie perfum.

Rachel Pitot słuchała uważnie i uniosła palec wskazujący, by pogłodzić zmarszczkę, która pojawiła się nagle między jej brwiami. Kiedy Elene skończyła opowieść, powiedziała:

- Tak, miałam te perfumy, ale zniknęły, więc nie ma pani powodu do zmartwienia.

- Zniknęły? - spytała bezbarwnym tonem Elene. Spodziewała się wielu rzeczy, lecz nie tego.

- Szczerze mówiąc, uważam, że zostały skradzione. Gdybym miała szukać winnego, wskazałabym na Josephine, choć ostro zaprzeczyła, gdy posadziłam ją o tę kradzież. Była na tyle bezczelna, by oskarżyć moją służącą.

- Czy mogła mieć rację?

- Absolutnie nie. Moi służący nigdy nie odważyliby się na coś takiego, gdyż wiedzą, że zdarłabym im za skórę z pleców.

- To rzeczywiście bardzo poważny argument.

- I niezwykle skuteczny. Muszę jednak przyznać, że zdumiewa mnie trud, jaki pani sobie zadała z powodu wysypki, która przecież wcale nie musiała się pojawić. Niektóre kobiety są bardziej wrażliwe, inne mniej. Na pewno nikt nie powiązałby jej wystąpienia z pani perfumami.

- Być może, ale ja wiedziałabym to na pewno.

- Och, proszę dać spokój, nie jestem aż tak naiwna. Na pewno ma to coś wspólnego z plotkami jakie krążą między służącymi i kolorowymi kobietami, że owe perfumy mają bardzo dziwne właściwości. Uznałam to za zwykłe zabobony, lecz wygląda na to, że powinienam była lepiej strzec swojej buteleczki.

- Nie wiem, co pani słyszała, lecz na pewno nie wierzy pani...

Madame Pitot nie zwracała uwagi na słowa Elene.

- Jest wiele rzeczy, których nie rozumiemy i które Afrykanie zmuszeni byli przed nami ukryć. Sama miałam okazję oglądać je w czasie rytuałów odprawianych przez moich niewolników na bagnach. Takie widowiska są bardzo pouczające. Jeśli jednak te pogłoski mają w sobie coś z prawdy, nietrudno pojąć, co Josephine chciała osiągnąć za pomocą tych perfum.

Elene już chciała zaprotestować, lecz słowa zamarły jej na ustach.

- Co pani ma na myśli? - spytała.

- Nie wie pani, że Josephine aż paliła się do Morvena? A kiedy spotkało ją na tym polu wielkie rozczarowanie, przerzuciła się na innego mężczyznę, którego od pewnego czasu trzymała w odwodzie. Chciała go do siebie przywiązać za wszelką cenę.

- Jej ukochanego.
- Może go pani tak nazywać, choć dla mnie nie brzmi to najlepiej. Trudno uznać monsieur Tusarda za chodzący ideał i uosobienie marzeń każdej kobiety.

- Monsieur Tusarda? - powtórzyła zdumiona Elene.
- Zaskoczona? Powiadają, że ma niezwykłą słabość do aktorek. Nawet Hermine...

Elene, oburzona tak lekkim i obojętnym wyjawianiem sekretów, które powinny pozostać tajemnicą, zerwała się z krzesła.

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę już iść. Dziękuję, że zechciała mnie pani przyjąć i doceniać pani... szczerą. Bardzo mi pani pomogła. Do widzenia.

- Proszę mnie jeszcze odwiedzić - odparła madame Pitot, lecz Elene odniosła wrażenie, że jej słowom zabrakło ciepła, podobnie jak wcześniejszym pytaniom o jej zdrowie.

W pośpiechu wyszła z domu wdowy, pragnąc znaleźć się jak najdalej od niego. Czuła niechęć w stosunku do gospodyni, obawiała się też, że natknie się na Morvena i będzie musiała powtórzyć kłamstwa o perfumach. Nie chciała w najbliższym czasie po raz kolejny odgrywać tego przedstawienia. Nie była przecież aktorką.

Nie była też tak silna, jak początkowo myślała, choć brakowało jej tchu także i dlatego, że próbowała bezskutecznie uciec przed prześladowającymi ją myślami. Zwolniła kroku i rozejrzała się wokół. Zeszła z prowadzącej do miasta drogi i usiadła w cieniu dużego buka. Zdjęła kapelusz i oparła głowę o mocny pień. Zamykała oczy i poczekała cierpliwie, by serce przestało jej bić jak szalone, a z twarzy ustąpił purpurowy rumieniec.

Josie i monsieur Tusard. Ich romans wydawał się dziwnie logiczny, zważywszy na jego słabość do kobiet występujących na scenie. Czy to możliwe, że upojne chwile spędzane przez byłego urzędnika u boku kochan-

ki były efektem działania perfum? Czy Josie rzeczywiście je ukradła?

A co działo się wcześniej? Gdy cenny zapach znajdował się jeszcze w posiadaniu Rachel Pitot, Morven był nią wyraźnie oczarowany, a teraz - sądząc po kąśliwych uwagach wdowy - cały swój wdzięk i urok zaangażował w uwodzenie nowej podopiecznej. Strasznie się to wszystko poplątało. Elene powoli zaczęła układać w logiczną całość przypuszczenia, które nie dawały jej spokoju od chwili, gdy dowiedziała się, że Hermine oddała swoje perfumy. Wdowa Pitot zdobyła dzięki niemu, jakkolwiek na krótko, uczucia Morvena. Hermine umarła właśnie w tym czasie. Czy to możliwe, że kobieta, która tak bardzo kochała Morvena, wpadła w rozpacz z powodu jego nowego zaślepienia i postanowiła odebrać sobie życie, zażywając śmiertelną dawkę arszeniku?

Czy możliwe, że to ona, Elene Larpent, ponosi winę za śmierć Hermine?

Z pewnością przyczyna śmierci była zupełnie inna, a jednak lekarze uznali ją za samobójstwo. Elene widziała też, z jak wielkim smutkiem Hermine przyjęła zdradę Morvena. Trudno było uwierzyć, że kobieta od lat wykorzystująca arszenik dla poprawienia cery, przez pomyłkę zażyła zbyt dużą dawkę. Jeśli jednak żadne z tych wyjaśnień nie wydawało się prawdopodobne, co mogło się za tym wszystkim kryć?

Morderstwo. Jeśli zamiast Hermine zginęłaby Josie - i na dodatek dwa tygodnie później można by oskarżyć o jej zamordowanie zdradzoną żonę, madame Tusard. Trucizna znana była od wieków jako broń kobiet, a mężowie i żony trafiali tradycyjnie jako pierwsi do grona podejrzanych, gdy ofiarą zbrodni padała jedna z osób uwikłanych w małżeński trójkąt.

Bez względu na przyczynę śmierci Hermine, trudno było powiązać jej odejście ze śmiercią monsieur Mazen-

ta. Jednak w domu Mazentów też znajdowała się należąca do Germaine buteleczka perfum. Przypuśćmy, że monsieur Mazent nie umarł wcale w wyniku ataku kolki, żółtej gorączki czy też działania trucizny, lecz zabiło go zbyt wielkie podniecenie wywołane przez upojny zapach ciała jego kochanki, co zresztą sugerowała madame Tusard?

Nie, nie, to zbyt makabryczne i niedorzeczne. Zbyt wielką wagę przypisywała roli perfum i zbyt mocno obciążała siebie. Żadną miarą nie mogła się obwiniać za śmierć monsieur Mazenta.

Jeśli w niebie mieszka litościwy Bóg, to jego zrządzeniem Elene przekona się niebawem, że to wszystko było tylko sennym koszmarem. Kiedy się wreszcie obudzi, odkryje, że perfumy nie miały magicznych właściwości, a ona sama nie odegrała żadnej roli w tragicznych wypadkach, do których doszło w mieście. Na myśl o tym nie poczuła jednak spodziewanej ulgi. Gnana niepokojem wstała i z trudem ruszyła w stronę bram miasta.

Wyprawa do domu wdowy tak bardzo ją wyczerpała, że dopiero po trzech dniach znalazła w sobie dość energii i siły, by zdecydować się na kolejne wyjście z domu. Zmuszał ją do tego nie tyle obowiązek, ile strach przed tym, co jeszcze może się wydarzyć, gdy nie zdoła odzyskać perfum. Nie wierzyła co prawda, że jej interwencja tym razem zakończy się powodzeniem, musiała jednak spróbować.

Niestety, nie było sposobu, by mogła spotkać się z Germaine w cztery oczy, gdyż w chwili gdy otwarto przed nią drzwi pensjonatu, dostrzegła siedzącą w saloniku Florę Mazent. Dziewczyna uznała oczywiście, że Elene przyszła z wizytą do niej i powitała ją z radością, podbiegając do gościa z szelestem czarnej sukni i rumieńcami podniecenia na policzkach.

- Czy masz ochotę na czekoladę... nie, przecież jej nie

lubisz. Zapomniałam. Zamówię więc kawę i ciastka. Dobrze?

- Proszę, nie rób sobie kłopotu.
- Zapewniam cię, że to żaden kłopot.

Flora wyszła do przylegającej do pokoju sypialni i wydała polecenie krzątającej się tam Germaine. Po krótkiej chwili wróciła.

Elene szukała gorączkowo powodu, by wyjaśnić swą niespodziewaną wizytę i zastanawiała się, jak porozmawiać na osobności ze służącą.

- Wybacz, że nie złożyłam ci wizyty po śmierci twego ojca.

Flora posmutniała, sadowiac się wygodniej na ciężkiej kanapie, która stanowiła typową ozdobę salonów w pensjonatach.

- Dziękuję, ale rozumiem cię doskonale. Czy teraz czujesz się już dobrze?

Przez chwilę rozmawiały o szalejącej w mieście gorączce, o upałach i codziennych deszczach, przez które jeszcze trudniej było znieść lejący się z nieba żar. Wspomniały też o przybyciu statku z Francji, który nie przywiózł niestety wieści tak przez wszystkich oczekiwanych. Elene była pod wielkim wrażeniem zachowania Flory. Nie pamiętała, by dziewczyna kiedykolwiek miała aż tyle do powiedzenia. Działo się tak być może dlatego, że wcześniej liczyła na ojca, który wypowiadał się także i w jej imieniu.

Nadal jednak Elene nie miała okazji, by porozmawiać z Germaine, choć służąca przyniosła im kawę, nalała ją do filiżanek, po czym wróciła do sypialni. Nie było więc innego wyjścia, jak tylko otwarcie porozmawiać o dręczącym ją problemie.

- Och, o mało nie zapomniałam - powiedziała do Flory. - Moja służąca prosiła mnie, bym przekazała wiadomość Germaine. Pozwolisz?

- Oczywiście - odparła Flora i po kilku sekundach stanęła przed nimi Germaine. W jej postawie nie było nic służalczego.

- Potrzebujesz czegoś, *chere*? - spytała.

Flora wskazała Elene, która raz jeszcze opowiedziała historię perfum i wysypki. Zakończyła bezpośrednim pytaniem o buteleczkę, która wywołała tyle zamieszania.

- Moje perfumy? - Śniada twarz Germaine była równie nieprzenikniona jak oblicze Sfinksa wykopanego z piasku przez żołnierzy Napoleona w czasie kampanii w Egipcie. - Och, wylały mi się parę dni temu.

Elene nie miała wątpliwości, że Germaine kłamie. Wiedziała o tym również Flora, gdyż zdradził ją lekki rumieniec wpływający na bladą twarz. Powód, który skłonił Germaine do kłamstwa, był nieistotny. Może chciała uspokoić białą kobietę i oszczędzić jej nerwów, może chciała chronić samą siebie, a może po prostu nie zamierzała rezygnować z tak potężnej broni. Ważne było tylko to, że Elene nie odzyska perfum.

Chyba że pomoże jej w tym Flora.

Udając, że nadal przemawia do Germaine, Elene spojrzała na jej panią.

- Wiesz chyba, co ludzie mówią o śmierci monsieur Mazenta. Wybuchł skandal, gdy pojawiły się plotki, że umarł... jeśli można to tak określić... w twoich ramionach.

- Nie, panienko, nic o tym nie wiedziałam.

- Zapewniam cię, że to prawda. Boję się, że jeśli wieść o tajemnej mocy perfum rozniesie się po mieście, ludzie zaczną obwiniać także i mnie. Może wybuchnąć jeszcze większy skandal, a tego na pewno wszyscy pragniemy uniknąć.

- Chętnie przyszedłbym pani z pomocą, gdybym tylko mogła. - Germaine powiedziała to z tak wielką godnością, że Elene zawstydyła się na myśl o swoich aluzjach.

- Dla ciebie to też niezwykle delikatna sprawa - zwróciła się tym razem do Flory. - Żle się stanie, jeśli twój przysły narzeczony z powodu niepotrzebnych plotek zacznie zastanawiać się nad waszym związkiem. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, dlatego tak bardzo chcę zniszczyć wszystkie dowody na to, że moje perfumy mogły być w jakiś sposób związane z tą tragedią.

- Rozumiem - powiedziała powoli Flora z wyrazem smutku malującym się na twarzy - choć nie bardzo wiem, jak mogę ci pomóc. Mój ojciec zmarł z powodu rozstroju żołądka. Miał z nim problemy odkąd tylko sięgam pamięcią. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, bez względu na to, jakie plotki mogą krążyć po mieście. A jeśli chodzi o perfumy, Germaine powiedziała już, że się wylały. Obawiam się, że nic ponadto nie mogę dodać, choć bardzo nie podoba mi się to, co ludzie opowiadają o moim ojcu.

Przekonawszy się, że nic więcej nie zdziała, Elene pożegnała się i wyszła.

Po nieudanych próbach odzyskania dwóch buteleczek, nie robiła sobie zbyt wielkich nadziei, że lepiej poszczęści się jej z Serephine. Miała rację. Mulatka nie tłumaczyła się, nie wymyślała żadnych historyjek o skradzionych czy rozlanych perfumach. Nie była też nieuprzejma, lecz nie kryła się z tym, że bardzo ceni sobie ich zapach i jego ukryte możliwości. Nic dziwnego, że nie zamierzała się z nim rozstawać. Elene nie nalegała, gdy Serephine wyjawiała jej prawdziwą przyczynę. Durant uwielbiał, gdy skrapiała się perfumami, bo wtedy pachniała tak samo jak Elene.

Kiedy wróciła do domu, na ganku czekał już na nią Ryan. Wstał z krzesła i podszedł do szczytu schodów. Obrzucił badawczym spojrzeniem jej bladą twarz, podkrążone ze zmęczenia oczy i sposepniał. Ujął ją pod ramię i poprowadził do najbliższego krzesła.

- Co ty u diabła wyprawiasz?
- Nic. To tylko...
- Nie było cię cały ranek, a na dodatek znikłaś, nie mówiąc nic Devocie ani Benedictowi. Dlaczego?

Spojrzał na nią, opierając dłonie na poręczach krzesła. Surowy ton głosu i zimny błysk w niebieskich oczach wywołały u niej dziwną mieszaninę rozdrażnienia, zmęczenia, smutku i poczucia winy. Najgorsza była jednak świadomość, że jego gniew wywołały niepokój i troska będące wynikiem nienormalnego pożądanego, jakie w stosunku do niej odczuwał. Wszystko przedstawiałoby się zupełnie inaczej, gdyby mogła być pewna, że zależy mu na niej i nic nie podsycy jego pragnienia. Było jednak inaczej. Szkoda czasu, by pragnąć czegoś, co nigdy się nie stanie. Musi więc znaleźć jakąś odpowiedź, nie wyjaśniając rzeczywistej przyczyny swojej nieobecności.

Czy jednak naprawdę musi?

Była już zmęczona życiem w ciągłym kłamstwie. Czuli się tak, jakby dźwigała wielki ciężar, który z dnia na dzień przytłaczał ją coraz bardziej. Wiedziała, że za chęć natychmiastowego zrzucenia go z barków odpowiedzialność ponosi dokuczające jej nadal osłabienie po chorobie i zakończona porażką próba odzyskania perfum. Nie mogła się jednak oprzeć tej pokusie.

- Jeśli usiądziesz - powiedziała cicho - wszystko ci opowiem.

Ryan patrzył na nią przez długą chwilę. Coś w jej głosie i w wyrazie jej twarzy bardzo mu się nie spodobało. Poczuli ucisk w okolicy serca. Niedaleko stało drugie krzesło, lecz on podszedł do poręczy ganku i oparł się o nią wygodnie. Skrzyżował ramiona na piersi i czekał.

Elene odetchnęła głęboko. Już wcześniej usiłowała mu wszystko wytłumaczyć, lecz nie chciał jej zrozumieć. Tym razem na pewno nie będzie aż tak podenerwowany, by nie starać się pojąć tego, co zamierzała mu wyznać.

Żałowała tylko, że nie ma więcej czasu, by móc wszystko dokładnie przemyśleć. Nie wiedziała, czy postępuje właściwie. Nie miała wątpliwości, że Devota na pewno nie zrozumie jej decyzji. To jednak nie był problem Devoty, lecz wyłącznie jej, Elene, i nie mogła już dłużej znieść jego ciężaru.

Zaczęła mówić drżącym głosem. Próbowwała mu wytłumaczyć, czym były tajemnicze perfumy i dlaczego powstały, choć nie była pewna, czy w jej bezładnych zdaniach można było dopatrzeć się jakiegoś sensu. Wyraz twarzy Ryana był nieprzenikniony. Ciągnęła jednak swoją opowieść dalej, tłumacząc wydarzenia ich pierwszej wspólnej nocy spędzonej w ukryciu na Santo Domingo. Powiedziała mu, że ani przez chwilę nie zastanawiała się nad efektem, jaki mogą wywołać jej perfumy, gdyż nie wierzyła w ich moc. Nie przerwała swojej opowieści, dopóki nie dobiegła do końca.

Kiedy wreszcie zamilkła, na twarzy Ryana pojawił się wyraz największego zdumienia. Patrząc jej prosto w oczy, powiedział:

- Myślisz więc, że mieszkasz tu ze mną z powodu tych nieszczęsnych perfum?

- Nie myślę, ja to wiem. Nie chcę się z tym pogodzić, ale fakty mówią same za siebie.

- Bo kocham się z tobą tylko wtedy, gdy ich używasz.

Przełknęła ślinę i spojrzała na zielone liście starego dębu.

- Mniej więcej.

- I nigdy nie będę mógł cię opuścić?

- Nie.

Na jego twarz wypłynął szeroki uśmiech, rozświetlając swym blaskiem niebieskie oczy.

- To śmieszne!

- Wcale nie - odparła, pochylając się do przodu.

- Z twoich słów wynika, że nie mam wcale wolnej woli.

- Bo nie masz.
- Uśmiechnął się jeszcze szerzej.
- Nie wierzę w kult wudu.
- To nie ma znaczenia! Ja też w to nie wierzę, ale poznałam moc jego zaklęć. Ludzie zdrowieją, chorują, a nawet umierają. Nie ma w tym nic do śmiechu!

Próbował zachować powagę, lecz nie bardzo mu to wychodziło.

- Przepraszam. Wciąż myślę o tobie w tej norze pod domem Faviera. Kiedy ja bezwstydnie cię wykorzystywałem, ty byłaś przekonana, że robisz to samo ze mną.

- Bo tak było!
 - Mam tylko nadzieję, że będziesz to robić częściej.
- Poruszona zerwała się z krzesła z szelestem sukni.

- Nic nie rozumiesz!

Podszedł do niej i położył jej dłonie na ramionach.

- Rozumiem doskonale. Chcę ci tylko powiedzieć, że ta twoja opowieść nie ma żadnego sensu, bez względu na to, co próbowała wbić ci do głowy Devota.

- A co z Rachel Pitot i Morvenem? Albo Morvenem i Josie? A Josie i pan Tusard? Jak wytłumaczysz śmierć Hermine i monsieur Mazenta? Czy to wszystko nic dla ciebie nie znaczy?

- To tylko zwykły zbieg okoliczności. Podobnie jak zbiegiem okoliczności było to, że nie dotknąłem cię w czasie, gdy nie używałaś tych przeklętych perfum. Co nie znaczy wcale, że cię nie pragnałem. Pomyślałem tylko... nie, nieważne co sobie pomyślałem. Uwierz mi, nie masz żadnych powodów, by czuć się winna. To całe zamieszanie zakrawa na farsę.

- Ale nią nie jest! Nie mogę tak dłużej żyć. Po prostu nie mogę!

- Jeśli dobrze zrozumiałem twoje słowa, musisz jedynie przestać używać perfum. Zrób tak, a przekonasz się, że to wszystko nie ma sensu.

Wyrwała się z jego objęć.

- To ty się przekonasz! Chyba że będziesz mi dawał dowody swoich uczuć tylko po to, by pokazać, że nie miałam racji!

W jego głosie pojawiło się zniecierpliwienie.

- A więc używaj sobie ich dalej i zapomnij o wszystkim. Rzecz jest bez najmniejszego znaczenia. Naprawdę!

- A jeśli to wyrządzi ci krzywdę? Jeśli ktoś przez to umrze, może nawet ty?

- Nic takiego się nie wydarzy. A poza tym teraz i tak już nic nie możesz zrobić! - Mówił coraz głośniejszym, coraz ostrzejszym tonem.

Znajdujące się za nią drzwi do sypialni stały otworem. Odwróciła się w ich stronę.

- Mogę. Mogę się stąd wynieść. Mogę cię opuścić!

Przez chwilę patrzył zdumiony na drzwi, w których zniknęła. Nie podchodziła do tego w sposób racjonalny, a wszystko przez tę nieszczęsną chorobę. Nie było żadnego innego wytłumaczenia. Zaciskając dłonie w pięści, wszedł za nią do sypialni.

Otworzyła szafę, by wyjąć z niej swoje ubrania, on jednak zatrzasnął z hukiem drzwi.

- Nigdzie nie pójdziesz.

- Pójdę.

- Nie jesteś jeszcze dość silna. Co zrobisz? Gdzie się zatrzymasz?

- Jakoś sobie poradzę. - Próbowała otworzyć drzwi szafy, lecz przytrzymała je mocno. Rzuciła mu pełne wściekłości spojrzenie.

Nagle poczuł, jak gdzieś głęboko budzi się w nim coś nieznanego i mrocznego.

- Nigdzie nie pójdziesz - rzucił niebezpiecznie ostrym tonem. - Nie pozwolę ci na to. Zostaniesz tutaj ze mną aż do końca świata, dopóki nasza mała planeta nie pograży się w całkowitej ciemności. Nic nie zmieni mo-

jego zdania w tej sprawie. Nic nie zdoła mi cię odebrać. Żaden śmieszny zapach czy jego brak, żadna horda Mulatek pałających gwałtowną żądzą. Nigdy nie pozwolę ci odejść.

Słuchając jego słów, otworzyła szeroko oczy i rozchyliła lekko usta. Ryan widząc wyraz zdumienia malujący się w jej szarych oczach, usłyszał w myślach echo słów, które przed chwilą wypowiedział. I zaniepokojony, poczuł nagle nieznaną dotąd chłód ogarniających go wątpliwości.

-XV-

Cesję Luizjany na rzecz Stanów Zjednoczonych potwierdzono 18 sierpnia listem do prefekta Laussata wystosowanym z Waszyngtonu, stolicy młodego jeszcze państwa, przez francuskiego charge d'affaires, Pichona. Koszt transakcji wyniósł siedemdziesiąt pięć milionów franków, czyli piętnaście milionów dolarów. Francuskie i hiszpańskie statki handlowe uzyskały klauzulę najwyższego uprzywilejowania, lecz była to jedyna korzyść, jaką wynieśli z tego historycznego wydarzenia byli właściciele kolonii. Poinformowano również, że jeszcze w maju hiszpański król Karol IV złożył podpis pod dokumentem przyznającym Luizjanę Francji. Wszystko powoli zaczynało nabierać realnych, solidnych kształtów.

Oficjalne przekazanie władzy przez Hiszpanię Francji i przez Francję Stanom Zjednoczonym nie mogło się jednak odbyć bez oficjalnego potwierdzenia otrzymanego z Paryża, które najpierw musiało dotrzeć do Waszyngtonu. Życie toczyło się więc niezmiennym wolnym trybem. Hiszpanie nadal sprawowali władzę w Luizjanie, a francuski prefekt kolonii szydził z narzuconej mu niejako siłą bezczynności.

Zgodnie z opinią Ryana, Laussat był rozgoryczony zmarnowanym czasem i wysiłkiem w Luizjanie. Zamierzał tu stworzyć bogatą kolonię dla Francji, miał mnóstwo planów i pomysłów, lecz teraz musiał ze wszystkiego zrezygnować. Zamknięcie rezydencji we Francji po-

chłonęło duże sumy pieniędzy, podobnie jak ściągnięcie rodziny, by towarzyszyła mu w czasie pobytu na tej, jak sądził, bardzo prestiżowej placówce. Dla - jak się okazało - beznadziejnej sprawy ryzykował zdrowiem, nie wspominając już o zdrowiu rodziny. Teraz utknął tu na nie wiadomo jak długo, czekając, by machina biurokracji wypłuła z siebie niezbędne dokumenty, przepisane w odpowiedniej liczbie egzemplarzy, zaopatrzone w niezbędne pieczęcie i wstążeczki, które sprawią, że wszystko zyska moc prawną. Nic dziwnego, że Laussat stawał się coraz bardziej zniecierpliwiony. Jego drażliwość można było po części przypisać panującym wciąż upałom, lecz kryło się w tym także coś więcej. Madame Laussat potwierdziła bowiem panujące wśród lokalnej ludności pogłoski o niezwykłych właściwościach wody w Missisipi i spodziewała się dziecka. Mieli więc przed sobą zaledwie trzy, może cztery miesiące, zanim podróż morską stanie się dla niej zbyt niebezpieczna; jeśli nie chcieli utknąć w Luizjanie aż do czasu narodzin dziecka, powinni stanowczo opuścić kolonię bez względu na zaistniałe okoliczności.

Mniej więcej na początku września Ryan obwieścił, że być może będzie musiał udać się z misją do Waszyngtonu. Propozycję wyjazdu do stolicy złożył mu sam prefekt Laussat, który spodziewał się, że ważne dokumenty potwierdzające przekazanie władzy w koloni przybędą tuż po otrzymaniu przez niego listu o dokonanej transakcji. Kiedy wciąż ich nie otrzymywał, zaczął się obawiać, że na niebezpiecznym szlaku prowadzącym z Waszyngtonu do Nowego Orleanu doszło do jakiegoś wypadku. Lista nieszczęść, które mogły spotkać kuriera wiozącego dokumenty, była w istocie bardzo długa. Człowiek ów mógł zostać zaatakowany przez Indian lub dzikie zwierzęta albo też zginąć w nurtach rzeki w czasie jednej z niebezpiecznych przepraw. Amerykanie utrzymywali, że jed-

nym z pierwszych posunięć nowego rządu będzie ustalenie na szlaku zajazdów, gdzie można zmienić konie. Tym samym łatwiej będzie śledzić los kurierów wiozących pocztę, a czas niezbędny do pokonania tej odległości zostanie skrócony z czterdziestu dni w jedną stronę do najwyżej dwudziestu pięciu.

- Dlaczego Laussat wysyła właśnie ciebie? - spytała Elene. - Nie jesteś przecież kurierem.

Siedzieli przy stole po lekkiej kolacji, popijając kawę. Ryan oparł się wygodnie o krzesło.

- Uważa chyba, że posiadam niezwykły talent do pozostawiania przy życiu - odparł ze smutnym uśmiechem.

Chciał przez to powiedzieć, że Laussat potrzebuje odważnego i przedsiębiorczego człowieka, który nie tylko umie posługiwać się bronią, obojętnie czy jest nią nóż, szpada czy pistolet, ale potrafi też wykaraskać się z najbardziej niebezpiecznych sytuacji.

- Dobrze, ale dlaczego właśnie ty? Wie chyba, że od samego początku opowiadałeś się za cesją.

- Dlatego jest tym bardziej przekonany, że zrobię wszystko co w mojej mocy, by wrócić tu z dokumentami.

- Zgodziłeś się więc?

Wzruszył ramionami.

- Gra warta jest świeczki.

- To nie jest żadna gra - zaprotestowała ostro, mocno zaciskając palce na poręczach krzesła. - Możesz zginąć.

- Rzeczywiście, to spora niedogodność.

- Cóż za temat do żartów!

- Ach, *chere*, prawie udało ci się mnie przekonać, że ci na mnie *zależy* - rzucił lekkim tonem, lecz w jego oczach malował się wyraz powagi.

Odwróciła wzrok.

- Nie mam ochoty oglądać cię martwego.

- No, pocieszyłaś mnie. Ostatnimi czasy raz czy dwa odniosłem wrażenie, że myślisz zupełnie inaczej.

- O czym ty mówisz? - spytała, marszcząc brwi.
Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.
- Nie sprawiasz wrażenia zbyt szczęśliwej.
 - Nie jestem... nieszczęśliwa. Wydarzyło się jednak tyle rzeczy. Długo trwało, zanim wróciłam do pełni sił i cały czas musiałeś się mną opiekować. Teraz też nie możesz się ode mnie uwolnić.
 - Czy kiedykolwiek skarżyłem się z tego powodu?
 - Nie, ale bardzo mi się ta sytuacja nie podoba.

Ryan wiedział o tym doskonale i szanował ją za to. Siłą, argumentami i pieszczotami powstrzymał ją przed opuszczeniem jego domu tego wieczoru, gdy opowiedziała mu o perfumach. Wiedział jednak, że taka taktyka nie wystarczy na długo. Czasami pragnął, by była podobna do innych kobiet, by zalewała się łzami i patrzyła na niego błagalnie, lecz wtedy nie byłaby przecież jego Elene.

Od czasu jej choroby byli ze sobą bardzo blisko. Nigdy wcześniej nie doświadczył takiej bliskości z żadną kobietą. A jednak w ich wzajemne kontakty wkradła się ostrożność. Ona nie potrafiła zaakceptować bez zastrzeżeń roli jego kochanki, a on poczuł w sobie coś, co uznał za rosnącą z dnia na dzień nieufność.

Kiedy chodziło o Elene, zupełnie nie mógł sobie ufać.

Gdy po raz pierwszy opowiedziała mu o perfumach, śmiał się tylko. Jednak im dłużej się nad tym zastanawiał, tym mniej komizmu dostrzegał w całej sytuacji. Wiedział doskonale, że jego pożądanie jest naprawdę niezwykle, gdyż w życiu nie doświadczył czegoś podobnego. Ogarniało go swoją mocą w najmniej odpowiednich chwilach, gdy omawiał interesy lub odbywał przegląd magazynów. Kiedy byli razem, wystarczył zaledwie jej uśmiech, błysk złotych włosów, gdy odwracała głowę, jej ulotny zapach, żeby poczuł, iż nie odpowiada za siebie i swoje zachowanie.

Jej zapach, ot i cały problem. Tego naprawdę nie można było racjonalnie wytłumaczyć. Próbował przekonywać samego siebie, że Elene była nim spowita w ich pierwszą wspólną noc, stąd całe to zamieszanie, lecz przecież nie dlatego wracał do domu dwa lub trzy razy dziennie, by sprawdzić, czy ona nadal tam jest. Nie dlatego serce biło mu mocniej, gdy wchodził do pustej sypialni. Nie powinien też od razu przywoływać w wyobraźni jej twarzy, gdy na ulicy mijał kobietę w wyjątkowo twarzowym kapeluszu lub gdy słyszał urokliwą melodię. Przez pewien czas myślał, że jest po prostu zakochany, lecz ogarniające go uczucia były tak silne, że zaczął podejrzewać, iż do głosu doszły rzeczywiście jakieś nieznanne siły, które zawładnęły nim bezgranicznie.

Elene wyczuwała w Ryanie tę nagłą rezerwę. Nietrudno było domyślić się jej przyczyny. Devota utrzymywała, że postąpiła bardzo głupio, wyjawiając Ryanowi tajemnicę perfum. Możliwe. Wyglądało na to, że powoli zaczyna wątpić w swoje uczucia do niej. Powinna się z tego cieszyć; nie mogła przecież dłużej żyć ze świadomością, że to, co do niej czuł, było efektem działania sił zewnętrznych, a nie jego własnej woli. Nie wzięła jednak pod uwagę tego, że kiedy przestanie używać perfum, on może czuć do niej tylko współczucie, którym na pewno obdarzyłyby każdą kobietę pozbawioną dachu nad głową.

W nocy jego wielkie pożądanie nadal dawało o sobie znać, mimo że nie spowijał jej już upojny zapach. Prawda jednak wyglądała tak, że wciąż znajdował ją u swego boku i mógł w bardzo wygodny sposób zaspokajać męskie potrzeby. Dlaczego nie miałby korzystać z jej ciała, skoro ją utrzymywał i płacił wszystkie rachunki? Nie padały już jednak między nimi żadne czułe słowa, nie było mowy o wypadach na pograżony w ciemnościach dziedziniec. Wyglądało to tak, jakby wraz z perfumami zrzuciła z siebie ochronną tarczę i teraz pozostała zupełnie

bezbollah, wystawiona na najbardziej okrutne knowania losu. Nie dawała jej spokoju myśl, że Ryan może sobie znaleźć inną kobietę, przyjąć pod swój dach inną kochankę. Gdyby do tego doszło, nie miała pojęcia, jak by się zachowała, dokąd by poszła. Wybór możliwości był straszliwie ograniczony.

Wciąż szukała w myślach sposobu na zdobycie pieniędzy, za które mogłaby kupić nowe składniki do wytwarzania tym razem już tylko pięknego zapachu. Była przekonana, że nadal mogłaby na tym nieźle zarobić i uzyskać inne wiążące się z tym korzyści. Na dodatek praca z cennymi olejkami sprawiała jej ogromną satysfakcję, cieszyło ją odmierzanie i mieszanie składników, wdychanie aromatów. Nadal jednak nic nie przychodziło jej do głowy. Mogła co prawda sprzedać złote kolczyki, lecz otrzymałaby za nie niewielką tylko sumę. Rynek załaty bowiem kosztowności przywożone przez wciąż napływających z Santo Domingo uchodźców, gdyż Brytyjczycy i Francuzi z popierającymi ich oddziałami Murzynów nadal toczyli na wyspie ostre walki. Oddalało to również perspektywę odzyskania choćby części pieniędzy z posiadłości jej ojca. Jediną możliwością zdobycia potrzebnych funduszy było zwrócenie się z prośbą do Ryana, a tego za nic nie chciała zrobić.

- W każdym razie - rzekł na koniec Bayard - wydaje się całkiem prawdopodobne, że oczekiwane przez Lausata dokumenty zjawia się tu lada dzień i nie trzeba będzie wysyłać specjalnego kuriera. To bardzo porządny człowiek, ale jako Europejczyk nie zdaje sobie sprawy z odległości ani problemów związanych z przemierzaniem tak wielkiego kraju. Wszyscy musimy uzbroić się w cierpliwość.

Czekali więc spokojnie, lecz posłaniec z Waszyngtonu wciąż się nie zjawiał. W Nowym Orleanie upały i wilgoć nadal dawały się wszystkim we znaki. Z powodu szaleją-

cej żółtej gorączki odwołano wszystkie imprezy i z obawy przed zarażeniem organizowano niewiele przyjęć. Z czasem wszyscy przyzwyczaili się do widoku konduktów pogrzebowych, które przechodziły przez miasto. Czerń stała się najbardziej powszechnym kolorem na ulicach, a połączone skomplikowanymi relacjami rodziny opłakiwały swoich bliższych i dalszych krewnych. Wśród tej powodzi smutku jedynymi jaśniejszymi akcentami były szkarłatne, choć nieco wyblakłe mundury hiszpańskich żołnierzy.

Elene rzadko wychodziła z domu. Codzienne zakupy znów stały się domeną Benedicta, któremu czasem towarzyszyła Devota, by załatwić coś dla swojej pani lub kupić coś wyjątkowo smacznego. Od czasu do czasu Elene i Ryan dołączali do grupki bardziej odważnych mieszkańców miasta, którzy, nie obawiając się zarażenia, spacerowali wieczorem po grobli.

Pewnego wieczoru w połowie miesiąca wybrali się razem na spacer po Place d'Armes, po czym skierowali się w stronę rzeki. Dzień nie był bardzo gorący i odnosiło się wrażenie, że upalne lato powoli wypuszcza miasto ze swoich szponów. Nad rzeką spacerowało już znacznie więcej ludzi.

Znad pofalowanej, mieniającej się w zachodzącym słońcu złotem, błękitem i purpurą tafli wody wiał przyjemny wietrzyk. W zapadającym zmroku życie zdawało się toczyć wolniej, co skłaniało spacerujących do porozumiewania się zaledwie szeptem. Nad ich głowami myszołowy zataczały kręgi, a gołębie z hodowli w mieście krążyły po niebie całymi stadami, od czasu do czasu opadając na ziemię niczym garstka bezładnie rzuconych szarych kamyków. W ciszy rozlegało się czasem szczekanie psa, gdzieś zarżał koń. Szum płynących na południe mas wody brzmiał jak cicha, intrygująca swą niezwykłą melodią muzyka.

Nagle Elene dojrzała nadchodzącą z przeciwka Floreę Mazent, której jak cień towarzyszyła Germaine. Dziewczyna skinęła głową i wypowiedziała słowa powitania, nie patrząc Elene w oczy. Najwyraźniej nie miała ochoty się zatrzymać i razem ze służącą szybko oddaliła się w przeciwną stronę.

Ryan obejrzał się za nimi przez ramię. Elene poczuła nagle nieznanego wcześniej ból odtrącenia.

- Co się stało? - spytała złośliwym tonem. - Nie przyzwyczaiłeś się jeszcze do tego, że kobiety traktują cię z lekceważeniem?

Spojrzał na nią, unosząc w zdumieniu brew.

- Zdarzyło mi się to parę razy. Pomyślałem, że Flora Mazent wygląda na bardzo czymś przejętą.

- Musiała się ze mną przywitać, ot co.

Zamilkł na długą, wiele znaczącą chwilę.

- Czy to aż tak boli, gdy jest się kobietą upadłą?

- Nie jestem kobietą upadłą!

- No to moją kochanką, czy jak tam chcesz to nazwać - powiedział poirytowanym tonem.

- Nie obchodzi mnie to.

- Zgoda. Ale jeśli nadal nie będzie cię obchodzić, gotowa jesteś znów zachorować.

Rzuciła mu zimne spojrzenie.

- Nie znoszę braku uprzejmości. Gdyby nie ty i twój statek, ta dziewczyna prawdopodobnie by już nie żyła.

- Nie oznacza to wcale, że musi mnie lubić, a mnie też jest to najzupełniej obojętne.

- To tylko kwestia dobrych manier i okazania wdzięczności.

- Nie zależy mi na jej wdzięczności.

- Mnie też nie - rzuciła rozdrażniona. - Ale to nie oznacza wcale, że nie powinna się zachowywać przyzwoicie.

Dłaczego pozwoliła, by całe zajście tak bardzo ją zde-

nerwowało? Nie miało przecież najmniejszego znaczenia. Ostatnio jednak żyła w ciągłym napięciu, a jej nadwątlony przez chorobę spokój rozpułynał się w natłoku niedawnych wydarzeń.

- Zgadza się z tobą - odparł.

Elene, gotowa dalej bronić swego zdania, zatrzymała się gwałtownie i spojrzała na niego badawczo.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Powinna była okazać nam trochę więcej serdeczności. Ale skoro tak się nie stało, nie ma sensu obarczać się winą za całe to zajście. To ona zachowała się niegrzecznie, a ty nie masz z tym nic wspólnego.

Zmrużyła oczy.

- Przestań traktować mnie tak protekcyjnie. Wiem, że to nie była moja wina, ale nie powinnam tego ignorować.

- Ależ oczywiście - odparował nagle rozgniewany. - Wygląda na to, że wszystko, co powiem, tylko cię denerwuje. Pozwól więc, że zostawię cię teraz samą.

Patrzyła na jego wyprostowane sztywno plecy, na szerokie ramiona, gdy szedł powoli przed siebie. Nagle poczuła się straszliwie samotna. Już otworzyła usta, by go zawołać, lecz zaraz je zamknęła. I co jej z tego przyjdzie? Nie powiedziała przecież nic takiego, za co chciałyby lub powinna przeproszać. Jeśli sam nie rozumie, w jak trudnym położeniu się znalazła, mieszkając z nim pod jednym dachem, to z pewnością nie potrafiłaby mu tego wyjaśnić.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem w stronę, z której razem nadeszli. Nie patrzyła na rzekę ani na domy w Nowym Orleanie widoczne przez otwartą od strony grobli palisadę, ani też na szlak prowadzący do Bayou St. John i plantacji rodziny Marigny. Szła przed siebie ze wzrokiem utkwionym w wyschlą trawę porastającą ścieżkę, nie mogąc uwolnić się od dręczących ją myśli.

- Elene? Panno Larpent? Czy mogłybyśmy zamienić parę słów?

Przestraszona podniosła wzrok. Przed nią stała Flora Mazent. W bladych, otoczonych czerwonymi obwódkami oczach dziewczyny malował się niepokój, a zanim znów spojrzała na Elene, obejrzała się za siebie niczym spłoszony królik.

- Czy coś się stało? - spytała Elene.

- Mam tylko chwilę. Wysłałam po coś Germaine, lecz zaraz tu będzie z powrotem.

- Możesz chcesz pójść ze mną do domu?

- Nie, nie. Germaine na mnie nakrzyczy. Wiesz, jakie są służące. Uważa, że w ogóle nie powinnam z tobą rozmawiać.

Po latach spędzonych z Devotą Elene wiedziała doskonale, jak bardzo służące potrafią dać się we znaki. Tak mocno identyfikują się z problemami osób, którym powinny przecież służyć, że czasami zapominają, kto w tym układzie jest panią, a kto tylko służącą. Kiedy dwie kobiety przebywają ze sobą zbyt długo, przywrócenie właściwych proporcji zazwyczaj odbywa się w przykrych atmosferze.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Chodzi o perfumy. Chciałabym dostać jeszcze jedną buteleczkę.

Elene zmrużyła oczy. Nie wiedziała, czego oczekiwać po tym spotkaniu, lecz po nieudanej próbie odzyskania perfum należących do Germaine, na pewno nie liczyła się z taką ewentualnością.

- Nie wiesz chyba, o co mnie prosisz - odparła jednak ciepłym, choć zdecydowanym tonem.

- Wiem doskonale. Muszę mieć te perfumy. Muszę!

- Powiedziałam ci przecież, że już ich nie robię. Jeden ze składników wywoływał przykrą wysypkę...

- Och, daj sobie z tym spokój! Wiem doskonale, co

wywołują te perfumy i właśnie tego potrzebuję. Zapłacę każdą sumę, jakiej zażądasz. Ale muszę je mieć! I to natychmiast!

- To niemożliwe...

Przez twarz dziewczyny przebiegł skurcz. Mocno zacisnęła palce.

- Nie mów tak! Nie wiesz, jakie to dla mnie ważne.

Elene położyła dłoń na jej ramieniu.

- Floro, uspokój się, proszę. Nie wiem, co twoim zdaniem potrafią zdziałać te perfumy, ale zapewniam cię, że nie mam już ani kropli.

- Musisz je mieć! Inaczej nie byłabyś z Bayardem!

Elene wciągnęła głęboko powietrze, pragnąc ukoić ból, jaki zadały jej te słowa, po czym dumnie uniosła brodę.

- Przykro mi.

- Przestań. Nie mów tak do mnie, bo wcale nie jest ci przykro. Jeśli nie dasz mi tych perfum, mężczyzna, którego kocham, nie ożeni się ze mną. Przed śmiercią ojca powiedział, że to zrobi, lecz teraz próbuje się z tego wyplątać. Nie zniosę tego, jeśli mnie porzuci. Naprawdę.

- Nie jestem pewna, czy perfumy mogłyby tu pomóc.

- Wiem, że tak. Używałam ich przedtem, a teraz zapas się skończył i mój narzeczony nie chce mnie już oglądać.

To nie Germaine używała jej perfum, lecz Flora... Dziwne.

- Gdybym tylko mogła, na pewno przyszedłabym ci z pomocą. Naprawdę.

- Nie wierzę ci. Wiem, że masz jeszcze te perfumy. Jestem pewna.

- Nie.

- Kłamiesz. Jesteś... - Słowa zamarły jej na ustach, gdy podniosła wzrok. Wyraz jej twarzy zmienił się gwałtownie. Odwróciła się w stronę, gdzie zniknęła Germaine, szukając dla swej pani kandyzowanych fiołków.

Rzuciła szybko: - No trudno. Zapomnij, że rozmawiałam z tobą na ten temat. Zapomnij o wszystkim. Ja... jestem trochę rozdygotana. Wiesz, szok z powodu nagłego odejścia taty i... Zapomnij, proszę.

Odwróciła się i szybko odeszła. Elene patrzyła za nią, aż dziewczyna odnalazła swoją służącą. Razem zeszły z grobli i zniknęły wśród ulic miasta.

- Co się z nią dzieje? - spytał stojący za Elene Ryan.

Nie miała ochoty słuchać, jak znów wyśmiewa się z jej perfum.

- Nic takiego - odparła z roztargnieniem. - Jest tylko trochę zdenerwowana. Straciła przecież ojca.

Ryan wiedział doskonale, że chodziło o coś znacznie więcej, lecz nie chciał wypytywać Elene. Musiał pogodzić się z tym, że nie ma do niej żadnych praw, że nie może jej kontrolować ani stawiać żądań. Jeśli chciał ją przy sobie utrzymać, nie wolno mu o tym zapomnieć. Znalazł się jednak w zupełnie nowej dla siebie sytuacji. Nigdy w stosunku do żadnej kobiety nie czuł aż tak przemożnej potrzeby posiadania. Niestety, zdawał sobie doskonale sprawę, że targające nim uczucia mogły być jedynie wynikiem czaru, jaki rzuciła na niego Elene i jej perfumy.

Bo bez wątpienia był oczarowany, choć nie wiedział, czy ma przypisać to działaniu upajającej woni spowijającej Elene od pierwszej chwili ich znajomości, czy też jakimś innym siłom. Bardzo chciał ją zostawić na grobli, by wróciła do domu sama. Jednak już po chwili przestraszył się, że Elene może wcale nie zechce wrócić i żadną miarą nie mógł pogodzić się z tą myślą. Dlatego i on, Ryan Bayard, dumny korsarz, towarzyszył kobiecie w spacerze i pozwalał się ciągnąć niczym wspaniały statek na holu, zamiast porwać swoją ofiarę i uciec z nią co sił w nogach. Jedyłą pociechę znajdował w tym, że Elene zupełnie nie zdawała sobie sprawy z władzy, jaką ma nad

nim, a jeśli nawet, to nie była na tyle bezwzględna, by ją wykorzystywać. Nie wiedział tylko, czy ma się cieszyć, czy smucić z tego powodu.

Madame Tusard należała do tych kobiet, które dbają o to, by bilans wizyt i rewizyt był zawsze doskonale zrównoważony. Jeśli ktoś, komu raczyła złożyć wizytę, nie odwiedził jej po pewnym czasie, była tym faktem bardzo zdenerwowana i urażona. Gdy sytuacja taka przedłużała się, zniecierpliwienie i uraza zamieniały się w nie skrywany gniew i przy każdej okazji ostro krytykowała osobę, która ośmieliła się ją zawieść.

A Elene była jej winna wizytę. Co prawda nie przepadała za madame Tusard, ale było jej żal starszej pani. Pochowała przecież dwójkę dzieci, musiała pożegnać się ze swymi marzeniami i prowadzić w Nowym Orleanie życie towarzyskie na bardzo ograniczoną skalę. Współczuła jej również jako zdradzanej żonie, bez względu na to, czy madame Tusard wiedziała o wyskokach swojego męża, czy też nie. Jako że Josie właśnie jej zwierzyła się z łączących ją z panem Tusard związków, Elene czuła się trochę winna, że utrzymała to w tajemnicy. Zresztą nie miała zbyt wielu znajomych, więc nie mogła sobie pozwolić na to, by zrywać już istniejące przyjaźnie. Z tych właśnie powodów kilka dni po spotkaniu z Florą wybrała się z wizytą do madame Tusard.

Zastała ją w domu w turbanie z chustki na głowie i miotełką do kurzu w ręce, z zapałem sprząającą niewielki pokój, który w małym domku przy ulicy Dumaine spełniał rolę salonu. Przestraszona pukaniem odwróciła się gwałtownie w stronę drzwi, wychodzących prosto na ulicę. Stały otworem, by do środka wpadła choć odrobina porannego chłodu. Przez ułamek sekundy patrzyła Elene prosto w oczy, po czym zerwała turban z głowy i rzuciła miotełkę na stół. Z wykwitającymi na policzkach rumieńcami podeszła do drzwi.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała nienaturalnie wysokim głosem. - Dziś rano wysłałam służącą na targ i dopiero potem zauważyłam warstwę kurzu, jaką zostawiła w całym salonie. Strasznie jest nieporządna! Nie mam pojęcia, dlaczego jeszcze ją u siebie trzymam.

Wchodząc do środka, Elene szepnęła kilka słów pociechy. Pożałowała, że w ogóle przyszła, lecz teraz nie mogła się już wycofać. Wiedziała doskonale, że nie ma mowy o żadnej służącej. Françoise Tusard przez całe lata pobytu na wyspie była obsługiwana przez rzeszę niewolników, a teraz wszystko musiała robić sama. Było to dla niej większym upokorzeniem niż strata majątku.

Madame Tusard usiadła na krześle wyściełanym błękitnym aksamitem ozdobionym złotymi frędzlami. Nogi zrobiono z łap krokodyla, a oparcia dla rąk z jego głowy i ogona. Elene usiadła na podobnym po drugiej stronie niewielkiego stolika ustawionego przy jedynym oknie salonu. Gdy wymieniały zwyczajowe grzeczności i komplementy, Elene odpowiadała z niewielkim roztarżeniem, gdyż cały czas rozglądała się wokół siebie.

W domku było sześć pokoi ułożonych w amfiladzie. Ściany domu uszczelniono *bousillage*, mieszaniną błota, mchu i sierści jelenia, która wypełniała przestrzenie między szerokimi belkami. Okna zakrywały żaluzje, podłogę wykonano z surowych desek, na których leżały mocno zniszczone i wyblakłe dywany wątpliwej jakości. Ściany i sufity pobielono jedynie wapnem. Jednak w salonie dumnie wisiał ozdobny kryształowy żyrandol z drogimi świecami z pszczelego wosku, na obramowaniu kominka stały figurki z sewskiej porcelany, a nad nim wisiało lustro w rokokowej ramie ozdobionej złotymi liśćmi. Pozostałe meble, podobnie jak krzesła, na których siedziały, nawiązywały zgodnie z najnowszą modą do egipskiej kampanii Napoleona. Można się było domyśleć, że dążąca zawsze do zachowania pozorów ma-

dame Tusard umeblowała modnie przeznaczony dla gości salon, lecz na wyposażenie prywatnych pomieszczeń nie starczyło jej już pieniędzy.

Widoczna jak na dłoni konieczność liczenia się z każdym groszem jakoś nie pasowała do zapewnień Josie, że monsieur Tusard jest jej obecnym kochankiem i opiekunem. Nikt przecież nie spodziewał się po tej dziewczynie, że rzuci się w ramiona mężczyźnie tylko dla jego uroku; wszyscy wiedzieli, że za swoje towarzystwo na pewno każe sobie słono płacić. Nie wydawało się też prawdopodobne, by madame Tusard pozwoliła mężowi wydawać pieniądze na kochankę, gdy sama musiała zajmować się gotowaniem i sprzątaniem. Istniała co prawda możliwość, że monsieur Tusard dysponuje środkami, o których jego małżonka nie ma pojęcia, ale jeśli rzeczywiście tak było, to skąd je brał? I jak udawało mu się utrzymać to w tajemnicy?

- Mam nadzieję, że pani mąż miewa się dobrze - powiedziała Elene.

- Wspaniale. Ma nową posadę, u prefekta kolonii. Szkoda tylko, że nowa praca okazała się tymczasowa... Wieść o cesji była dla nas prawdziwym ciosem. Mamy jednak nadzieję, że Claude będzie mógł towarzyszyć prefektowi Laussatowi na jego następnej placówce.

- To byłoby rzeczywiście wspaniale.
- Nie mogę się już doczekać. Nienawidzę tego miasta.
- Naprawdę? Mnie się tutaj nawet podoba.
- Nie wyobrażam sobie, jak może pani tak mówić po tej straszliwej chorobie. Stale się boję, że Claude albo ja się zarazimy. Nie chciałabym, żeby mnie tu pochowali. Podobno grabarze wycinają siekierami dziury w trumnach, żeby nie wypłynęły z wodą z grobów, albo zamurują je w specjalnych wnękach, gdzie stoją, dopóki wszystko się nie rozłoży. Potem grabarze usuwają kości i robią miejsce dla następnych trumien. To przecież

straszne. Tak mi żal biednej Flory. Jak sobie radzi z myślą, że szczątki jej ojca muszą spoczywać w tak okropnych warunkach?

- Flora ostatnio nie wygląda najlepiej - rzekła Elene, pragnąc zmienić temat.

- Nie. Podobno z zaręczyn też nic nie będzie. Nie jestem jednak pewna, czy to nie złośliwe plotki, gdyż wczoraj widziałam Florę w pracowni szwaczki, gdzie oglądała materiały zdecydowanie nadające się na wyprawę.

Elene odetchnęła z ulgą.

- Być może ten problem, jeśli w ogóle istniał, został szczęśliwie rozwiązany. Czy słyszała pani może, kim jest jej wybrany?

Madame Tusard wyglądała na lekko zażenowaną.

- Początkowo myślałam, że to Gambier, ale trzy dni temu widziano go z tą ladacnicą Josephine Jocelyn uwieszoną na jego ramieniu. A potem mój Claude rzucił interesującą uwagę na temat spotkania pomiędzy monsieur Mazentem i innym mężczyzną, którego był świadkiem na kilka dni przed śmiercią ojca Flory.

- Chce pani powiedzieć, że w czasie tego spotkania mogli omawiać szczegóły ślubu?

- Claude nic mi nie powiedział! Wie pani, jacy są mężczyźni, gdy dojdą do wniosku, że powiedzieli zbyt wiele. A jednak taki właśnie był chyba cel tego spotkania.

- Kim był ten mężczyzna?

- Moja droga, nie wiem, czy powinnam ci powiedzieć, skoro wygląda na to, że nic o tym nie wiesz.

W małych oczkach starszej kobiety pojawił się strach, zmieszany jednak z pełnym podniecenia oczekiwaniem. Elene musiała się mieć na baczności. Madame Tusard przyglądała się jej zdecydowanie zbyt bacznie i zachowywała stanowczo zbyt taktownie. Nagle przypomniała sobie o spotkaniu Ryana i Mazenta w wieczór przyjęcia.

Mieli do omówienia jakąś sprawę wyraźnie natury prywatnej, lecz z pewnością nie mogło chodzić o to, do czego madame Tusard tak otwarcie zmierzała.

- O czym nic nie wiem?

- O tym, że monsieur Mazent bardzo chciał przekonać Bayarda, by ożenił się z jego córką.

- Nie wierzę w to.

- Jak chcesz, *chere*, ale Claude na pewno słyszał, jak o tym rozmawiali. Przykro mi, jeśli cię zaniepokoiłam; nie było to wcale moim zamiarem. Mimo to nie mogłam cię nie ostrzec. Mężczyźni potrafią być tak niewdzięczni w stosunku do kobiet w twojej sytuacji.

Sympatia okazywana przez madame Tusard była tak powierzchowna i udana, że Elene przez chwilę się zastanawiała, czy jej ostrzeżenie nie było przypadkiem formą zemsty. Przychodząc bez zapowiedzi, wprawiła gospodynię w zakłopotanie, toteż ta w odwecie uderzyła w jej najbardziej czuły punkt. Gafa Elene była dziełem czystego przypadku, ludzie potrafią jednak zachowywać się bardzo dziwnie, gdy w grę wchodzi duma.

Potrafią też być bardzo uparci. Elene nie wstała szybko z krzesła i nie wyszła, choć bardzo tego pragnęła. Aby udowodnić, że nie przejęła się zaskakującymi wieściami, gawędziła z madame Tusard jeszcze przez dobre pół godziny. Zgodnie z panującymi w towarzystwie zasadami gospodyni powinna w tym czasie zaproponować jej poczęstunek. Tutaj wyraźnie brakowało służby, która mogła się tym zająć. Dopiero kiedy madame Tusard sama zaproponowała jej szklankę wody pomarańczowej i kawałek ciasta, Elene wstała, pożegnała się elegancko i wyszła.

To małe zwycięstwo nie poprawiło jej jednak humoru. Szła wolno, wracając wciąż myślami do wieczoru, kiedy Ryan i monsieur Mazent zamknęli się razem w pokoju. Nie doszła jednak do żadnych przekonujących wnio-

sków. Tego wieczoru zachorowała przecież na żółtą gorączkę i wszystkie wspomnienia siłą rzeczy mocno się zatarły.

Mogłaby oczywiście zapytać o to Ryana, gdyby nie przepaść, która ostatnio między nimi wyrosła. Jaki to jednak miało sens? Kiedy doszło do rozmowy z monsieur Mazentem, ona wciąż używała perfum, więc Ryan pewnie nie chciał słyszeć o ślubie. Niedługo potem Mazent zmarł. Gdyby coś nadal było na rzeczy, w co zresztą szczerze wątpiła, Ryan na pewno by o tym wspomniął.

Czy rzeczywiście?

Ryan i Flora.

Nie, to niemożliwe. Nic nie wskazywało na to, by cokolwiek ich łączyło. Nic poza tym, że Ryanowi mogło być po prostu żal dziewczyny i że lubił zdobywane bez trudu bogactwa, a Flora stała się przecież bardzo bogatą dziedziczką.

Flora nie mogła jednak zwrócić się do niej z prośbą o perfumy, by za ich pomocą uwieść mężczyznę, z którym Elene mieszkała. Trzeba by na to niewyobrażalnego wprost tupetu lub rozrośniętego do straszliwych proporcji ego, by w życiu nie liczyć się zupełnie z uczuciami innych.

Nie. To niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

Pod koniec września nad miasto nadciągnęła wielka burza. Wiatr ścigał po niebie szare chmury, a drzewa jęczały pod jego podmuchami. Mewy szybko odnajdywały drogę w głąb łądu. Poziom wody w rzece i jeziorze wzrósł zdecydowanie. Wiatr wiał z północy ze straszliwą siłą, przepędzając upał, który dawał się mieszkańcom we znaki przez całe lato. Nagle zrobiło się bardzo zimno. Niebo ciemniało z godziny na godzinę.

Początkowo zaczął padać tylko drobny deszczyk,

pachnąca solą mgiełka. Z każdą godziną stawał się jednak coraz mocniejszy. Duże krople uderzały o dachy domów, wypełniały rynny po brzezi, zalewały ulice. Poziom wody rósł zastraszająco. Wiatr wzmagął się z każdą chwilą. Szarpał okiennicami, wrywał dachówki i gonty. W powietrzu fruwały kawałki kory i liście. Gałęzie drzew z wielką siłą uderzały o ściany domów i z trzaskiem padały na dziedzińce. Deszcz chlustał z ołowianego nieba.

Gdy burza szalała nad miastem, Elene leżała w ramionach Ryana, zmęczona miłością, która swą siłą zdawała się dorównywać żywiołowi. Słuchała deszczu i bijącego pod jej policzkiem serca. Czuła się taka bezpieczna... Ryan gładził ją po włosach i po gładkich ramionach, czule pieścił językiem piersi, po czym ujął ją za biodra, by mocniej przygarnąć do swej budzącej się męskości. Unosząc się na fali wspólnej rozkoszy, nie była w stanie pojąć, że kiedyś potrafiła zwątpić w siłę jego uczuć.

O północy, zmęczona miłością, uwolniona od obaw, ukołysana melodią deszczu, zasnęła wreszcie w ramionach Ryana.

Kiedy się obudziła, burza była już tylko wspomnieniem.

Serephine nie żyła.

-XVI-

W oświetlonej licznymi świecami niezbyt przestronnej sali panował gwar. Zebrało się tu zdecydowanie zbyt wiele osób i mimo kilku otwartych okien, było straszliwie duszno. Na poprzedzającą tańce kolację podano stanowczo za dużo ciężkostrawnych potraw. Lejące się strumieniami wino było tanie, woda pomarańczowa zbyt cienka, a tafia za słodka. Muzyka grała zdecydowanie za głośno. Podłogi nie wywoskowano, więc stopy tancerzy przesuwały się po niej z przeraźliwym zgrzytem. Ubrania mężczyzn były zbyt poważne i ciężkie jak na klimat miasta, podczas gdy paniom brakowało finezji i stylu, a w paru przypadkach wręcz przyzwoitości.

Przyjęcie zostało wydane przez Amerykanów, którzy w ten sposób pragnęli uczcić potwierdzenie cesji Luizjany, choć ceremonia oficjalnego przekazania władzy nadal się opóźniała. W innym miejscu i okolicznościach impreza na pewno sprawiałaby wrażenie bardzo eleganckiej, lecz Elene zdecydowanie nie była w nastroju do zabawy.

Nie chciała tu przychodzić, lecz Ryan nalegał. Pochodzący z Bostonu bogaty i wpływowy gospodarz był nie tylko jego współnikiem w interesach, lecz również przyjacielem. Ryan twierdził, że nie można ignorować zaproszeń od takich ludzi, chyba że chce się zyskać reputację snoba. Już niebawem Amerykanie zadomowią się w Luizjanie na dobre i będzie ich tu przybywać coraz więcej.

Trzeba się nauczyć z nimi żyć, bez względu na to, czy ma się na to ochotę, czy nie. W życiu kolonii zaczynała się nowa era zapowiadająca wielkie ożywienie, a Francuzi mogą stać się jej częścią lub pozostać z tyłu. Wybór był prosty.

Ryan dokonał go bez najmniejszych trudności. Z wielką swobodą obracał się w towarzystwie Amerykanów, Hiszpanów i Francuzów i widać było, że wszyscy traktują go z należnym szacunkiem. Bez względu na to, czym trudnił się w przeszłości, teraz zajmował w Nowym Orleanie ważną pozycję i wszyscy się z nim liczyli. Miasto, leżące niegdyś na głębokiej prowincji, stanęło nagle w obliczu niezwykle obiecującej przyszłości. Aby mogło się rozwijać w szybkim tempie, potrzebowało odważnych, przedsiębiorczych ludzi obdarzonych wielką wiarą. A Ryan bez wątpienia do takich należał.

Przyjęcie zaszczycił swoją obecnością prefekt kolonii z małżonką, której poważny stan doskonale kryła modna suknia opadająca szerokimi fałdami tuż pod biustem. W gronie zaproszonych gości znaleźli się też wpływowi Francuzi oraz Bernard Marigny i Etienne de Bore, który - jak głosiła plotka - mógł liczyć na stanowisko mera Nowego Orleanu, gdyby Francuzi mieli nadal sprawować władzę w mieście. W rogu siedziała madame Tusard. Szepiała coś z przejęciem do męża i bacznie rozglądała się po sali. Claude Tusard, popijając wino, kiwał głową, lecz na jego twarzy malował się wyraz przygnębienia. Nieopodal stała Rachel Pitot w czarnej atłasowej sukni odważnie przybranej jedwabiem o kolorze rubinu, uważanym powszechnie za barwę diabła, i z ufarbowanym na czerwono piórem w upiętych wysoko włosach. Otoczona była wianuszkami młodych mężczyzn, lecz wciąż przebiegała wzrokiem po sali w poszukiwaniu nowych ofiar.

Z grupki uchodźców z Santo Domingo na przyjęcie zaproszono jeszcze Duranta. Stał teraz oparty ramieniem

o ścianę po drugiej stronie sali. Prezentował się niezwykle elegancko w białych spodniach do kolan, szarej haftowanej na czarno kamizelce i szarym atłasowym żakiecie. Na twarzy malował się jednak smutek, przypominający o jego niedawnej stracie, podobnie jak czarna opaska na rękawie.

Jakby czując utkwiony w nim wzrok Elene, Durant odwrócił się w jej stronę. Na krótką chwilę ich oczy się spotkały. W czarnym, zmęczonym spojrzeniu widać było cień bólu i przez ułamek sekundy - tęsknoty. Zaraz potem odwrócił głowę.

Elene tańczyła z Ryanem i z gospodarzem przyjęcia. Z radością odkryła, że mimo późnej pory nie odczuwa wcale zmęczenia. Od wielu dni bezskutecznie próbowała przekonać Ryana, że po nadejściu nieco chłodniejszej pogody doszła już zupełnie do siebie i nie odczuwa żadnych skutków straszliwej choroby. Może teraz wreszcie jej uwierzy.

Dom amerykańskiego przedsiębiorcy stał w najlepszej dzielnicy miasta, tuż przy grobli. Więjcy od rzeki wiatr wpadał przez otwarte okna, przez które widać było szerokie zakole Missisipi u granic miasta. Kiedy przed północą tancerze zaczęli odczuwać zmęczenie, poproszono ich o przejście do ogrodu, gdzie czekała prawdziwa niespodzianka.

W sali rozległ się szmer podniecenia. Goście zaczęli gromadzić się przy dużych oknach wychodzących na ganek. Niestety, gospodarzowi nie udało się utrzymać wszystkiego w tajemnicy, gdyż w wychodzących przed dom grupkach słychać było podawane szeptem informacje o „pirotechnice”. Wszyscy jednak zaczęli wyciągać szyje, gdy na niebie zaśniły pierwsze fajerwerki.

Ogniste kule wystrzeliły nagle gdzieś z wody, wybuchając tysiącami błękitnych, zielonych, żółtych i czerwonych iskier, które w szalonym pędzie pragnęły osiągnąć

gwiazd. Rozświetliły swym blaskiem granatowe niebo i zwrócone w górę twarze zebranych. W powietrzu raz po raz rozlegały się świsty, gwizdy i grzmoty nowych rakiet odpalanych na brzegu rzeki. Na stojących na wodzie barkach umieszczono dodatkowe atrakcje: snopami iskier wybuchały tam drzewa, smoki i wirujące szaleńczo koła. Kiedy gaśły powoli wśród okrzyków zachwytu i zdumienia, niebo rozświetlały następne, wybuchające z jeszcze większym hukiem, ciągnąc za sobą jeszcze dłuższe ogony różnobarwnych iskierek.

Elene, stojąca tuż przy poręczy ganku, wyczuła obecność Duranta, zanim jeszcze zdążył przemówić.

- Wulgarne, lecz robi spore wrażenie.

- Masz rację.

- Wygląda na to, że musimy się do tego przyzwyczaić. Amerykanie mają mnóstwo energii, lecz bardzo mało finenzji. - Kiedy nie odpowiedziała, spytał gwałtownie: - Czemu nie złożyłaś mi wizyty z kondolencjami?

Rzuciła mu szybkie spojrzenie. W świetle niebiesko-złotych fajerwerków jego twarz sprawiała wrażenie posiniaczonej.

- Bardzo mi przykro z powodu Serephine. Naprawdę. Przyszłabym, gdybym wiedziała, że to w czymś pomoże, ale sytuacja wydała mi się nieco... niezręczna.

Westchnął przeciągle.

- Chyba tak.

- To musiał być dla ciebie wielki szok.

- Tak.

Zapadło krępujące milczenie. Elene chciała szybko znaleźć jakąś wymówkę i dołączyć do Ryana, który stał z gospodarzem zaledwie parę kroków od nich. Powstrzymała ją jednak otaczająca Duranta aura przygnębienia i rozpacz.

- To piękny gest - powiedziała, dotykając czarnej opaski na jego rękawie.

- W tych okolicznościach, tak? Bo Serephine była tylko moją kochanką, a na dodatek Mulatką?

- Przepraszam - powiedziała, cofając rękę.

- Nie, wiem, że nie to miałaś na myśli. Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje.

- Kochałeś ją.

Zaśmiał się głucho.

- Rozumiesz to, prawda? To śmieszne, ale jesteś chyba jedyną osobą na świecie, która to rozumie.

- Jeśli nie chcesz, nie musisz o tym rozmawiać, ale tak niewiele słyszałam o tych wydarzeniach. Czy długo chorowała?

- Chorowała? Ależ ona wcale nie była chora.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- To nie była żółta gorączka?

- W żadnym wypadku. No cóż, policja specjalnie się tym wszystkim nie przejęła, zważywszy na pozycję Serephine, ale podejrzewają, że to ja ją zabiłem.

- Ty?

Stojący wokół ludzie zaczęli im się przyglądać. Ryan zmarszczył czarne brwi.

- Nie mogę mówić o tym tutaj. Ale bardzo chciałbym z tobą porozmawiać. Pozwolisz, że złożę ci wizytę?

Cóż mogła odpowiedzieć? Powinna się spotkać z Durantem, choćby tylko ze względu na łączącą ich przeszłość, choć nie bardzo była ciekawa, co ma jej do powiedzenia. Wyraziła więc zgodę na wizytę, a potem razem, ramię w ramię, oglądali dalej imponujący pokaz sztucznych ogni.

Następnego ranka Durant zjawił się tuż po wyjściu Ryana. Elene nie zdążyła się jeszcze ubrać. Niektóre damy, idąc za przykładem siostry Napoleona Pauliny, przyjmowały panów w swoich buduarach w czasie gdy brały kąpiel i się ubierały, lecz Elene nie zamierzała postępować podobnie. Już wystarczającym złem było przyjmowanie Duranta pod nieobecność Ryana; nie chciała

więc jeszcze bardziej pogarszać sytuacji. Wydała Benedictowi polecenie, żeby podał gościowi w salonie kawę i ciastka.

Dzień był chłodny i pochmurny, a w powietrzu unosiła się mgiełka lekkiego deszczu. Elene zarzuciła na poranną suknię szal, choć wiedziała, że będzie musiała go zdjąć, gdy tylko pokaże się słońce. Wchodząc do salonu, jedną ręką przytrzymywała frędzle szala, a drugą wyciągnęła do wstającego z fotela Duranta. Kiedy przesunął wargami po jej palcach i przytrzymał je przez chwilę w swojej dłoni, poczuła niepokój. W czasach swego narzeczeństwa spotykali się tak wielokrotnie. Wyrażając zgodę na tę wizytę, mogła popełnić poważny błąd.

Usiedli naprzeciwko siebie. Durant uśmiechnął się do niej szeroko, opierając podbródek na dłoni.

- Kiedy długo cię nie widzę, zapominam, jak bardzo jesteś piękna. Tak niedawno myślałem, że moje życie przypomina bajkę. Miałem ogromne pola trzciny, elegancki dom, gotową na każde skinienie służbę, czekające w mieście rozrywki, gdy tylko zaczynałem się nudzić na wsi, uległą kochankę i możliwość poślubienia pięknej i inteligentnej kobiety.

- Widzę, że znalazłam się na ostatnim miejscu. - Próbowała nadać rozmowie lekki ton.

- Tylko dlatego, że miałas być ostatnim i najcenniejszym uzupełnieniem mojego życia.

Próbuje flirtować, czy mówi prawdę? Trudno było odgadnąć, ale i tak nie miało to najmniejszego znaczenia. Rzuciła mu poważne spojrzenie.

- Los zdecydował inaczej.

- Tak, a teraz wszystko przepadło.

Zamilkła, pragnąc uszanować jego smutek z powodu niedawnej straty.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego władze sądzą, że to ty zabiłaś Serephine - spytała po chwili.

- No, nie są jednak do końca przekonani, bo inaczej siedziałbym już w więzieniu, nasłuchując, jak na dziedzińcu wnoszą dla mnie szubienicę. Przez pewien czas mieli jednak takie podejrzania. Doszli chyba do wniosku, że chciałem się jej pozbyć i trucizna stała się najlepszym wyjściem z sytuacji.

- Trucizna - powtórzyła powoli Elene. - Chyba nie... arszenik?

- Zgadza się.

W głowie Elene aż kłębiło się od pytań. Z trudem skoncentrowała się na jednym fragmencie wypowiedzi Duranta.

- Dlaczego ktoś miałby sądzić, że chciałeś się pozbyć Serephine?

- Nie mam pojęcia. - Zniecierpliwiony machnął ręką, nie patrząc na Elene.

- Na pewno?

- No dobrze, pokłóciliśmy się, i to ostro, z powodu całej masy nowych sukien, jakie dla siebie zamówiła. Ale przecież to nie powód, by ją zabijać.

Elene nie potrafiła sobie wyobrazić Serephine kłócącej się z Durantem. Była przecież zawsze... jak on to określił? Uległa. Tak. Serephine tylko się uśmiechała, na wszystko wyrażała zgodę i była bezgranicznie posłuszna. Co prawda, nie wszyscy zachowują się tak samo w towarzystwie i w domowym zaciszu, ale mimo wszystko nie mogła sobie wyobrazić tej kłótni. To raczej Durant zrobił awanturę swojej kochance, ganiąc ją za zbyt eks-trawagancję.

- Myślałam, że uciekłeś z wyspy ze sporą fortuną i nie musisz się przejmować paroma sukienkami - powiedziała na głos.

- Wiele osób tak uważa - odparł, wzruszając ramionami. - Nie można jednak wiecznie pożyczać.

- Pożyczać?

- Krawcy i rzemieślnicy mają paskudny zwyczaj domagania się zapłaty za swoje usługi. Można się ich pozbyć tylko dzięki pożyczkom.

Zorientowała się od razu, że pożyczył pod zastaw swojej posiadłości na wyspie. Nie tylko oni mieli nadzieję, że wrócą kiedyś na Santo Domingo; Durant mógł więc bez trudu znaleźć chętnego do udzielenia mu pożyczki. Dobre manieiry powstrzymały ją jednak przed drażnieniem tego tematu.

- Czy Serephine była zdenerwowana? Czy mogła...

- Chcesz zapytać, czy mogłem ją doprowadzić do samobójstwa? Nie wiem.

Za fasadą ostrych słów chciał ukryć dręczący go ból i wyrzuty sumienia. Dlatego był tak bardzo przygaszony. Sumienie nie dawało mu spokoju.

- Nie wierzę w to.

Na jego twarzy pojawił się trudny do zniesienia wyraz nadziei.

- Naprawdę?

- Za bardzo kochała życie. Nie przejmowała się przyszłością. Żyła dniem dzisiejszym, cieszyła się nim. Taka osoba na pewno nie odbiera sobie życia.

Te wypowiedziane z przekonaniem słowa odbiły się w myślach Elene złowieszczym echem. To samo mówiła przecież o Herminie.

Durant skinął głową.

- Wiem, że taka właśnie była, ale jakoś nikogo nie udało mi się o tym przekonać. Jeśli w grę nie wchodzi sensoryjna śmierć kobiety z rąk jej kochanka, to wszyscy nagle przestają się całą sprawą interesować. Urzędnicy wszystko starannie zapisują, po czym wsuwają papiery gdzieś na dno szuflady i szybko o nich zapominają, choć kiedy na mnie patrzą, wiem, że i tak oskarżają mnie o jej śmierć. Nawet jeśli sam nie podałem jej trucizny, to zaabiłem ją słowami pełnymi okrucieństwa, które doprowadziły ją do samobójstwa.

- W mieście pojawiły się plotki - powiedziała ostrożnym tonem - że miałeś zawrzeć bardzo korzystny związek małżeński.

Popatrzył na nią przeciągle.

- Skąd o tym wiesz? Nie ma to oczywiście żadnego znaczenia. To przecież nieprawda. Możesz mi wierzyć, że w tych plotkach nie ma ani krzty prawdy.

Rozmawiali dalej o najróżniejszych sprawach; o Morvenie, który podobno miał bardzo dyskretny romans z żoną wysokiego hiszpańskiego urzędnika, mimo że nadal mieszkał z wdową i swoją nową podopieczną, i o panu Tusard, którego widywano często w salach hazardu znajdujących się poza murami miasta. Nadszedł wreszcie czas, gdy Durant nie mógł już przedłużyć wizyty bez zakłócenia pory południowego posiłku. Elene odprowadziła go do drzwi salonu, gdzie Benedict podał mu kapelusz i laskę.

Durant skłonił się raz jeszcze.

- Było mi niezwykle miło - powiedział. - Dziękuję ci bardzo, że zgodziłaś się mnie przyjąć. Nie spodziewałem się tego.

- Nie mam w Nowym Orleanie aż tak wielu przyjaciół i znajomych, żebym mogła sobie pozwolić na ignorowanie jednego z nich.

- Twoje słowa czynią mnie tylko jednym z wielu - odparł z gorzkim uśmiechem. - Mam nadzieję, że dzięki temu pozwolisz znów się odwiedzić.

- Oczywiście. Choć nie rób tego zbyt często pod nieobecność Ryana.

Uśmiechnął się bez słowa, po czym puścił jej dłoń i skierował się do wyjścia. Zrobiwszy dwa kroki odwrócił się jednak.

- Nie chciałem cię zaniepokoić, Elene, ale nie mogę wyjść, nie zadając ci tego pytania...

- O co chodzi?

- Czy jesteś pewna, że chorowałaś na żółtą gorączkę?
- Jak najbardziej. Dlaczego pytasz?
- Nic, nic - odparł, potrząsając głową. - Nic takiego - odwrócił się i zaczął schodzić po schodach.

Żółta gorączka czy trucizna?

To pytanie i tysiące innych przez całe dni nie dawały Elene spokoju.

Była przekonana, że zapadła na żółtą gorączkę, tak jej też powiedziano, ale czy na pewno tak było? Na pewno. Pojawiły się przecież wszystkie charakterystyczne objawy tej choroby: gorączka, opuchnięte wargi, czarna wydzielina z ust, żółty odcień skóry. Czyż mogło to być coś innego?

Arszenik, podawany w małych dawkach, wywoływał wiele podobnych objawów.

Nie, to niemożliwe. Miała przecież skórę żółtą jak słoneczniki.

Istniało jednak wiele substancji, które mogły wywołać u człowieka objawy żółtaczki.

Nigdy w to nie uwierzy. Prefekt kolonii i setka innych mieszkańców miasta w tym samym czasie zapadli na tę samą chorobę. W Nowym Orleanie, jak co roku o tej porze w większości portów południa, szalała epidemia. Opiekował się nią ten sam lekarz, który leczył prefekta Laussata - sprowadzony z Paryża profesor chemii, który na pewno rozpoznałby objawy zatrucia arszenikiem i bez trudu potrafiłby porównać dwa przypadki żółtej gorączki. Podobnie jak prefekt zdołała zwalczyć ciężką chorobę i znalazła się w gronie szczęśliwców, którzy przeżyli. Zamiast przywoływać duchy przeszłości powinna się lepiej zastanowić nad tym, kto mógł zabić Serephine.

Problem polegał na tym, że nie było podejrzanego. Serephine nie miała wrogów, dla nikogo nie stanowiła najmniejszego zagrożenia. Nawet gdyby Durant chciał się ożenić, czemu zresztą zaprzeczył, Serephine nie mogłaby

temu przeszkodzić. Była zupełnie nieszkodliwą zabawką, uroczym stworzeniem, którego zadanie polegało na dostarczaniu przyjemności Durantowi. Jedynym - i to na dodatek bardzo mało prawdopodobnym - powodem, dla którego mogła paść ofiarą zabójstwa, była chęć odegrania się na Durancie.

Istniało oczywiście wielkie podobieństwo między Serephine i Hermine. Występując na scenie, aktorka była źródłem radości dla widzów, Morvena zaś zaspokajała w zaciszu sypialni. Nie była dla nikogo zagrożeniem i cieszyła się powszechną sympatią.

Czy to jednak do końca było prawdą? Madame Tusard oskarżyła ją o sprowadzenie męża na złą drogę. Myliła się, lecz mimo wszystko oskarżenie padło z jej ust. Josie, jak pokazały późniejsze wydarzenia, gorąco pragnęła wystąpić w rolach, które grała starsza koleżanka i zastąpić ją przy boku Morvena. Rachel Pitot mogła dojść do wniosku, że aktorka jest przeszkodą w zdobyciu uczuć przystojnego aktora.

Trucizna, jak mawiają, jest bronią kobiet.

Co jednak mogło łączyć Hermine i Serephine? Na to pytanie nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Prawie się nie znały, zamieniły zaledwie parę słów. Były jedynie przypadkowymi pasażerkami na tym samym statku, nikim więcej. Nikim więcej.

Na tym samym statku znalazł się również monsieur Mazent i on też zmarł otruty. Jeśli nawet udałoby się znaleźć najmniejszy choćby szczegół łączący obie kobiety, to cóż mogłoby łączyć je z plantatorem w średnim wieku?

A jednak coś musiało je łączyć. Musiało.

I łączyło.

Perfumy.

Hermine, podobnie jak Serephine, miała małą niebieską buteleczkę Raju. Mazent na pewno jej nie miał, ale

przecież perfumy trafiły do jego kochanki Germaine, która podzieliła się nimi z jego córką, Florą.

Czy to możliwe, że któryś ze składników perfum mógł zabijać? Może ten sam, który czynił z mężczyzny niewolnika?

Nie, to nie miało najmniejszego sensu. Ona sama używała ich przecież dłużej od innych i została przy życiu.

Ale chorowała.

Żółta gorączka, to była tylko żółta gorączka.

A jeśli nie? Przypuśćmy, że niektórzy byli słabsi i bardziej podatni na działanie zabójczego składnika niż inni? A może w niektórych flakonikach znalazło się go trochę więcej?

Przypuśćmy, że perfumy zrobione przez Devotę na Santo Domingo różniły się od tych, które zrobili razem w Nowym Orleanie? Istniał przecież jakiś specjalny składnik, który Devota dodała pod nieobecność Elene.

Ależ z niej głuptas. Hermine, Mazent i Serephine zginęły otruci arszenikiem, a nie jakimś tajemnym napa-rem. Udowodniono, że przyczyną ich śmierci była trucizna.

A jeśli wszyscy byli w błędzie? Jeśli perfumy były zatrute wywarem z arszeniku, który zabijał przenikając przez skórę, podobnie jak biały proszek ołowiany stosowany przez aktorki? To może oznaczać kolejne ofiary. Jeśli Germaine skłamała mówiąc, że rozbiła buteleczkę? Czy nie będzie następna? Albo osoba, która ukradła perfumy madame Pitot.

Jeśli tak było w istocie, to ona, Elene, musi ponieść odpowiedzialność za całe zło, gdyż to ona bardzo chciała stworzyć te nieszczęsne perfumy.

Czym jednak mogła się kierować Devota, dodając do perfum tak niebezpieczny składnik? Przy jej znajomości roślin i ziół na pewno nie był to przypadek.

Możliwe, że jeden z pojemników nabytych u aptekarza

lub zdobytych przez Devotę został źle oznaczony; to mogło zdarzyć się każdemu. Devota nie miała powodu, by kogokolwiek zabijać, a już na pewno nie Elene.

Czyżby?

W chatach niewolników na Santo Domingo mieszkało wielu Mulatów, którzy potem powstali przeciwko swoim panom. Devota była w połowie białą, w połowie Murzynką, choć obie bardzo starały się o tym zapomnieć. Z powodu domieszki czarnej krwi do końca życia była skazana na rolę służącej. Nie, nie służącej. To było tylko eleganckie określenie jej prawdziwej roli. Devota była przecież niewolnicą.

Jeśli Elene by umarła, Devota pozostałaby bez pani. Elene nie miała spadkobierców, nie spisała testamentu, a przy panującym w Luizjanie zamęciu, któż przejmowałby się konfiskatą jej majątku w osobie jednej tylko niewolnicy, Devoty? Na Santo Domingo tysiące ludzi, ryzykując życiem, walczyły o wolność. Devota nie musiałaby płacić aż tak wysokiej ceny.

Co jednak mogło ją popchnąć do zabicia Hermine? Albo monsieur Mazenta?

Czy musiał istnieć jakiś szczególny powód poza kolorem ich skóry? Może było to tylko dziełem czystego przypadku? Ale Serephine też była Mulatką. Devota na pewno nie chciałaby jej skrzywdzić.

Elene musiała toczyć w głębi duszy straszliwą walkę, a wszystko z powodu tych nieszczęsnych perfum. To wystarczyło, by niemal zapragnęła, aby już nigdy w życiu nie poczuć ich zapachu.

Musiała podjąć jakąś decyzję. Nie mogła stwierdzić na pewno, czy przyczyną niedawnych zgonów były w istocie jej perfumy. Mogła się jednak dowiedzieć, co Devota dodała do przygotowanej mikstury i ocenić, do jakiego stopnia obie ponoszą winę za śmierć znajomych. Bardzo chciała poznać odpowiedź na pierwsze pytanie, lecz jed-

nocześnie straszliwie się jej bała. Jeśli rzeczywiście stała się przyczyną śmierci niewinnych ludzi, nie wiedziała, jak zdoła żyć z tym ciężarem. A jednak musi poznać prawdę. Być może dzięki niej uda się jej ocalić innych.

Wyszła na ganek w poszukiwaniu Devoty. Słyszała, jak nuci gdzieś rzewną, poruszającą melodię. Szła więc w ślad za nią, aż dotarła do garderoby przylegającej do sypialni Ryana.

Służąca siedziała na taborecie z pochyloną głową, cezurując rozdarty rękaw koszuli Ryana. W jej zwinnych rękach migała igła, a na twarzy malował się wyraz skupienia. Zawiązany na głowie turban z chustki był śnieżnobiały, przetykany gdzieniegdzie błękitną nitką, a niebieska suknia starannie wykrochmalona i wyprasowana. Schludna i pracowita, przedstawiała sobą ideał służącej.

- Devoto?

Podniosła wzrok, przestraszona.

- *Chere!* Przyprawisz mnie kiedyś o atak serca, jeśli będziesz się tak skradać za moimi plecami. Dlaczego mnie nie zawołałaś albo nie przysłałaś po mnie tego niecnoty Benedicta?

- Chciałam cię o coś zapytać na osobności.

Uśmiech zniknął z twarzy Devoty. Zrobiła supełek, urwała nitkę i odłożyła koszulę na bok. Wstała z taboretu.

- Tak, *chere!*

- Chodzi o perfumy. - Słowa nagle uwięzły Elene w gardle. Patrzyła na tę kobietę, którą znała całe życie, i pytanie, jakie chciała jej zadać, wydało się tak okrutne i poniżające, że nie mogła wydusić ani słowa.

Devota skinęła powoli głową.

- Czekałam na to. Zastanawiałam się, kiedy w końcu mnie o to spytasz.

- Tak? Czyli to nie jest prawda, nie mogłaś dodać do nich niczego, co mogłoby zabijać ludzi. Wiem, że nie mogłabyś tego zrobić!

Przerażona służąca otworzyła szeroko oczy.

- Zabijać!

- Myślałam, że...

- Nigdy! Nie przypuszczałam nawet, że zapytasz mnie o coś takiego!

- Musiałam to zrobić. Wokół umierają ludzie, którzy mieli kontakt z naszymi perfumami. Nie mogę tego ignorować.

- Sądzisz, że to ja ich zabiłam? A dlaczego miałabym to robić? Powiedz mi, dlaczego!

W całym swoim życiu Elene nie widziała, by Devota wpadła w tak straszliwy gniew. Nigdy aż tak nie podniosła głosu, a jej oczy nie płonęły tak wielką wściekłością.

- Nie wiem - odparła cicho.

- Myślę, że wiesz. Podobnie jak wszyscy biali, patrzysz na kolor mojej skóry i widzisz we mnie wroga. Zapominasz o tych wszystkich pełnych miłości latach, które razem przeżyłyśmy. Widzisz tylko czarnucha i tyle!

- Trzy osoby nie żyją! Chcę się tylko dowiedzieć, jak to się stało i kto to zrobił. Nie rozumiesz? Jeśli zabiły ich nasze perfumy, muszę to wiedzieć. Muszę, bo jeśli tak było, to ja też ponoszę za to winę. Pomogłam ich zabić.

Devota popatrzyła na nią już spokojniej.

- O mój Boże, *chere*. Wielki Boże.

Były tak zajęte rozmową, że nie usłyszały cichych kroków Benedicta. Kiedy odchrząknął, zabrzmiało to jak grzmot.

- W perfumach nie było nic groźnego - powiedział.

Elene odwróciła się gwałtownie.

- A co ty o tym wiesz?

- Nic, poza tym, że całymi dniami i nocami wdychałem ten zapach. Wiem, że pani służąca na pewno nie byłaby zdolna nikogo zabić. Nie ma w niej wcale nienawiści. Co innego w gniewie. Ale tak na zimno i z wyrachowaniem na pewno nie.

Devota spojrzała na wysokiego mężczyznę, który stał obok niej z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Chyba powinnam ci podziękować.
- Raczej tak - odparł i skłonił się nisko.

Przez chwilę wydawało się, jakby między dwójką służących przebiegły niewidzialne prądy, lecz Devota zaraz odwróciła się do Elene.

- Przyniosę ci resztkę perfum. Zrobisz z nimi, co zechcesz. Możesz je sprawdzić, zużyć, wylać, nie dbam o to. Zrobiłam je dla ciebie, by ci pomóc i sprawić przyjemność. Dla mnie nie mają żadnego znaczenia.

Devota wyszła z pokoju, a Benedict w milczeniu wysunął się za nią. Elene ruszyła ich śladem, choć nie bardzo wiedziała, co robi;

Zatrzymała się na środku sypialni. Wpatrywała się w kwiatowy wzór na czerwono-niebiesko-złotym dywanie, lecz niewiele jej to pomogło. Oprócz Devoty o tak straszliwy czyn podejrzewała jeszcze madame Tusard. Na nich kończyła się lista potencjalnych zabójców.

Devota weszła do sypialni, niosąc w ręce pozostałe buteleczki perfum. Postawiła je na stoliku obok i odwróciła się.

- Poczekaj - rzuciła Elene. - Nie chcę cię urazić, ale muszę wiedzieć jeszcze jedną rzecz.

- Tak? - W tym jednym słowie służąca zawarła cały swój ból z powodu niesłusznych oskarżeń.

- Czy bez twojej wiedzy ktoś mógł dodać do perfum jakiś szkodliwy składnik?

- Perfumy to zapach, mieszanina słabszych i silniejszych esencji. Osoby obdarzone wyczulonym węchem od razu wyczuwają obecność dodatkowego składnika, gdyż w mniejszym lub większym stopniu zakłóca on oryginalny bukiet. W tych perfumach na pewno nie ma ani odrobiny arsenu, który pachnie jak czosnek. Przytłoczyłby aromat całości. Podobnie jak inne szkodliwe substan-

cje. Przestań się zadrećzać, *chere*. Nie ma w tym twojej winy, zapewniam cię.

- O co chodzi? Co tu się dzieje?

Ryan wszedł do pokoju w chwili, gdy Devota wypowiadała ostatnie słowa. Elene podniosła głowę.

- Nic ważnego.

- Nie sądzę. O co znowu chodzi z tymi perfumami? Czy nagle odkryłaś w nich moc, dzięki której urzędnicy w Paryżu zaczną szybciej pracować? A może Salcedo i Morales tak bardzo pokochają Amerykanów, że zechcą ich przeprosić za wszystkie upokorzenia?

Żartował, lecz w tonie jego głosu słychać było wyraźne zniecierpliwienie i rozdrażnienie.

- Niestety nie - odparła kwaśno Elene. - Próbowałam się tylko upewnić, że nie odegrały żadnej roli w tych morderstwach.

Ryan gestem dłoni dał znak Devocie, by wyszła. Przeszedł obok Elene i oparł się o łóżko, krzyżując ramiona na piersi.

- Chyba powinienem dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat - powiedział spokojnie.

Wyjaśniła mu wszystko bardzo zwięźle, lecz z każdym wypowiedzianym słowem zdawała sobie sprawę, jak niedorzecznie brzmi ta opowieść. Musiała jednak jakoś dobrać do końca, mimo że wyraz niedowierzania na twarzy mężczyzny wywołał na jej policzkach ognisty rumieniec.

- Jesteś więc przekonana - powiedział, gdy skończyła - że te twoje perfumy nie tylko zmuszają mężczyzn do zachowań zupełnie sprzecznych z naturą, lecz potrafią również wywoływać choroby, a nawet śmierć?

- Nie same perfumy, lecz jakiś ich składnik. Szeptano przecież od zawsze, że za zdolnościami kapłanów wudu do wywoływania chorób kryje się trucizna. Wiem, że to brzmi głupio, ale pomyślałam, że może Devota chciała

się na kimś zemścić. Może ktoś jej za to zapłacił. Jeśli chcesz znać prawdę, to sama już nie wiem, co myślałam. Doszłam jednakże do wniosku, że nie można tego tropu zignorować.

- Bo gdyby okazał się prawdą, ty też ponosiłabyś za to winę.

Machnęła zniecierpliwiona ręką, odwracając głowę w stronę wiszącej nad łóżkiem moskitiery.

- Mniej więcej.

- Byłabyś winna, bo Devota jest twoją niewolnicą.

- Tak, i ponoszę odpowiedzialność za nią i jej czyny.

Wyprostował się, złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie tak mocno, że musiała oprzeć się dłońmi o jego pierś, by nie stracić równowagi.

- Zapamiętaj sobie raz na zawsze - powiedział cicho. - Twoje perfumy nie mają żadnej magicznej mocy. To tylko przyjemny zapach, nic więcej.

Podniosła głowę i spojrzała prosto w jego błękitne oczy.

- Skąd o tym wiesz?

- Wiem. Pragnę cię jak nikogo dotąd, lecz to uczucie rodzi się w mojej duszy, a nie dzięki kilku kroplom płynu z twojej buteleczki. To moje serce i umysł sprawiają, że chcę się z tobą połączyć w akcie największej rozkoszy. Twoje perfumy nie stanowią dla mnie zagrożenia. Nie jestem niewolnikiem żadnej kobiety, nawet twoim, choć pragnę cię teraz tak gorąco, że za godzinę spędzoną w twoich ramionach gotów jestem oddać całą wolność świata. Ale jeśli trzeba, potrafię od ciebie odejść. Mogę cię zostawić, choć uczyniłbym to z wielkim żalem. Nie narażę jednak przez to na szwank mojego życia ani nie pograżę duszy w wiecznym mroku. Nie potrzebuję ciebie, by żyć.

Jego słowa paliły ją niczym rozżarzone żelazo, zadając piekący ból jej poczuciu dumy i godności. Dźwięcząca w jego głosie pewność wzbudziła w niej nagły gniew.

- Jeśli jesteś aż tak tego pewny, to dlaczego nie odejdziesz? - spytała z mieszaniną bólu i pogardy w szarych oczach.

- Odejdę.

- Co takiego?

Stała tak blisko niego, że czuła ogień jego pożądania i napięte mięśnie ud. Pod jej dłońmi serce Ryana biło jak oszalałe, zadając kłam jego pozornemu spokojowi.

- Udowodnię ci, że potrafię odejść. Wyjeżdżam do Waszyngtonu po dokumenty potwierdzające podwójne przekazanie Luizjany. Udaję się tam na prośbę Laussata, który chce przyspieszyć ten ciągnący się w nieskończoność proces. Dzięki temu udowodnię ci, że potrafię od ciebie odejść.

- Świetnie, jedź sobie!

Na próżno próbowała wyrwać się z jego uścisku. Przytulił ją mocniej do siebie i przesunął dłonią po plecach, wbijając jednocześnie wzrok w jej lekko rozchyłone różowe usta.

- Nie mogę tego uczynić, nie wachając jeszcze raz tych upojnych perfum. A co z namiętym pożegnaniem? Bez niego to wszystko nie ma sensu. Gdzież szukać wtedy chwały i zwycięstwa?

Elene nie chciała podjąć tego wyzwania, lecz serce nie pozwalało jej odmówić. Przytuliła się do niego, wspinając się na palce. Jej wargi drżały pod jego mocnym pocałunkiem, odpowiadała mu równie mocno. Wsunęła palce w jego włosy. Przycisnęła piersi do jego torsu aż zabolęły, a poruszając delikatnie biodrami objęła rozpalonym ciałem jego pulsującą męskość.

Ryan wciągnął ze świstem powietrze. Rękami, które zatraciły swą zwinność, rozpiął niezgrabnie guziki jej sukni i powoli zsunął ją z ramion. Pomogła mu, rozwiązując tasiemkę pantalonów i halki. Bielizna opadła na podłogę. Przytulając się do niego raz jeszcze, wysunęła

jego koszulę ze spodni i rozpięła jej guziki, podczas gdy on szybkim ruchem przeciągnął ją przez głowę. Kiedy zdejmował buty, ona szybko zsunęła pantofelki. Po chwili, już leżąc na łóżku, zaczęła rozpinąć podwiązki.

Ryan, zdejmując spodnie, powstrzymał ją jednym szybkim gestem. Nagi stanął pomiędzy jej nogami i rozsuwając je lekko, rozpiął obie podwiązki, po czym delikatnie zsunął pończochy. Uklęknął, by pocałować gładkie kolana i przesunął gorący język po wrażliwej wewnętrznej stronie ud. Wędrował coraz wyżej i wyżej aż do najbardziej tajemnego miejsca. Popchnął lekko Elene na materac i skoncentrował się na pieszczotach, a ona leżała pogrążona w otchłani rozkoszy.

Powinna zaprotestować, zrobić coś, by odzyskać inicjatywę, lecz zatraciła się zupełnie w zachwycie, rozkoszy i pełnym bólu poczuciu straty. Jeśli to miał być ich ostatni raz, niech okaże się naprawdę wyjątkowy, by mogła go na długo zapamiętać.

Jego dotyk budził w niej ogień, który rozpalał krew i ogarniał całe ciało. Płonął szaleńczo, tworząc w środku pusty wir. Nic nie miało już znaczenia. Teraz liczyło się tylko to, by on wreszcie wypełnił pulsującą w niej pustkę.

Kiedy wstał, wyciągnęła do niego rękę, lecz nie zareagował. Podeszedł do stolika i wziął jedną ze stojących tam buteleczek. Wyjmując korek, odwrócił się w stronę łóżka.

Elene otworzyła szeroko oczy. Usiadła, podciągając wysoko nogi.

- Co robisz? - spytała lekko zachrypniętym głosem.

- Próba okaże się nieważna, jeśli z tego nie skorzystamy, prawda? - Przechylił buteleczkę tak, że kilka kropli wylało się na jego palce i spadło na pościel. W powietrzu unióśł się znajomy zapach.

Zaniepokoiło ją, że potrafił zachowywać tak wielką re-

zerwę, gdy w niej pożądanie pulsowało jak szalone. Lekko oblizwała wargi.

- Chyba nie.

- To połóż się.

Kiedy spełniła polecenie, oparł się jednym kolaniem na łóżku i powoli zaczął wylewać perfumy na jej ciało, zaczynając od piersi, kończąc na kolanach. Szybko, zanim małe strumyczki zdążyły spłynąć, wmasował cenny płyn w skórę jej białych piersi, wąskiej talii i płaskiego brzucha. Nie ominął też złotego trójkąta mocno skręconych włosów, szczupłych bioder i delikatnej skóry po wewnętrznej stronie ud. Elene zdrząła, a on uśmiechnął się szeroko, po czym przykrył jej smukłe ciało swoim.

Z radością przyjęła jego ciężar wbijający ją w miękki, wypełniony mchem materac. Zapach perfum otaczał ich upojną chmurą. Łącząc się z wonią ich ciał, tworzył niepowtarzalną, uderzającą do głowy mieszankę. Ryan poruszał się delikatnie, rozcierając na swoim ciele delikatne olejki spowijające Elene. Ostre kontury jego ciała i szorstkie włosy przyprawiały ją o pełne rozkoszy drżenie. Płynęli razem po upojnym oceanie uniesień, w powodzi pieszczot, zauroczeni otaczającą ich pasją. Elene czuła bicie jego serca, wiedziała, że kontroluje swe pożądanie, by mogła dorównać mu swoim. Pełna wdzięczności zatraciła się w jego pieszczotach i po chwili rozchyliła uda, by przyjąć go w swoją ciepłą i wilgotną głębię.

Rozkosz przyprawiła ją o drżenie. Usłyszała swój zduszony okrzyk i wyprężyła się, by jak najmocniej poczuć go w sobie. Sięgał coraz głębiej, każdą cząsteczką swego ciała czuła jego siłę i porażającą moc. Jej oddech stawał się coraz bardziej urywany, a serce biło szalonym rytmem. W jego ramionach czuła się bezpieczna jak nigdy dotąd.

Fala spełnienia ogarnęła ją swą siłą niczym potężny przypływ, wybuchający całą masą odcieni purpury. Szło-

chając, zatraciła się w niej aż do utraty tchu. Ryan poczuł żar w jej jedwabistym wnętrzu i dał się ponieść upajającej fali rozkoszy. Po chwili oboje znieruchomieli. Otwierając oczy, spojrzeli na siebie w milczącym zachwycie.

Po chwili Ryan przewrócił się na bok, pociągając za sobą Elene. Wciąż połączeni, kołysali się z pełną rozpaczy czułością. Wdychał zapach jej włosów, uczył się na pamięć wszystkich krągłości i zakamarków jej ciała. Odszukał jej usta i mocno pocałował. Potem, z ociąganiem, położył ją na plecach i z trudem wstał z łóżka.

Podszedł do umywalni, gdzie zimną wodą i mydłem zmył zapach perfum. Wytarł się i odrzucił ręcznik na krzesło. Z szafy wyjął parę skórzanych bryczesów i pasującą do nich kurtkę.

Kilka minut później był już gotowy. W ręce trzymał jeszcze kapelusz z wąskim rondem i zawiniątko z ubraniami na zmianę. Podszedł do drzwi, oparł rękę na gałce, po czym odwrócił się. Przebiegł spojrzeniem po leżącej nieruchomo Elene, po jej skórze lśniącej blado w lekkim półmroku. Przeklinając cicho, podszedł szybko do łóżka. Pochylił się, objął wargami dumnie wyprężoną brodawkę krągłej piersi, po czym mocno pocałował ją w usta.

Wyprostował się raptownie, raz jeszcze podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownym ruchem.

- Jeśli tak wygląda zwycięstwo - powiedział z wyrazem bólu w pociemniałych oczach - to wolę ponieść porażkę. - I zamknął za sobą drzwi.

-XVII-

Odszedł.

Elene leżała, wpatrując się w zwiniętą na dzień moskitierę, aż na schodach ucichły kroki Ryana. Nie poruszyła się do chwili, gdy całkowita cisza przekonała ją, że wyszedł z domu. Dopiero wtedy przewróciła się na brzuch i ukryła twarz w poduszce.

Nie płakała. Oddychała z trudem, lecz łzy nie chciały płynąć. Porzucił ją. Mimo perfum. Pomimo związku ich ciał. To miało się nigdy nie wydarzyć, a jednak się stało.

A stało się tak, ponieważ go kochała. Wiedziała o tym doskonale, czuła, jak to uczucie rosło w niej z każdym dniem. Devota ją ostrzegała. Kiedy się zakocha, utraci kontrolę nad związkiem. Służąca powiedziała coś jeszcze, coś o kochającym sercu, lecz tego Elene nie potrafiła sobie przypomnieć.

Ryan był przekonany, że pokonał moc perfum i udowodnił, że nie mają na niego najmniejszego wpływu. Może rzeczywiście tak było; nie wiedziała już, w co wierzyć. Dlaczego jednak odjechał aż tak daleko?

Nie musiał przecież ryzykować tak straszliwie, by udowodnić, że Elene nie potrafi go przy sobie zatrzymać. W czasie podróży do Waszyngtonu mógł zginąć. Jest przecież korsarzem, a nie kurierem. To męska duma skłoniła go do wyruszenia w tę długą wędrówkę przez najbardziej dzikie i niedostępne obszary.

Nie, to nieprawda. Musi być sprawiedliwa. Misja, któ-

rej się podjął, nie miała z nią nic wspólnego. Dobro Luizjany, jego rodzinnego kraju, leżało Ryanowi na sercu. Historyczne wydarzenia, które teraz rozgrywały się w kolonii, były dla niego bardzo ważne. Dał się wciągnąć w ich wir, a w tej części jego życia nie było dla niej miejsca.

Niestety, nie oznaczało to wcale, że mogła liczyć na jakiekolwiek miejsce w jego życiu. Mówił wiele o potrzebach, pożądaniu i uwielbieniu, wywołanych na pewno przez upojny zapach perfum. Nie wspomniał jednak ani słowem o zwyczajnej miłości. Szepnął o niej tylko raz, gdy leżała bardzo chora, a on najwyraźniej doszedł do wniosku, że Elene tych właśnie słów potrzebuje, by przezwyciężyć chorobę.

Devota nie obiecywała miłości. Pożądanie, tak. Nie znający ograniczeń i zahamowań związek dwóch ciał. Oczarowanie. Całkowite podporządkowanie sobie partnera. Miała to wszystko i odczuwała wielkie podniecenie, a nawet ekstazę. Bez prawdziwej miłości wszystko to jednak było puste i pozbawione znaczenia. Jak to się działo, że z dwojga ludzi, których połączyła tak wielka intymność, tak wielkie oddanie i nie mająca sobie równych radość, tylko jedno rozpoznało głos miłości i postanowiło za nim podążyć? Czy to możliwe, że oszukując Ryana - choć całkowicie bezwiednie - zaprzepaściła szansę na prawdziwe uczucie? Gdyby w czasie tych trzech dni spędzonych w norze pod domem Faviera nie pachniała tak upojnie, co by ich połączyło? Czy odkryliby rozwijające się wolniej, za to głębsze i trwalsze zauroczenie? A może siedzieliby w dwóch różnych końcach piwnicy, prowadząc uprzejmą rozmowę, nie dotknąwszy się nawet? Co by wołała? Cieszyć się z namiętności, która ich na krótko połączyła, czy też nie mieć absolutnie nic?

Kiedy jakiś czas później do pokoju weszła Devota,

Elene zamknęła oczy i oddychając głęboko, udawała, że śpi. Służąca cicho wyszła. Gdy zapadł zmrok, przyniosła tacę z lekką kolacją złożoną z pieczonego kurczęcia, chrupiącego chleba, wina oraz kremu karmelowego na deser. Elene zmusiła się do przełknięcia kilku kęsów. Odesłała Devotę, zgasiła świece i przykryła się aż po szyję.

Wraz z nadejściem poranka powieki miała ciężkie od snu, lecz wcale nie czuła się wypoczęta. Nie miała też ochoty opuszczać łóżka. Z filiżanką kawy z mlekiem w ręce, tępym wzrokiem obserwowała krzątającą się po pokoju Devotę, która odsuwała zasłony i zbierała porzucane po podłodze ubrania. Pozwoliła się umyć i zmienić pościel, lecz zrobiła to bardziej z chęci pozbycia się dręczącego zapachu perfum, którego nie mogła już znieść, niż z dbałości o czystość i higienę. Nie pragnęła niczego poza cichym, ciemnym pokojem i zapomnieniem, które niósł ze sobą sen.

- *Chere?* Czy zostaniesz w tym łóżku na zawsze? - spytała Devota, opierając ręce na biodrach.

Elene odgarnęła włosy z twarzy i przycisnęła dłoń do powiek.

- Nie wiem - odparła.

- Musisz wstać. Przestraszyłaś mnie, *chere*. To takie do ciebie niepodobne.

- Co mam robić?

- Cokolwiek. Pan Ryan zostawił pieniądze. Możesz iść na targ.

- Benedict zajmie się zakupami.

- On też się o ciebie martwi. Pan Ryan będzie na niego zły, jeśli po powrocie zastanie cię chorą.

- Czyżby?

- Benedict jest o tym przekonany.

- To bardzo się myli. Wątpię, czy Ryan w ogóle się tym przejmie.

- Co ty mówisz?! Oczywiście, że tak.
Elene usiadła w łóżku.
- On mnie porzucił, Devoto - rzekła twardo. Po czym powtórzyła ciszej: - Porzucił mnie.
- Wróci.
- Powiedziałaś... powiedziałaś, że stanie się moim niewolnikiem, że będzie myślał tylko o mnie i moich pragnieniach.
- Czy tego właśnie szukasz w mężczyźnie? Niewolnika?
Elene przełknęła gorzkie łzy i potrząsnęła przecząco głową.
- Nigdy jednak nie myślałam, że zechce ode mnie odejść. Nie sądziłam, że będzie w stanie to zrobić.
- Dlatego jesz jak ptaszek i leżysz cały dzień w łóżku?
Elene potrząsnęła głową, nie mogąc wydusić ze ścisniętego smutkiem gardła ani słowa. Łzy napłynęły jej do oczu i cienkimi strużkami popłynęły po policzkach.
- Jeśli wstanę, będę musiała stąd odejść - szepnęła w końcu.
Devota zmarszczyła brwi.
- Odejść?
- Po prostu opuścić ten dom, znaleźć jakiś inny dach nad głową.
- Ale... dlaczego?
Elene spojrzała na nią z rozpaczą. Nie wiedziała, jak wytłumaczyć to, co jej zdaniem żadną miarą wytłumaczyć się nie dało.
- Nie mogę żyć z mężczyzną, który mnie nie kocha.
- Jak możesz twierdzić...
- Nie kocha mnie. Złapałam go w pułapkę, z której teraz udało mu się wyrwać. Nie potrafię być tylko kochanką korsarza.
- Wiesz, że on jest kimś znacznie ważniejszym - powiedziała surowym tonem Devota.

- Nie zmienia to w niczym naszego układu.
- To głupie! Potrzebowałam go przedtem i potrzebujesz teraz. To na pewno się nie zmieniło.
- Nie zamierzam go wykorzystywać.
- Nawet jeśli on tego chce? Nawet jeśli oboje znajdziecie się w podobnej sytuacji?
- Tak. Wiem, że nic się nie zmieniło. Tyle tylko, że ja nie jestem już tą samą kobietą. Kocham go, ale tu chodzi o coś więcej. Używając naszych perfum, na początku tylko go wykorzystywałam, lecz teraz mogłam go wciągnąć w coś znacznie gorszego. Nie mogę tu zostać i zmusić go, by ponosił tego konsekwencje.
- Chodzi ci o te morderstwa. Przysięgam, że ani ty, ani ja nie ponosimy za nie winy. Wierzysz mi?
- Nie mogę podjąć tego ryzyka.
- Masz tyle wspaniałych zasad, ale one nas nie nakarmią. Jak będziemy żyć? Dokąd pójdziemy?
- Nie wiem. Próbowałam się nad tym zastanowić, lecz nic nie przychodzi mi do głowy.
- Może więc nie zdołasz wymyślić nic sensownego przed powrotem pana Ryana - rzekła służąca z mieszaną ironii i nadziei w głosie.
Kiedy Devota wyszła z pokoju, Elene siedziała dalej, pijąc kawę. Wolno przeżuwała mały kęs bagietki, którą dostała na śniadanie. Czuła się o wiele lepiej teraz, gdy wreszcie ubrała swoją decyzję w słowa. Nadal jednak musiała się uporać z pytaniem, co ma ze sobą zrobić.
Nie miała pieniędzy na wynajęcie mieszkania. To oznaczało, że przynajmniej przez pewien czas musi liczyć na pomoc znajomych. Gdyby żyła Hermine, miała by ten problem z głowy. Aktorka na pewno znalazłaby dla niej jakieś miejsce do spania i zajęcia, dzięki któremu mogłaby zarobić na życie. Josie nie była już tak pomysłowa i nie darzyła jej zbyt wielką sympatią. Bardzo pomocny mógłby się okazać Morven, lecz obawiała się,

że bez Ryana u boku musiałyby za jego pomoc zapłacić. Nigdy nie krył się ze swoim dla niej podziwem, lecz trudno byłoby uważać to za zaszczyt - prawie wszystkie kobiety w okolicy stanowiły dla niego nie lada atrakcję. Poza tym trupa aktorska mieszkała u wdowy Pitot i Elene czuła, że nie byłaby tam mile widziana.

Nie mogła też liczyć na pomoc państwa Tusard. Duma madame Tusard nie pozwoliłaby, by ktokolwiek się dowiedział, że nie mają służby; poza tym im też było bardzo ciężko. Co więcej, Francoise Tusard kierowała się w życiu surowymi zasadami. Sama mogła się zniżyć do złożenia wizyty kobiecie będącej utrzymanką mężczyzny, lecz z pewnością nie cieszyłaby się z perspektywy mieszkania z nią pod jednym dachem.

Poważanie i powszechny szacunek były ogromnie ważne także dla Flory Mazent, którą na dodatek mocno rozgniewała i rozczarowała, gdy ta poprosiła ją o perfumy. Flora na pewno nie powitałaby jej z otwartymi ramionami, nawet jeśli miała dość miejsca dla niespodziewanego gościa. Elene nie mogła się jej narzucać w czasie żałoby po ojcu, takie zachowanie byłoby nie do przyjęcia. Co prawda ona sama też niedawno straciła ojca i być może potrafiłyby się nawzajem pocieszyć, lecz było wątpliwe, by Flora uznała, że ze względu na tragiczne przejścia powinny trzymać się razem.

Z grona osób, który przybyły z Santo Domingo, pozostawał więc już tylko Durant.

Rozmyślenia Elene przerwało wejście Devoty. Stała na środku pokoju, chowając dłonie pod fartuch. W jej oczach lśnił niepokój.

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Tak, o co chodzi? - Elene odłożyła butkę na talerzyk i odstawiła filiżankę.

Devota zawahała się, przygryzając dolną wargę. Westchnęła przeciągle.

- O perfumy. Nie mają żadnej mocy - wyrzuciła w końcu z siebie.

- Co ty opowiadasz?

- Perfumy, które zrobiłam, to tylko przyjemny zapach. Nic więcej.

Elene patrzyła na nią zdumiona.

- Co ty mówisz?

- Powiedziałam ci coś innego, by cię uspokoić przed ślubem z Durantem. Powiedziałam ci, że dzięki nim każdy mężczyzna, który cię obejmie, będzie cię pożądał. Wiem, że pożądanie rodzi się w umyśle, że kobieta, która uważa się za godną pożądania, jest taka w istocie. A ta, która sądzi, że potrafi omotać mężczyznę, najczęściej jest do tego zdolna.

- Och, Devoto - szepnęła Elene, otwierając szeroko oczy, gdy znaczenie słów w pełni do niej dotarło.

- Widzisz więc, że perfumy nie miały nic wspólnego z uczuciami pana Ryana ani też z trucizną i śmiercią.

W ciszy, jaka zapadła, Elene zacisnęła powieki.

- Dlaczego mam ci uwierzyć? - spytała po chwili, otwierając oczy.

Devota się wyprostowała.

- Bo mówię prawdę.

- Już raz mnie okłamałaś, tak przynajmniej twierdzisz. Jednak postępowanie Ryana przeczy twoim słowom. Kochał mnie, kiedy używałam perfum, a kiedy je odstawiłam, nawet się do mnie nie zbliżył.

- Zawsze tak było?

Elene pomyślała o kilku ostatnich tygodniach, już po zniszczeniu zapasu perfum.

- Nie zawsze, ale wystarczająco często. A jeśli mówisz prawdę, to dlaczego nie wyznałaś jej wcześniej?

Devota powoli potrząsnęła głową.

- Początkowo myślałam, że przyda ci się jeszcze ta odrobina magii i przekonanie o działaniu tajemnej mo-

cy. Potem wiedziałam, że mi nie uwierzysz. Ale teraz musisz, bo dzięki temu wreszcie się od tego wszystkiego uwolnisz i poczujesz wielką ulgę.

Czy to w ogóle było możliwe? Czy Devota mogła mówić prawdę? Jeśli tak było, to Ryan kochał się z nią i przywiózł ją do swojego domu, bo tego chciał. Nic go do tego nie zmuszało. I poprosił ją, by została jego żoną, gdyż pragnął, żeby wciąż była u jego boku.

I gdzie ta ulga? Czuła tylko przejmujący ból i rozpacz, że nie uwierzyła jego słowom, że rzuciła mu oskarżenia prosto w twarz.

Nastrój poprawiła jej nieco świadomość, że w żaden sposób nie przyczyniła się do tragicznej śmierci trójki uchodźców z Santo Domingo. Jeśli w perfumach nie kryła się żadna tajemnica, to ani ona, ani Devota nie ponosiły za te wypadki najmniejszej odpowiedzialności.

Zwilżyła usta koniuszkiem języka.

- To twoje wyznanie brzmi bardzo wygodnie, zwłaszcza teraz. Jak na mój gust, trochę zbyt wygodnie.

- Teraz może uczynić więcej dobrego, nie wyrządzając przy tym nikomu krzywdy.

- Rozumiem. Ale jest jeszcze jedna rzecz. Znam cię przez całe moje życie, zawsze ufałam ci bezgranicznie i nie przestanę ufać. Musisz jednak zrozumieć, że oczyszczając mnie z zarzutu spowodowania śmierci tych ludzi, oczyszczasz również siebie.

Devota milczała przez długą chwilę, po czym potrząsnęła ze smutkiem głową.

- Kiedy wsiadałyśmy na statek do Nowego Orleanu, nawet przez myśl mi nie przeszło, że kiedyś staniemy w obliczu takiego problemu.

- Mnie też nie. - Elene oddychała z trudem. W kąciach jej oczu pojawiły się łzy. Wytarła je wierzchem dłoni..

- Nie sądzę, że opowiedziałas mi o tym wszystkim, by rozwiązać podejrzenia.

- Tak, wiem. Boisz się, że kłamię, żeby ci pomóc.

Elene uśmiechnęła się blado.

- Jak ty mnie dobrze znasz. Zostaw mnie teraz, proszę. Chciałabym wszystko w spokoju przemyśleć.

Służąca zawahała się, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, lecz w końcu wyszła z pokoju.

Jej wyznanie nie przyniosło spodziewanego efektu. Elene nie potrafiła w nie uwierzyć; prawdę mówiąc, szczerze wątpiła w jej słowa. Nie mogąc sobie dać z tym wszystkim rady, usiadła ciężko na łóżku.

Przyszło jej do głowy jeszcze coś: jeśli Devota mówiła prawdę i jeśli nic nie zmuszało Ryana, by trwał wiernie u jej boku, to Ryan mógł rzeczywiście być mężczyzną, z którym monsieur Mazent prowadził rozmowy w sprawie ślubu z jego córką i o którym Flora wyrażała się jako o swoim narzeczonym. To by również tłumaczyło, dlaczego nie chciała wymienić jego nazwiska w obecności Elene. Może chciała oszczędzić jej przykrości lub też obawiała się, że Elene jako jego kochanka spróbuje zapobiec zaręczynom. Nic dziwnego, że sprawiała wrażenie podnieconej perspektywą tak korzystnego małżeństwa.

Zrozumiała, że ceremonię zaręczyn odłożono z powodu żałoby po ojcu Flory, lecz co stało się potem? Tajemniczy narzeczony powinien się przecież pokazać, służyć dziewczynie radą i pomocą. Flora dała wyraźnie do zrozumienia, że bynajmniej nie ona ponosi winę za jego nieobecność przy swoim boku.

Dlaczego przyszły narzeczony przestał się nią interesować? Czy przekonał się, że nie zniesie życia u boku tak bezbarwnej kobiety? A może poszło o pieniądze? Przecież posag panny młodej często stawał się przyczyną konfliktów. Czy niedoszły narzeczony odkrył, że posiadłości Mazentów w Luizjanie nie są aż tak imponujące, jak początkowo przypuszczał?

Z drugiej strony jednak także i monsieur Mazent mógł

odkryć w narzeczoną córkę coś, co mu się nie spodobało. Może było to coś tak strasznego, że nie pozwolił mu na dalsze kontakty z Florą? Może niedoszły narzeczoną tak się rozgniewał z powodu wymykającej mu się z rąk fortuny, że postanowił pozbyć się po cichu Mazenta i wybrał w tym celu truciznę, która wywoła objawy podobne do znanych wszystkim dolegliwości żołądkowych zmarłego?

Elene zadrżała. To nie Ryan. On na pewno by tego nie zrobił... Czy na pewno?

Na pewno. A nawet gdyby posunął się do czegoś tak okropnego, nie tłumaczyło to nagłej śmierci Hermine i Serephine. Między tymi tragicznymi wydarzeniami musiał istnieć jakiś związek. Inaczej to wszystko nie miało najmniejszego sensu.

Hermine znała Ryana jeszcze przed ucieczką z Santo Domingo. Przyjaźnili się z Morvenem, często się spotykali, podróżując z wyspy na wyspę. Możliwe, że Hermine poznała jakąś tajemnicę Ryana, która nie powinna była dotrzeć do Mazenta. Może żartowała sobie z niego albo zażądała pewnej sumy za trzymanie języka za zębami? Czy mógł zabić aktorkę, by powstrzymać ją przed wyjawieniem kompromitujących go informacji?

O wiele trudniej było wytłumaczyć śmierć Serephine. Celem jej życia było bowiem wyłącznie sprawianie przyjemności Durantowi.

Była z nim związana przez wiele lat i wiele wiedziała o tym, co działo się na Santo Domingo. Być może zginęła z tego samego powodu, co Hermine. Mogła wiedzieć za dużo. Brzmiało to jednak mało prawdopodobnie, gdyż Serephine na pewno nie potrafiłaby nikomu grozić. Mogła najwyżej wyjawić wszystko Durantowi. A ten bez wątpienia wykorzystałby zdobyte w ten sposób informacje przeciwko Ryanowi.

Taka wersja wypadków też miała swoje słabe strony. Durant orientował się w obiegających wyspę plotkach

równie dobrze jak Serephine. Wydawało się mało prawdopodobne, by kochanka znała kompromitujące Ryana szczegóły, które nigdy nie dotarły do Duranta.

Ale winną tych strasznych zbrodni mogła być również dobrze kobieta. Mężczyźni często plotkowali, nikt nie miał co do tego najmniejszych wątpiwości, lecz w przeciwieństwie do kobiet nie wdawali się w szczegóły. Często nie mieli też pojęcia o pewnych sprawach i intrygach, zwłaszcza gdy nie dotyczyły prawa lub medycyny czy też spraw honoru, będących ich domeną. Plotki te nie wykraczały poza sypialnie i buduary, chaty niewolników czy nocne spotkania wyznawców wudu.

Nie. To nie było możliwe. Mężczyzna, którego znała, który trzymał ją w ramionach i opiekował się nią, gdy była śmiertelnie chora, nie potrafiłby w tak okrutny sposób zabić trójki niewinnych ludzi. Jeśli miała już bawić się w snucie domysłów i wymyślanie powodów do szantażu, to winnym tych zbrodni mógł być właściwie każdy z grupy uchodźców z Santo Domingo, którzy przybyli do Nowego Orleanu na pokładzie "Sea Spirit", począwszy od nieszczęsnego Claude'a Tusarda, a na Florze Mazent skończywszy. Nie mówiąc już o mieszkańcach miasta, znajomych takich jak choćby Rachel Pitot, o słuźbie, o mściwych obywatelach, którzy nie przepadali za uciekinierami z wyspy, czy też o jakimś szaleńcu, który mógł mieć dostęp do trucizny.

Musi przestać o tym myśleć. To w niczym nie pomaga, a jedynie odciąga ją od spraw, którymi naprawdę powinna się zająć.

A musi postanowić, dokąd ma pójść i co zamierza dalej robić. W tej chwili nie liczyło się nic innego. Nic.

Przypuśćmy jednak, że Ryan nikogo nie zabił, tylko rozmawiał z Mazentem o małżeństwie. Kiedy doszło do tych rozmów? Zanim poprosił ją, by za niego wyszła, czy wtedy, gdy mu odmówiła? Może poczuł się urażony jej

odmową? Poprosił ją o rękę nagle, tego samego popołudnia, gdy powiedział o planowanej wyprawie do ogródka. Pamiętała to doskonale. Przyjęcie odbyło się trzy dni później i wtedy po raz pierwszy wspomniano o przyszłych zaręczynach Flory.

Tego wieczoru nic jednak nie wskazywało, by Flora zwracała na Ryana szczególną uwagę. Skupiła się wyłącznie na Durancie, który towarzyszył jej niejako z przymusu, nie mając innej partnerki. Jakże odległy wydawał się ten wieczór, z upojnym zapachem kwiatów pomarańczy i beztroskim śmiechem. A później, na dziedzińcu...

Nie, o tym nie będzie myśleć.

Musi stąd odejść, naprawdę musi. I co dalej? Jak sobie da radę? W szkole we Francji otrzymała lepszą niż większość panien edukację, powinna więc znaleźć gdzie pracę jako guwernantka. Odkryła jednak już dawno, że wykształcenie nie ma w Luizjanie zbyt wielkiego znaczenia, nie stanowiło warunku koniecznego do tego, by swobodnie korzystać z uciech życia. Do kształcenia chłopców wystarczała jedyna szkoła publiczna, utrzymywana przez hiszpańskiego króla, i kilka szkół prywatnych. Dziewczęta uczyły się u urszulanek tylko do dwunastego roku życia. Uważano bowiem powszechnie, że bardziej gruntowne wykształcenie może jedynie przeszkodzić im w spełnianiu roli żon i matek.

Jakiej pracy mogła się jeszcze podjąć? Na pokojówki, niania, praczki i kucharki zatrudniano niewolnice lub wolne kolorowe kobiety. Te ostatnie sprzedawały też na ulicach słodycze, parasolki i bukiety kwiatów. Mogła spróbować znaleźć pracę u modystki lub szwaczki, lecz na pewno nie zatrudniono by jej na stałe, lecz tylko do wykonania poszczególnych zleceń. Elene całkiem nieźle radziła sobie z igłą, jednak nie była na tyle szybka, by w ten sposób zarobić na utrzymanie swoje i Devoty, nawet gdyby ta jej pomogła.

Pozostawała jej oczywiście jeszcze jedna możliwość - perfumy. Jeśli rzeczywiście nie kryły w sobie żadnej tajemnej mocy, to jej rozpaczliwe próby odzyskania resztek sprzedanego zapachu i zniszczenie tej odrobiny, która jej pozostała, nie miały przecież sensu. Miała jednak nadal puste buteleczki i kilka składników, które mogły połączyć się w całkiem przyjemny zapach. Dlaczego nie miałyby wrócić do swego pierwszego zajęcia, jeśli tylko zdołałyby zdobyć potrzebne na to pieniądze? A może jej wysiłki nie przyniosą spodziewanego efektu, skoro sama opowiadała w mieście o wysypce wywoływanej przez perfumy? Może razem z Devotą umrą z głodu w oparach upojnego zapachu?

Wszystko jedno, na pewno się nie podda.

Miała przecież nadal kolczyki. Sprzeda je i choć otrzyma bardzo skromną sumę, zdoła za nią kupić potrzebne do produkcji perfum esencje kwiatowe. Wystarczy ich co prawda tylko na dwie lub trzy buteleczki, lecz po ich sprzedaży mogłyby zrobić pięć lub sześć następnych. Na początku będzie bardzo ciężko, o wiele gorzej niż planowała, ale jakoś sobie poradzą. Powoli, może jeszcze nawet przed powrotem Ryana, zarobi dość pieniędzy, by wynająć pokój dla siebie i Devoty i znaleźć wreszcie własne miejsce na ziemi.

Przez chwilę przemknęło jej przez myśl, że mogłyby sporo zarobić, sprzedając Devotę. Ale wtedy czułaby się tak, jakby pozbyła się rodzonej matki. Nie mogła również zapominać, że to Devota znała tajemnicę ostatniego, jakże ważnego składnika perfum. Szybko odrzuciła to rozwiązanie, jako niegodne nawet rozważenia. Nowe życie rozpoczną razem z Devotą i im szybciej to zrobią, tym lepiej.

Niemal tydzień zabrało jej uzyskanie jak najlepszej ceny za kolczyki. Wędrowała od jubilera do modystki i z powrotem nieskończoną ilość razy. Kupiła je w koń-

cu jakaś wielka dama o dobrych oczach, która usłyszała, jak Elene targuje się ze złotnikiem. Tego wieczoru razem z Devotą starannie przeliczyły pieniądze i opracowały dokładną listę składników niezbędnych do zrobienia nowej partii perfum.

Ranek przyniósł nieoczekiwane gościa - Duranta. Elene nie była zachwycona jego wizytą, gdyż właśnie zamierzała wyjść z Devotą do miasta. Zdjęła jednak czepek, wygładziła starannie zaplecione w koronę włosy i wyszła na ganek, by go powitać.

Durant pochylił się nad jej dłonią i cicho wypowiedział parę uprzejmych słów. Dzień był bardzo piękny, nad ich głowami rozciągało się błękitne, jesienne niebo, poprosiła więc Benedicta, by podał poczęstunek na ganek. Podeszła do małego stolika i gestem wskazała Durantowi jedno z krzesel.

W jasnym świetle późnego poranka zauważyła, że bardzo zeszcupłał od czasu przyjazdu z Santo Domingo, jakby panujący w Nowym Orleanie upał i strata kochanki pozbawiły go niezbędnych do życia sił. Zniknęła otaczająca go aura rozpusty, którą zastąpiło opanowanie i narzucona sobie dyscyplina. Jednak w jego sposobie bycia nadal czaiła się arogancja, a w utkwionym w twarzy Elene wzroku malowało się nie skrywane pożądanie.

- Rozumiem, że Bayard wyjechał - powiedział.

- Tak, w sprawach służbowych.

- Misja dla Laussata? Musimy mieć nadzieję, że wyprawa do Waszyngtonu nie okaże się zbyt niebezpieczna.

- Czyżby wszyscy wiedzieli o misji Ryana? Myślałam, że to tajemnica.

- Nie mam pojęcia, czy wiedzą o niej wszyscy. Ja dowiedziałem się w Café des Refugies. Może Bayard sam się chciał pochwalić? Jakaż tajemnica może się kryć w zwykłej podróży kuriera?

Elene spojrzała na niego wyniośle.

- Jestem przekonana, że w tym przypadku chodzi o znacznie ważniejszą sprawę.

Durant wzruszył ramionami i zmienił temat, pytając o jej zdrowie. Kiedy odpowiadała, zjawił się Benedict z winem. W jego obecności rozmowa toczyła się wokół malejącej liczby przypadków żółtej gorączki. Choroba wyraźnie przegrywała z chłodem, który powoli ogarniał miasto. Durant powiedział jej, które rodziny w związku z tym powróciły już do miasta i jakie rozrywki planowano na jesień i zimę. Wiele z nich wiązało się oczywiście ze spodziewaną zmianą rządów.

Kiedy Benedict odszedł, rozmawiali o wycofaniu się Francuzów pod naporem Brytyjczyków na Santo Domingo i rosnącej władzy murzyńskiego generała Dessalines'a.

- Powoli zaczyna wyglądać na to, że Francuzi już nigdy tam nie wrócą - powiedziała Elene. - Czy postanowiłeś, co zrobisz, jeśli nie zdołasz odzyskać nawet części pozostawionego tam majątku?

- Co zrobię? - spytał, unosząc brwi.

- Czemu poświęcisz się w życiu. Czy kupisz ziemię i zaczniesz jak wszyscy uprawiać trzcinę cukrową? A może zajmiesz się prawem albo handlem?

- Nie mam najmniejszego zamiaru brudzić sobie rąk handlem, to jedno wiem na pewno. A prawo to domena krętaczy, którzy uwielbiają prowadzić długie dysputy.

- Zostaniesz więc znów plantatorem.

- Zobaczymy - odparł i wypił łyk wina. - Twoja troska bardzo mi pochlebia. Lecz co będzie z tobą? Każdego dnia spodziewałem się usłyszeć wieści o twoim ślubie.

- Moim ślubie?

- Z Bayardem. Serephine dowiedziała się kiedyś od twojej służącej, że ci się oświadczył. Wspomniała o tym jednak dopiero parę dni przed śmiercią.

Nie miała obowiązku tłumaczyć się przed Durantem.
- Już na statku powiedziałam ci, że nie chcę wychodzić za męża.

- To może okazać się poważnym błędem.

- O co ci chodzi? - W jego tonie pojawiła się dziwna nuta, która bardzo jej się nie spodobała.

- Rozumiem, że jesteś zadowolona z pozycji, jaką zajmujesz w tym domu - utrzymanki bogatego mężczyzny. Jednak Ryan w niedalekiej przyszłości na pewno poszuka sobie żony.

- W przyszłości?

- Amerykanie, którzy przejmą tu władzę, nie traktują podobnych rozwiązań równie pobłażliwie jak Francuzi czy nawet Hiszpanie. Na pewno nie spodoba im się, że mężczyzna afiszuje się ze swoją kochanką. Utrzymywanie tych kontaktów w tajemnicy to zupełnie inna sprawa, kwitowana zazwyczaj pobłażliwym mrugnięciem lub klepnięciem w ramię.

- Wątpię, by Ryan przejmował się tym, co sądzą Amerykanie.

- I tu się mylisz. Przez wiele lat prowadził z nimi drobne interesy i bez wątpienia spodziewa się znacznego ich ożywienia po zmianie władzy. My starannie dobieramy sobie znajomych i przyjaciół i nie mieszmamy interesów do życia towarzyskiego, lecz Amerykanie na pewno spodziewają się, że Ryan będzie ich przyjmował u siebie w domu. Nie poradzi sobie bez żony.

Elene spojrzała na niego z uwagą.

- Chcesz przez to powiedzieć, że stanę się przeszkodą w jego kontaktach z Amerykanami?

- Och, wątpię, by Bayard na to pozwolił. Próbuję ci tylko dać do zrozumienia, że zaręczyny, o które kiedyś tak łaskawie mnie podejrzewałaś, mogły zostać zaaranżowane właśnie przez niego.

- Z Florą Mazent? - spytała bezbarwnym głosem.

- Czy to aż tak cię szokuje?

- Nie. Ktoś już o tym kiedyś wspominał.

- Takie plotki dość szybko się rozchodzą.

- Nie powiedziałam, że w nie wierzę.

- Zastanów się przez chwilę. Sytuacja była wprost idealna: bogaty ojciec gotów sporo zainwestować w interesy Bayarda i młoda, wrażliwa dziewczyna, po której można się spodziewać, że zrobi dokładnie to, co jej każą i nie będzie się sprzeciwiać, gdy mąż zainstaluje kochankę w domu obok lub nawet pod jednym z nią dachem. Czy można marzyć o lepszym rozwiązaniu?

- Nie zrobiłby tego - odparła, próbując ukryć drżenie w głosie.

- Nie? Pamiętaj, że jest korsarzem i przywykł do zaspokajania wszystkich swoich potrzeb. Nie wspominając już o lekkim naginaniu prawa tu i tam.

Czy to możliwe? Zastanawiając się nad tym, Elene czuła, jak krew pulsuje jej w uszach. Słowa Duranta brzmiały bardzo logicznie. Interesy były dla Ryana niezwykle ważne, pochłaniały mu wiele czasu i zajmowały sporą część uwagi. Często wypowiadał się też na temat korzyści wynikających z wciągnięcia amerykańskiej flagi na maszt w Luizjanie. Z tego przecież powodu wyruszył z jakże trudną misją do Waszyngtonu.

Nie oznaczało to jeszcze, że pozwoli, by Amerykanie narzucili mu taki a nie inny styl życia. Mógł jednak dbać o pozory, jednocześnie organizując sobie życie tak, by czerpać zeń jak najwięcej przyjemności. Jeśli zamierzał poślubić Florę, nic nie wyszło z tych planów. I bardzo dobrze, bo Elene nigdy by się nie zgodziła na tę trzecią w miłosnym trójkącie. Nie miała jednak prawa obwiniać go za próbę związania się z Florą. W końcu to ją, Elene, pierwszą poprosił o rękę, a ona odmówiła.

Nie mogła znieść myśli o tym, że mieszkając z nim bez ślubu, stałaby się zawadą w prowadzonych przez niego

interesach. Nie tak chciała okazać mu wdzięczność za dwukrotne ocalenie życia. Nigdy co prawda o tym nie wspominał, ale znała go już na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie zniżyłby się do tego. Madame Tusard próbowała ją ostrzec, lecz ona nie chciała jej wówczas słuchać. Teraz, z bolesną świadomością, że sama zniszczyła ich związek i że on trzyma ją przy sobie, nie kochając jej, podjęła wreszcie ostateczną decyzję.

Odetchnęła głęboko.

- Nie musisz oczerniać Ryana. Odchodzę od niego.

Jej słowa zawisły w powietrzu, dźwięcząc niezłomną ostatecznością. Przez ułamek sekundy pożałowała, że w ogóle padły z jej ust. Nie postąpiła niestety najmądrzej.

Durant uniósł w zdumieniu brwi.

- Co zamierzasz zrobić?

- Znajdę sobie gdzieś pokój - odparła wymijająco.

- I co potem?

- Zacznę znów robić moje perfumy. Muszę jakoś zacząć zarabiać na życie. Inaczej na zawsze pozostanę utrzymanką, uzależnioną od mężczyzny, który będzie płacił za każdy kęs, który biorę do ust i za każdą najmniejszą rzecz do ubrania. Nie mogę tego znieść.

- Będiesz robić perfumy? Jesteś tego pewna?

- Tak - odparła, kiwając zdecydowanie głową.

Przechylił głową i spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- Bayard zjawi się po ciebie tuż po swoim powrocie.

- Nic mu z tego nie przyjdzie. - Uniosła dumnie podbródek.

Wstał i podszedł do poręczy.

- Był taki czas - powiedział przez ramię - gdy niemal miałem prawo, by troszczyć się o ciebie.

- Wątpię, byś wówczas przystał, żebym zajęła się robieniem perfum.

- To prawda - odparł sucho. - Teraz też tego nie po-

chwalam. Serephine twierdziła, że to nie są zwykłe perfumy, lecz jakiś diabelski napar.

- I ty w to oczywiście uwierzyłeś?

Przestąpił z nogi na nogę, jakby nagle poczuł się zakłopotany.

- Na wyspie widziałem i słyszałem o znacznie gorszych rzeczach. Wyrzuciłem buteleczkę Serephine zaraz po tym, jak mi o wszystkim opowiedziała.

- Tak na wszelki wypadek? - Nie wiedziała, że wierzył w moc wudu. Serephine musiała mu opowiedzieć o perfumach już po jej wizycie, gdy chciała je odzyskać.

- Zgadza się.

- Wiesz chyba, że twoja dezaprobata nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia.

Wzruszył ramionami, patrząc w skupieniu na poruszające się delikatnie liście dębu.

- Mam tylko nadzieję, że przez wzgląd na dawne czasy pozwolisz mi pomóc sobie w przeprowadzce.

Zaskoczona zamilkła na chwilę.

- Jeśli oferujesz mi pieniądze, to bardzo miło z twojej strony, lecz wolę sobie radzić sama.

- Wielkie nieba, Elene - wykrzyknął, odwracając się gwałtownie - czy musisz być aż tak dumna? Nic od ciebie nie chcę w zamian!

- Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby mogło być inaczej.

- Nie? To dobrze. Na statku w istocie powiedziałem kilka niepotrzebnych słów. Nie powinienem był tego robić. - Przeczesał włosy palcami. Twarz mu pociemniała. - Teraz gorąco pragnę cofnąć czas, żeby wszystko między nami było jak dawniej.

- Wiedz, że to niemożliwe.

- Czyżby? Przypuśćmy, że zaproponuję ci, byś ze mną zamieszkała?

- Dawniej nigdy z tobą nie mieszkałam - odparła bez namysłu i mało zdecydowanie, szukając właściwych słów, by nie urazić jego dumy.

- To nic. Spędzaliśmy ze sobą tyle czasu, że mogliśmy równie dobrze mieszkać pod jednym dachem.

- Nie zamierzam zmieniać jednego mężczyzny na drugiego. Poza tym musisz wiedzieć, że moje uczucia... należą do innego.

- Wydaje ci się jedynie, że kochasz Bayarda. To zresztą nieistotne.

Na jej twarz wypłynął rumieniec, wywołany nie tylko przez gniew.

- Może dla ciebie, lecz dla mnie na pewno nie. Poza tym, nie potrzebuję opiekuna.

- Mylisz się - powiedział z przekonaniem. - Nie będę się jednak z tobą spierał. Jeśli nie chcesz zamieszkać u mnie, dokąd pójdziesz? Znalazłaś już coś?

- Jeszcze nie. - Tak naprawdę nie zaczęła nawet szukać, lecz nie zamierzała mu tego wyjawiać.

- Tam, gdzie mieszkam, jest jeden wolny pokój.

- Jestem pewna, że nie stać mnie na jego wynajęcie.

- Czynsz opłacono aż do pierwszego grudnia.

- Pozwól, niech zgadnę - powiedziała podejrziwym tonem. - Pokój zajmowała Serephine?

- Niezłą masz o mnie opinię. Nie, ten pokój był przeznaczony dla pokojówki, którą chciałem dla niej zatrudnić. Jest niewielki, lecz wygodnie urządzone i znacznie bezpieczniejszy niż jakaś pełna szurów nora w podrzędnym pensjonacie na obrzeżach miasta.

- Bo ty będziesz blisko?

Westchnął rozdrażniony.

- Bo znajduje się na dobrej ulicy, oświetlanej nocą. No, bądźże rozsądna. Powiedz tak, a porozmawiam z moją gospodynią i zarezerwuję ten pokój dla ciebie.

Kiedy patrzyła na niego, nie mówiąc ani słowa, ciągnął dalej:

- Nie jestem potworem, Elene. Nasi ojcowie byli przyjaciółmi i sąsiadami, znasz mnie od zawsze. Chcę tylko twojego dobra.

Słyszając takie słowa, byłaby niemądra, gdyby obstawała przy swoim. Mimo to nadal się wahała.

- Pomyśl tylko - mówił bardzo przekonującym tonem - jeśli nie będziesz musiała płacić za pokój i utrzymanie, szybciej rozkręcisz interes z perfumami.

- Ale ja nie chcę mieszkać w opłacanym przez ciebie pokoju.

- To śmieszne!

- Może, lecz tak właśnie czuję.

- Jeśli poczujesz się przez to lepiej, możesz mi oddać pieniądze, ale dopiero wtedy, gdy zaczniesz sprzedawać perfumy.

Zacisnęła usta.

- Dziwne, że tak bardzo chcesz mi pomóc. Myślałam, że pogardzasz handlem.

- Jestem pewny, że szybko się tym znudzisz - odparł z uśmiechem. - A wtedy może w końcu przyjmiesz moje oświadczenia.

- Przynajmniej jesteś szczerzy, choć wiedz, że bardzo się mylisz.

- Udowodnij to - rzucił cicho, wyzywającym tonem. Stał wyprostowany w blasku poranka.

Jeśli się zgodzi, będzie to oznaczać, że może opuścić ten dom od razu, nie czekając na pierwsze zarobione pieniądze. Nie będzie też musiała tracić czasu, by zastanawiać się nad tym bez końca i czekać beczynnie aż do powrotu Ryana.

- Udowodnij mi, że się mylę - nalegał Durant, patrząc na nią spod zmrużonych powiek.

Musiała szybko podjąć decyzję. Skinęła głową.

- Dobrze. Udowodnię.
- Jeśli ktoś w ogóle jest do tego zdolny, *chere*, to na pewno jedynie ty.

Durant wypowiedział te słowa bardzo łagodnym tonem, lecz kiedy się żegnał, zbyt długo i mocno przytrzymał jej dłoń, a złożony na niej pocałunek był zdecydowanie zbyt namiętny.

-XVIII-

- Nigdzie się stąd nie ruszę.

Elene była niemal gotowa. Postanowiła od razu przenieść się na nowe miejsce; przedłużanie wszystkiego tylko utrudni całą sprawę. Spakowanie rzeczy nie zajęło jej dużo czasu. Nie miała ich zbyt dużo - nie wypełniły nawet niewielkiej skrzyni. Przez chwilę zawahała się, czy spakować suknie. Materiał na nie kupiła jednak za pieniądze uzyskane z naszyjnika matki, więc uznała, że ma do nich prawo.

Nigdy wszakże nie przyszło jej do głowy, że Devota nie zechce jej towarzyszyć. Była kobietą bardzo zdecydowaną, lecz od tak dawna zgadzała się z wolą swojej pani, że Elene nawet nie pomyślała, iż tym razem może stać się inaczej. Nie liczyła oczywiście na to, że Devota pochwali jej decyzję i myślała, że będzie ją musiała długo przekonywać, lecz nie spodziewała się aż tak stanowczej odmowy.

- Powiedz mi dlaczego? - Elene włożyła koszulę do skrzyni, wyprostowała się, po czym usiadła na łóżku.

- Dobrze mi tutaj. Znalazłam wreszcie swoje miejsce na ziemi i wołałabym go nie opuszczać.

- Twoje miejsce jest przy mnie!

- Twoje, *chere*, także jest tutaj.

- Jak możesz tak mówić? Nic mnie tu nie trzyma, żadne zobowiązania, żadne przysięgi.

Na twarzy Devoty pojawił się wyraz uporu.

- Może ich nie wypowiedziałas, ale to nie znaczy, że nie istnieją.

- Nie masz o niczym pojęcia - odparła z bólem Elene, odwracając głowę.

- Dużo wiem. A już na pewno to, że monsieur Ryan wpadnie w szal, gdy po powrocie nie zastanie cię w domu. Lecz może właśnie tego chcesz.

Elene zignorowała uwagę Devoty. Wcale tak nie uważała. Poza tym to była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego nie chcesz pójść ze mną. Zawsze możesz tu wrócić, jeśli jesteś tak pewna, że Ryan nas odnajdzie.

W otwartych drzwiach stanął Benedict.

- Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam, mademoiselle. Mam nadzieję, iż wybaczy mi pani również i to, że związałem się z pani służącą. Nie planowaliśmy tego. A teraz obawiam się, że nie chce się stąd ruszyć z mojego powodu.

Jedno spojrzenie na oblaną purpurowym rumieńcem twarz Devoty wystarczyło, by potwierdzić słowa majordomusa. Elene zdała sobie nagle sprawę z tego, że już od dawna nie słyszała ich kłótni i sprzeczek, nie patrzyli też na siebie tak, jakby chcieli się natychmiast pozabijać. Od tej nocy, gdy razem czuwaliby na dziedzińcu, stali się bardzo ostrożni i przebiegli.

Spojrzała na Devotę.

- To coś poważnego, prawda? - spytała. - Nie tak jak ostatnim razem?

- Chodzi ci o Faviera? Jak widzisz, nie mam przed Benedictem żadnych tajemnic. Nie, to zupełnie coś innego. Gdyby nasze perfumy w istocie miały tajemną moc, warto byłoby ich użyć właśnie dla niego.

Słyszac taką pochwałę, Elene uniosła lekko brew.

- Rozumiem. Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy, zamiast szukać wymówek?

- To nie były wymówki, *chere*, uwierz mi.

Elene mogła rozkazać Devocie, by jej towarzyszyła i ta na pewno by posłuchała. Nie chciała odejść bez niej; oznaczało to bowiem, że zjawi się w domu Duranta bez żadnej ochrony. Nie mogła jednak narzucać jej swojej woli, żeby potem znosić towarzystwo wiecznie niezadowolonej służącej.

- Zostań więc, jeśli tego właśnie pragniesz - powiedziała.

- Chcę, żebyśmy obie tu zostały.

Elene potrząsnęła głową, próbując się uśmiechnąć.

- Nie mogę tego zrobić, ale życzę wam obojgu dużo szczęścia.

- *Chere!* - Devota podeszła do Elene i objęła ją mocno ramionami. Przez chwilę stały przytulone do siebie. - A co do perfum, to przyjdę ci pomóc, kiedy tylko zechcesz.

- Mogę rzeczywiście przysłać po ciebie, ale pamiętaj, że mam notatki i dokładny przepis. Powinam sobie poradzić.

- To nic trudnego. Weź tylko to dla porównania. - Devota podała jej stojącą dotąd na stole małą buteleczkę, która pozostała z pierwszej partii perfum. Włożyła ją do skrzyni Elene i zamknęła wieko.

- Jest tylko ten ostatni składnik, którego nie znam - powiedziała Elene niepewnym głosem.

Devota patrzyła na nią przez długą chwilę i skinęła głową. Pochyliła się i szepnęła jej coś do ucha.

Benedict spojrzał na nie z dezaprobatą, mruczac coś pod nosem. Podszedł do skrzyni, podniósł ją i oparł o ramię.

- Skoro nie zamierza tu pani zostać - powiedział z wielką godnością - razem z Devotą odprowadzimy panią na nowe miejsce.

Przez ułamek sekundy Elene walczyła z chęcią, by

spytać Benedicta, co według niego zrobi jego pan, gdy po powrocie nie zastanie jej w domu i dlaczego on, Benedict, nie stara się jej zatrzymać. Wiedziała jednak doskonale, że to niczego nie zmieni. Włożyła przygotowany czepek i rękawiczki, i z wysoko podniesioną głową wyszła z sypialni.

Mieszkanie zajmowane przez Duranta znajdowało się na samej górze trzypiętrowego domu. Składało się z salonu i jadalni z przylegającym do niej kredensem oraz dwóch sypialni połączonych garderobą. Pokazał wszystko Elene, krytykując jednocześnie niewygodne schody prowadzące z leżącego poniżej ganku przez apartamenty właścicielki-Mulatki na drugim piętrze. Przepraszał też za niewielkie rozmiary pokoi i brak pięknych widoków za oknami, do których byli przyzwyczajeni na wyspie.

Elene uspokajała go, zapewniając, że nic jej to nie przeszkadza. Pokoje leżały wysoko nad ruchliwą ulicą, były bardzo przestronne i gustownie urządzone. Kiedy przechodziła z jednego pomieszczenia do drugiego, uderzyło ją, jak bardzo przypominają jej Serephine. Jej obecność widać było wyraźnie w ostrych barwach wiszących na ścianach kilimów i bogatych splotach dywanów, w fajansowych palemkach stojących na półce nad kominem, a zwłaszcza w miniaturze chłopca, syna Serephine i Duranta, która wisiała nad łóżkiem w drugiej sypialni. Elene nie spodziewała się, że kochanka Duranta odcisnęła w tych wnętrzach aż tak silne piętno, ale szybko doszła do wniosku, że zupełnie jej to nie przeszkadza.

Jej pokój znajdował się piętro niżej i miał osobne wejście z klatki schodowej. Był nieduży i skromnie urządzone. Stało w nim spore łóżko, prosta toaletka i duży fotel. Całość, zgodnie z obietnicami Duranta, była bardzo wygodna. Najważniejsze jednak okazało się to, że do pokoju przylegał mały składzik przeznaczony do przechowy-

wania skrzyń i pudeł. Po wstawieniu tam stołu będzie mógł spełniać doskonale rolę pracowni.

Właścicielka, Mulatka, oprócz domu miała również tuzin niewolników. Wszystko odziedziczyła po śmierci dżentelmena, którego kochanką była przez dwadzieścia lat. Jej służący sprząтали pokoje; zapewniała też swoim lokatorom posiłki. Zgodnie z opinią Duranta układ ten był korzystny, choć służba zjawiała się na górze jedynie wtedy, gdy nie była potrzebna swojej pani, a posiłki często docierały na górę zimne. Brakowało tu wyraźnie kogoś, kto mógłby załatwiać drobne sprawy i dbać o ich osobiste potrzeby, dlatego też planował zatrudnić pokojówkę dla Serephine.

Między posiłkami, gdy miał ochotę coś przegryźć, kupował od ulicznych sprzedawców paszteciki, ciastka i słodycze. Szanował pragnienie Elene, która chciała płacić za wszystko sama, lecz powiedział jej, że gdyby kiedykolwiek potrzebowała pieniędzy na drobne lub większe wydatki, mogła zawsze sięgnąć do misy wypełnionej drobnymi i banknotami, która stała na stole w jego salonie. Taki zwyczaj panował w domu jego ojca na wyspie i Durant pragnął kontynuować tę tradycję. Elene odmówiła, lecz w pełni doceniła jego hojny gest.

Pomimo początkowych obaw, po przeprowadzce do domu Duranta nie miała powodów do narzekań. Były narzeczony okazał się uosobieniem uprzejmości, rzadko ją nachodził, a od czasu do czasu zapraszał, by towarzyszyła mu przy kolacji. Z prawdziwym zainteresowaniem dopytywał się o postępy w produkcji perfum, lecz nie zaglądał do jej pracowni i stronił od wszelkich komentarzy. Zajmując się dniem i nocą własnymi sprawami, nie sprawiał Elene większych kłopotów.

Tylko raz w środku nocy pod koniec pierwszego tygodnia obudziło ją ciche grzechotanie gałki do drzwi jej sypialni.

- Elene? - zawołał Durant lekko wstawiony. Leżała nieruchomo, nasłuchując. - Elene, wpuść mnie!

Słyszała jego ciężki oddech. Gałka poruszyła się raz jeszcze, po czym Durant uderzył mocno w drzwi ramieniem. Przed pójściem spać Elene upewniła się jednak, czy drzwi są dobrze zamknięte. Zaklął ostro. Po chwili usłyszała jego oddalające się kroki, kiedy ostrożnie wchodził po schodach na górę.

Podczas następnego spotkania czekała, czy Durant wspomni o tym incydencie, ale tak się nie stało. Sama też nie chciała poruszać tego tematu, bojąc się, że doprowadzi do konfrontacji, której za wszelką cenę pragnęła uniknąć. Jeśli incydent ten miałby się kiedyś powtórzyć, będzie zmuszona wyjaśnić mu, że przyjmując ją pod swój dach, nie uzyskał tym samym prawa wstępu do jej sypialni. Incydent nie powtórzył się jednak i oboje przeszli nad tym do porządku dziennego.

Wrzesień przeszedł powoli w październik i jesień na dobre przepędziła letnie upały. Dni co prawda stawały się coraz chłodniejsze, lecz słońce nadal mocno grzało, a nad miastem snuły się mgły i dymy. Żłote i miedziane liście nadal trzymały się uparcie gałęzi drzew, drobne chryzantemy kwitły na żółto i fioletowo, a rosnący w rowach żeniszek dumnie prezentował niebiesko-białe kwiaty. Na targu niedaleko grobli pojawiły się całe masy dyń i słodkich ziemniaków, fig, śliw i orzeszków, zarówno tych łagodniejszych, jak i o bardziej gorzkim smaku, rosnących dziko w lasach.

Do Nowego Orleanu powoli docierały wieści ze świata. Na Santo Domingo niestety nie działo się najlepiej. Jak przewidywał Ryan, Brytyjczycy wprowadzili blokadę wyspy. Żołnierze francuscy pod dowództwem Rochambeau jeszcze się trzymali, lecz ich poddanie się było kwestią tygodni. Niestety, plantatorzy i ich rodziny, którzy pozostali na wyspie nie dawali znaku życia.

Elene potrzebowała więcej czasu, niż początkowo sądziła, na zgromadzenie składników do wytwarzania perfum. Kiedy wreszcie miała już wszystko, zabrała się ostrożnie do pracy, odmierzając podczas swoich eksperymentów maleńkie ilości cennych olejków i esencji. Nie była wcale pewna, czy posiada ten szczególny dar, który pozwala odróżniać poszczególne składniki i tworzyć z nich niezwykle, upajające swym zapachem kompozycje. W rzeczywistości nos płatał jej paskudne figle, gdyż często zapach, którym zachwycała się rankiem, wieczorem niemal wywoływał mdłości. Nie chcąc marnować drogich składników, stała się bardziej ostrożna. Wiele razy zastanawiała się, czy nie posłać po Devotę, lecz oznaczałoby to przyznanie się do porażki, a na to nie była jeszcze gotowa.

Nie była też gotowa, by skopiować perfumy Devoty. Przyczyną nie był brak zaufania do własnych możliwości, lecz obawa przed wystawieniem niezwyklej mocy tego zapachu na dalsze próby. Z dnia na dzień bała się coraz bardziej. Nie wiedziała jednak, czy przyczyną jej lęku jest strach, że nie zdoła sprzedać perfum, czy też może lęk, co mogą zrobić z osobami, które zdecydują się je kupić. Ze zgromadzonych tak starannie zapasów nie zrobiła też ani kropli zapachu własnego pomysłu. Nadal nie mogła się zdecydować, jakie wyjście z tej sytuacji będzie najlepsze: czy powinna zaryzykować, że kobiety kupią jej nowy produkt, czy też skoncentrować się na zapachu, który już знаły i pragnęły mieć za wszelką cenę.

Pewnego dnia, próbując podjąć ostateczną decyzję, wzięła do ręki ostatni niebieski flakonik, który dostała na pożegnanie od Devoty. Kiedy wyjęła koreczek, poczuła nie tylko wspaniały zapach. Natychmiast ogarnęła ją też fala wspomnień. Przed jej oczami jeden po drugim przebiegały obrazy z przeszłości... Chwila, w której dwóch napastników zaatakowało ją w lesie na Santo Do-

mingo. Uścisk mocnych ramion Ryana w kryjówce pod domem Faviera. Radość Hermine z powodu pierwszej otrzymanej w prezencie buteleczki. Ostatnie, na wpół czułe, na wpół gwałtowne chwile spędzone z Ryanem i wyraz jego twarzy, gdy całował ją na pożegnanie. Razem z tymi obrazami pojawiło się uczucie przerażenia i radości, rozkoszy i żalu.

Zadrżała, a na jej ciele pojawiła się gęsia skórka. Z porażającą pewnością uświadomiła sobie, że zapach, który w ułamku sekundy potrafi wzbudzać tak silne reakcje, musiał kryć w sobie jakąś tajemną moc.

Nie, to nieprawda. Chyba powoli traci zmysły. To przecież tylko perfumy. Tylko perfumy.

To jednak nie miało dla niej najmniejszego znaczenia. Jeśli zdecyduje się robić je znowu, w małych błękitnych buteleczkach zamknie mieszaninę bólu i niczym nie ograniczonego pożądania. Nieważne, czy to dzieje się naprawdę, czy tylko sobie wszystko wymyśliła. Nie powinna sporządzać perfum, bo znów poczuje się źle. Nawet teraz utrzymujący się w powietrzu delikatny zapach przyprowadził ją o młodości. Nie, nie wolno jej tego robić. Może kiedyś, w przyszłości, lecz na pewno nie teraz.

Wsunąwszy koreczek na miejsce, odsunęła buteleczkę na drugi koniec stołu. Wyszła z pracowni, zamykając starannie za sobą drzwi.

Nadeszła wigilia dnia Wszystkich Świętych - czas wspomniania zmarłych, migających na cmentarzach płomyków świec. Elene odwiedziła groby Hermine i Serephine, a nawet monsieur Mazenta. Zgodnie z przewidywaniami, władze nie zadały sobie trudu, by wyjaśnić tajemnicze zgony.

Elene myślała o nich od czasu do czasu, lecz wraz z upływem czasu, kiedy przekonała się, że jej perfumy nie odegrały w tych tragicznych wydarzeniach żadnej roli, znalezienie zabójcy nie było już dla niej sprawą tak

istotną. Czasem jednak próbowała dopasować do siebie wydarzenia i szczegóły, które udało jej się zgromadzić. Przypominało to powracanie do robótki tak skomplikowanej, że po paru chwilach znów trafiała do koszyczka. Po wyeliminowaniu perfum jedynym elementem łączącym wszystkie ofiary był fakt, że pochodziły z Santo Domingo. Nie znały się jednak wcześniej, a do pierwszego spotkania doszło na pokładzie szkunera Ryana. Możliwe, że coś mogło się wydarzyć już na statku, ale choć bardzo się starała, nie mogła sobie przypomnieć żadnych spięć czy konfliktów. Hermine i Mazent ograniczyli się wyłącznie do wymiany uprzejmości, a Serephine prawie z nikim nie rozmawiała.

Wypytała jednak służącą sprząającą pokoje na gorze o ostatni dzień życia Serephine. Chciała się dowiedzieć, czy ta przyjmowała gości, otrzymała jakąś wiadomość, czy przypadkiem nie wydarzyło się coś niezwykłego. Niczego się jednak nie dowiedziała. Nikt nie przychodził z wizytą, nie dostarczono też żadnych przesyłek. Późnym popołudniem Serephine wyszła na zakupy, lecz wróciła po niespełna godzinie, kupiwszy tylko torebkę czekoladek. Kiedy Durant powrócił na kolację, już nie żyła.

Elene zastanawiała się przez chwilę, czy Durant sam nie pozbył się kochanki. Znał ją przecież jak nikt. Z drugiej strony jednak, po co miałby ją przywozić do Nowego Orleanu, jeśli wcale mu na niej nie zależało? I dlaczego posunąłby się aż do zabójstwa, skoro mógł ją bez trudu odesłać. Poza tym Durant, który co prawda w gniewie był zdolny do wymierzenia ostrego ciosu, raczej nie uciekałby się do trucizny. A jeśli nawet miał powód, by zabić Serephine, co mogło go skłonić do otrucia Hermine i Mazenta? Elene szczerze wątpiła, czy w tej sprawie prawda kiedykolwiek wyjdzie na jaw.

W pierwszym tygodniu listopada prefekt koloni Laus-

sat pewny, że otrzymanie oficjalnego potwierdzenia opóźni się jeszcze o dwa tygodnie, wybrał się na wyprawę w górę rzeki, by przed opuszczeniem Luizjany zwiedzić okolicę. W mieście powtarzano, że będąca już w zaawansowanej ciąży i unikająca spotkań towarzyskich madame Laussat powoli zaczyna robić listę rzeczy, które należy spakować przed wyjazdem.

Kilka dni później Elene spotkała ją na targu. Żona prefekta przyglądała się z boku, jak jej majordomus kupował łososia, a najmłodsza córka bawiła się z małąką oferowaną na sprzedaż przez marynarza, który przyplłynął z południowej Afryki. Choć suknia doskonale skrywała jej figurę, widać było, że madame Laussat sporo przytyła. Nadal jednak prezentowała się bardzo elegancko.

Mijając ją, Elene z uśmiechem wypowiedziała słowa powitania, lecz nie zatrzymała się. Nie widziała powodu, dla którego żona prefekta miałaby ją pamiętać po jednym przypadkowym spotkaniu i nie chciała się jej narzucać.

- Panna Larpent, prawda? Dzień dobry - powiedziała madame Laussat.

Elene niezmiernie ucieszył fakt, że została zapamiętana. Uprzejmie zapytała żonę prefekta o zdrowie i stały przez chwilę, rozmawiając o błahostkach. Wreszcie madame Laussat powiedziała:

- Nie powinnam pani dłużej zatrzymywać. Chciałam tylko powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że mój mąż pozabawił panią towarzystwa pana Bayarda. Ufam jednak, że dojdzie pani do wniosku, iż korzyści, jakie jego misja przyniesie Luizjanie, znacznie przewyższą wiążące się z tym przykrości.

Elene poczuła, jak na jej twarz wypływa rumieniec. Madame Laussat najwyraźniej nic nie wiedziała o jej przeprowadzce. Pragnąc jak najszybciej ukryć zażenowanie, odparła:

- Jestem pewna, że z radością pospieszył z pomocą pani mężowi.

Madame Laussat się roześmiała.

- Jakoś trudno było dostrzec tę radość! Prawdę mówiąc, odniosłam wrażenie, że wyjeżdżając, był czymś mocno zaniepokojony. Jest jednak bardzo lojalnym obywatelem i stawia obowiązek ponad własne pragnienia.

Czy madame Laussat świadomie wybrała właśnie te słowa? Patrząc za odchodzącą kobietą, Elene nie była pewna. Ruszyła powoli przed siebie, lecz zaraz znów się obejrzała. Madame Laussat wyglądała w odmiennym stanie prześlicznie, jej cera promieniała zdrowiem, a na twarzy malował się wyraz powagi. Poruszała się bardzo zgrabnie i z wielką godnością. Za kilka krótkich miesięcy na świat przyjdzie jej dziecko, jakże upragnione, bardzo kochane, mimo że jego poczęcie mocno skomplikowało plany całej rodziny.

A jej własne dziecko...

Elene była w ciąży. Podejrzewała to już od pewnego czasu; zastanawiała się nawet, czy Devota nie domyśliła się czegoś, zanim jeszcze Elene wyprowadziła się z domu Ryana. Jeśli nie byłaby aż tak zajęta swoim romansem, na pewno coś by zauważyła.

Dziecko było wyłącznie jej sprawą. Sama się nim zajmie. Już je kochała i pragnęła, by przyszło na świat, choć przyznawała się w duchu do związanych z tym trudności. Od czasu do czasu zastanawiała się, co powiedziałyby Ryan, gdyby dowiedział się o wszystkim. Nigdy nie rozmawiali o takiej ewentualności. Postanowili o tym nie myśleć, jakby coś takiego nie mogło się im przydarzyć. Przyznała w duchu, że nie było to rozsądne, lecz teraz nie miało już żadnego znaczenia. Nie mogła oczekiwać od mężczyzny, który opuścił ją tylko dlatego, by udowodnić, że jest do tego zdolny, żeby przejął się nowiną o dziecku.

Niedługo Durant na pewno zauważy jej odmienny stan. Nie bała się go ani tego, co może zrobić, lecz chciała jak najdłużej odsuwać tę chwilę. Nie bardzo wiedziała, czego może się po nim spodziewać. Dawniej na pewno zaczęłyby z niej szydzić, teraz jednak nie była już tego pewna. Durant naprawdę się zmienił, od czasu opuszczenia wyspy stał się bardziej powściągliwy w ferowaniu opinii. Może powinna się z tego cieszyć, gdyż dzięki temu kilka ostatnich tygodni nie było aż tak trudnych, lecz w rzeczywistości czuła się nieswojo.

Nie poczuła się wcale lepiej, gdy cztery dni później Durant z radością poinformował ją o wydawanym przez siebie przyjęciu. Był wyraźnie podniecony tym wydarzeniem, lecz jednocześnie bardzo spięty. Zaprosił wszystkich znajomych - mężczyzn, z którymi pił i uprawiał hazard, kilku plantatorów, którzy zjechali z rodzinami do miasta i oczywiście tych, którzy wraz z nimi uciekli z wyspy na statku Ryana. Nalegał, by Elene była jego honorowym gościem i nie chciał słuchać żadnych wymówek. Szczerze wyznał, że nakazy przyzwoitości nie mają żadnego znaczenia. Wszyscy wiedzieli, że zajmują pokoje w jednym domu, a fakt, że ich pokoje znajdują się na różnych piętrach, dla plotkarzy wcale się nie liczył. W całym mieście i tak opowiadano, że są kochankami.

Elene przyszło do głowy, że to on sam rozpowiedział o jej przeprowadzce. Ona nikomu się z tego nie zwierzała, a poza tym prawie nikogo nie widywała. Nie oskarżała go jednak. Plotek mogli równie dobrze dostarczyć zawsze bardzo w tych sprawach gorliwi służący.

Nie była w nastroju do zabawy. Nie odczuwała typowych dla jej stanu porannych mdłości, lecz popołudnia i wczesne wieczory dawały się jej we znaki. Falę mdłości budził wówczas każdy, najbardziej nawet delikatny zapach. Praca nad perfumami męczyła ją tak bardzo, że postanowiła z niej na dwa lub trzy tygodnie zrezygnować.

Zapadł już zmierzch, gdy zaczęła się przygotowywać do przyjęcia. Siedziała przy toalecie w szlafroku, zaplatając włosy w warkocze. Czekwała na Devotę, która miała przyjść i pomóc jej się ubrać. Kiedy więc usłyszała delikatne skrobanie do drzwi, kazała służącej wejść do środka. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Zajęta zaplataniem włosów nie podniosła wzroku, dopóki jej uwagi nie zwróciła przedłużająca się cisza. W tafli lustra zobaczyła odbicie Duranta. Miał już na sobie czarny frak, szare spodnie i nieskazitelnie białą koszulę. Odwróciła się gwałtownie.

- Nie chciałem cię przestraszyć - powiedział spiętym głosem. - Przyszedłem, by ci powiedzieć, że coś się stało w kuchni domu Bayarda i twoja służąca trochę się spóźni. Mogę ci w zamian zaoferować swoją pomoc.

- Dziękuję, jakoś sobie poradzę.

Patrzył nie na jej twarz, lecz na rozchyłony szlafrok, gdzie widać było zarys krągłych piersi, znacznie teraz pełniejszych. Kiedy obronnym gestem szybko zasunęła poły szlafroka, zrobił krok naprzód.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, oczywiście. - Nie była to do końca prawda, lecz może dzięki temu uda się jej go pozbyć.

- Zauważyłem ostatnio, że wieczorami jesteś jakaś milcząca i nie masz ochoty na kolację.

- Doprawdy?

- Można by pomyśleć, że coś ci dolega.

- Nie sędzę.

- Ja też nie. Serephine zachowywała się w dokładnie w ten sam sposób, gdy była *enceinte*.

Zmusiła się do śmiechu.

- No wiesz!

- To przecież zupełnie normalne, gdy młoda, zdrowa kobieta dzieli łożę z mężczyzną. Zastanawiałem się nawet, kiedy pojawią się pierwsze objawy.

Elene nagle miała dość udawania.

- Teraz już wiesz - odparła twardym tonem.

Uśmiechnął się.

- Tak, wiem. Kiedy możemy się pobrać?

- Pobrać! - Nie wiedziała, czego ma się po nim spodziewać, lecz tym pytaniem zaskoczył ją zupełnie. Była pewna, że Durant jest człowiekiem zbyt dumnym, by uznać za swoje dziecko innego mężczyzny.

- Nie bądź taka zdumiona. Doszłoby do tego już wiele miesięcy temu, gdyby nie ten przekłety bunt i pojawienie się na scenie Bayarda.

- Od tamtej pory wszystko się zmieniło.

- Możemy sprawić, żeby było jak dawniej.

Wspominał już o tym wcześniej, jakby ich ślub miał mu przywrócić dawną pozycję, bogactwo i władzę. Potrząsnęła głową.

- Nic już nie będzie takie samo.

- Będę zadowolony, gdy stanie się choć trochę podobne.

Czy rzeczywiście? Jej decyzja wpłynie nie tylko na jej życie; musi teraz myśleć o dziecku. Jakim ojcem okaże się dla niego Durant? Czy pogodzi się z jego obecnością w swoim domu ze względu na nią, czy też jego propozycja jest okazją do zemsty na Ryanie? Chciał mu przecież zabrać jego dziecko.

- Dlaczego to robisz? - spytała cicho. - Na wyspie nigdy nie byłeś w stosunku do mnie zbyt wylewny.

- Wszystko się ułoży, tak jak ułożyłoby się, gdybyśmy się pobrali zgodnie z życzeniem naszych ojców. Jesteś mi przeznaczona.

Nie powiedział, że ją kocha... Z jednej strony była mu wdzięczna, z drugiej zaś napełniło ją to niekłamanym smutkiem.

- Wiesz, że to się nie uda. Jestem teraz inna, podobnie jak ty.

Przez jego przystojną twarz przebiegł skurcz rozdrażnienia.

- Ze względu na dziecko powinnaś się postarać, by wszystko ułożyło się jak najlepiej.

Uśmiechnęła się gorzko.

- To właśnie jedna z tych różnic, o których wspominałam.

- Jeśli mnie to nie przeszkadza, dlaczego ty miałabyś się przejmować?

Rzeczywiście, powinna się nad tym zastanowić.

- Będę musiała to przemyśleć - powiedziała w końcu.

- Jeśli chcemy uniknąć skandalu, nie mamy zbyt wiele czasu.

Chciał przez to powiedzieć, że jeśli ma uznać dziecko za swoje, muszą się pospieszyć. Czy mogła mu na to pozwolić, nie mówiąc nic Ryanowi? Nie. Poczekaj do jego powrotu. Jeśli Durantowi zależało na niej, nie będzie się temu sprzeciwiał.

- Mamy dość czasu.

Po dwóch godzinach przekonała się, że nowoorleańskich znajomych Duranta przywiodła do jego domu obietnica kart, dobrego jedzenia, wina i mocniejszych alkoholi. Uchodźcy z wyspy zjawili się z czystej ciekawości. Słyszeli już o jej przeprowadzce i podejrzewali zmianę na stanowisku oficjalnego opiekuna. Nie mogli się doczekać, by zobaczyć, jak zachowa się Durant i co oboje powiedzą. Pikanterii całej sytuacji dodałaby oczywiście jeszcze obecność Ryana, lecz musieli obejść się smakiem.

W jadalni prym wodziła Devota, dbając o wszystkie szczegóły - od lśniących kryształów po nugat w kształcie lili, podany na złotych jesiennych liściach. Do niej też należało nadzorowanie, żeby wszystkie potrawy trafiały na stół w odpowiednim czasie. Pomagała jej w tym Germaine, która towarzyszyła Florze Mazent.

Flora wyglądała kwitnąco. Nadal nosiła żałobę, lecz jej suknia była niezwykle elegancko skrojona, a wysoki kołnierz z kremowej koronki stanowił piękne tło dla twarzy i długiej szyi. Włosy upięła niezwykle starannie z grzywką drobnych loczków nad czołem, a usta i policzki delikatnie pociągnęła karminem. Uśmiechała się wdzięcznie i rozmawiała z ożywieniem, a jej zachowanie można było bez wątpienia uznać za kokieteryjne. Nie zdradziła jednak, czy przyczyną jej dobrego humoru są ponowne zaręczyny.

Jako ostatni zjawili się Morven, Josie i madame Pitot. Kiedy tylko przeszli przez próg, aktor pozostawił towarzyszące mu panie samym sobie. Przystojny i jak zwykle uroczy, chodził po pokoju, rozdając i otrzymując komplementy. Zatrzymał się dopiero przy krześle, na którym siedziała Elene.

Pochylił się nad jej dłonią, powiedział, że wygląda oszałamiająco i spytał cicho z kpiącym uśmiechem:

- Czy jest pani pewna, że tu jest pani lepiej niż u Ryana?

Pomyślała od razu, że na pewno nie chciał jej zranić, lecz stało się inaczej. Jego słowa ukłuły ją niczym ostrze noża. Nie była wcale zaskoczona tym, że aktor spodziewał się najgorszego, ale duma nie pozwoliła jej przyznać mu racji.

- Panu też było lepiej u boku wdowy niż z Hermine.
- Ach, już rozumiem. To układ czysto finansowy.
- Można tak to określić.
- Byłem przekonany, że Ryan tylko wyjechał z miasta, a nie zbankrutował. Szkoda, że jego pomoc dla prefekta tak wiele go kosztowała.
- Nie wiem, o co panu chodzi.
- Nie? W przeszłości zawsze unikał wielkich gestów. Nie wiem, dlaczego teraz zmienił zdanie.
- Wielkich gestów?

- Takich jak choćby ta trudna i niebezpieczna podróż. Nie przyniesie mu przecież żadnych korzyści, a tylko sińki od długiej jazdy w siodle.

- A wdzięczność jego kraju?

- No, tu mamy problem. Ma pani na myśli Hiszpanię, Francję czy Stany Zjednoczone?

- Francję, oczywiście! - odparła, rozdrażniona ironią zawartą w jego pytaniu.

- Tak, jej wdzięczność nie będzie miała granic. Kto mógł go jednak przekonać, że warto dla niej ryzykować życie?

Patrzyła na niego zdumiona. To ona tłumaczyła Ryanowi, jak ważne są interesy Francji. Jeśli coś mu się stanie, ona będzie temu winna. Ale czy na pewno? Była pewna, że Ryan miał swoje powody, które kazały mu wyruszyć w podróż do Waszyngtonu, i nie miały one z nią nic wspólnego. Mogła się jednak mylić.

- Czy wypije pan kieliszek wina? - spytała z nieżywą uprzejmością.

Morven roześmiał się ze zrozumieniem.

- Dobrze, zmienimy temat. Ale tylko trochę. Miałem nadzieję, że nie będzie tu pani szczęśliwa. W mojej trupie zwolniło się miejsce.

- Miejsce? Dla aktorki?

- Nasza pierwsza naiwna odeszła. Jakoś nie mogła dogadać się z Josie.

- Z panem nie miała jednak takich problemów?

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Ja z reguły nie mam problemów z kobietami.

- Zauważyłam!

- Naprawdę? - spytał pełen podziwu dla jej złośliwej uwagi. - Wobec tego nie będzie pani zaskoczona, że z radością dowiedziałem się o pani rozstaniu z Ryanem. Nie mam w zwyczaju uwodzić podstępnie wybranek moich przyjaciół, lecz Durant nie zalicza się do ich grona.

Słyszac jego deklaracje, w ktorej dzwiczalo przekonanie, ze jego slowa sprawa jej na pewno wielka przyjemnosc, poczula, ze brak jej tchu.

- Jako aktorka bylaby do niczego - powiedziala zdecydowanym tonem.

- Moge pania nauczyc tego rzemiosla, no i oczywiscie jeszcze paru rzeczy.

- Dziekuje, nie. Nie jestem tez pierwsza naiwna.

- To dostanie pani glowna role. Będzie z pani wspaniła tragiczka.

- I mam pozbawic Josie tej przyjemnosci? Ona nigdy na to nie pozwoli!

- Nie będzie miała wyboru - odparł, wzruszając ramionami. - Szczerze mówiac, troche brakuje jej talentu, poza tym robi się zbyt pulchna.

- Nie mogłabym pozbawic jej pracy. No i jest jeszcze Durant.

- Lojalnosc to doprawdy wspaniła cecha, ale czy ma pani pewnośc, ze Gambier jest jej godny?

Elene spojrzala mu prosto w oczy, nie zwracając uwagi na delikatny usmieszek, ktory powoli wypłynął na jego usta.

- Proszę mi powiedziec, czy czasami czuje się pan odpowiedzialny za smierc Hermine?

- A powinienem? - spytał niewzruszony, choc w jego ciemnych oczach pojawil się cień smutku.

- Możliwe, ze umarła z miłosci do pana. Nieważne, czy sama odebrała sobie zycie, czy nie.

Rysy jego twarzy stęzaly.

- Wycofuję moja propozycje aktorskiej wspolpracy. Obawiam się, ze w naszych wspólnych scenach smierci mogłaby pani skorzystac z prawdziwego sztyletu.

Sklonil się i odszedł. Elene patrzala, jak dołączyl do Josie, ktora w rogu pokoju śmiała się z Durantem.

Młoda aktorka rzeczywiscie ostatnio przytęła. Jej

twarz, ramiona i piersi zaokrąglily się, a zaróżowiona skóra z pewnościa bardzo się panom podobała. W niedalekiej przyszłosci Josie na pewno stanie się gruba, ocięzala kobieta o nalanej twarzy, lecz dzis byla nadal bardzo atrakcyjna i interesujaca towarzyska dla tych, ktorzy nie szukali w kobiecie inteligencji. Czy to możliwe, ze zabila Hermine, pragnac zajac jej miejsce?

Elene podeszła na chwile do siedzacych samotnie panstwa Tusard. Wymienili pare uprzejmych uwag o pogodzie i innych gościach. Madame spojrzala na Josie i prychnęła z pogarda, lecz powstrzymala się od wszelkich komentarzy. Na wszelki wypadek jednak nie puszczała ramienia męża. Monsieur Tusard ignorował aktorkę. Elene zastanawiala się, czy to on się w koncu opamiętał, czy tez może Josie znalazła sobie nowego protektora. Po chwili musiala się rozeźmiać. Jeśli nie będzie się pilnować, niebawem w snuciu najbardziej nieprawdopodobnych domysłów dorówna samej madame Tusard.

Niezwykła ciekawosc tej kobiety szybko dala o sobie znac, gdy niby od niechcienia zaczęła rzucać uwagi na temat nowej sytuacji Elene. Jako ze jej wzrok przez cały czas spoczywał na drzwiach dodatkowej sypialni Duranta, Elene doszła do wniosku, ze powinna pokazac madame Tusard swoje spartańskie mieszkanko na drugim pietrze. Ku jej zaskoczeniu dołączyl do nich kilka innych dam, ktore wyrazily zainteresowanie jej pracą i nowymi perfumami. Szybko się jednak okazalo, ze wiecezosc z nich chciala tylko zaspokoic swoja ciekawosc, a pozostale poprawic suknie i skorzystac z toalety.

Do kolacji usiadło dwadzieścia osób. Kucharz właścicielki przeszedł samego siebie, przygotowując niezwykle delikatne ostrygi, gołabki w winie i wołowinę podawaną z przyprawionym ziołami ryżem i sufletem z kapusty. Kolacje wieńczyły naleśniki z orzeszkami i śmietaną, oblane koniakiem, ktory tuż przed podaniem pod-

palono. Menu opracował osobiście Durant po konsultacji z kucharzem. Cisza, w jakiej spożywano potrawy, świadczyła, że goście w pełni docenili jego wybór.

Elene siedziała po prawej ręce Duranta, odważnie próbując stawianych przed nią dań. Raz czy dwa przyłapała utkwione w jej twarzy spojrzenie Duranta i uśmiechnęła się do niego blado. Cieszyła się jednak bardzo, że siedzący po jej prawej stronie monsieur Tusard postanowił się skoncentrować na jedzeniu, gdyż nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę.

Kiedy służba zebrała talerzyki deserowe i postawiła na stole talerze z serami i orzechami, Durant wstał. Delikatnym stukaniem w stół uciszył swoich gości, po czym uniósł kieliszek z winem.

- Przyjaciele - powiedział - z wielką przyjemnością oglądam was tu, przy moim stole. Szczęściem należy się dzielić i dlatego zaprosiłem was dziś wieczór, bym mógł z wami radować się z powodu zbliżającej się uroczystości, w czasie której pojmę za żonę siedzącą tu obok mnie damę. Panie i panowie, wznoszę toast za moją byłą i obecną narzeczoną. Za piękną Elene!

-XIX-

Słyszac łomotanie do drzwi, Elene zerwała się z mocno bijącym sercem. Było już późno. Durant spędzał ten wieczór poza domem. Po drugiej stronie drzwi mógł więc stać jakiś złoczyńca, który przechodził akurat obok ich domu. Mogła to jednak być także i inna osoba.

Przełknęła ślinę i zrobiła parę kroków naprzód.

- Kto tam?

Głos, który usłyszała, był pełen gniewu, lecz jednocześnie boleśnie znajomy.

- Otwieraj te drzwi albo je wyłamię!

Ryan.

Podeszła, by przekręcić klucz i musiała gwałtownie się odsunąć, gdy jak burza wpadł do środka. Widząc zacięty wyraz jego twarzy i zaciśnięte w pięści dłonie, wpadła w złość.

- Wejdz, proszę! - powiedziała pełnym ironii tonem, zamykając z trzaskiem drzwi.

Ryan odwrócił się, by rzucić jej pełne wściekłości spojrzenie i poczuł, że gniew powoli go opuszcza. Od jego wyjazdu twarz Elene nieco się zaokrągliła, lecz rysy były jeszcze bardziej szlachetne. Szarosrebrne oczy wydawały się jakby większe, a jej skóra miała blask macicy perłowej. Przygotowywała się już do snu, gdyż włosy spływały na plecy i ramiona gęstą, złotą falą, lśniąc w blasku stojących przy łóżku świec.

Szybko odwrócił wzrok i rozejrzał się po pokoju. Pod-

szedł do drzwi składowego i otworzył je gwałtownym ruchem. Jedno spojrzenie wystarczyło, by przekonać się, że pokój jest pusty.

- Gdzie jest Gambier?

- Nie ma go tutaj i nigdy nie będzie. Te pokoje należą do mnie, tylko do mnie.

Wyraz jego twarzy nie zmienił się jednak, gdy odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Co ty tutaj robisz, na miłość boską?

- Musiałam przecież gdzieś się podziać. - Zacisnęła mocno ręce i ze wszystkich sił starała się, by jej głos zabrzmiał spokojnie.

- Musiałaś? Źle ci było w poprzednim miejscu?

- Nie mogłam tam mieszkać wiecznie. Muszę wreszcie sama zająć się własnym życiem i nie było powodu, by odkładać to bez końca.

- Odejdźcie z Gambierem uznajesz za zajmowanie się własnym życiem?

Elene usłyszała zawartą w jego głosie pogardę.

- Nie odeszłam z nim, jak raczyłeś to określić. On tylko zapłacił za ten pokój...

- Przyznajesz się więc?

- Do niczego się nie przyznaję! Zamieszkałam tu jedynie na jakiś czas, dopóki...

- Dopóki nie wyjdiesz za mąż.

- Nie zamierzamy się wcale pobierać!

Odwrócił się gwałtownie.

- Daj spokój, całe miasto o tym mówi. Usłyszałem o tym od dwóch osób, zanim zdążyłem przywiązać dziś konia przed domem Laussata. I jeszcze dwa razy po przekroczeniu bram miasta.

- To Durant postanowił to ogłosić. Co wcale nie znaczy, że ja wyraziłam zgodę.

- Te rzeczy zazwyczaj idą w parze.

- Może doszedł do wniosku, że zdoła mnie zmusić.

Ryan poczuł, jak ogarnia go gorąca fala ulgi. Zmarszczył brwi, by nic po sobie nie pokazać.

- Nie będzie więc żadnego ślubu?

- Tego nie powiedziałam.

- Nic już nie rozumiem.

Miał rację, ona też nie mogła tego pojąć. Próba wykozystania jej stanu przez Duranta bardzo ją rozgniewała. Powiedziała mu jasno, że nie pozwoli się do niczego zmuszać, lecz nie zdołała zniszczyć jego pewności siebie. Czuła, że znalazła się między młotem a kowadłem: mogła wyjść za człowieka, którego nie kochała, albo samotnie wychowywać dziecko. Gdyby powiedziała stojącemu przed nią mężczyźnie, że zostanie ojcem, na pewno powtórzyłby propozycję małżeństwa, lecz czy chciała wychodzić za niego tylko z tego powodu?

Wzruszyła ramionami.

- Powiedziałam Durantowi, że wyjdę za niego dopiero wtedy, gdy w mieście zapanuje francuskie prawo. Hiszpanie mają zdecydowanie zbyt dużą władzę nad żonami.

- To możesz już wyznaczyć datę. Przekazanie kolonii Francji nastąpi trzydziestego tego miesiąca.

Wymyśliła tę wymówkę głównie po to, by uspokoić Ryana.

- Tak szybko? - odparła teraz, wstrzymując oddech.

- Laussat ma powody, by się spieszyć. Wszystko zostało zaplanowane wiele tygodni temu.

Powodem była oczywiście ciąża jego żony. Czy jej się zdawało, czy też Ryan bacznie się jej przyglądał? Odwróciła się.

- To chyba nie ma zbyt wielkiego znaczenia. Zawsze mogę wybrać niezależność. Pewnie zaciekaw cię to, że znów postanowiłam zająć się wytwarzaniem perfum.

- Z pomocą Gambiera! - rzekł bezbarwnym tonem.

Spojrzała na niego z błyskiem gniewu w oku.

- Nie! Sama.

Ryan wysłuchał opowieści o sprzedaży kolczyków. Kiedy skończyła, przyglądał się jej przez długą chwilę. Chciał ją chwycić w ramiona i siłą zaciągnąć do swojego domu. Powstrzymywał się z wielkim trudem. Stała przed nim tak pełna godności i zdecydowania, że nie ośmielił się tego zniszczyć.

- U mnie miałybyś więcej miejsca do pracy.

Tylko w ten sposób mógł ją poprosić, by wróciła. Nie potrafił błagać. Jednak i ona nie była kobietą gotową pośpiesznie spakować walizki, by ruszyć za mężczyzną.

Uniosła brwi.

- To niezbyt szacowna propozycja.

- Szacowna? A czy ja kiedykolwiek dbałem o szacunek?

W pewnym sensie miał rację.

- Ludzie, z którymi prowadzisz interesy, szanują cię - powiedziała ostrożnie - i nie widzę powodu, by miało być inaczej, gdy zjawia się tu Amerykanie.

- A co oni mają z tym wspólnego? - W jego oczach pojawił się wyraz zakłopotania. Wiedział, że Elene próbuje mu coś powiedzieć, lecz nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

- Będiesz... będziesz potrzebował żony, a ja... - Poczowała nagły ucisk w gardle i nie mogła dalej mówić. Opuściła głowę.

- Wiem. Ty nie chcesz wychodzić za mąż, przynajmniej nie za mnie.

- Nie chcę też być twoją kochanką, gdy zdecydujesz się poślubić inną kobietę!

- Nie wiem, o czym mówisz. Po ślubie czy bez niego jesteś jedyną kobietą, jaką pragnę oglądać u szczytu mego stołu i przy swoim boku, gdy budzę się rankiem. A ponieważ mi odmówiłaś, sprawa została zakończona. Kieruj swoim życiem sama, jeśli tego właśnie chcesz.

Czuła, jak jego siła i przekonanie powoli zaczynają kruszyć jej opór. Rzuciła więc ostro:

- Tak, tego właśnie chcę!

Zaklął cicho, po czym ruszył w stronę drzwi. Chęć, by zawrócić i zabrać ją ze sobą siłą, walczyła w nim z podziwem dla jej odwagi i zdecydowania. Mógł zmusić Elene, by poszła razem z nim, ale ona tylko by go znienawidziła.

Napięte mięśnie jego twarzy zadrgały.

- Zostawię cię więc - powiedział ostro i zamknął za sobą drzwi.

Zrobiła jeden krok do przodu i zatrzymała się. Mogła powiedzieć jeszcze wiele rzeczy, lecz powstrzymały ją przed tym duma i strach. A nawet jeśli zdołałaby się przemóc, nie miała żadnych gwarancji, że zechce jej wysłuchać. Lepiej będzie, jak sobie pójdzie.

Pod koniec trzeciego dnia Elene pogodziła się z faktem, że Ryan już nie wróci. Postanowiła też, że na pewno nie poślubi Duranta. Jeśli przez pewien czas miała jeszcze cień wątpliwości, to spotkanie z Ryanem rozwiązało je ostatecznie. Z chęcią wyjawiałaby Durantowi swoją decyzję, lecz on przez całe popołudnia i wieczory świętował z przyjaciółmi zbliżające się przekazanie koloni, a rankami odsypiał skutki tych eskapad.

Tymczasem Elene zaczęła myśleć o swoim dziecku. Jeśli ma wychowywać je sama, musi jak najszybciej zdobyć środki na jego utrzymanie. Najwyższy już czas zabrać się do robienia perfum Devoty, bez względu na to, ile wysiłku będzie ją to kosztowało. Spozrzegła, że lawendowe wstążeczki na flakonikach zniszczyły się zupełnie i trzeba je było wymienić. Postanowiła na początek zająć się tą drobną pracą.

Kupienie wstążeczki na zaledwie cztery flakoniki nie zajęło jej jednak zbyt dużo czasu. Nie chcąc wracać od razu do pustego pokoju, ruszyła powoli w stronę rzeki. Stojąc na grobli w powiewach chłodnego wiatru, spoglą-

dała na pomarszczoną falami powierzchnię wody. Pomyślała o wielu kobietach na całym świecie, które w jej sytuacji decydowały się na desperacki skok. Ona jednak nie chciała rozwiązywać swoich problemów w ten sposób. Życie nie było łatwe, lecz obiecywało więcej radości niż bólu. Zawsze będzie tak myśleć. Powoli ruszyła w stronę domu.

Po drodze zauważyła idącą w jej kierunku sprzedawczynię pralinek. Mulatka cichym, melodyjnym głosem zachwalała towar, który niosła na opartej na biodrze tacy. Idąc, kołysała zalotnie spódnicami i uśmiechała się kokieteryjnie. Pod czerwonym turbanem z chustki kołysały się duże złote kolczyki. Pralinki chroniła przed muchami bielutką ściereczką, a kiedy Mulatka unosiła ją na chwilę, w powietrzu unosił się słodkawy, śmietankowo-czekoladowy zapach, mieszając się z wonią dymu, wyziewami z rynsztoków i perfumami kobiety.

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu Elene nie poczuła ogarniającej ją fali mdłości. Świeże, wieczorne powietrze i dłuższy spacer zrobiły swoje. Nagle poczuła, że jest głodna i kupiła płaską czekoladkę ozdobioną kawałkami orzeszków. Mulatka uśmiechnęła się do niej promiennie spod gęstych rzęs i wyszeptała słowa podziękui, po czym ruszyła ulicą, znowu zachwalając śpiewem swój towar.

Wchodząc po schodach na górę, Elene ugryzła kawałek czekoladki. Nie zrobiło się jej niedobrze, do czego zdążyła się już przyzwyczaić o tej porze dnia. Kiedy zdjęła czepek i rękawiczki, ułamała większy kawałek ze sporym orzeszkiem i włożyła go do ust.

Natychmiast poczuła na języku przejmującą gorycz. Skrzywiła się. Orzeszek na pewno pochodził z rosnącego dziko drzewa. Całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz, a na czole pojawiły się kropelki potu. Szybko podeszła do łóżka, wysunęła spod niego porcelanowy nocnik i wypłuła resztkę czekoladki. Nagły skurcz żołądka sprawił, że wy-

rzuciła z siebie kawałek, który zjadła wcześniej, oraz wszystko, co zjadła na obiad. Opadła na kolana, walcząc ze skurczami, które wstrząsały całym jej ciałem.

Nareszcie ustały, lecz żołądek nadal nie dawał jej spokoju. Przestraszyła się. Wiedziała, że zachowuje się głupio. To przecież tylko niewielka, typowa dla jej stanu przypadłość. Kobiety często cierpiały z jej powodu w pierwszych miesiącach ciąży. Mimo to zaczęła się bać. Przytrzymując się łóżka i ścian, wyszła na schody i zawołała gospodynię.

Devota zjawiła się natychmiast. Za nią z trudem nadszła mała służąca, którą wysłano po nią do domu Ryana. Devota spojrzała na wijącą się na łóżku Elene, na jej mokre od potu włosy i zażądała gorącej wody. Z przyniesionej ze sobą torebki wyjęła suszone zioła oraz biały i żółty proszek. Wsypała wszystko do filiżanki i zalała wrzątkiem. Pochylając się nad Elene, kazała jej pić, jeszcze, jeszcze i jeszcze.

Skurcze ustały. Elene mogła teraz wyprostować nogi, a oddychanie nie sprawiało jej już wielkich trudności. Nie puszczała jednak ręki Devoty do chwili, gdy zapadł zmrok i zmęczona zasnęła.

Kiedy się obudziła, był już ranek. Devota zniknęła. Za oknami padał lekki deszcz. Słyszała delikatne uderzenia kropli o dach domu. Leżała na łóżku, wpatrując się w fałdy moskitiery, z ręką opartą na brzuchu. Jej dziecko, jeszcze tak maleńkie, było bezpieczne. Były takie chwile minionego popołudnia, gdy bardzo się o nie bała. Nie miała pojęcia, że związane z jej stanem mdłości mogą być aż tak silne. Na szczęście magia Devoty raz jeszcze okazała się bardzo przydatna.

Magia unosiła się w powietrzu także i tego ranka, bo nagle dziecko stało się dla niej istotą jak najbardziej realną. Do tej pory traktowała swój stan jak chorobę czy też problem, który należy jak najszybciej rozwiązać.

Rozmawiała o dziecku z Devotą, myślała o nim, lecz w jej umyśle przyjmowało bardziej postać malutkiego duszka niż żywej istoty. Gdyby je straciła, poczułaby w równym stopniu smutek i wielką ulgę. Teraz wiedziała już, że maleństwo jest częścią jej i Ryana, musi je więc chronić ze wszystkich sił.

Zasługiwało także na to, by poznać swojego ojca.

Elene poczuła, jak opuszcza ją apatia, ustępując powoli miejsca zdecydowaniu. Zbyt długo poddawała się biegowi wydarzeń, zbyt wiele czasu spędziła, opłakując to, co straciła. Wystarczy. Teraz musi zdecydować, czego naprawdę chce i to osiągnąć. Jeśli nie potrafiła kierować własnym życiem, jak uda się jej w przyszłości pokierować życiem dziecka?

Ryan musi się o wszystkim dowiedzieć. Zachowała się jak tchórz, nie mówiąc mu o tym od razu. Nie ma żadnego wpływu na jego decyzję, ale on musi o wszystkim wiedzieć. Powinna zabrać się do pracy nad nowymi perfumami i dać sobie spokój z mało istotnymi drobiazgiami.

Jedynie śmierć znajomych, którzy zostali otruci, nie była drobiazgiem. Nie mogła o tym zapomnieć. Ale to była już sprawa władz. Dla niej stanowiła wygodną wymówkę i ucieczkę przed własnymi problemami. Już czas, by przestała to bez końca roztrząsać.

Grzechot naczyń, który rozległ się za drzwiami, oznajmił nadejście służącej z poranną kawą. Dziewczyna wsunęła głowę do środka i widząc, że Elene nie śpi, otworzyła szeroko drzwi.

- *Bonjour, mademoiselle.* Dobrze pani spała? Pani służąca, która była tu wczoraj wieczór, nie pozwoliła pani budzić. A teraz pan Durant kazał pani powiedzieć, że na Place d'Armes już gromadzą się ludzie. On sam udaje się tam za pół godziny i pyta, czy zechce mu pani towarzyszyć.

Uroczysta ceremonia przekazania Luizjany Francji

przez Hiszpanię miała się odbyć właśnie tego dnia w południe. Musi koniecznie iść. Odrzuciła pościel.

- Tak, pójdę z panem Durantem. Poproś, by na mnie poczekał, a potem przygotuj mi brązową suknię i szal.

- A pani kawa?

- Postaw ją na stole. Ruszaj się!

Deszcz nadal padał srebrną falą z poszarzałego nieba. Tłum zgromadzony na Place d'Armes chronił się przed nim w kruchcie kościoła świętego Ludwika i pod arkadami budynku rady miejskiej znanego jako *cabildo*, gdzie miała się odbyć oficjalna ceremonia przekazania władzy. Ludzie tłoczyli się też pod drzewami na przylegających do placu ulicach. Kilka dam trzymało nad głowami jedwabne parasolki lub przykrywało czepki szalami. Wąskie ronda kapeluszy panów ociekały wodą. Wielu z nich w przypływie lojalności przypięło do kłap trójkolorowe wstążeczki.

Oddziały hiszpańskie stały w szyku po jednej stronie placu, w powodzi czerwonych mundurów i białych kokard przypiętych do czapek. Po drugiej stronie, pod masztem, na którym wciąż dumnie powiewał sztandar Jego Katolickiej Wysokości Króla Hiszpanii, stały oddziały milicji, złożonej z obywateli miasta. Wśród tłumu szeptało, że wielu z nich przed laty walczyło u boku hiszpańskiego gubernatora Galveza, dzielnie broniąc Luizjany przed Brytyjczykami w wojnie, którą Amerykanie nazwali swoją rewolucją.

Na statku zacumowanym na rzece rozległa się nagle salwa honorowa. Wzdłuż grobli nadchodził Laussat. Mijał strażnicę broniącą dostępu do wojskowych baraków, idąc w towarzystwie pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu Francuzów. Rozległ się warkot bębna. Na dźwięk rozkazu oddziały hiszpańskie i milicja stanęły na baczność. Laussat wszedł na plac z dumnie podniesioną głową. Bęben warczał coraz głośniejsze, a gdy prefekt wraz z eskortą wszedł do budynku, umilkł gwałtownie.

Na placu słychać było jedynie cichy gwar rozmów i szum deszczu. Żołnierze stali nadal wyprężeni na baczność. Lekki wiatr zatrzepotał wiszącą na maszcie flagą i poruszył szerokimi liśćmi palm rosnących wokół kościoła.

Powoli tłum zaczął wychodzić na plac, otaczając żołnierzy i gromadząc się pod balkonem budynku rady. Elene i Durant podeszli tam z innymi. Elene dostrzegła machającą do niej Josie, która razem z Morvenem przepychała się w ich stronę. Przywitali się, a po chwili rozglądająca się wokół niespokojnie Josie zauważyła państwa Tusard i Florę Mazent i zaczęła machać w ich kierunku.

W tej właśnie chwili na balkonie pojawił się Laussat z siwym gubernatorem Salcedo oraz markizem de Casa Calvo, dyplomatą pełniącym rolę komisarza. Na dany znak flaga hiszpańska zaczęła powoli zsuwać się z masztu, a francuska - wędrować w górę. Kiedy trójkolorowy sztandar dotarł na szczyt i zatrzepotał na wietrze, na placu rozległy się radosne okrzyki. Wystraszyły siedzące na dachach gołębie, które przez chwilę krążyły nad głowami zebranych. Na placu znów zapadła cisza. Hiszpański oficer zwinął flagę swego kraju i wyniósł ją z placu. Tuż za nim ruszyły oddziały żołnierzy.

Elene poczuła nagle, jak stojący za nią Durant wyprężył się i zeszywniał. Spojrzała na niego, po czym powędrowała wzrokiem w tę stronę, w którą patrzył, mrużąc oczy. Mniej więcej dziesięć kroków od nich, tuż za Florą Mazent przez tłum przedzierał się Ryan.

Zbliżał się do niej, torując sobie drogę szerokimi ramionami. Na jego twarzy malował się zacięty wyraz, niebieskie oczy pociemniały. Elene przeszył nagły niepokój, a potem już tylko czekała, unosząc dumnie podbródek.

Ryan zauważył jej gest, który tak dobrze pamiętał,

i serce ścisnął mu ból. Próbował o niej zapomnieć, przeklinał ją w duszy jako okrutną kobietę bez serca i przed samym sobą przysięgał, że potrafi bez niej żyć. A jednak jego dom bez niej był przeraźliwie pusty, a on sam czuł się w łóżku bardzo samotny. Wspominał złotą falę jej włosów, ukrytych teraz pod czepkiem, rozrzuconych na poduszce; czuł jej gładką jak aksamit skórę i widział w jej szarych oczach wyraz zaspokojonego pożądania. W tej jednej kobiecie krył się nieodparty urok, nowe wyzwania i pełne rozkoszy ukojenie. Jeszcze tak niedawno należała do niego, ale sprawi, że znów do niego wróci. Będzie o to walczył, póki starczy mu sił.

Zatrzymując się przed Elene, skinął lekko głową pozostałym i dotknął końcami palców runda kapelusza. Bez niepotrzebnych wstępów rzekł:

- Słyszałem, że nie czułaś się najlepiej.

Devota oczywiście o wszystkim mu powiedziała, lecz nie wyjawiała powodu jej słabości. Jego pełne troski słowa, choć mówił ostrym tonem, zaskoczyły ją. Odpowiedziała więc krótko, pragnąc ukryć drżenie głosu:

- To nic wielkiego.

- Żadnych kłopotów z żołądkiem nie można uznać za mało ważne. Nie wśród nas, przybyłych z Santo Domingo, i nie teraz.

Jej oczy zaszyły mgłą, gdy w pełni dotarło do niej znaczenie jego słów. Jej też to przyszło do głowy, lecz podejrzenia wyparło przekonanie o mdłościach związanych z odmiennym stanem. Czyżby to rzeczywiście było możliwe?

- Och, Elene - wykrzyknęła nagle Josie, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami. - Powinam to była zauważyć wcześniej. Wyglądasz zupełnie tak jak Hermine, gdy brała arsenik. Naprawdę.

Jak Hermine. Błada, przejrzysta cera. Arsenik. Jeśli ona umrze, umrze także jej dziecko. Elene się zachwiała.

W oczach Ryana natychmiast pojawił się wyraz zatro- skania. Szybko odsunął Duranta na bok, niczym naprzy- krzającego się komara i szybkim, zgrabnym ruchem wziął Elene na ręce.

- Nie, nie - zaprotestowała. - To tylko chwila słabo- ści. Nie jadłam kolacji ani śniadania.

Z pociemniałą od gniewu twarzą Durant zacisnął dłoń na ramieniu Ryana.

- Kobieta, którą trzymasz, jest moją narzeczoną. Puść ją natychmiast.

Ryan się odwrócił.

- Chyba omówiliśmy już to na pokładzie „Sea Spirit”.

- Może. Lecz teraz wszystko się zmieniło.

Durant chwycił Elene za ramię, wbijając palce w jej ciało, jakby chciał ją siłą oderwać od Ryana. Elene wy- rwała się, nie chcąc stać się przedmiotem walki pomię- dzy dwoma mężczyznami. Zauważyła zdumione spojrze- nia ludzi i odwracające się ku nim głowy. Czuła obejmu- jące ją ramiona Ryana i z bólem uświadomiła sobie, jak wielką sprawia jej to przyjemność.

- Przestańcie! - wykrzyknęła. - Natychmiast! Puść mnie!

Durant wsunął rękę pomiędzy Elene i Ryana, próbując wyrwać dziewczynę z jego ramion. Rzucił Ryanowi pełne wściekłości spojrzenie.

- Oddaj mi ją! - warknął przez zaciśnięte zęby.

Ryan roześmiał się szyderczo. Cofając się, podniósł nogę i kopnął mocno Duranta w brzuch.

Gambier puścił ramię Elene. Zachwiał się, rozrzucając ramiona, i powoli osunął na ziemię. Natychmiast oparł się na łokciu. Zacisnął mocno usta i spojrzał na Bayarda, mrużąc z wściekłości oczy.

- Spotkamy się jeszcze - rzucił. - Domagam się satys- faksji.

- Nie - szepnęła Elene na tle pełnych przerażenia

westchnień zebranych wokół nich ludzi. Jak przez mgłę usłyszała jęk Josie i cichy okrzyk Flory.

Ryan nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Pałacy wzrok utkwiał w leżącym na ziemi przeciwniku.

- Spotkamy się na pewno, ale wątpię, czy przyniesie ci to satysfaksję.

- Nietrudno mnie zadowolić. Chcę cię tylko zabić - rzucił jadownicę Durant, wstając i obciążając rękawy.

- Spróbuj. - Ryan spojrzał na Morvena. - Będziesz moim sekundantem?

- Tak. Masz drugiego kandydata? - Gdy Ryan podał mu nazwisko, schylił lekko głowę. - Nic się nie martw. Zajmiemy się wszystkim.

Ryan skinął głową, odwrócił się i zaczął się powoli przeciskać przez tłum. Zebrani wokół nich ludzie rozstą- pili się, tworząc szerokie przejście. Maszerował dumnie, trzymając w ramionach Elene. Na jednej z dochodzą- cych do placu ulic czekali na nich Devota i Benedict i ruszyli posłusznie za nimi.

W tej właśnie chwili na placu rozległy się radosne okrzyki, gdyż na balkonie pojawił się Laussat. Za- grzmiała salwa z dział i wystrzały z muszkietów. Kiedy ucichły, nowy gubernator Luizjany zaczął swoje przemó- wienie. Jego głos stawał się coraz cichszy, w miarę jak Ryan oddalał się od placu.

- Co ty wyprawiasz? - spytała Elene bez tchu. - Lu- dzie się na nas gapią.

- Biorę to, na co mam ochotę - odparł donośnym gło- sem. - Czego innego można się spodziewać po korsarzu?

Poczuła ogarniającą ją falę radości. Jej pierś unosiła się gwałtownie, a pod powiekami piekły łzy. Pod głową czu- ła mocne jak stal mięśnie. Jego siła przytłaczała ją, nie mogła z nią walczyć.

- Potrafię iść sama. Masz mnie natychmiast puścić.

- Nie, dopóki nie zaniosę cię tam, gdzie twoje miejsce.

Przez jej napięte ciało przebiegł dreszcz.

- Nie mogę tego znieść.

- Doprawdy? To szkoda, bo będzie jeszcze gorzej.

Deszcz wciąż padał drobnymi kroplami, które wisały na ich brwiach i rzęsach i lśniły niczym diamenty na wargach. Kapały z ronda kapelusza Ryana, lądując na ramieniu Elene i opadały na ziemię, tworząc błotniste kałuże. W oddali dostrzegła zarys domu Ryana, stojącego dumnie we mgle.

Szum deszczu ucichł, gdy Ryan prznosił ją przez bramę. Powoli wszedł po schodach na ganek. Na szczycie odwrócił się do dwójki służących, którzy wciąż podążali jego śladem.

- Idźcie do pensjonatu i przynieście wszystkie jej rzeczy.

- Wezmę jedną z dziewcząt - powiedziała Devota do Benedicta, wymieniając z nim porozumiewawcze spojrzenie. Majordomus skinął głową.

Ryan nie zauważył tej wymiany spojrzeń. Wszedł do sypialni i zamknął drzwi mocnym kopnięciem. Podszedł do łóżka i niezbyt delikatnie położył Elene na miękkim materacu.

Uniosła się na łokciu. Jednak zanim zdążyła się podnieść, Ryan znalazł się obok niej, kładąc ramiona po obu jej bokach.

- Powiedz mi, dlaczego? - spytał twardym, lecz pełnym bólu głosem.

- Dlaczego co? - rzuciła w odpowiedzi. Gniewało ją to, że postanowił użyć siły. Jednocześnie cieszyła się, że okazał tak wielką determinację, żeby tylko mieć ją znów przy sobie.

- Dlaczego odeszłaś z Gambierem?

- Może miałam już dość tego, że wciąż chcesz kierować moim życiem. Nie możesz ściągać mnie tutaj siłą i zakładać, że zostanę.

- Mogę - odparł z niewzruszoną pewnością siebie. - I zatrzymam cię tutaj, dopóki na bramach piekieł nie zawisną sople lodu i nie podasz mi rozsądnego powodu, dlaczego opuściłaś ten dom.

Bardzo chciała go uderzyć, lecz na pewno nie miałyby żadnych szans. W jej stanie taka próba sił mogła też okazać się niebezpieczna. Niestety, teraz musiała brać to pod uwagę. Poza tym ze względu na nich oboje musieli sobie wyjaśnić kilka spraw. Spuściła wzrok i spojrzała na żyłą pulsującą na jego śniadej szyi.

- Tak było najlepiej - powiedziała w końcu.

- Najlepiej? Dla kogo?

- Dla nas obojga.

- Mogłaś mnie zapytać, zanim postanowiłaś ułożyć mi życie. - Zażartował w ten sposób z jej wcześniejszych tłumaczeń z goryczą w głosie i pogardzał sobą za chęć scałowania kropli deszczu, które spływały z jej rzęs na policzek.

- No dobrze! Tak było najlepiej dla mnie. Chciałam się stąd wynieść, zanim zostanę wyrzucona. Niewiele żon ma ochotę mieszkać pod jednym dachem z kochanką męża!

Jego twarz stężała.

- Wspominałaś już kiedyś o tym. Lepiej mi to wytłumacz.

- Flora Mazent.

Zaskoczyła go, nie miała co tego żadnych wątpliwości. Kiedy zorientowała się, że on nadal nic nie rozumie, zmuszona była ciągnąć dalej.

- Flora podobno się zaręczyła, lecz narzeczony wycofał dane słowo po śmierci jej ojca. Widziano cię, jak omawiałaś coś zawzięcie z monsieur Mazentem.

- I to od razu czyni mnie jej narzeczonym? Gambier częściej widywał się z Mazentem i to jeszcze przed przyjazdem tutaj.

- Zaprzeczył, jakoby to on był szczęśliwym wybran-
cem.

- I to wystarczyło?

- Nie miałam powodu, by wątpić w jego słowa.

- Przypuścimy, że ja też zaprzeczę.
Zaprzeczał czy nie? Nie była tego żadną miarą pewna.

- Ale to musi być jeden z was. Mazentowie nie znają
nikogo innego.

- Jest jeszcze Morven - powiedział bezbarwnym to-
nem. - Albo jeden z moich ludzi.

- Morven i Flora? To przecież absurd! A co do twoich
ludzi, Mazent na pewno wybrałby tylko dżentelmena.

- Dzięki choć za to - odparł z ironią.

- Poza tym, wyjeżdżając, ani słowem nie dałeś mi do
zrozumienia, że chcesz mnie tu widzieć po powrocie.

- Popełniłem niewybaczalny błąd, zakładając z góry,
że tak będzie.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Wyjechałeś bez słowa!

- A co miałem zrobić? Zapewnić cię o mojej nieusta-
jącej miłości i błagać cię, byś została?

Nie odpowiadała. Nie mogła. Nie mogła też na niego
spojrzeć.

- Ach tak - powiedział cicho. - Zaczynam rozumieć.

Poczuła ogarniającą ją panikę: panikę i strach, czego
mógł się domyślić i jak na to zareagować. Jeśli powie nie
to, co chciała usłyszeć, nie zniesie tego.

- Nie myśl tylko, że czekam w napięciu, byś złożył mi
stosowne deklaracje.

- Nie, nie przyszło mi to nawet do głowy. Nie zapo-
mniałem, że jesteś bardzo ambitną kobietą.

Zdenerwowana zacisnęła zęby, bo powstrzymać drze-
nie warg.

- Czy to źle? - spytała, gdy mogła już wydobyć z sie-
bie głos.

- Ależ skąd. Nie widzę jednak powodu, dlaczego nie
miałabyś jednocześnie być moja.

Jego głęboki głos i pełne czułości spojrzenie sprawiły,
że oddychała z wielkim trudem. Oparł się na jednej ręce,
a drugą zaczął rozwiązywać wstążki mokrego czepek.
Odrzucił go na bok. Zsunął z jej ramion mokry szal.

Widząc jego spojrzenie utkwione w guzikach sukni,
Elene oblizała lekko wargi.

- Jeśli zostanę z tobą, do końca życia będę żyła w stra-
chu, że cię stracę - powiedziała szybko.

- Nigdy. Tylko śmierć może nas rozłączyć, a żyjąc
w ciągłym strachu nie zaznasz radości. - Dotknął jej po-
liczka jakby zdziwiony jego gładkością, po czym przesunął
palcami po twarzy aż do podbródka.

- Nic na to nie poradzę - odparła bez tchu.

- Naprawdę? Tylko ktoś, kto nie boi się śmierci, zary-
zykowałby zażywanie arszeniku, by uzyskać tak cudow-
nie delikatną cerę.

- Nie zażywałam arszeniku! - wykrzyknęła ze złością,
jednym gwałtownym ruchem odwracając twarz. - Nigdy
bym tego nie zrobiła! To byłoby zbyt niebezpieczne dla...

Rozległo się pukanie do drzwi.

Ryan zaklął cicho i usiadł na łóżku.

- Wejść! - krzyknął.

Do pokoju wszedł Benedict.

- Pan Ghent z jakimś drugim panem przyszli tu
w sprawie pojedynku.

- Jak na aktora Morven działa bardzo szybko - rzucił
sucho Ryan. - Powiedz im, że zaraz przyjdę.

Gdy Benedict wyszedł z pokoju, Elene usiadła na łóż-
ku. Położyła dłoń na ramieniu Ryana.

- Nie musisz raz jeszcze walczyć z Durantem. Czy nie
da się tego uniknąć?

- To Durant mnie wyzwiał - odparł twardym jak stal
głosem.

- Z powodu twojego postępku. Możesz go zawsze przeprosić.

- Wątpię, czy to go zadowoli. Pozostaje jeszcze jedna drobna sprawa - odebrałem mu narzeczoną.

Zacisnęła usta.

- Powtarzam ostatni raz: nie jestem jego narzeczoną! Bądźże rozsądny.

Na jego ustach pojawił się delikatny uśmiezek. Widząc to poczuła, jak ogarnia ją fala zimna.

- Jestem bardzo rozsądny, ale tylko do czasu, gdy ktoś nie próbuje mi odebrać mojej własności. Jeśli Durant chce cię odzyskać, będzie mnie musiał najpierw zabić.

Nie czekając na jej odpowiedź, szybko wstał i wyszedł z pokoju.

Jakiś czas potem razem z sekundantami wyszedł z domu. Nie powiedzieli, dokąd idą, lecz było jasne, że muszą załatwić sprawy związane z pojedynkiem.

Pod nieobecność Ryana Devota wróciła z rzeczami Elene. Nie pytając, czy ma je rozpakować, szybko schowała je na dawne miejsce. Elene obserwowała ją, leżąc na łóżku, dziwiąc się sobie, że jest tak spokojna.

Może to efekt działania trucizny, jeśli ją rzeczywiście połknęła? A może jej odmiennego stanu? Mógł też sparaliżować ją strach i obawa o życie Ryana, które przez nią znalazło się w niebezpieczeństwie.

Wszystko to wydawało się prawdopodobne, lecz ona wiedziała swoje. Znalazła się tutaj, ponieważ tu było jej miejsce. I nadal musieli sobie wyjaśnić parę spraw. Nie chciała, by znów wyrósł między nimi mur nie do przebycia.

Devota przerwała na chwilę pracę i spojrzała na Elene.

- Dobrze się czujesz, *chere*?

- Tak.

- Nie wyglądasz najlepiej.

Elene zmusiła się do uśmiechu.

- Nie można cię oszukać.

- Zgadza się. Jesteś pewna, że żołądek już ci nie dokucza?

- Devoto, daj spokój. - Kiedy służąca odwróciła się, by wyjąć ze skrzyni ostatnią partię rzeczy, Elene spytała: - Jesteś teraz szczęśliwa, prawda?

Devota rzuciła jej ukośne spojrzenie.

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, co się jeszcze wydarzy.

Elene odwróciła wzrok.

- Tak.

- Monsieur Ryan to wspaniały mężczyzna. Nikt go nie pokona.

- Jeśli Durant zginie przeze mnie, jak będę mogła dalej żyć?

- Jakoś dasz sobie radę - powiedziała Devota, przerywając pracę. - Niewielki miałaś udział w tym wszystkim, *chere*. To sprawa jego urażonej dumy. Stracił cię i całe swoje królestwo na wyspie. To za dużo jak na jednego człowieka.

- I jeszcze Serephine. Tak, chyba masz rację.

Devota bez słowa wróciła do swego zajęcia. Opróżniwszy skrzynię, podeszła do małego drewnianego pojemnika. Rozległ się delikatny brzęk szkła. Po chwili wyprostowała się.

- Myślałam, że zabrałaś ze sobą ostatni flakonik perfum?

- Tak. Potrzebujesz go?

- Chciałam postawić ci go przy łóżku, zanim zabiorę wszystko do pracowni. Ale nie mogę go znaleźć.

- Musi tu być. Stał na stole w małym pokoiku razem z innymi buteleczkami.

- Nie ma go, a przecież sama wszystko spakowałam.

- To nic - powiedziała Elene, pragnąc uspokoić wyraźnie zmartwioną Devotę.

- Ktoś musiał go zabrać.

Czy to możliwe? Elene zmarszczyła brwi. Ostatni raz widziała flakonik po południu przed kolacją u Duranta. Jeśli został skradziony, lista potencjalnych winnych była bardzo długa, od właścicielki pensjonatu i jej służby począwszy po wszystkich gości, którzy tego wieczoru zjawili się w mieszkaniu Duranta, gdzie panował wówczas spory ruch i zamieszanie.

- To przecież tylko perfumy - powiedziała w końcu.

Z drugiego końca pokoju Devota rzuciła jej poważne spojrzenie.

- Są tacy, którzy tego nie wiedzą lub w to nie wierzą. Musiała się z nią zgodzić.

Elene przekonała się, że częściowo przyczyną jej dziwnego spokoju i braku energii jest głód i zmęczenie. Po wyjściu Ryana Benedict przyniósł jej lekki posiłek. Kiedy go zjadła, ogarnęła ją senność. Obudzwszy się dwie godziny później nie była wcale wypoczęta i na dodatek zbyt podniecona, by zostać w łóżku.

Deszcz przestał padać zupełnie niedawno. Kropelki wody lśniły na liściach rosnącego na dziedzińcu dębu i kapały z dachu na kamienie. Wiejący wiatr niósł ze sobą wilgoć, która natychmiast wywoływała gęsią skórę. W otaczającej wszystko szarości wydawało się, że jest już o wiele później, niż było w istocie, a z kuchni, gdzie przygotowywano kolację, sączył się blask lampy.

Na ulicach panował spory ruch. Przez bramę dobiegały odgłosy przejeżdżających konno jeźdźców, szczekanie psów goniących zabłąkaną świnię i śpiew handlarki zachwalającej pralinki. Wśród nich rozległ się nagle dźwięk równych i pełnych zdecydowania kroków.

Elene uśmiechnęła się lekko. Poznałaby je na końcu świata. Zerwała się i podeszła do szczytu schodów, czekając, by na dziedzińcu pojawił się Ryan.

Najpierw rozległ się jednak szmer cichych głosów, do-

piero potem kroki Ryana odbiły się echem pod łukiem bramy.

Wszedł na dziedziniec z pochyloną głową. W gasnącym blasku dnia załśniły jego kasztanowe włosy. Patrzył na coś, co trzymał w dłoniach. Odłamał mały kawałek, wsunął go do ust i zaczął powoli przeżuwać.

- Co tam masz? - zawołała wiedziona instynktem Elene. Niewyraźne wspomnienie nie dawało jej spokoju.

Ryan podniósł wzrok, uśmiechnął się i zaczął wchodzić po schodach. Przełknął i powiedział:

- To tylko pralinka. Orzeszki są trochę gorzkie, ale nie narzekam. Nie jadłem przecież obiadu. Masz ochotę?

Odłamał kawałek czekoladki i nagle poczuła znajomy zapach: słodki, wywołujący mdłości. Rzuciła się w dół schodów.

- Nie! - krzyknęła. - Proszę, nie!

Popatrzył na nią zdumiony, lecz podniósł czekoladkę do ust. W tym samym momencie znalazła się tuż przy nim i gwałtownym ruchem odepchnęła jego dłoń. Wy-rwała mu pokruszoną pralinkę i cisnęła na kamienny dziedziniec.

Patrząc na niego rozszerzonymi ze strachu oczami, szukała pierwszych objawów.

- Trucizna - szepnęła przerażona. - Czekoladka była zatruta!

-XX-

- Nic mu nie będzie? - spytała jak najciszej Elene. Nie chciała obudzić Ryana, który wreszcie zasnął, trzymając ją mocno za rękę. Z trudem oczyściły jego organizm z trucizny, zioła i proszki Devoty raz jeszcze zdziały cuda.

- Powiedziałam ci już, *chere* - odparła służąca. - Jest bardzo silny. Rano nawet nie będzie wiedział, że coś z nim było nie tak.

Elene westchnęła cicho i zadrżała.

- A gdybym tak nie wyszła na ganek? Gdyby zjadł całą pralinę?

- Już by nie żył. Lecz to mu teraz nie grozi. Nawet o tym nie myśl. Powinnaś zjeść kolację i położyć się spać.

- Ale nie tutaj - powiedziała Elene, wskazując na łóżko Ryana, w którym spali razem przez tyle tygodni. - Nie... nie chciałabym mu przeszkadzać.

Devota skinęła głową.

- Kiedy będziesz jadła, Benedict przygotowuje dla ciebie inny pokój.

Elene nie ruszyła się jednak. Stała przy łóżku, patrząc na Ryana, na jego podkrążone oczy i przerażająco bladą twarz. Poza tym nie widać było śladów niedawnego zajścia. Jego rysy wciąż znamionowały kryjącą się w nim siłę, lecz delikatnie wykrojone usta zdradzały czułość i namietność.

- Trzeba będzie odwołać pojedynek - powiedziała.

Kiedy Devota i Benedict nie odpowiadali, podniosła na nich wzrok. - Prawda?

Benedict potrząsnął głową.

- Nie sędzę. To przecież sprawa honoru.

- Przecież on nie może stanąć do walki. Będzie zbyt słaby.

- Sam podejmie decyzję - rzekła Devota. - Nie wolno ci się tym martwić. Nic dobrego z tego nie przyjdzie.

- Jak mogę się nie martwić? Och, Devoto, czy naprawdę nic nie można zrobić? Zupełnie nic?

Służąca spojrzała na Elene. W jej brązowych oczach pojawił się wyraz zrozumienia. Na chwilę zacisnęła wargi-

- Może znajdzie się jakiś sposób.

Elene gwałtownie wciągnęła powietrze. Spojrzała na Benedicta, który nagle zaczął udawać, że nic nie słyszy i zajął się sprzątaniami pokoju.

- I nikt na tym nie ucierpi? - spytała cicho Elene.

Devota podeszła do niej, ujęła dłoń Ryana i położyła ją na prześcieradle. Objęła Elene za ramiona i odwróciła ją w stronę drzwi.

- Idź coś zjeść, *chere*, i nic się nie martw. Może wydarzy się coś, co powstrzyma to całe zamieszanie, ale jeśli nie, musisz się ze wszystkim pogodzić. Pewnych rzeczy niestety nie potrafimy zmienić, choćby nam bardzo na tym zależało.

Elene siedziała sama w jadalni, skubiąc przygotowane dla niej potrawy. Nie była wcale głodna. Devota mogła ją uspokajać i powtarzać, by się nie martwiła - nie miała jednak pojęcia, co ona tak naprawdę czuła. Widok leżącego bezwładnie na łóżku Ryana napełnił Elene przerażeniem. Skoro ten wypadek zdarzył się tuż po jej powrocie do domu, to ona ponosi winę za wszystko. Podobnie jak za zaplanowany na jutro pojedynek.

W jej skołatanej głowie aż kłębiło się od najróżniej-

szych myśli. Skoncentrowała się na osobie truciciela, by przestać zamartwiać się stanem Ryana i tym, co go czeka następnego ranka. Pomyślała, że jeśli uda się jej odkryć, dlaczego Ryan padł jego ofiarą, pozna powód tych straszliwych zbrodni.

Dlaczego i on stał się celem ataku? Po pierwsze, wrócił do Nowego Orleanu. Zabrał ją od Duranta i raz jeszcze umieścił w swoim domu. I przyjął wyzwanie.

Czy to możliwe, że Durant chciał go zabić, by w ten sposób uniknąć pojedynku i upewnić się, że Ryan na pewno pożegna się życiem? Tego przecież pragnął najbardziej.

Nie wolno jej było zapomnieć o Mulatce sprzedającej pralinki. Jaką rolę odegrała w tym wszystkim? Była to ta sama, ładna kobieta, gdyż Ryan potrafił ją dość dobrze opisać. Czy ktoś jej zapłacił, by sprzedawała zatrute słodczyce wybranym ofiarom? A może to ona zabijała?

Elene odłożyła widelec i oparła się wygodnie o krzesło. Zamknęła oczy. Powoli zaczęła przypominać sobie wydarzenia tego wieczoru, gdy kupiła pralinki - cichą ulicę, chłodny wiatr wiejący od rzeki, który trzepotał kolorową suknią Mulatki, przemierzającej miasto z tacą opartą o biodro. Stała jej przed oczami jak żywa - w czerwonym, mocno związanym turbanie, ze złotymi kolczykami w uszach. Była niższa od niej i przez cały czas spuszczała głowę, jakby bała się, że ktoś ją zapamięta, choć ludzie rzadko zwracali uwagę na uliczne sprzedawczynie, bardziej interesując się ich towarami. Otaczał ją zapach potraw z owoców morza i słodka, mleczna woń pralinek. Mleko i cukier... skóra dziewczyny była przezroczysta, a jednak kremowa, i te złote kolczyki na tle...

Elene gwałtownie otworzyła oczy. Oczywiście. Jak mogła tego nie zrozumieć? I jeszcze tamto pierwsze spotkanie. Wiedziała. Wielki Boże, wiedziała już wszystko. Nie mogła w to uwierzyć, ale znała osobę, która miała po-

wód, by zabić jedną ofiarę po drugiej i próbować pozbyć się następnych. Znała tę jedną, jedyną osobę.

Zerwała się od stołu. Jeśli ma rację, musi coś zrobić. I to natychmiast, jeszcze tego wieczoru. Inaczej Ryan znów znajdzie się w niebezpieczeństwie, i tym razem może mieć mniej szczęścia.

Po deszczu zapadł chłodny wieczór i w mieście hulał przejmujący wiatr. Elene nie była przygotowana na tak gwałtowną zmianę pogody i mocniej otuliła się szalem. Dobrze, że ma choć tak skromne okrycie. W ostatniej chwili przypomniała sobie, że Devota rozwiesiła przemoczone wcześniej rzeczy w pralni, by wyschnęły. Nie mogła przecież wejść do sypialni Ryana. Devota nadal się tam kręciła i na pewno ostro by zaprotestowała, gdyby odkryła, że jej pani zamierza wyjść z domu. Zostawiła na poduszce karteczkę na wypadek, gdyby mimo wszystko zauważono jej nieobecność. Modliła się jednak w duchu, by wrócić do domu, zanim ktokolwiek zorientuje się, że w ogóle wychodziła.

Na ulicach było ciemno, mrok rozjaśniało jedynie słabe światło latarni zawieszonych na linach między domami. Na szczęście nie miała przed sobą długiej drogi i już po chwili w ciemnościach zamajaczył zarys gospody.

Drzwi otworzyła Germaine. Elene zmusiła się do uprzejmego uśmiechu.

- Mogę wejść?

- Jest już zbyt późno, mademoiselle... za późno na wizytę.

- To potrwa tylko chwilę.

W blasku stojącego w pokoju kandelabru twarz służącej Flory Mazent nie rysowała się zbyt wyraźnie, lecz Elene doszła do wniosku, że jej rysy bardzo się zaostrzyły od czasu ich ostatniego spotkania. Kiedy kobieta schyliła głowę i cofnęła się lekko, w jej ruchach widać było wyraźnie niechęć, lecz i cień rezygnacji.

Flora Mazent wstała z sofy, gdzie siedziała, czytając książkę.

- Elene! - wykrzyknęła radośnie. - Cieszę się, że cię widzę.

- Wybacz mi proszę to najście, ale mam bardzo ważną sprawę. Wierzę, że pomożesz mi ją rozwiązać.

- Ja? - Wskazała stojące przy sofie krzesło i zajęła swoje poprzednie miejsce, patrząc na gościa z nieskrywanym zainteresowaniem.

Jak zacząć? Elene nie opracowała żadnego planu. Postanowiła od razu przystąpić do sedna.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że twój ojciec przed śmiercią zaplanował twoje małżeństwo. Czy mogłabyś mi podać nazwisko narzeczonego?

Na twarz dziewczyny wypłynął rumieniec. Otworzyła usta, jakby chciała coś odpowiedzieć, po czym popatrzyła wkoło i zerwała się gwałtownie z sofy.

- Nie zaproponowałam ci nic do picia. Gdzie ta Germaine? Przynieś nam kawę i może odrobinę tafii lub wina. Na co masz ochotę?

- Dziękuję bardzo, ale na nic.

- Och proszę, musisz się rozgrzać. Wyglądasz na zmarzniętą.

- Poproszę więc o kawę z mlekiem - zgodziła się w końcu Elene, by móc jak najszybciej powrócić do przerwanej rozmowy.

- Jedną chwilę. Germaine!

Flora nie czekała, by służąca odpowiedziała na jej wezwanie, lecz ruszyła szybkim krokiem do sąsiedniej sypialni. Przez na wpół otwarte drzwi dobiegł Elene dźwięk przyciszonej rozmowy i po chwili Flora wróciła do saloniku.

W czasie krótkiej nieobecności zdołała się nieco opanować.

- Na czym skończyłyśmy? - spytała, siadając znów na

sofie. - Ach tak, na moim narzeczonym. Twoje pytanie jest bardzo osobiste, chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Możesz mi powiedzieć, dlaczego tak bardzo chcesz poznać jego nazwisko?

- Jestem przekonana, że może mieć związek ze śmiercią naszych znajomych z Santo Domingo.

- O mój Boże. - Flora siedziała z dłońmi splecionymi na kolanach jak dobrze wychowana dziewczynka.

- Jestem niemal pewna, że ten mężczyzna jest w to bezpośrednio zamieszany. Bardzo byś mi pomogła, podając jego nazwisko.

W oczach Flory zalśniły łzy. Spuściła wzrok.

- To był... Durant Gambier - powiedziała cicho.

Elene poczuła ogarniającą ją falę ulgi. Choć tak właśnie podejrzewała, cień wątpliwości pozostał. Durant kłamał lub też lekko mijał się z prawdą. Nie odbyła się oficjalna ceremonia zaręczyn i nie podpisano interczy, uznał więc, że nie ma żadnych zobowiązań. Flora najwyraźniej była innego zdania.

Elene wyprostowała się i odetchnęła głęboko.

- Dziś wieczór ktoś próbował otruć Ryana. Sprzedawczyni pralinek podsunęła mu zatrutą czekoladkę. Myślę, że stało się to z powodu jego jutrzejszego pojedynku z Durantem Gambierem.

- To straszne. Czy chcesz przez to powiedzieć, że to monsieur Gambier...

- Nie. Durant jest zbyt dumny, by zniżyć się do takich czynów. Ktoś jednak obawiał się, że Ryan może pokonać Duranta, jak wtedy na statku, a nawet go zabić.

Dziewczyna zamrugała gwałtownie powiekami.

- To... to przecież niemożliwe. Ludzie nie robią takich rzeczy.

- Niektórzy tak, zwłaszcza ci, którzy doszli do wniosku, że śmierć jest jedynym rozwiązaniem. Pomyśl tylko o Serephine.

- To ta kobieta, która przyjechała tu z monsieur Gambierem?

- Tak, jego kochanka.

- Ale... co ona ma z tym wspólnego?

- Durant bardzo ją lubił, może nawet bardziej, niż myślał. Byli razem od lat, wychowali syna, który teraz kształci się we Francji. Serephine mogła stać się przeszkodą na drodze do małżeństwa. I dlatego musiała umrzeć.

- Nie mogę uwierzyć...

- No i twój ojciec.

- Proszę, nie - powiedziała Flora z wyrazem smutku na twarzy. - Wolałabym o tym nie mówić.

- Obawiam się, że musimy, choć jego śmierć pozostaje dla mnie wielką zagadką. Mogę tylko założyć, że jej powodem była kolejna luka w ślubnych planach. Może twój ojciec odkrył lub wyjawiał Durantowi coś, co doprowadziło do zerwania. Nie mam pojęcia, co to mogło być. Nawet dla mnie nie jest to przekonujący powód do zabójstwa. Pamiętajmy jednak, że w grę wchodziły spore pieniądze. Na statku Durant nie sprawiał wrażenia człowieka zamożnego, lecz jego sytuacja zmieniła się zaraz po rozpoczęciu rozmów na temat przyszłego ślubu. Wygląda na to, że wcale nie pożyczał pieniędzy pod zastaw swojego majątku na Santo Domingo, lecz przyjął dużą sumę od twego ojca. Jest niemal pewne, że dolegliwości żołądkowe monsieur Mazenta zasugerowały zabójcy łatwy sposób zamknięcia mu ust. Równie dobrze mógł to być akt zemsty.

Flora patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Na dźwięk otwieranych przez Germaine drzwi zerwała się z tak wielką ulgą na twarzy, że Elene poczuła falę litości.

Następne kilka minut poświęcono na nalewanie kawy, dodawanie gorącego mleka dla Elene i cukru dla Flory. W powietrzu unosił się smakowity aromat, a Elene

z przyjemnością trzymała w zmarzniętych dłoniach ciepłą filiżankę. Gdzieś głęboko czuła strach, lecz kawę i mleko dla niej i dla Flory nalano z tych samych dzbanuszków, nie mogło więc być mowy o żadnym niebezpieczeństwie. Kiedy ostrożnie wypić pierwszy łyk, przekonała się z ulgą, że smaku napoju nie zakłóca gorycz. Postanowiła jednak nie próbować przyniesionych wraz z kawą ciasteczek.

Flora wypić duży łyk kawy, jakby bardzo potrzebowała wzmocnienia.

- To, co powiedziałaś, jest tylko wytworem twojej wyobraźni. Nikt ci nie uwierzy, jeśli nie zdołasz tego udowodnić.

- To prawda, nie mam żadnych dowodów. Muszę oczywiście udać się z tym do władz, ale nie wiem, czy zdecydują się podjąć jakieś kroki w tej sprawie. Mam tylko nadzieję, że jeśli ta osoba dowie się o moich podejrzeniach, przestanie zabijać.

- Jakież to wspaniałomyślne z twojej strony.

W tonie dziewczyny pojawiło się napięcie, lecz przecież wśród ofiar znalazł się jej własny ojciec. Nie można o tym zapominać.

Odpowiadając na ukrytą w słowach Flory krytykę, Elene rzekła stanowczo:

- Chcę tylko chronić osoby, które mogą stać się kolejnymi ofiarami, zwłaszcza te, które kocham.

- Masz wielkie szczęście. Sądzę... sądzą, że Durant Gambier nie był dla mnie odpowiednim kandydatem na męża.

Nie znajdując słów odpowiedzi, Elene wypić łyk kawy, by pokryć krępujące milczenie. Po chwili odezwała się.

- Pozostaje jeszcze zagadka śmierci Hermine.

Flora westchnęła, otrząsając się.

- Tak, co z nią?

- Sądzę... jestem niemal pewna, że przyczyną jej śmierci były słowa, które wypowiedziała w wieczór naszej wyprawy do ogródka. O ile pamiętasz mówiła, że zażywa arsenik, by jej cera była zawsze piękna i blada. Mówiąc to spojrzała na inną znajdującą się tam kobietę, jakby wiedziała, że mają jakiś wspólny sekret. Podejrzewam, że rzeczywiście go miały. Sądząc z wyrazu jej twarzy, Hermine wiedziała, że tamta kobieta też korzysta z tych właściwości arseniku.

Flora spojrzała na Elene znad fusów, którymi kręciła w filiżance, po czym znów opuściła wzrok.

- Mówisz o...

- Opowiem ci coś - przerwała jej Elene. - Wczoraj po południu robiłam zakupy, a potem postanowiłam przejść się nad rzeką. Kiedy wracałam do domu, spotkałam sprzedawczynię pralinek, bardzo ładną Mulatkę. Była ubrana kolorowo, jednak z pewną elegancją, miała też czerwony turban i duże złote kolczyki. Twarz posypała białym pudrem, a usta i policzki pociągnęła karminem, lecz widać było wyraźnie, że z tak jasną, piękną cerą mogłaby bez trudu uchodzić za białą. Było jeszcze coś, czego nie zauważyłam od razu z powodu unoszących się na ulicy zapachów i woni zatrutych pralinek. Może również dlatego, że tak dobrze to znałam. To jej perfumy. Pachniała moimi perfumami, które zrobiłam razem z Devotą.

Flora nie odpowiedziała. Słuchała uważnie, spoglądając badawczo spod rzęs na Elene, która wypić kawę i odstawiła filiżankę.

- Później, jeszcze tego samego wieczoru - ciągnęła Elene - przypomniałam sobie o tym zapachu. I o kobiecie, która błagała mnie choć o parę kropli; kobiecie, której byłam zmuszona odmówić. Przypomniałam sobie też, że w wieczór wydanego przez Duranta przyjęcia skradziono ostatnią buteleczkę niezwykłych perfum.

- Jesteś bardzo bystra.

- Nie. Potrafiłam tylko dopasować do siebie fakty, które innym umknęły - powiedziała bezbarwnym tonem Elene. Czekwała.

Flora zacisnęła wargi.

- Rozumiem. Podejrzewam, że wyciągnęłaś z tego ja- kieś wnioski?

- Tak. Jestem pewna, Floro, że to ty jesteś Mulatką, która sprzedawała słodycze.

Dziewczyna wydała z siebie dźwięk, który przypominał coś pomiędzy szyderczym śmiechem a prychnięciem.

- A ja myślałam... to śmieszne!

- Myślałaś, że chcę oskarżyć Germaine. Miałas nadzieję, że wszyscy tak pomyślą, jeśli cień podejrzenia padnie na tę handlarzkę.

- Ale ja nie jestem Mulatką!

- Nie, nie całkiem. - Elene spojrzała na dziewczynę pełnym zrozumienia wzrokiem. Pochodziła przecież z wyspy, gdzie mieszana krew nie budziła niczyjego zgorszenia, a jej śladów można się było dopatrzeć w pełniejszych ustach, nieco szerszym nosie, odcieniu skóry, włosów czy w brzmieniu głosu. Kilka takich niewielkich śladów mogło powiedzieć wiele tym, którzy mieli powody, by ich szukać.

Flora się wyprostowała, a otaczająca ją aura rezygnacji i obojętności opadła niczym welon. Na jej miękkich wargach pojawił się delikatny uśmiech, nadając im wyraz okrucieństwa. Nagle wydała się starsza, niż w rzeczywistości była. Delikatnie pogładziła węzeł jasnych włosów i roześmiała się z pełną jadu satysfakcją, która przyprawiła Elene o drżenie. Jej ruchy stały się nagle bardzo pewne i pełne gracji. Odstawiła filiżankę i sięgnęła po ciasteczko, gryząc je z niemal zmysłową przyjemnością.

- Mogę ci wszystko wyznać - powiedziała, opierając się wygodnie o sofę. - Mam w sobie część murzyńskiej

krwi, choć oczywiście jestem tak biała jak ty. Germaine jest moją matką. A co do tej głupiej krowy, Hermine, to sama jest sobie winna. Znała mojego ojca jeszcze na Santo Domingo i jestem pewna, że wiedziała też i o mnie. Tego wieczoru w ogródku śmiała się ze mnie i o mało co nie wyznała wszystkim, że zna moją tajemnicę. Zabicie jej było śmiesznie proste; musiałam ją tylko odwiedzić i wsypać arsenik do czekolady. Oczywiście, należało dodać go więcej niż innym, bo była przyzwyczajona do niewielkich dawek. Nikt jednak nie zwrócił na to uwagi, gdy odkryto przyczynę śmierci. Została pochowana jako samobójczyni, prawda?

- Zabiłaś własnego ojca! Jak mogłaś? - To pytanie nie dawało Elene spokoju. Dlatego wcześniejsze przypuszczenia wydały się jej tak mało prawdopodobne.

- Papa był człowiekiem prawym, zdecydowanie zbyt szlachetnym. Na Santo Domingo byłam zaręczona dwukrotnie - podobam się mężczyznom i ja też ich lubię, nie było więc problemów ze znalezieniem kandydata. Za każdym razem przed ślubem papa wyjawiał im całą prawdę o mnie. Oczywiście od razu rezygnowali. Któż mógłby ich za to winić? Nie mogłam pozwolić, by znowu tak się stało. Podjęłam odpowiednie kroki jeszcze przed opuszczeniem wyspy. Przyczyną dolegliwości żołądkowych ojca był oczywiście arsenik; powolna, lecz pewna śmierć, która nie wzbudziłaby żadnych podejrzeń. Korzystałam z własnego proszku, który sama zażywałam co tydzień. A potem zjawił się Durant. Był taki przystojny i elegancki. Dżentelmen w każdym calu. Nie mogłam ryzykować, że papa wyzna mu wszystko. Po prostu nie mogłam.

- Biedna Serephine też stanęła ci na drodze.

Twarz Flory stężała.

- Zabiłam papę zupełnie niepotrzebnie. Kiedy już nie żył, Durant powiedział mi, że wcale nie chce się ze mną

zeni. Myślałam, że wcześniej wziął od ojca jakieś pieniądze, lecz zaprzeczył. Teraz, kiedy już miał, czego pragnął, po co miałby się ze mną zenić? Wspominał o przywiązaniu do swojej kochanki, ale chyba szukał tylko wymówki. Sądzę, że tak naprawdę chciał ożenić się z tobą. Nabrałam pewności, gdy przeniosłaś się do niego zaraz po wyjeździe Bayarda. Musiałam więc koniecznie zabić Serephine i ciebie.

- Sprzedałaś Serephine zatrute czekoladki.

- A tobie pralinki. Dobrze się nagłowiłam, jak załatwić sprawę z tobą, bo nie lubisz czekolady. W pralinach nie dało się tak łatwo ukryć goryczy trucizny, prawda? To był mój błąd.

Ton głosu dziewczyny, która opowiadała o tych okropnościach równie lekko jak o kapryśkach pogody, przyprawił Elene o gęsią skórę. Pomijając pytanie Flory, powiedziała:

- Nawet gdybym umarła, skąd miałabyś pewność, że Durant do ciebie wróci?

- Perfumy. Masz rację, ukradłam je w czasie przyjęcia. Germaine powiedziała mi, że potrafią obudzić w mężczyznach pożądanie, z którym nic nie może się równać. Kiedy użyję ich w obecności Duranta, będzie mój. I to na zawsze. Wspominałam ci już, że podobam się mężczyznom.

W przebraniu sprzedawczyni Flora w istocie prezentowała się niezwykle uwodzicielsko, była nawet zaskakująco ładna. Jednak jej sposób ubierania się na co dzień, fryzura i blade kolory sukien nadawały jej tak pospolity wygląd, że trudno było uwierzyć w jej pełne przekonania stwierdzenie. Nie zdając sobie z tego w pełni sprawy, Elene wyczuła to już podczas wyprawy do ogródka, kiedy Flora utrzymywała, że dwaj siedzący obok Amerykanie bacznie się jej przyglądają. Tak samo odebrała to Josie, która tak serdecznie wyśmiała pretensje Flory. To cud, że młoda aktorka pozostała przy życiu.

Elene wstała, otulając się szalem, który podczas rozmowy zsunął się jej z ramion.

- Chyba nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia, poza tą jedną rzeczą. Nie udało ci się zabić ani Ryana, ani mnie. Pojedynkę zaplanowano na jutrzejszy ranek i wszystko wskazuje na to, że odbędzie się zgodnie z ustaleniami. Nie zdołasz już skrzywdzić Ryana, bo będziemy się mieć na baczności. Nie próbuj się więcej do tego mieszać i zostaw sprawę własnemu biegowi.

- Wspaniała rada, doceniam ją - powiedziała szyderczo dziewczyna. - Szkoda tylko, że nigdy się nie dowiesz, czy odniosła skutek.

Elene odwróciła się gwałtownie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jak sama się domyśliłaś, Germaine jest moją matką. Dopiero niedawno, po śmierci Serephine, odkryła, czym zajmuje się jej córka. Nadal jednak chodzi jej wyłącznie o moje dobro. Kazałam jej wsypać arsenik do twojej filiżanki. Powinnaś wiedzieć, że jest mi bezgranicznie posłuszna, jak każda służąca.

Elene obronnym gestem położyła rękę na brzuchu, gdzie rosło jej dziecko. Jak zwykle o tej porze było jej trochę niedobrze, lecz nie czuła żadnych skurczów ani mdłości. Jeszcze nie.

- Dlaczego? - spytała zaskoczona. - Wiesz, że nie jestem już z Durantem. Widziałas, że dziś rano wróciłam do Ryana.

- Nie mogłam wykluczyć możliwości, że Durant zabije Ryana i znów zapragnie być z tobą. Poza tym nie sądzę, byś zwierzyła się komukolwiek ze swoich podejrzeń. Gdyby tak było, Ryan lub Devota przyszliby tu z tobą. Dobrze się więc stało, że nie będziesz miała okazji...

Flora urwała na dźwięk otwieranych drzwi. Jej twarz zastęła w wyrazie niedowierzania, gdy do pokoju we-

szła Germaine, a za nią Ryan i Durant. Zerwała się z sofy, drżąc lekko.

- Usiądź, kochanie - powiedziała, podchodząc do niej, Germaine. Wzięła ją za rękę i razem opadły na sofę.

Ryan podszedł szybko do Elene i wziął ją w ramiona. W ich ciepłym uścisku poczuła się tak bardzo bezpieczna. Stała przez długą chwilę, chłonąc jego siłę, po czym cofnęła się lekko i spojrzała mu prosto w twarz.

- Kawa była...

- W twojej kawie nic nie było - powiedział głębokim, pewnym głosem

- Nie rozumiesz. Muszę natychmiast wracać do domu, do Devoty...

- Nic nie było w kawie - powtórzył. - A przynajmniej nie w twojej.

Elene spojrzała w jego przejmująco niebieskie oczy. Powoli odwróciła się w stronę Flory, która patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Po chwili przeniosła wzrok na Duranta stojącego z wyrazem przerażenia na zarumienionej twarzy. Dziewczyna odwróciła się bardzo powoli i spojrzała na swoją matkę.

Krzyknęła.

Twarz Germaine wyrażała bezgraniczny smutek, gdy wzięła córkę w ramiona i zaczęła ją lekko kołysać.

- Nie mogłam na to pozwolić, kochanie - powiedziała, tłumiąc szloch. - Nie ten kolejny raz. To było złe. Razem z twoim papą popełniliśmy błąd, pozwalając, byś przyszła na ten świat, ale trudno winić miłość. Nie powinnaś była go zabijać. Tak bardzo go kochałam. Tak bardzo jak kocham ciebie.

W pokoju zapadła cisza. Nagle Flora zeszywniała, odrzucając głowę do tyłu.

- Devota! - krzyknęła Elene. - Ktoś musi pobiec po Devotę!

Ryan potrząsnął głową.

- Jest już za późno. Dla ciebie też nie byłoby ratunku.

Jak długo rozmawiały z Florą? Wystarczająco długo. Dziewczyna nie była w ciąży i naturalne mdłości nie mogły jej pozbyć się trucizny z organizmu.

- Musimy coś zrobić - szepnęła Elene.

Germaine spojrzała na nich znad ramienia córki.

- Błagam was, zostawcie nas same - powiedziała rozdzierającym głosem. - Zostawcie nas same.

- Chodźmy. - Ryan skierował Elene do drzwi. Jej mięśnie były tak napięte, że poruszała się z wielkim trudem. Wciąż jednak nie mogła oprzeć się wrażeniu, że muszą coś zrobić. Jakaś część jej umysłu nie mogła się pogodzić z przerażającymi wydarzeniami. Nie chciała, by do tego doszło. Nie to było jej zamiarem.

Durant zrobił parę kroków naprzód i zastąpił im drogę. Nie zwracając w ogóle uwagi na Ryana, zwrócił się do Elene:

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia - odparła, chcąc ruszyć dalej, lecz nie ustępował.

- Durant, to nie jest odpowiednia pora - odezwał się lekko ochrypłym głosem Ryan.

- A kiedy będzie? Jutro rano możemy się nawzajem pozabijać. - Durant odwrócił się do Elene. - Wiem, że to moja wina. Nie powinienem był pozwolić, by układy z Mazentem posunęły się aż tak daleko. Potrzebowałem jednak pieniędzy i przejrzałem na oczy, gdy było już za późno. Był przebiegły jak lis, lecz był też uczciwym człowiekiem. Ponieważ zostałem wystrychnięty na dudka, nie czułem się zobowiązany do przestrzegania warunków umowy zawartej z nieboszczykiem.

- Nie musisz mi nic tłumaczyć - rzekła Elene, próbując powstrzymać potok jego słów.

- Muszę. Muszę ci o wszystkim powiedzieć. Przysięgam, że nie wiedziałem o tym, co zrobiła Flora i co jesz-

cze zamierza zrobić, by zdobyć to, co chce. Zawsze myślałem tylko o tobie. Od czasu opuszczenia Santo Domingo byłeś jak sen, marzenie o szczęściu, które pozostawało poza moim zasięgiem. Żyłem tylko tym marzeniem. Próbowałem być cierpliwy, czekać aż będziesz gotowa, by rozpocząć nowe życie ze mną. Dlaczego nie możemy tego zrobić teraz?

Jak rozpaczliwie ludzie potrzebują miłości. Posuną się niemal do wszystkiego, by zmusić do niej osobę, których pożądamy. Pożądanie to jednak zbyt niska cena za miłość, której tak bardzo pragną. Niektórzy nie rozumieją nigdy, że aby być kochanym, trzeba najpierw samemu pokochać. Ale nawet wtedy nie można zmusić do miłości. W tych sprawach nie istnieją żadne gwarancje. Tyle przynajmniej zdołała się nauczyć.

- Przykro mi - odparła.
- To nie wystarczy. Musisz...

Ryan zrobił krok naprzód.

- Ona nic nie musi, ani teraz, ani nigdy. To był bardzo wyczerpujący wieczór. Jeśli choć trochę ci na niej zależy, pozwolisz jej pójść spokojnie do domu.

- Muszę jej wszystko wytłumaczyć.
- Poczekaj do jutra. Jeśli zwyciężysz, będziesz miał na to czas aż do końca świata. Jeśli nie, to nie będzie już miało najmniejszego znaczenia.

Minął Duranta, zabierając ze sobą Elene. Gambier odsunął się, choć w rzuconym Ryanowi spojrzeniu kryła się nienawiść. Po chwili wyszli z gospody na chłodne wieczorne powietrze.

Devota czekała na nich w domu z wyrazem niepokoju na twarzy. Tuż za nią stał jak zwykle spokojny Benedict. Splótł jednak mocno palce, a na widok Ryana nie mógł się powstrzymać i zrobił krok do przodu.

Zaproponował im filiżankę gorącej kawy. Elene drżała. Siedząc przy kominku w sypialni, wypili więc razem z Ryanem po kieliszku sherry. Ryan opowiedział służącym, co zaszło w pensjonacie.

Kiedy skończył, Devota potrząsnęła głową.

- Biedna, zagubiona dziewczyna.
- Zamordowała kilka osób, by ochronić siebie - powiedział ostro Ryan. - Była tak przekonana o swojej wyższości, że nic innego nie miało dla niej znaczenia.

- Myli się pan, monsieur - rzekła Devota. - Tak mocno wątpiła w swoją wartość, że nie potrafiła docenić życia innych.

Uniósł w górę brwi, zastanawiając się nad jej słowami.

- Może masz rację.

Patrząc na siedzącego u jej boku Ryana, Elene wtrąciła się do rozmowy.

- Nie rozumiem tylko, jak razem z Durantem znaleźliście się w gospodzie. Spałeś, kiedy wychodziłam z domu.

- Obudziło mnie zamieszanie, gdy Devota odkryła, że cię nie ma. Dzięki wam obu tak szybko oczyściłem organizm z arsenu, że wszystko natychmiast wróciło do normy. Przyda mi się jednak solidny posiłek.

Mówiąc to, dał wyraźnie do zrozumienia, że jego silny organizm nie potrzebował zbyt wiele czasu, by dojść do pełni formy. Elene uśmiechnęła się, lecz nie powiedziała ani słowa.

- W pozostawionym liściku napisałaś, że wybierasz się do Flory Mazent. Devota bała się jednak, że to tylko podstęp, że tak naprawdę chciałaś przekonać Gambiera, by zrezygnował z pojedynku. Wiedziałem, gdzie zatrzymali się Mazentowie, gdyż raz spotkaliśmy się w sprawie pewnego interesu, z którego nic nie wyszło, a który ty wzięłaś za oświadczyń. Pobiegłem więc tam, a Benedict udał się do Gambiera. Ten musiał wiedzieć więcej, niż

wyznał, gdyż zaraz do nas dołączył. Wyglądał tak, jakby spodziewał się znaleźć trupa. Germaine wprowadziła nas do sypialni, gdzie słyszeliśmy waszą rozmowę. Początkowo nie byliśmy zachwyceni naszą rolą, lecz po chwili tak mocno się w to zaangażowaliśmy, że przestało nam to przeszkadzać.

Devota potrząsnęła głową, marszcząc brwi.

- Germaine jest silną kobietą, o wiele silniejszą ode mnie. Jak sądzicie, jaka spotka ją za to kara?

- Myślę, że śmierć Flory zostanie uznana za nieszczęśliwy wypadek, ostatni z serii tragicznych zgonów wywołanych przez arszenik. Ze swojej strony jestem przekonany, że Germaine poniosła już karę, zmuszona do popełnienia tak strasznego czynu. Nie ma potrzeby angażować w to władz i to w tak burzliwym okresie w historii miasta.

Benedict zerknął na Elene, która koniuszkami palców próbowała ukryć ziewnięcie, po czym skinął na Devotę.

Służącej wystarczyło jedno spojrzenie. Zerwała się na równe nogi.

- Myślę, *chere*, że już pora iść do łóżka. Pomogę ci się rozebrać i przyniosę szklankę gorącego mleka.

- Twoja pomoc nie będzie potrzebna - powiedział leniwym tonem Ryan, unosząc w górę dłoń. - Sam się wszystkim zajmę.

- Ona musi odpocząć. - W oczach Devoty zalśniła troska.

- Dopilnuję tego - odparł Ryan, podchodząc do drzwi i otwierając je.

Devota chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz Benedict powoli wychodził z sypialni. Uprzejmym, choć stanowczym gestem nakazał jej, by ruszyła za nim.

Ryan uśmiechnął się do Devoty.

- Ja nigdy jej nie skrzywdzę.

Służąca skinęła mocno głową, jakby chciała mu dać do

rozumienia, że trzyma go za słowo. Wreszcie zamknęła za sobą drzwi.

Ryan wrócił do kominka i stanął tyłem do ognia. Spojrzał na Elene, na odbijający się w jasnej twarzy i tańczący we włosach blask, na podkrążone ze zmęczenia oczy. Nagle pochylił się, wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko.

Powinna protestować, krzyczeć, że nie chce być w jego ramionach. Kłamałaby jednak. Niebawem nadejdzie rano, a wraz z nim pora pojedynku. W obliczu takiego niebezpieczeństwa jakie znaczenie miały obietnice i przysięgi na przyszłość? Być może pozostał im już tylko ten wieczór.

Rozpuścił jej włosy i rozrzucił je złotą falą na pościeli. Rozpiął suknię i zsunął z ramion, po czym szybko zdjął bieliznę, pończochy i buty. Szybko pozbył się własnego ubrania, koniuszkami palców zgasił płomień świecy i położył się obok niej. Wyciągnęła do niego ramiona, a on mocno ją przyciągnął. Poczuli ciepło swych ciał i bicie serc. Mocno przytuleni, kołysali się lekko.

W domu, nareszcie w domu, pomyślał. W ciepłych ramionach kobiety, która zawsze tak pięknie pachniała i jak żadna inna bez reszty zapanowała nad jego ciałem i duszą. Bez względu na to, co się wydarzy, przez ten wspaniały czas była razem z nim i raz jeszcze tego wieczoru znalazła się w jego objęciach.

Dla Elene ciepło i siła jego ciała były ukojeniem, chciała zagubić się w jego potężnych ramionach. Nic poza tą bliskością nie miało dla niej teraz znaczenia. Jego usta smakowały winem i tłumionym pożądaniem. Nie było sensu walczyć z nim dłużej.

- Kochaj mnie - szepnęła. - Minęło tyle czasu.

Wstrzymał oddech.

- Jesteś tego pewna?

- Nigdy w życiu nie byłam aż tak pewna.

Dotknęła go delikatnie, jakby zdumiona, a jednocze-

śnie pełna zachęty. Przyjemność, jaką natychmiast poczuła, zdawała się znajoma, lecz też dziwnie nowa. Miłość i pożądanie wypełniały każdą cząsteczkę jej ciała. Szeptła mu do ucha pełne żaru słowa. Była szalona, rozwiązała, straciła zupełnie panowanie nad sobą, lecz nic ją to nie obchodziło. Ogarnęła sobą jego twardą męskość, biorąc go w siebie i jednocześnie dając mu siebie całą. To ostateczne połączenie było jej tajemnicą, radością i bólem, a na koniec pocięciem.

Obudziła się, gdy Ryan o świcie wstał cicho z łóżka. Słyszała, jak wyjął z szafy ubranie i wyszedł z sypialni. Leżała nieruchomo i wpatrywała się suchymi oczami w szarość poranka, przyciskając dłoń do piersi. Czuła przejmujący ból. Pragnienie, by zerwać się z łóżka i pobiec za nim, było nie do zniesienia. Najlepiej jednak robi, czekając tutaj. Nie mogła mieszać się do pojedynku, nie robiąc przy tym z siebie idiotki. Jak by się czuła, gdyby sekundanci musieli ją odciągać od walczących mężczyzn, którzy przeklinaliby pod nosem histeryczki, nie rozumiejące zasad kodeksu honorowego. Gdyby zaś stanęła błada i zdenerwowana gdzieś na boku, mogłaby skutecznie odwrócić ich uwagę i przyczynić się do jeszcze większego zła. Powinna się natychmiast ubrać i czekać cierpliwie na ganku na powrót Ryana lub na wieści, że on już nigdy nie wróci. Tak nakazywała godność i prawdziwa odwaga.

Nie mogła tego jednak żadną miarą zrobić.

Odrzuciła pościel i szybko wstała. Zaczęła się po cichu ubierać, nie chcąc alarmować Devoty ani Benedicta.

Pojedynek na pewno odbędzie się w ogrodzie świętego Antoniego na tyłach kościoła świętego Ludwika, gdzie z reguły odbywały się walki na szpady. Pojedynki z użyciem broni palnej organizowano poza miastem, bo tam huk wystrzałów i świszczące kule dawały się o wiele mniej we znaki. Ogród leżał niedaleko domu Ryana, gdyż ulica, na której stał, biegła dokładnie za kościołem.

Zbliżając się do wyznaczonego miejsca, zwolniła kroku. Ogród miał kształt kwadratu, na którego środku stała niewielka figura świętego Antoniego. Otaczały go krzewy sięgające głowy, lecz niższe gałęzie nie miały zbyt wielu liści. Elene skorzystała więc z tej naturalnej zasłony.

Mężczyźni zebrali się już na otaczającym posąg trawniku. Sekundanci mierzyli długość szpad, a lekarz sprawdzał opatrunki. Przyglądało im się kilku panów w strojach wieczorowych, którzy najprawdopodobniej wracali z przyjęcia wydanego minionej nocy przez prefekta Laussata. Rozmawiali ze sobą cicho, komentując to wydarzenie i oceniając sprawność obu walczących. Niezwykle dyskretnie zakładali się też, który z nich zwycięży.

Ryan stał w pobliżu, odwrócony do niej tyłem. Zdjął kurtkę i poprawiał krótkie rękawy koszuli. Durant stanął dokładnie naprzeciwko niego. Patrząc na swego przeciwnika, też zaczął powoli zdejmować marynarkę, której poła nagle uderzyła go dość mocno w kolano. Z wyrazem zdumienia na twarzy wyczuł w kieszeni jakąś wypukłość. Sięgnął ręką do środka i wyjął coś, co przypominało lalkę. Popatrzył na nią przez krótką chwilę, po czym zaklął i odrzucił daleko od siebie.

Lalka wylądowała w trawie przed figurą świętego Antoniego. Była to mała woskowa figurka mężczyzny. Na głowie miała przymocowany kawałek futerka, który do złudzenia przypominał włosy Durata, a ubrana była w malutki frak. Z jej piersi wystawał mała miedziana szpada, wbita gdzieś w okolice serca. Durant patrzył na lalkę z pobladłą twarzą.

Elene obserwowała to wszystko ze ściśniętym gardłem. Serce waliło jej jak oszalałe. Przypomniała sobie nagle obietnicę Devoty i wyprawę Benedicta do domu Durata pod pozorem sprawdzenia, czy jej tam nie ma.

Teraz znała już odpowiedź. Szara figurka z wykręconymi nóżkami i w przekrzywionym fraku leżała żałośnie w mokrej od rosy trawie. Jednak mała ostra szpada lśniła mocno w pierwszych promieniach porannego słońca.

Ryan utkwiał baczne spojrzenie w lalce. W jego ślady poszło też dwóch widzów. Sekundanci z Morvenem na czele byli zbyt zajęci swymi obowiązkami, żaden z nich nie zwrócił na nią uwagi. Kilka chwil później, po ustaleniu wszystkich szczegółów, odwrócili się i podeszli do mających walczyć mężczyzn. Aktor jak zwykle odgrywał główną rolę, tym razem rzecznika sekundantów. Kłaniając się dwornie, oficjalnym tonem spytał po raz ostatni, czy nie ma żadnej nadziei na polubowne rozwiązanie sporu.

Durant oderwał wzrok od figurki leżącej na trawie. Przez chwilę sprawiał wrażenie nieobecnego, jakby zapomniawszy, gdzie się znalazł i w jakim celu. Mimo chłodu poranka na jego czole zalśniły kropelki potu. Wreszcie potrząsnął głową. Ryan jako strona wyzwana z konieczności zrobił to samo.

Sekundanci pokazali im szpady. Obaj skinęli z aprobatą głową. Ryan wybrał jedną z nich, druga trafiła do rąk Duranta. Sekundanci cofnęli się, stając za swymi podopiecznymi. Ryan i Durant zajęli pozycje.

W ogrodzie zapadła cisza, którą zakłócał jedynie szum liści i gruchanie gołębi siedzących na dachu kościoła. Słońce, wznosząc się coraz wyżej, odbijało się w kropkach rosy na trawie, w klingach obu szpad i w malutkiej szpadzie wbitej w pierś woskowej figurki.

Pozdrowiwszy się, mężczyźni unieśli broń.

En garde!

Ryan przyjął odpowiednią postawę: wysunął prawą nogę do przodu i pochylił się lekko, chowając lewą rękę za plecy. Durant się nie poruszył. Przeniósł wzrok z woskowej figurki na Ryana, potem znów spojrzął na lalkę.

Ryan wyprostował się z gracją i odwrócił do sekundantów.

- Na ziemi leżą jakieś śmieci. Może da się je usunąć, zanim któryś z nas się potknie.

Elene, słysząc jego słowa, zdusiła jęk. Miała już niemal nadzieję, że z powodu figurki Durant zrezygnuje z walki. Ryan postąpił niezwykle szlachetnie i należał mu się za to podziw, lecz jej zdaniem zrobił to zupełnie niepotrzebnie.

Morven zbliżył się i podniósł woskową figurkę. Przyjrzał się jej z zaciekawieniem.

- Skąd to się tu wzięło? Zapewniam panów, że dokładnie sprawdziliśmy pole walki.

- Wypadło... z mojej kieszeni - odparł chrapliwym głosem Durant.

Morven uśmiechnął się szeroko.

- Sporo podróżowałem po wyspach, więc wiem, że najwyraźniej ktoś życzy panu śmierci. Chwała Bogu, że nie mnie.

Aktor wrócił na swoje miejsce za Ryanem. Patrząc raz jeszcze na lalczkę, przesunął palcem po małej szpadzie, po czym wbił ją jeszcze mocniej w miękki wosk.

Durant jęknął i przycisnął dłoń do serca. Czubek szpady uderzył w trawę.

Morven uniósł w górę brwi, a potem wspaniałym, pełnym pogardy gestem odrzucił lalkę na bok. Durant się zachwiał.

- Panowie, czy możecie kontynuować? - spytał uroczyście aktor.

Ryan odpowiedział twierdząco, lecz Durant nie odezwał się ani słowem. Rozejrzał się po ogrodzie, jakby kogoś lub czegoś szukał. Przebiegł wzrokiem po ukrytej za krzakami Elene i w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. Usta zacisnął tak mocno, że aż pobielały mu wargi.

Wśród zgromadzonych w ogrodzie widzów rozległ się szmer. Durant przebiegał spojrzeniem po przeciwniku, sekundantach, czystym, porannym niebie. Podniósł szpadę, lecz zaraz znów opuścił.

Oblizwał wargi.

- Chyba będziemy musieli odłożyć ten pojedynek - powiedział krótko. - Nie... nie czuję się najlepiej.

Sekundanci Duranta, z którymi od czasu do czasu grywał w karty, spojrzeli na siebie zdumieni, słysząc tę niezwykłą prośbę. Jeden z nich podszedł do Ryana i odchrząknął.

- Wyraża pan zgodę?

Elene nie mogła dostrzec twarzy Ryana. Widziała tylko zarys jego szerokich ramion i dumnie wyprostowaną głowę. Zastanawiała się, co on może teraz myśleć. Nagle pożałowała, że poprosiła Devotę o pomoc, że zwątpiła w jego zdolność do pokonania Duranta. Już raz pokazał przecieź, co potrafi. Ale wtedy nie był osłabiony dawką trucizny i ona nie wiedziała jeszcze, że go kocha. Takiego ryzyka nie wolno było podejmować.

Ryan długo nie odpowiadał. Kiedy się wreszcie odezwał, przemówił cicho, lecz stanowczo:

- Nie, nie wyrażam zgody.

Nie zgadzał się na przerwanie walki i kapitulację Duranta. W jednej chwili poczuła palącą jak ogień rozpacz.

- Jakie jest więc pana życzenie, sir?

- Zaczniemy na nowo - odparł Ryan ostro. - Od prezentacji broni po kwestię załatwienia całej sprawy polubownie.

Zanim sekundant zdążył odpowiedzieć, Durant rzucił szpadę na ziemię. Na jego twarzy malował się wyraz strachu i wściekłości.

- Dobrze. Przyznaję, że to ja ponoszę winę w naszym sporze i zapewniam wszystkich, że otrzymałem należną satysfakcję.

- Dziękuję. - Ryan skłonił się lekko. - Jeśli uraziłem pańską dumę, proszę przyjąć moje szczerze przeprosiny.

Był to bardzo elegancki gest. Widać było wyraźnie, że Durant nie może sobie darować takiego złamania zasad kodeksu honorowego, lecz strach wziął nad nim górę, podobnie jak wcześniej strach przed biedą skłonił go do przyjęcia pieniędzy od ojca Flory.

Słyszając głos Ryana, Elene poczuła wielką falę ulgi i miłości. Chciała podbiec do niego natychmiast, dotknąć go, przekonać się, że naprawdę jest bezpieczny. Zaczekała jednak, aż w ogrodzie pozostali jedynie Ryan, Durant i Morven.

Durant patrzył, jak powoli zbliża się do nich.

- Przyszłaś, żeby rozkoszować się moją klęską? - spytał, a z jego czarnych oczu zniknął cały blask.

- Nie - odparła cicho. - Chciałam tylko zobaczyć, do czego jesteście zdolni.

- Z twojego powodu? Któż ma do tego większe prawo? Mam nadzieję, że jesteś usatysfakcjonowana, podobnie jak ja.

- Tak. Sądzę, że tak. - Zatrzymała się u boku Ryana. Spojrzała na nią z mieszaniną troski i rozdrażnienia w oczach i czegoś, co poruszyło ją do głębi.

- Podjęłaś już decyzję, czy też może została podjęta za ciebie? - Durant spojrzeł na jej wciąż jeszcze szczupłą postać. - Życie często samo pomaga rozwiązać takie sprawy.

Morven, patrząc na posępną twarz Ryana, zaczął się żegnać i tłumaczyć. Kiedy zorientował się, że nikt - poza słowami podziękii z ust Bayarda - nie zwraca na niego uwagi, skłonił się i odszedł nonszalanckim krokiem.

Elene obserwowała Duranta. Po raz pierwszy zauważyła kryjącą się w jego rysach złośliwość i pełną zazdrości zaborczość. Tak bardzo różnił się od człowieka, którego znała na wyspie, że poczuła, jak ogarnia ją dziwna

fala współczucia. Duranta wybrał dla niej nieżyjący już ojciec, więc choćby dlatego zasługiwał na odrobinę szacunku. Nawet Ryan potrafił mu go okazać.

- Powiedz mi prawdę - rzuciła, patrząc mu prosto w oczy. - Kochasz mnie?

Stojący obok niej Ryan ujął ją za ramię.

- Nie rób tego - powiedział ostrym głosem. - Nie tutaj i nie teraz.

Jej szare oczy były niezgłębione, gdy odwróciła się i spojrzała na niego.

- Nigdy już nie znajdziemy bardziej odpowiedniej chwili i miejsca. Dlatego ciebie też chcę o to zapytać.

Durant zrobił krok naprzód, wyczuwając, że odpowiadając bardzo szybko, może zyskać pewną przewagę nad rywalem.

- Tak, Elene. Kocham cię - odparł pełnym zdecydowania głosem.

Ryan wytrzymał jej spojrzenie.

- Kocham cię od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem cię stojącą w ciemnym lesie w blasku księżyca, gdy trzymałem cię w ramionach w czasie tych strasznych trzech dni spędzonych w norze u Faviera. Twój zapach i smak jest radością mego serca i stał się częścią mnie samego. Podąży za mną do piekła, bo na pewno tam trafię, gdyż ciebie stawiam ponad wszystko w życiu. Ale jeśli wymyśliłaś tę sztuczkę tylko po to, by wydobyć podobne oświadczenie od Duranta, to przysięgam...

- A gdybym cię poprosiła, żebyś pozwolił mi odejść do niego, zrobiłbyś to?

W ogrodzie panowała cisza, a grzejące mocno słońce wysuszało mokrą od rosy trawę. Ryan spojrzał na nią i zamarł. Poczuł, jak piersi ściska mu lodowaty ciężar, a ból powoli ogarnia każdą cząsteczkę jego ciała. Wstrzymał na chwilę oddech i zamknął oczy, nie chcąc walczyć z porażającą rozpaczą. Z trudem uniósł powieki.

- Jeśli przysięgniesz, że kochasz tylko jego - powiedział - i że nikogo w życiu już tak nie pokochasz, to pozwolę ci odejść.

Elene odwróciła się do Duranta.

- A ty? Pozwoliłbyś mi odejść do Ryana?

- Wielkie nieba, nie! - odparł z pogardą. - Gdybyś była moja, nie pozwoliłbym ci odejść do żadnego mężczyzny!

Na ustach Elene na moment pojawił się wymuszony uśmiech.

- Dobrze się więc stało, że nie jestem twoja. - Odwróciła się do Ryana z bezbronnym wyrazem twarzy. - Proszę, zabierz mnie do domu.

Devota i Benedict z przerażeniem przyjęli wiadomość, że Elene poszła oglądać pojedynek. Kiedy dali już wyraz swemu oburzeniu, kazali jej usiąść na ganku i odpocząć, a sami zajęli się przygotowaniami do śniadania mającego uczcić tak szczęśliwy wynik spotkania o świcie. Devota nie chciała przyjąć podziękowań za swój udział w całej sprawie ani też wyjawić Ryanowi, dlaczego postanowiła się w nią wmieszać. Powiedziała, że chodziło jej tylko o Elene. Bała się, co by się stało z jej panią, gdyby on zginął lub został ranny.

Kiedy Devota wraz z Benedictem pospieszyła do kuchni, Ryan stanął naprzeciwko krzesła Elene i splótł ramiona na piersi.

- Zdaje mi się, że wszyscy w domu mają bzika na punkcie twego zdrowia, nawet Benedict - powiedział lekkim głosem. - Wiem, że o mało nie zostałaś otruta, ale ja też cudem uniknąłem śmierci, a nikt się mną tak nie przejmuje. Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Oderwała wzrok od strumieni wody spływających ze stojącej na dziedzińcu fontanny. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie obrócić wszystkiego w żart, lecz z sza-

cunku dla rosnącego w niej nowego życia nie mogła na to pozwolić.

- Będę miała dziecko - przyznała się cicho. - Nasze dziecko.

- Nasze - powtórzył, jakby badając moc tego słowa. - Uznałeś za konieczne powiedzieć mi, że jest nasze?

- Nie chciałam, żebyś sam o to zapytał.

Pochylił się, opierając ramiona na poręczach jej krzesła.

- Boże święty, Elene, mówiłem ci, że cię kocham. Myślisz, że nie wiedziałem, że to dziecko jest moje?

- Po tym, jak zmusiłam cię do złożenia tego wyznania...

- Którego nie usłyszałaś, gdybym nie był przekonany o sile moich słów. Powiem ci coś, wiedziałem, że nosisz moje dziecko w chwili, gdy na placu wziąłem cię na ręce. Jakże mogło być inaczej, gdy znam każdy centymetr twojego ciała równie dobrze jak własną dłoń? Przyznaję, że nie miałaś dość czasu, by poinformować mnie, że zostanę ojcem. Nie przypuszczałem jednak, że będę musiał wyciągnąć to od ciebie siłą i że zabrzmi to jak wyrok śmierci.

- Wyrok śmierci? - powtórzyła.

Ukląkł u jej stóp i wziął ją za rękę.

- Wiem, że dziecko, przychodząc na świat, sprawia matce wielki ból i bardzo mi przykro z tego powodu. Nie cieszysz się jednak, że rośnie w tobie nowe życie? Czy nie znajdujesz w sobie ani krzty miłości dla tego dziecka, nawet jeśli nie kochasz mnie?

- Oczywiście, że je kocham - odparła zdumiona. - Ale dlaczego myślisz...

Nie pozwolił jej dokończyć.

- Dlaczego więc nie chcesz za mnie wyjść? Jeśli przyjmiesz moją miłość, dlaczego nie chcesz przyjąć nazwiska, choćby tylko ze względu na nasze dziecko? Ile razy mam cię prosić, zanim w końcu powiesz tak?

Otworzyła usta, by mu wszystko wytłumaczyć, lecz nie mogła znaleźć właściwych słów. Już raz mu odmówiła, gdyż nie chciała, by kierował jej życiem. Przekonała się jednak, że nad życiem podobnie jak nad śmiercią nie można mieć żadnej kontroli. W swoim postępowaniu mogła się kierować wyłącznie niewzruszonymi zasadami i w ten sposób osiągać zamierzone cele. Mogła to zacząć robić teraz, bez względu na to, czy weźmie ślub, czy nie. Zrozumiała wreszcie, że najważniejsza w życiu nie jest kontrola, lecz konieczność zwalczania strachu przed utratą bliskiej osoby i samotnością. Potrzebowała teraz poczucia bezpieczeństwa wypływającego ze świadomości, że kocha i jest kochana, a to na zawsze przecież pozostanie w jej sercu.

Zwilżyła lekko wargi, znajdując wreszcie właściwą odpowiedź.

- Dwa razy. Musisz mnie poprosić dwa razy.

- Wtedy...

- I teraz. Może uda mi się ułatwić całą sprawę i potraktuję słowa, które przed chwilą wypowiedziałeś, jako oświadczyzny.

Ujął ją za ręce i pociągnął w górę. Za wszelką cenę pragnął uzyskać pełną, przekonującą odpowiedź.

- Dlaczego teraz? - spytał.

- Słucham? - Patrzyła na niego zakłopotana, czując budzące się gdzieś głęboko pragnienie, by znaleźć się w jego ramionach, by ich ciała znów stanowiły jedność.

- Kiedy prosiłem cię po raz pierwszy, nie chciałaś za mnie wyjść, bo mnie nie kochałaś, jak sądzę. Dlaczego teraz?

Przełknęła piekące ją w gardle łzy.

- Nigdy nie mogło być mowy o braku miłości.

- Z mojej strony, oczywiście.

- Nie - odparła, potrząsając głową. - Z mojej. Kocham cię, Ryan.

- Chcesz powiedzieć, że przez cały ten czas...

- Przez cały czas. - W jej oczach zalśniły łzy i powoli spłynęły po policzkach. - Ale bałam się.

- Nie masz się już czego bać. Zawsze będę przy tobie. Zawsze.

Na jej usta wypłynął blady uśmiech.

- Były jeszcze te nieszczęsne perfumy. Nie chciałam cię mieć tylko z powodu ich zapachu.

Gwałtownym ruchem przyciągnął ją do siebie.

- Przysięgam, że perfumy nigdy nie miały z tym nic wspólnego! Podobały mi się, to prawda, ale od początku byłem oczarowany tobą i tylko tobą.

- Teraz już wiem. - Objęła go ramionami i pogładziła lekko po plecach. Przytuliła się jeszcze mocniej.

Drżącymi palcami przesunął po jej włosach i pochylił głowę, by dotknąć ust. Otaczającą ich ciszę zakłócał tylko szmer fontanny i grzechot naczyń dobiegający z kuchni. Wreszcie Ryan podniósł głowę. Ciepłym, pełnym obietnic głosem powiedział:

- Z drugiej strony jednak, gdybyś chciała ich użyć dziś wieczorem, byłbym ci niezmiernie wdzięczny.

- Nie mam już ani kropli - szepnęła.

- Szkoda.

- Ale mam wszystkie potrzebne składniki, a do wieczora jest jeszcze dużo czasu.

- Zdecydowanie za dużo - odparł Ryan i razem weszli do domu.

Dwadzieścia dni później w pogodny grudniowy ranek Ryan i Elene raz jeszcze znaleźli się na Place d'Armes. Podczas ceremonii niemal identycznej z tą, jaka odbyła się miesiąc wcześniej, prefekt koloni Pierre Clement de Laussat po przekazaniu Luizjany Stanom Zjednoczonym wyszedł na balkon *cabildo*. Tym razem jednak u jego boku pojawili się amerykańscy komisarze: młody, niezwykle przystojny William C. C. Clairborne, który choć nie znał francuskiego, miał zostać nowym gubernatorem, i generał James Wilkinson - dostojny i niesympatyczny, znakomicie władający językiem nowego terytorium.

Trójkolorowa flaga Francji powoli zsunęła się z masztu, a jej miejsce zajął sztandar Stanów Zjednoczonych. Kiedy spotkały się w połowie drogi, zatrzymały się na chwilę, a żołnierze bezradnie szarpali liny. Wyglądało to tak, jakby flaga Francji z niechęcią rozstawała się ze swoim dumnym miejscem na maszcie. Zaraz potem z fortów rozmieszczonych wokół miasta padła salwa honorowa, na którą odpowiedziały wystrzałami stojące w porcie statki, pozdrawiając kraj żegnający się z Luizjaną i ten nowy, obejmujący dopiero władzę.

Po chwili amerykańska flaga powiewała dumnie na maszcie, a w blasku słońca lśniło ułożone z gwiazd koło i biało-czerwone pasy. Na placu rozległy się radosne okrzyki. Wznosili je głównie Amerykanie, niektórzy ubrani jak dżentelmeni, inni w skórkach i futrzanych czapkach traperów z Kentucky. Francuzi stali w milczeniu, z powagą obserwując koniec cywilizowanych rzą-

dów, przekonani, że teraz władzę w Luizjanie przejmą barbarzyńcy.

Elene nie żywiła takich obaw. Zrozumiała, że Ryan miał rację. Trzeba pozwolić Amerykanom wypełnić ten kraj swoją energią i pasją do handlu oraz zarabiania pieniędzy. A ich żony będą potrzebowały jej perfum tak samo jak Francuzki.

Nie mogła się już doczekać powrotu do swojej pracowni, gdzie rozpoczęła pracę nad nowym zapachem, który chciała nazwać Ogród Luizjany. Musi też poprosić Devotę, by pomogła jej przygotować nowy zapach Raju, gdyż tuż przed wyjściem na plac sprzedała ostatni flakonik. Ryan nadal bardzo je lubił, a dziś wieczór udają się na wielki bal wydawany przez prefekta Laussata dla uświetnienia wydarzeń dnia. Bal miał być też jego pożegnaniem przed objęciem nowego stanowiska na Martynice. Na pewno zjawi się na nim wiele eleganckich dam, z których sporą część będą stanowić Amerykanki. Kobieta, która z każdym dniem stawała się coraz bardziej enceinte, będzie potrzebowała wszelkiej możliwej pomocy. Poza tym w tańcu perfumy zawsze pachną najmocniej. Dobrze będzie w ten delikatny sposób zaprezentować ich zapach nowo przybyłym do miasta paniom.

Tuż za Elene stała Devota, trzymając pod rękę Benedicta. Patrzyła na stojącą przed nią parę z czułością w oczach. Gdy powiew wiatru przyniósł ze sobą zapach perfum, odetchnęła głęboko. Na jej ustach pojawił się szeroki, pełen zadowolenia uśmiech.

Elene odwróciła się w samą porę, by dojrzeć tajemniczy wyraz ciemnych oczu swojej służącej i zadowolenie malujące się na jej twarzy.

- O co chodzi? - spytała z uśmiechem. - Czy coś mi umknęło?

- Nie, nie, *chere*. Poczułam tylko zapach twoich perfum i pomyślałam, że są wspaniałe.

- Wspaniałe?

- Tak. I ta nazwa - Raj.

Elene poczuła nagle ogarniający ją cień podejrzania. Podniosła dłoń i dotknęła wiszącej na szyi kamei matki, jednego z licznych prezentów, jakie przed ślubem otrzymała od Ryana. Możliwe, że dla jej dobra Devota okłamała ją, opowiadając o tajemnej mocy perfum. Czyż nie robiła tego już wcześniej?

Elene nie chciała wiedzieć. Perfumy były wyjątkowe, tylko to się liczyło. Wiele kobiet natychmiast je pokochało i używało co dnia. Nie pojawiły się żadne dowody, by mogły komuś wyrządzić krzywdę. Nie, nie chciała nic wiedzieć.

- Tak, są wspaniałe - odparła i odwróciła się, by dalej oglądać ceremonię przekazania władzy.

Devota uśmiechnęła się, po czym przybrała słodki wyraz twarzy, gdy Benedict pochylił się i spojrzał na nią uważnie.

- Wspaniałe dla ciebie - szepnął.

Laussat zszedł na plac, by przemówić do francuskiej milicji. Teraz wraz z amerykańskimi komisarzami dokonywał przeglądu stojących w szyku oddziałów Stanów Zjednoczonych. Za chwilę przekazanie Luizjany stanie się faktem i wszyscy będą mogli wrócić do domu. Zebrani na placu ludzie już kręcili się niespokojnie, wycofując się powoli na przylegające do placu ulice. Zajmowali miejsca w kawiarniach i gospodach, by omówić doniosłe wydarzenia i wznieść toasty za przyszłość.

Ryan wciągnął głęboko powietrze, rozkoszując się perfumami Elene, a na jego ustach pojawił się uśmiech. Ten zapach już zawsze będzie w nim budził pożądanie. Przycisnął jej ramię do swojego boku.

- Możemy już iść, *cherie*?

- Z tobą zawsze - odparła, a w jej lśniących w zimowym słońcu szarych oczach pojawił się błysk pełnego szczęścia uśmiechu.